NRLF-1
MAIN

11, 1, 8, 36

MÓJ NOWY WIKARY.

Ks. P. A. Sheehan.

MÓJ NOWY WIKARY

OPOWIEŚĆ

z urywków pamiętnika proboszcza irlandzkiego.

(*Przedruk z „Roli" 1902—1903*).

Przekład z angielskiego.

WARSZAWA

Wydawnictwo Ks. M. Godlewskiego.

1904

Printed in Poland

UNIVERSITY OF CALIFORNIA

Дозволено Цензурою
Варшава 24 Октября 1904 г.

Druk Akc. Tow. Wyd.-Druk. „WIEK“ w Warszawie Nowy-Świat 61

ROZDZIAŁ I.

Zmiana.

Moja w tem wina. Zbyt długi miałem język i w chwili pewnego zniechęcenia, czy rozgoryczenia rzekłem: „Cóż może biskup zrobić proboszczowi“? Niewłaściwe powiedzenie to doszło jednak do uszu biskupa i Jego Ekscelencya odpowiedział: „Co mogę mu zrobić? Mogę mu posłać wikarego, który w ciągu sześciu tygodni obrzydzi mu życie“.

Nie bardzo więc byłem zdziwiony, gdy pewnego wieczoru mój drogi, stary przyjaciel i wikary, ojciec Tom Laverty, przyszedł do mnie ze łzami w oczach i listem w ręku:

— Zostaję przeniesiony, ojcze Danie! Spójrzyj na ten oto papier!

Był to treściwy, lakoniczny rozkaz, aby wikary zjawił się u proboszcza parafji o 20 mil (angielskich) odległej i rozpoczął tam spełnianie obowiązków, nie później jak w Sobotę lub Niedzielę przyszłą.

Rozkaz ten był istotnie dla mnie ciosem bolesnym. Przywiązałem się szczerze do ojca Toma. Mieliśmy jednakowe upodobania i przyzwyczajenia, jednakowa też zbliżała nas do siebie: powolność, spokój ducha i zachowawczość połączona z serdeczną niechęcią do nowatorstwa wszelkiego rodzaju. Mieliśmy nadto jednakowe zapatrywania polityczne, jednakowe miewaliśmy kazania i obaj spełnialiśmy obowiązki nasze pasterskie po staremu,

żywiąc w sercach poszanowanie dla przeszłości w ogóle. Przykrością więc było dla mnie wielką to rozstanie a chyba nikt mnie nie posądzi o próżność, gdy dodam, że i ojca Toma, na myśl, iż porzucić mnie musi, ogarnął smutek.

— Niema chyba rady? — zapytał.

— Nie! — odrzekłem — ale, jeżeli zechcesz...

— Po co! Napróżno! Gdy biskup nasz raz sobie co postanowi, żadne już nie pomogą prośby.

— Więc jutro już odjechać musisz? — rzekłem przeglądając rozkaz biskupi.

— Tak, krótki termin.

— Kogóż ja tu dostanę? — wtrąciłem w zamyśleniu.

— Trudno odgadnąć! -- odrzekł ojciec Tom, nie okazując chęci do rozmowy.

Nazajutrz najsmutniejszy z pochodów,—przeprowadzka ruchomości wikarego, ciągnął zwolna przez wieś i dalej gościńcem, śród bagien i moczarów, brzegiem jeziora do osady N. N..

Przodem szły trzy wozy czarnego torfu, starannie ułożonego i powiązanego. Następnie dwa wozy siana, dalej krowa z rocznem cielęciem, a w końcu wóz ze sprzętami domowemi, po największej części prostego, zwyczajnego wyrobu. Stos sprzętów, które — kto wie — czy byłyby odpowiednie dla umeblowania jednego z naszych nowych domków robotniczych, wieńczył stół kuchenny, przewrócony do góry nogami. Pomiędzy zaś nogami temi, sterczącemi sztywnie ku górze, leżała skrępowana mocno plaga i zabawka wioski, koza Nanny z małem koźlątkiem. Czego bo Nanny nie mogła spłatać w zakresie psot, o tem wspominać już nie będę. Nadmienię tylko, że aczkolwiek język celtycki obfituje w przezwiska, mieszkańcy wioski musieli uciekać się do pomocy języka anglosaskiego dla wyrażenia nagany temu stworzeniu. Nazywali je trzpiotką, hultajką, rozpustnicą etc. etc.

Szedłem tedy obok księdza Laverty'ego, który, pochyliwszy głowę na piersi, ledwie że zwracał uwagę na żale kobiet, stojących w progach domostw i zawodzących tak gorzko nad opuszczeniem parafii przez wikarego, jak gdybym ja wcale już w rachubę nie wchodził.

— Niech cię Bóg prowadzi, ojcze, dokądkolwiek pójdziesz!

— Życzymy szczęśliwej drogi! Więc to doprawdy nas opuszczasz?

— Mój Boże, co zrobią biedacy, gdy jego już nie stanie?

— Mógł też był doprawdy biskup kochanego ojca Toma pozostawić w spokoju!

— Ojcze! — rzekła poważnie jedna z dziewcząt. — Niech Bóg będzie z tobą! Módl się też i za mnie — dodała szeptem, biegnąc za wikarym. — Nie przypuszczasz nawet ileż mi, ojcze, dobrego uczynił.

Dziewczyna ta nie odznaczała się czułostkowością; ojciec Tom zwrócił się ku niej.

— Tak, Nance, będę w modlitwach moich pamiętał o tobie. A miej też w pamięci to, co ci powiedziałem.

To powiedziawszy, ojciec Tom podał jej rękę, a był to taki zaszczyt i taka wielka łaska, że dziewczyna, zarumieniwszy się, szybko obtarła rękę fartuchem, zanim podała ją wikaremu.

— Niech Bóg Wszechmogący cię błogosławi! — rzekła.

Najprzykrzejszą jednak przebyliśmy chwilę, mijając budynek szkolny. Było już po trzeciej, a więc była to właśnie pora, w której dzieci opuszczały swój przybytek nauki. I oto stanął tłum chłopców i dziewczynek z szeroko otwartemi, smutnemi oczyma. Ksiądz wikary minął szybko gromadę, nie podnosząc wzroku. Serce jego lgnęło do tych dzieci; jedyną bowiem jego przyjemnością, na jaką sobie pozwalał, bywało, znaleźć się w tem gronie, i uczyć je, i bawić, i słuchać śpiewów ich dziecinnych. A teraz?

— Do widzenia, ojcze!

— Do widzenia, ojcze!

Nagle jedna z dziewczynek załkała głośno i w tej chwili cały tłum dzieciaków wybuchnął płaczem. Ja także, zwróciwszy wzrok na krajobraz, mrugałem dziwnie powiekami.

Doszliśmy wreszcie do mostku, który wznosi się garbem ponad strumieniem. Ileżto razy w czasie ciepłych letnich wieczorów był on punktem krańcowym naszych przechadzek; bo słaby jestem w nogach, choć umysł mam

jeszcze tak jasny, jak młodzieniec siedmnastoletni! Ileż to razy, oparłszy się o poręcze mostku, gawędziliśmy tu o wszystkiem: o polityce, literaturze, o starych klasykach, o czasach naszych szkolnych, opowiadaniach misyjnych i t. d. A teraz oto nadeszła przykra, smutna chwila rozstania!

— Bądźże mi zdrowy, księże Tomie—rzekłem. — Pamiętaj, że zawsze jest dla ciebie u mnie kęs chleba, łyżka zupy i posłanie, kiedykolwiek przyjedziesz do mnie. Bądź zdrów! Bóg widzi, jak mi przykro rozstawać się z tobą

— Do widzenia!—odpowiedział, nie rzekłszy słowa więcej.

Długo jeszcze stałem, śledząc wzrokiem smutny ów pochód. Wreszcie gdy już stał się małą zaledwie plamką na widnokręgu, wróciłem z ciężkiem sercem do domu.

Gdybym miał kiedykolwiek wątpliwość jaką co do giętkości umysłu ludzkiego, lub co do jego daru przystosowywania się do okoliczności, wątpliwość ta rozwiałaby się w chwili, gdy z powrotem wlekłem się zadumany przez wioskę. Nie sądziłem nawet, że jestem tak popularny, ani też, że skromna praca moja jest tak wysoko cenioną.

— Dzięki Bogu, mamy nareszcie j e g o s a m e g o!

Objaśnić zaś winienem kochanych czytelników moich, że wyrażenie „jego samego“ lub „ją samą“ w naszej gwarze wioskowej oznacza „pana“ lub „panią“, rządzących samowładnie i bez apelacyi.

— Dałby Bóg—dochodziły mnie głosy — żeby pozostał z nami! Źle będzie, jeżeli zostać nie zechce!

— Rządca naszego kościoła! niech Bóg zachowa go jaknajdłużej! Gdybyż tak wasza wielebność raczyła obdarzyć miedziaczkiem biedną, samotną wdowę!

Przyznam się, że przebiegłe pochlebstwa te nie podziałały wcale dodatnio na przygnębiony mój umysł. Wszedłem do domu, zasiadłem przy małym nowym stoliku i oddałem się smutnym rozmyślaniom.

Była już zapewne ósma, albo i później, gdyż zmrok już zapadał, okrywając książki moje i obrazki mgłą szarą, gdy usłyszałem u drzwi uderzenia młotka. Przedtem turkot powozu nie doszedł uszu moich, jak sądzę, dlatego, że droga była błotnista. Wyprostowałem się tedy na fotelu i przyciągnąłem ku sobie książkę, nie chcąc być po-

sądzonym o zbyt wczesne układanie się do snu. Po chwili weszła do pokoju Hanna, stara moja gospodyni, trzymając w palcach, które przezornie okryła fartuchem, małą jakąś karteczkę. Wziąłem kartkę do ręki, pytając:

— Któż tam?

— Nie wiem, proszę księdza proboszcza.

— Czy to duchowny?

— Nie, ale zdaje mi się, że to dżentleman, bo mówi tak, jak ludzie z pałacu.

Przyniosła świecę, przy świetle której odczytałem: *Ks. Edward Letheby.*

— To nowy wikary—rzekłem.

— Ho, ho!—zawołała Hanna, pozbywszy się odrazu uniżoności dla obcego dżentlemana, z chwilą gdy się dowiedziała, że to tylko wikary.

Wyszedłem i powitałem jak najserdeczniej nowego swego współpracownika. Było już zbyt ciemno, iżbym mógł rozeznać jego rysy; ze sposobu jednak mówienia wytworzyłem sobie o nim sąd doraźny. Odgryzał wyrazy tak, jak strzelcy odgryzają ładunki. (Do strzelb dawnego systemu sporządzano ładunki z papieru. By wsypać proch do lufy, trzeba było najpierw odgryźć wierzch ładunku. P. T.). Wyrzeźbiał każdą spółgłoskę, podczas gdy każdej samogłosce nadawał dźwięk pełny. Wymowa ta zaś jego, pełna stanowczości, dobitności i jakby formalizmu, uderzała w serce moje niby dzwon pogrzebowy, — dźwięcznie i przeszywająco.

— Mam nadzieję — mówił — że ksiądz proboszcz mi wybaczy, iż ośmieliłem się przybyć tu o tak niestosownej porze; miejscowość ta jednak jest mi najzupełniej obcą i chciałem właśnie prosić o łaskawe wskazanie mi jakiejś gospody.

— Jedna tylko gospoda istnieje w tej wiosce — odparłem—a ma ona tę zaletę, że jest jednocześnie biurem pocztowem oraz składem wszelkiego rodzaju towarów, zacząwszy od szpilek lub szczotek do szorowania trzody, a skończywszy na farbach i najlepszych połciach słoniny z Limericku. Przesiąknięta też jest skutkiem tego mięszaniną woni, wobec których słabnie zapach ulic stolicy nad Bosforem. Należy w końcu dodać, iż w chwili obecnej znajdują się tam goście pod postacią dwóch amazo-

nek, zamierzających dać dzisiejszego wieczoru w budynku szkolnym przedstawienie, złożone z wyjątków „Moritany“, oraz pijany akrobata, pozostałość z cyrku, który tu gościł niedawno.

— Swięty Boże! — zawołał nowy mój towarzysz westchnąwszy.

I wydało mi się, iż przeraziłem go nieco, co zresztą było moim zamiarem. Czując przeto, że jestem panem sytuacyi, zlitowałem się nad nim.

— Jeżeli jednak— dodałem — mógłbyś ksiądz zadowolić się skromnem mieszkaniem i niewybrednem pożywieniem w tem oto probostwie, to będę, zaiste, szczęśliwy, mieć cię jako gościa, dopóki nie wynajdziesz sobie mieszkania.

— Dziękuję księdzu proboszczowi bardzo—odpowiedział.—Ksiądz proboszcz jesteś bardzo łaskaw. Pozwolisz zatem, że zapłacę woźnicy i przyniosę worek podróżny.

Znać było, że jest jakby pomięszany, to też zmiękłem, postanowiwszy jednak zachować swoją powagę.

Poszedł za mną do saloniku, gdzie paliła się już lampa; mogłem więc nareszcie przypatrzeć mu się dobrze. Mam zwyczaj siadać tyłem do światła, co jest dla mnie z korzyścią podwójną. Czyni twarz moją niewidoczną, a natomiast w pełnem świetle ukazuje mi twarz osoby, do ktorej przemawiam. Siedział więc naprzeciwko mnie mój nowy wikary, prosty jak trzcina. Jedną jego rękę okrywała rękawiczka, drugą bawił się zlekka. Doprawdy, był to piękny młodzieniec. Dosyć wysoki, szeroki w ramionach, ani trochę nie za otyły, słowem od stóp do głowy dobrze i wmiarę zbudowany. To też patrząc nań myślałem, że nie byłoby przyjemnie wziąć się z nim za bary albo spotkać podczas gry w piłkę nożną. Włosy miał czarne, gęste, błyszczące i kędzierzawe, rozdzielone na lewej stronie głowy. Wielkie, ciemno-szafirowe oczy, patrzące prosto w twarz moją, nie były mniej wymowne od ust zgrabnie wyciętych. Ubrany był *ad*... Przepraszam czytelnika, ale musiałbym zetrzeć pył z mych klasyków, bo Horacego zapomina się szybko.

Rąbka nawet bielizny nie było widać nad czarnym kołnierzykiem kamizelki; natomiast biały kwadracik widniał tam, gdzie się końce kołnierzyka schodzą. (Mowa

o czarnym kołnierzyku kamizelek, noszonych przy cywilnem ubraniu przez księży katolickich w Irlandyi, Anglii i Ameryce). Ciężki łańcuszek zwieszał się u kamizelki, a buty lśniły się i migotały w świetle lampy.

— Zapewne zjesz ksiądz cokolwiek, bo odbyłeś drogę daleką?—spytałem.

— Jeżeli nie zrobię tem kłopotu, to prosiłbym o filiżankę herbaty.

Zadzwoniłem.

— Podaj filiżankę herbaty, Hanno! — rozkazałem wchodzącej gospodyni.

— Filiżankę czego? — spytała, żywiąc w duszy właściwą irlandkom pogardę dla mężczyzn, używających herbaty.

— Filiżankę herbaty i to prędko!—odrzekłem tonem stanowczym.

— Patrzcie państwo!—burknęła, ale w kilka już minut przyniosła herbatę i gorące ciastka, wobec których nawet syty radca miejski nabrałby apetytu, oraz dwa sadzone jajka na przysmażanych kawałkach chleba.

Byłem dumny z tej obsługi, ale też i zdziwiony, gdyż Hanna nie zawsze była tak uprzejmą. Wytłomaczyła mi to nazajutrz:

— Nie podobał mi się wcale, ale to wcale, gdy jednak ujrzałam jego worek podróżny, pełen ozdób niklowych i dotknęłam jego pledu, tak delikatnego i miękkiego, że mogłaby chadzać w nim królowa, wówczas pomyślałam: A może to biskup w podróży wizytacyjnej?

— Jakże smakuje herbata?—spytałem.

— Doskonała! — odpowiedział, popijając i zajadając z wielkim apetytem.

Biedak był widocznie głodny, żuł jednak każdy kęs jedzenia starannie i podnosił moją starą, fajansową filiżankę tak delikatnie, jak gdyby była z porcelany sewrskiej. Gdy się już posilił, rozpoczęliśmy rozmowę.

— Obawiam się—rzekłem, pragnąc wyciągnąć go na słówko, — że nasza miejscowość, w porównaniu z innemi, jakie ksiądz widziałeś wyda mu się zbyt nudną. Ale, czy byłeś też już, księże, gdzie na misyi?

— O, tak! Sądziłem, że biskup pisał o tem do księdza proboszcza.

— Ma się rozumieć — odparłem. — To, że przybędziesz, księże, nie było dla mnie tajemnicą, ale, jak wiesz, nasz biskup jest nader lakonicznym w listach.

Powiedziałem tak, ponieważ nie wypadało, pod żadnym pozorem, by przypuszczał, że biskup posyła mi wikarego bez uprzedniego powiadomienia o tem. Sądziłem nadto, że używam języka dystyngowanego. Dziewięcioletnia przeszło praca nad Horacym nie pozwala mi w tym względzie mieć innego zdania o sobie.

— Jedyną moją misyą była misya w Manchesterze, przy jednym z kościołów tamtejszych. Parafia to ludna i pełna tych codziennych trosk i wydarzeń, które tak uciążliwem czynią życie kapłana. Przyznaję też, iż nie byłem zmartwiony, gdy odwołano mnie stamtąd.

— W każdym razie—wtrąciłem — miałeś tam ksiądz towarzystwo, a tu tymczasem stosunki twoje towarzyskie ograniczyć się muszą na przypadkowej konwersacyi z pierwszą lepszą babą na progu domostwa, albo też na gawędce z chłopcami w szkole.

— Ależ ja mam książki moje! — przerwał — i zapewniam księdza proboszcza, że rad będę z czasu, który mi pozwoli zajrzeć do nich. Od lat siedmiu nie otworzyłem żadnego poważnego dzieła.

Szczerość ta, wyznać muszę, ujęła mnie bardzo.

— Uprzedzam jednak—rzekłem — że piękne w stylu angielskim kazania mogą tu przejść bez wrażenia, gdyż nie zostaną zrozumiane. Przytem musisz być ksiądz przygotowany na częste wezwania nocne do chat górskich, do których dostęp możliwym jest przez moczary jedynie lub łożysko strumienia górskiego; dochód zaś twój roczny bodaj czy dociągnie wspaniałej sumy 60 funtów (około 600 rubli). Ale zato — dodałem pośpiesznie — będziesz miał wbród torfu, owsa i siana dla konia. Dostaniesz też od czasu do czasu funt masła, a na Boże Narodzenie otrzymasz w darze od parafian tyle indyków, że będziesz mógł prowadzić niemi handel wywozowy. (Indyk stanowi tradycyjną potrawę anglików, irlandczyków i amerykanów w pierwsze święto Bożego Narodzenia. *P. T.*).

— Odmalował mi ksiądz proboszcz światła i cienie— odpowiedział wesoło.—Jestem gotów przyjąć jedne i drugie, w przekonaniu, że pokocham tych biednych ludzi. Z mojej strony ku temu przeszkody niezawodnie nie będzie.

Serce me lgnęło do tego rozumnego, wesołego, pięknego młodzieńca, w którym nie dostrzegałem cienia nawet zarozumiałości, a natomiast gotowość do uprzyjemnienia sobie życia nawet w warunkach tak przykrych. Nie chciałem jednak okazać tego jeszcze, pragnąc zachować formę i pozory surowej powagi.

Nazajutrz rano mój nowy wikary odprawił Mszę świętą w małej mej kapliczce, poczem zeszedł na śniadanie rzeźwy, zadowolony. Zapytałem na wstępie czy spał dobrze.

— Doskonale—odpowiedział.—Obudziłem się dopiero rano na głos jakiegoś dalekiego dzwonu.

— To głos dzwonu pałacowego, oznajmiający godzinę szóstą. Gdzież więc teraz wybierasz się, księże?

— Nigdzie; sądziłem, że pozostanę w domu przez Niedzielę.

— Ale... jak widzę jesteś ogolony?

— Ma się rozumieć!—odparł z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.—Nie byłbym w stanie zasiąść nieogolony do śniadania, a tembardziej przystąpić do spełnienia Ofiary świętej.

— Masz także, księże, czysty kołnierzyk. Czyżbyś zmieniał kołnierzyki codziennie?

— Naturalnie!—odrzekł.

— Biedny księże Tomie!—zawołałem w duszy — jakaż zmiana—po tobie! Głośno jednak nie rzekłem nic, posławszy natomiast po południu brzytwy moje do wywecowania.

Nareszcie nadszedł list od biskupa, brzmiący jak następuje:

Drogi Księże Danie!

„Uznałem za konieczne zmienić wikaryusza w Twojej parafii. Przeniosłem księdza Laverty'ego na lepsze stanowisko, do waszej zaś parafii posyłam jednego z najbardziej obiecujących młodych kapłanów mojej dyecezyi. Powrócił właśnie z Anglii, gdzie zaskarbił sobie jak-

najpochlebniejsze opinie tak wśród wiernych, jak i u duchowieństwa. Dodam jeszcze, że wykształcony jest gruntownie, a za język grecki otrzymał medal złoty. Bezwątpienia pobudzisz go do dalszych studyów w tym kierunku, zwłaszcza, że sam o sobie powiada, iż z powodu braku czasu zardzewiał już pod tym względem zupełnie. On i ty, księże Danie, stworzycie razem w Kilronanie kompletną akademię.

Twój w Chrystusie.

— Zręczny i dowcipny mój biskup!—myślałem. — A gdy znów oczy moje padły na wyrazy: „złoty medal za język grecki"—przypomniały mi się słowa: „Mogę posłać wikarego, który w przeciągu sześciu tygodni obrzydzi mu życie". Spojrzawszy atoli z ponad filiżanki na ojca Letheby'ego, nie chciało mi się wierzyć, aby w jego postaci czyhała na mnie złość jakaś. Tak otwarcie, szczerze, rozumnie, wesoło i pięknie wyglądał ten młodzieniec przy świetle poranka!

Czy okaże się takim istotnie?

ROZDZIAŁ II.

Z przeszłości.

Dawno już temu, gdy czytając powieść, w której autor uznał za właściwe przemawiać do czytelników w sposób następujący: „Uprzedzamy jednak wypadki; musimy cofnąć się o lat dwadzieścia, by zrozumieć nić intrygi“ — rzucałem bezwarunkowo książkę z oburzeniem. Bo jakaż to niedorzeczność, opowiadać dawne dzieje, gdy czytelnik umiera z ciekawości, pragnąc dowiedzieć się jednej chwili, co się stało ze złotowłosą Bluminą, lub potężnym, rycerskim Rolandem.

Tymczasem oto ja sam popełniam grzech podobny. Proszę cię tedy, drogi mój czytelniku, uzbroj się w odrobinę cierpliwości.

Wiele już lat upłynęło od czasu, gdy zostałem mianowany proboszczem w Kilronanie. A stało się to w sposób następujący: Stary biskup wezwał mnie i przemówił tonem, który wziąłbym za ton politowania lub lekceważenia, gdybym nie wiedział, że zacny starzec, jako człowiek pełen dobroci i szczerości, był do tego niezdolnym.

— Ojcze Danie, słyszałem, że jesteś potroszę literatem. Posada w Kilronanie jest właśnie wakującą. Będziesz tam miał w bród czasu na poetyzowanie i marzenia. Cóż powiesz na to?

Wysłuchałem słów tych ze spokojem, choć serce moje biło radośnie, i ze spokojem też podziękowałem Je-

go Ekscelencyi. Zato, gdym się wydostał poza granice biskupiego wzroku, a wzrok ten sięga daleko, rzuciłem kapelusz w powietrze, wołając, niby uczeń szkolny:

— Hurrah!

Dziwicie się temu wybuchowi radości, a więc posłuchajcie.

Byłem marzycielem. Nie dziw przeto, że mieszkając w miastach zaśniedziałych, pełnych woni pijaństwa, odgłosów występku i grzechu, śniłem o tem jedynie, aby przenieść się do cichego domku nad brzegiem morza, czystego, wolnego, nieskończonego morza, któreby przemawiało wprost do mej duszy o Bogu. Już bowiem od dzieciństwa szum fal przyśpieszał tętno mego pulsu, a zapach zielska morskiego i wody słonej pokrywał me lica wyrazem rozkoszy. I ileżto razy modliłem się, aby danem mi było, gdy praca życia mego będzie na ukończeniu, a trud wśród pylnych ulic miejskich będzie już dokonany, spędzić resztę dni w ciszy wioski nadmorskiej i zejść do grobu jakby obmytym z brudu życiowego—przez codzienne napawanie się temi ruchomemi, wspaniałemi falami czystych wód morskich!

Marzenia moje zostały spełnione, radowałem się przeto.

Gdy uspokojony już zupełnie, powracałem koleją do domu, nie mogłem nie zastanowić się nad słowami biskupa.

— Dlaczego to—rozmyślałem — u nas, w Irlandyi, „poeta“ lub „świątobliwy“ oznaczają ludzi niedomagających lub wykolejonych pod pewnym względem? Wszak były czasy w dziejach naszych, w których bard był po królu osobą najbardziej władną i wpływową, a nadto uczuwamy się przecież dumnymi, gdy świat nazywa kraj nasz „Wyspą świętych“.

Tymczasem dzisiaj przez fatalne jakieś zwyrodnienie, poetów uważamy za idealistów, za chimerycznych budowniczych zamków powietrznych, za ludzi, do których nikt po radę w sprawie ważnej nie pójdzie i którym nikt wreszcie nie powierzy banknotu pięciofuntowego; świątobliwych zaś—za nieszczęśliwych głupców, wobec których spełnia się uczynek dobroczynny, gdy się o głupocie ich milczy.

To też w dniu, w którym ku tajonej radości mojej, a ku największemu nieszczęściu, ujrzałem w druku pod kilku mizernemi wierszami nazwisko moje, byłem najpewniejszy, że niweczę własną mą przyszłość. Sam fakt, iż zostałem skromnym, wstydzącym się nawet tego tytułu literatem, cechował mnie już, jako wietrzną, lotną istotę, nie zasługującą na zaufanie większe, od piórka na wiatr rzuconego, albo, jak mówią włosi, *qu'al plume al vento*. Ciekawy to przesąd, czysto irlandzki i czysto wyspiarski. Myślę też często, a raczej myślałem, że nieskończenie dziwaczne są te ciasne zapatrywania, pozbawiające nas nieraz wśród szerszego świata sympatyi, jakgdybyśmy byli fakirami nad świętemi wybrzeżami Gangesu. Bo czemże zajmuje się literatura nowoczesna, jeżeli nie zagadnieniami filozofii i moralności, które są materyałem podstawowym dla studyów i rozpraw teologicznych w naszych własnych kolegiach i akademiach?

Powieści, poezye, szkice, odczyty, traktaty z dziedziny nauk przyrodniczych—wszystko to zajmuje się wielkiemi, zasadniczemi pytaniami o istocie człowieka, jego pochodzeniu i bycie. Pomijać zaś te dzieła i rodzaje piśmiennictwa dlatego, że nie są odziane w szatę sylogizmów scholastycznych—jest wprost niedorzecznością.

Mój Boże! Oto wziął na filozofię stary dziaduś Dan, targany przez dziatwę za poły surduta, z poplamioną od tabaki kamizelką; dziaduś Dan, na którego tam, w małej kapliczce, oczekuje już miejsce dla snu wiecznego przeznaczone!

Musiałem wszakże mieć jakąś minę gniewną czy smutną owego dnia, z przed lat trzydziestu, kiedy po widzeniu się z biskupem, wyskoczywszy na platformę stacyi M..., spotkałem tam grono przyjaciół, którzy wiedzieli już o opuszczeniu przezemnie młodszych szeregów duchowieństwa i zamianowaniu mnie na stanowisko proboszcza.

— Nie powiesz nam przecież, księże, żeś przyjął to straszne miejsce!—zawołał jeden.

— Tam przecież prócz ryby nie dostaniesz do jedzenia nic! Raz na tydzień tylko dowożą tam mięso!—rzekł drugi.

— I żadnego towarzystwa, prócz rybaków, mówiących wyłącznie po irlandzku, a ty, księże, nie potrafisz

nawet przeżegnać się w tym języku! — dodał żartobliwie trzeci.

— A więc, Hiobowi moi przyjaciele — odrzekłem — zawiadamiam was, że przyjąłem probostwo w Kilronanie i jadę tam, a jeżeli wszystko pójdzie składnie i okażecie się dobrymi chłopcami, to poproszę o jednego z was na wikaryusza.

— Za pół roku będziesz, księże, szczęśliwym, jeżeli sam dostaniesz wikaryat gdziekolwiek!—zawołali chórem.

I tak oto przybyłem do Kilronanu i trwam na tem stanowisku dotychczas.

Lata płynęły szybko, bo życie jak powóz, którego koła obracają się z początku wolno i ociężale, ale gdy raz już w ruch zostały wprawione, kręcą się tak szybko, że niepodobna nawet dojrzeć szprych—dni, liczonych notabene... z niechęcią.

Co za piękne i wspaniałe postanowienie powziąłem podczas pierwszych miesięcy pobytu mego tutaj! Obiecywałem sobie czytać i pisać nocami całemi, zadziwić świat pracami mojemi i, zdobywając coraz wyższe zaszczyty, doczekać się starości dostojnej!...

Niestety, okoliczności bywają silniejszemi od nas i oto doczekał się biedny, stary dziaduś Dan siedmdziesiątego roku żywota, szukając pociechy jedynej i najwyższej w brewiarzu i w codziennej Mszy Swiętej, tak pełnej słodyczy tajemnej i niewypowiedzianej, w miłości radosnej dziatek, w modlitwach starych parafianek i w szacunku wreszcie parafian.

Życie płynie bez wielkich co prawda kłopotów; mimo to jednak serce ściska się czasem, gdy widzę młodych księży, którzy dawno już temu, jak mnie starego wyręczali, a którzy teraz zasiadają w stallach katedralnych, odziani w purpurę i gronostaje,—gdy widzę, jak parafie duże przechodzą w ręce istnych jeszcze młodzików, a biedny stary dziaduś Dan zostaje pomijanym, jak gdyby wcale nie istniał.

Wiem ci ja, że obowiązkiem chrześciańskim jest błogosławić taką wolę Bożą, ale słaba i ułomna natura ludzka buntuje się niekiedy, zwłaszcza gdy bliźni mi mówią:

— Co za dziwna rzecz, ojcze Danie, że nie posiadasz jeszcze czerwonych guzików, jak ten lub ów!

Albo:

— Co to się znaczy, że władza pomija jednego z najuczeńszych kapłanów dyecezyi dla młodzieniaszków?...

Cóż to za szerokie projekty snułem w wyobraźni, przybywszy tutaj!

— Stworzę przemysł—myślałem — zabrukuję ulice, urządzę wygodną przystań dla rybaków, a z Kilronanu uczynię znane i modne miejsce kąpielowe, będę więc dawał inicyatywę i będę działał, stając się wzorem energii i przedsiębiorczości.

Spróbowałem. Ale, doprawdy, gdybym chciał górę usunąć z pomocą widełek, lub ujarzmić fale oceanu sznurkiem z piasku skręconym — nie osiągnąłbym rezultatu większego.

Dziwna jakaś niemoc, do ciężkich chmur podobna, wisi nad Irlandyą i chyba niema siły na ziemi, któraby chmury te usunąć zdołała.

Spoglądano na mnie, jak na heretyka, z dziwną podejrzliwością i—zaciekawieniem. Niejeden zaś, usłyszawszy o mych projektach, kładł ręce w kieszenie, gwizdał i odchodził, nie rzekłszy słowa.

Ciężkie, zaprawdę, miewałem przejścia! Krew, zdało mi się, zastygła w żyłach tych ludzi, a nogi ich jakby wrosły w ziemię. Chodzili z trudnością, spoglądali leniwie w przestrzeń, na blade promienie słońca lub niebiosa chmurami zasnute, a dzieci ich, wyszedłszy zaledwie ze szkoły, stawały się w zupełności do rodziców podobne.

Stary filozof Berkeley twierdzi, że wilgotne, słone powietrze morskie zwalnia obieg krwi, wywołuje podagrę i rozmaite zaburzenia w organizmie. Być przeto może, że ta ociężałość i apatya moich parafian była już owym skutkiem własności powietrza morskiego,—tak jednak czy inaczej, dość że bydło spało sobie w polach, a rybacy w łodziach; senność, słowem, ciążyła tu nad wszystkiem.

Razu pewnego udałem się do pełnomocnika naszego lorda, by udzielił mi kawał wybrzeża na budowę przystani dla łodzi. Pełnomocnik uśmiechnął się grzecznie:

— Wiesz zapewne, księże proboszczu—rzekł—iż lord L. jest obecnie albo w Monte Carlo, albo też krąży na swym jachcie po morzu Śródziemnem. Bez niego zaś nie mogę nic uczynić.

— A kiedy—zapytałem z równą uprzejmością—można spodziewać się powrotu lorda?

— Prawdopodobnie za dwa lata.

— Czy jednak naprawdę nie masz pan prawa wydzierżawić mi szmata brzegów lub przynajmniej pozwolić na budowę przystani?

— Nie, księże proboszczu!

Innym znów razem udałem się na posiedzenie starszyzny Kilronanu z propozycą wyznaczenia funduszów na wybrukowanie głównej przynajmniej ulicy, przedstawiającej istny obraz nędzy i rozpaczy.

I zdało mi się zaraz, że poruszyłem gniazdo os!

— Co? zabrukować ulicę?—obciążyć ludność nowymi wydatkami? Już i tak nie wiemy, skąd brać pieniędzy na dzierżawę i podatki! Dziś żądasz, księże proboszczu, bruku; jutro zażądasz może wodociągów lub elektryczności! Nic z tego!

W jakiś czas potem zaproponowałem zarządowi sąsiedniej fabryki stworzenie przemysłu domowego dla polepszenia bytu okolicznych mieszkańców.

— Bezwątpienia dobry to projekt, ale...

I tak bez końca. Zamki me wznoszone na lodzie rozpływały się bez śladu. Jeszcze kilka razy próbowałem zgalwanizować to śpiące społeczeństwo, ale naprożno. Dałem więc pokój. A właśnie wtedy przybył ksiądz Laverty. Człowiek ten widział dużo świata, przeżył wiele i stał się filozofem.

Cui bono?—mówił, a nad kominkiem swym umieścił napis wielkiemi gotyckiemi literami:

Za lat sto będzie to samo!

Poszedłem za jego przykładem, schodząc coraz niżej ze szczytów wymarzonych, aż w końcu zrównałem się z otoczeniem. Czasami jednak powracały dawne marzenia. Chwytałem wówczas za pióro. Nagle atoli odzywał się głos jakiś: *Cui bono*? I odkładałem pióro, i chowałem rękopis. Kilka razy zabierałem się też do dawno już przerwanego tłómaczenia poetów greckich, za każdym jednak razem zniechęcenie wytrącało mi książkę z ręki. *Cui bono*?—pytałem w duszy.

Toż samo było z morzem.

Z początku spędzałem wszystkie chwile wolne na jego wybrzeżach lub falach ciężkich; ale wkrótce zbrzydły mi dumania samotne. Zacząłem unikać morza.

Czułem, że zmarnowałem życie, czułem, że nie umiałem korzystać ze sposobności. Stałem się podobny do owego bezpłodnego figowca, co dobrym jest już tylko na ogień.

Taki był stan mej duszy, gdy przybył ksiądz Letheby.

ROZDZIAŁ III.

Nocne odwiedziny.

Była już chyba druga po północy, gdy silne szarpnięcie dzwonka i głośne kołatanie do drzwi zbudziły wszystkich w domu. Któryż z kapłanów nie zna tych odwiedzin nocnych? Usłyszałem głos gospodyni, stąpanie ojca Lethebyego po schodach, szeptanie u drzwi i wreszcie oddalające się szybko kroki.

Podciągnąłem kołdrę pod szyję, poprawiłem poduszki i zasnąłem, szepcąc:

— Biedny chłopak!

Następnego dnia, a była to Niedziela, zeszliśmy się dopiero o południu, przy śniadaniu.—Był czysty, wesoły, wypoczęty, jak gdyby spał w najlepsze noc całą.

— Żal mi cię było, księże, dzisiejszej nocy. Dalekoś chodził?

— Do miejscowości zwanej Knocktorisha. Trochę daleko, ale opłaciło się to sowicie—odpowiedział, rozbijając skorupę jajka.

— Istotnie—rzekłem—biedacy tamtejsi umieją być wdzięczni i zwykle opłacają dobrze wszelkie usługi.

Ksiądz Letheby poczerwieniał.

— Nie miałem na myśli wynagrodzenia pieniężnego. Wynagrodziła mnie ich wiara i gorliwość nadzwyczajna—mówił trochę zmięszany.

Milczałem.

— Bo doprawdy, ojcze, nie widziałem jeszcze nic podobnego!—dodał zwracając się do mnie.—Przez całą drogę, aż do gór, towarzyszyła mi eskorta z dwóch jeźdźców, a gdy trzeba było zejść z koni i kroczyć dalej piechotą, po głazach wyschniętego łożyska strumienia górskiego, dwóch ludzi z pochodniami przeprowadzało mnie aż do drzwi chaty. Był to obraz godny pędzla Rembrandta!

Zatrzymał się, jak gdyby zawstydzony tym wykrzyknikiem świeckim.

— Czy takie eskortowanie kapłana jest tu we zwyczaju?—spytał szybko.

— O, tak—odparłem—przyzwyczailiśmy się do tego. Twoi poprzednicy, księże, nie zwracali wcale na to uwagi.

— A jednak to takie piękne i podniosłe! Zwyczaj ten musi być pozostałością z owych czasów, gdy Kościół nasz miał tu zupełną swobodę w wykonywaniu obrzędów. Z czego robią ci ludzie pochodnie?

— Z gałęzi dębu błotnego, maczanych w nafcie. Istotnie, ów zwyczaj jest bardzo piękny. Wogóle ludzie nasi nie pozwalają nigdy kapłanowi niosącemu Wiatyk iść bez eskorty.

— Przypominam sobie, że i w Salford, gdym wracał od łoża chorego, mężczyzni i kobiety nalegali, bym im pozwolił towarzyszyć mi do domu, chociaż ulice były dobrze oświetlone i towarzystwa nie pragnąłem. Zaprawdę wzruszający to zwyczaj!

— Któż był chory?—przerwałem.

— Stary Couray, strzelec górski, bardzo biedny człowiek... Jakże on się modlił żarliwie! Wyobrażam sobie, że tak musieli rozmawiać z Bogiem prorocy... Udzieliłem mu Ostatniego Namaszczenia.

— Ale, ale, dlaczego oni żądali, bym mu namaścił piersi?

— Nie wiem, zdaje się, że to jest stary gallijski obyczaj, wprowadzony tutaj przez księży francuskich, na początku ubiegłego stulecia. Wszyscy mieszkańcy tutejsi żądają takiego namaszczenia.

— I ty, ojcze?—spytał zdziwiony.

— Nie! Kościół tego nie zaleca... Chodźmy jednak na przechadzkę—dodałem.

Ruszyliśmy przez osadę. Mężczyzni kobiety i dzieci przyglądali się z ciekawością nowemu wikaremu. Błotnista droga wiodła śród pól torfowych.

Z obu jej stron suszyły się sterty torfu, a w zagłębieniach, skąd materyał ten wydobyto, stały kałuże czarnej wody. Dzień był szary i smutny. Ani jeden promień słońca nie rozweselał ponurego krajobrazu. W dali, na wschodzie, dzikie, poszarpane, o jednostajnej barwie grzbiety gór odcinały się ostro na szarem tle niebios. Lekki powiew wiatru kołysał białe kwiaty błotnej bawełny i marszczył lekko powierzchnie kałuży. Od czasu do czasu kulik lub siewka płynęły ociężale w powietrzu, krzycząc żałośliwie.

Po półgodzinnym marszu, dosyć uciążliwym dla mnie, dotarliśmy do grupy topoli, ukrytych w dolince przed wichurami. Tam poprowadziłem mojego wikarego. Odpoczęliśmy chwilkę, rozmawiając o tem i owem; następnie zaś ruszyliśmy wąziutką, stromą ścieżką, usypaną igłami sosen; aż minąwszy drzewa, stanęliśmy u szczytu ostro ściętego z przeciwnej strony—wzgórza.

Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć na twarzy ludzkiej takiego wyrazu radości i zdziwienia, jak ten, który okrasił w tej chwili oblicze wikarego.

— Czy to naprawdę morze? — spytał, zwracając się ku mnie, jak gdyby nie dowierzał oczom własnym.

Istotnie, przed nami lśniło morze bezgraniczne, tak spokojne i gładkie, iż zdawało się być płaszczyzną wypolerowaną.—W dali, na widnokręgu, gdzie słońce, przerwawszy zwały chmur, staczało się wolno w głębiny, siejąc snopy promieni,—pasma niebieskie, zielone i purpurowe odbijały się w powierzchni wód.

Nigdzie żagla, nigdzie ptaka, spadającego, jak błyskawica, po zdobycz lub unoszącego się wolno w przestworzu. Nic, tylko pustka bezmierna i ciemna. Jedynie biały pasek piany u stóp skały, na której staliśmy, dawał znać, że wody te żyją, choć sztywne są i ciche, jak człowiek umarły.

Ksiądz wikary zachwycał się długo tym widokiem poważnym. Nagle zdjął kapelusz i zadeklamował głośno:

„Mirabiles elationes maris;
Mirabilis in altis Dominus!“

— Nic tu niema porywającego jak w tej chwili! Ale morze miewa kaprysy. Pokochasz je z czasem!—odparłem.

— Pokochać?—zawołał.—Nie, to nie miłość, to uwielbienie, to pewien rodzaj zachwytu, którego wytłómaczyć sobie nie jestem w możności. Nigdzie chyba potęga i wielkość Boża tak się nie ujawnia... Ktoś kiedyś porównywał blaski purpurowe i zielone morza z blaskami tęczowymi na piórach gołębia. Nie zupełnie zgadzam się na to porównanie. Bo jakże można przeciwstawiać gołębia obrazowi tak wielkiemu i wspaniałemu?... „A duch Boży unosił się ponad wodami“. Oto jedyne określenie szczytne, potężne.

— Pustka i smutek. Nawet mewy lub rybitwy nie widać.

— Istotnie. Bezgraniczne jest morze i nieokiełznane—mówił.—Gdyby pruły jego powierzchnię statki żaglowe lub czarne cielska pancerników, straciłoby na piękności, byłoby igraszką pigmejczyków. A tak jest wolne, bezgraniczne, jak przestwór. Nieskończoność i wieczność przemawiają przez nie. Gdyśmy byli dziećmi, nieskończoność istniała dla nas poza najbliższą górą, przyszła jednak świadomość i zniszczyła sny, zostawiając jeno pospolitość.

Dziś przemawia do nas to, co istotnie nie ma granic, co istotnie jest tajemnicze, to c o ś po za światem i zachodem, poza tą czarną linią horyzontu, nawołujące, byśmy szli ku Niemu. Niech zamilknie, a uczujemy próżnię w sercu. Cóż to jest, jeżeli nie świetlane echo blasków promieniejących z Baranka?

— Spodziewam się—mruknąłem, gdyż zaniepokoił mnie ten entuzyasta—że nie przemawiasz ksiądz w ten sposób do ludu?

— Ach nie!—odparł z uśmiechem.—Przebacz mi, ojcze, ten poryw, ale, doprawdy, takąś mi sprawił niespodziankę!

— Jakże szczęśliwe—dodał po chwili—musiało być, księże proboszczu, życie twe tutaj! W Manchesterze czułem się zawsze jak w studni, pełnej dymu, hałasu, duszności moralnej i fizycznej. Tutaj natomiast, ludzie nabożni, cisza i spokój Boski... Jakżeś szczęśliwy musiał być, ojcze!

— Może zawrócimy. Czas na obiad!—odrzekłem.

Nie było wprawdzie tak późno, ale pragnąłem odwiedzić jeszcze kilku parafian.

W odpowiedzi na powitania moje usłyszałem wykrzykniki mniej lub więcej entuzyastyczne:

— To dzielny człowiek, ten nasz nowy wikary!

— Nigdy poprzednio nie mieliśmy takiego!

— Rozmawia z nami niemal tak, jak wasza wielebność!

— Czy to prawda, wasza wielebność, że jest synem księcia?

Kilka starych kobiet, którym pozostało wspomnienie dobrej tabaczki ojca Lavertyego, wyrażało się powściągliwiej:

— Bezwątpienia miły to człowiek, ale w każdym razie szkoda ojca Lavertyego. Taki był dobry dla nas, biedaków!

Gdym powrócił do domu, zastałem oczekujące na mnie grono młodzieży wiejskiej. Kudłaty olbrzym wystąpił z grona i przemówił w te słowa:

— Przybyliśmy tu z zapytaniem, czy wasza wielebność nic nie będzie miał przeciw temu, aby nowy ksiądz wikary został, zgodnie z uchwałą powziętą przez nas jednogłośnie, prezesem stowarzyszenia irlandzkiego „Siejących postrach świętobliwy“ w Kilronanie.

Odrzekłem, że nic nie mam przeciwko temu i nowy mój wikary został prezesem „Siejących postrach świętobliwy“.

Po obiedzie byłem jakoś w doskonałym humorze; to też przyszła mi ochota wypróbować biegłość wikarego w literaturze starożytnej.

Zacząłem zdaleka, z pewną, przyznam się, obawą, bo nie wiedziałem jeszcze kogo mam przed sobą. Wreszcie, po kilku zręcznych zwrotach, rzekłem, niby od niechcenia, wyciągając z szuflady pożółkły i wyblakły rękopis tłomaczenia, dokonanego przed trzydziestu niemal laty.

— Niegdyś zajmowały mnie inne rzeczy. Oto naprzykład tłomaczenie urywka z poezyi greckiej, którą znasz tak dobrze. Mój Boże! Jakież wielkie projekty snułem wówczas. Zamierzałem korespondować z wydawnictwami klasycznemi, a nawet sam podjąć wydawni-

ctwo klasyków. Ale... *cui bono?* stawało zawsze na przeszkodzie. To fatalne, irlandzkie *cui bono?* Obecnie jednak, gdy ciebie, księże, mam przy sobie, będzie może inaczej. Co sądzisz o tym przekładzie?

Wymówiwszy słowa powyższe, zacząłem czytać z namaszczeniem:

Argumentowałem i pytałem w smutku,
Jaki sposób bytu w życiu mi wystarczy?
W domu obciążony jest człowiek troskami,
Co są odbiciem wiecznych kłótni świata;
Ziemia aż jęczy pod ciężarem pracy,
A ponad morzem płynie śmierci widmo...
I nigdzie ręki nie widać kapłana,
Coby zmazała grzech z duszy błądzącej.
Jeśli mam pieniądz: Pełny jestem strachu;
Jeśli go nie mam: Burzę się i sarkam.
Jeśli mam dzieci: Kłopotem się stają;
Jeśli ich nie mam: Życie me bezpłodne.
Brak rozumu młodym, starym zaś brak życia;
Co mi po rozumie, gdy w grób już zaglądam!
Ach, czy pozazdrościć można takiej walki?
Bodajbym miał spokój choć przy końcu życia!

— Co sądzisz o tem? Jest to wolny przekład z Posidippusa.

— Brzmi dobrze!—odparł wikary—ale kto to był ów Posidippus?

— Jeden z gnomików. Poeta sentencyonalny.

— Grecki czy łaciński?

Zgłupiałem.

— Nigdyś o tem nazwisku nie słyszał?—rzekłem.

— Nigdy!—odparł stanowczo.

Zastanowiły mnie te słowa.

— A jednak—przemówiłem po chwili—biskup przedstawił mi ciebie, księże, jako znakomitego filologa, który otrzymał medal za wypracowania greckie.

— Mnie zaś mówił biskup—odparł na to wikary—że ty, księże proboszczu, jesteś najlepszym w Irlandyi znawcą klasyków greckich, za wyjątkiem może pewnego O. Jezuity w Dublinie.

Spojrzeliśmy na siebie zdziwieni, a po chwili buchnęliśmy obaj takim śmiechem, jakiego dawno już, dawno nie słyszały ściany mego probostwa.

— Nie wiem, doprawdy—rzekłem ochłonąwszy,—jakim jest Jego Ekscelencya znawcą literatury starożytnej, to jednak wiem, że jest znakomitym znawcą natury ludzkiej.

Dnia następnego mój nowy wikary poszedł szukać mieszkania. Wynajął domek parterowy, kryty dachówką, w samym środku osady. Skromna to była siedziba, wyglądała jednak prawie arystokratycznie śród nędznych swych sąsiadów.

ROZDZIAŁ IV.

Pantechnikon.

Zwykła, głęboka cisza osady irlandzkiej, przerywana zaledwie kiedy niekiedy kwikiem trzody chlewnej, gdakaniem kur, lub ostrą nutą gniewnego wykrzyknika— wstrząśniętą została gwałtownie pewnego czwartkowego wieczora.

Na ulicach ukazała się czereda bosych, rozwydrzonych chłopców i dziewcząt, krzyczących radośnie:

— Cyrk, cyrk, cyrk jedzie!

W jednej chwili zaludniły się wszystkie progi domostw. Kobiety młode i stare, ubrane i nieubrane, wychylały się ciekawie, podczas gdy mężczyźni, zbyt flegmatyczni nawet w takiej chwili, zaznaczali swą ciekawość przekładaniem fajek z jednego kąta ust w drugi.

Trzech włóczęgów, podpierających leniwie płot tuż naprzeciwko mego domu, zwróciło się nagle z widocznym wysiłkiem woli z prawej strony na lewą. Zmiarkowałem więc, że istotnie coś nadzwyczaj ciekawego stać się musiało na ulicach osady, to też i ja wyjrzałem przez okno.

Ulicą wlókł się długi wóz kryty, zaprzężony w parę koni, poganianych gorliwie przez woźnicę. Pomalowany był ten wehikuł farbą zieloną i ozdobiony wielkim napisem złotemi literami:

Pantechnikon.

A więc przybytek to sztuk wszelkiego rodzaju. Zapewne koczowisko cygańskie, albo jedna z tych panoram, co to pokazują zachwyconym gapiom Napoleona przechodzącego przez Alpy, albo Maryusza na ruinach Kartaginy.

Powróciłem tedy do mych książek, lecz po chwili usłyszałem, jak wóz zatrzymał się w pobliżu probostwa. Jednocześnie zaś Hanna, którą widowiska tego rodzaju w upojenie wprowadzały, wyjrzała przez okno mej sypialni. Jeszcze raz przeto spojrzałem na ulicę. Wóz zatrzymał się przed domem wikarego, otoczony tłumem dzieciaków. Dziewczęta stały zdaleka, chłopcy jednak podchodzili tuż do woźnicy odprzęgającego konie, trzymając się w każdym razie w pogotowiu do odwrotu, na wypadek niebezpieczeństwa. Dorośli mniej byli natarczywi, i oni jednak spoglądali na wóz niezwykły z ciekawością, robiąc przytem uwagi.

Niektóre urywki tych rozmów dochodziły mych uszu:

— Co to jest?

— Albo ja wiem? Zapewne dom cyrkowców.

— A to zabawne mieszkanie! Gdzież oni sypiają?

— Gdzież, jeżeli nie w tym wozie?

— A gdzie jadają?

— Również w tym wozie.

— To chyba lud nie chrześciański!

Obsługa wozu tymczasem otworzyła jego drzwi i wydobyła z pośród płótna i słomy zgrabne, atłasem pokryte krzesło. Czysto ubrana służąca, w koronkowym czepeczku o długich białych wstążkach na głowie, pojawiła się na progu domu wikarego i zabrała krzesło. Kolejno wydobywano z wozu inne części umeblowania. A za każdym sprzętem, który wyłaniał się z głębin wehikułu, wybuchały wśród tłumu okrzyki zdziwienia. Prawdziwy zachwyt wzbudziło lustro w złoconych ramach. Czereda dzieciaków przeglądała w niem zamorusane twarze z niekłamaną radością. Zaciekawienie jednak wzrosło do szczytu, gdy z trudem wydobyto z wozu wielką, ciężką skrzynię.

— Co to jest, co to jest? Łóżko? Nie! Gotowalnia? Nie! Szafa do książek?—wołano pytająco do koła.

Nareszcie pewien człowiek, którego wzywano czasem do pałacu dla pomagania przy czyszczeniu mebli, objaśnił zebranych, że to jest fortepian.

— Fortepian? Na co? Ksiądz z fortepianem! A to paradne! Zapewne krewna jaka zamieszka u niego? Ależ nie! On sam gra na fortepianie!

Ostatnie to objaśnienie wywołało śmiech niedowierzania.

Co za giętkość charakteru! Zachwyt i śmiech, szacunek i sarkazm żyją w nas obok siebie w najzupełniejszej zgodzie.

Byłem ciekawy zdania Hanny o tem wszystkiem. Bo i ona posiadała zdolność przechodzenia z zachwytu do zazdrości z zadziwiającą łatwością.

— Przywieziono meble księdza Letheby'ego — rzekłem, gdy przyniosła obiad.

— Zdaje się! — odparła z niepohamowanym gniewem—zbiór dziwolągów i sztuczek mechanicznych!

— Zdawało mi się, że wyglądają ładnie!

— Boże uchowaj usiąść na takiem krześle bez zrobienia testamentu!

— Jeżeli się nie mylę, to przywieziono też lustro?

— O tak, będzie fryzował w niem włosy. I fortepian także, by mógł wygrywać sobie polki!

— W każdym razie nasze meble są solidniejsze! — zauważyłem.

Słowa te wywołały istny potop gniewu.

— Ma się rozumieć!—wołała z sarkazmem mistrzowskim irlandzkiej chłopki;—niech no ksiądz proboszcz spojrzy na tę sofę. Czy nie jest godna najpierwszej damy tego kraju? A te krzesła! Gdyby nie kowal, dawno rozleciałyby się w kawałki. A ten prześliczny dywan! Doprawdy, byłby doskonały na sztandar dla „Siejących postrach świętobliwy"! Nie mamy ani jednego spodka, ani jednej filiżanki bez skazy i rysów; ani jednego nieprzepalonego półmiska, ani jednej serwety, ani jednego obrusa, ani jednej solniczki, ani jednej...

— Wiesz co, Hanno!—przerwałem—gdy ksiądz Letheby pokaże nam swe umeblowanie, odnowię probostwo od strychu do piwnicy. Tymczasem powiedz mi, proszę, czy ta panna, co odbierała meble, to jego służąca?

— Tak mi się zdaje! — odparła z pogardą. — Jakaś biedna dziewczyna z ochronki. Poznałam to po krzyżu zawieszonym na szyi.

Muszę przyznać, że gniew Hanny, co do moich mebli, był całkiem uzasadniony. Sofa, która najwięcej drażniła jej zmysł estetyczny, przedstawiała się istotnie rozpaczliwie. Posiadając tylko trzy nogi, stała krzywo oparta o ścianę, a wystające z siedzenia pęki włosia i sprężyny nadawały jej wygląd włóczęgi-oberwańca. Krzesła były, co prawda, mocne, bo kowal okuł je żelaznemi obręczami, ale za to dywan zasługiwał na politowanie. Przeglądała przezeń podłoga, a nici wszystkie policzyć było można.

Pomimo to nie czułem do tych sprzętów babskiej żałości. Wszystkie przemawiały do mnie w swoim języku: „Służyłyśmy ci wiernie przez lat czterdzieści. Widziałyśmy złe i dobre czasy. Zużyłyśmy się na służbie u ciebie!“ To też przyrzekłem sobie, że i teraz—gdy zmuszony zostałem z powodu nowych mebli mego wikarego, odnowić umeblowanie probostwa, dla utrzymania godności stanowiska—nie porzucę starych przyjaciół, nie oddam ich na opał.

A książki moje? I one przemawiały do mnie:

— Nie przynosimy ci chyba wstydu?—mówiły.

— Nie, kochane me przyjaciółki milczące! Byłbym największym niewdzięcznikiem, gdybym was się wstydził. Przez lat czterdzieści byłyście mi towarzyszkami samotności; wam jedynie zawdzięczam chwile natchnienia; przez was zeszły do duszy mej promienie, które życie me czyniąc podnioślejszem i lepszem, ożywiały każdą rzecz dobrą i świętą Byłyście mi towarzyszkami, co nigdy nie mąciły mej samotności gadaniną próżną i plotkami; płynęły z was bowiem jedynie rzeczy mądre i budzące natchnienie, gdy go najbardziej potrzebowałem Nigdy nie odpowiadałyście mi gniewnie na me urojenia. Rada wasza była zawsze mądrą i spokojną, była tem dobrem słowem. co uspokaja i powstrzymuje, a jednocześnie podnieca. Nigdy nie odpowiadałyście na me zaniedbanie uporczywem milczeniem. Miałem w was skarb myśli, będziecie też ostatnią rzeczą na ziemi, którą przestanę kochać i którą wypuszczę z mej opieki! Odzienie wasze poplamione i porwane, a na kartach widnieją ślady atramentowe i palców, skutkiem używania was od lat tylu i zanie-

dbania z mej strony. Gdybym mógł, odziałbym was teraz w purpurę i cienkie płótno, mimo to jednak miałybyście prawo posądzać mnie, żem obrzydził już sobie oblicza wasze. Niechaj tak będzie! Ale nie dopuszczę do rozłąki mej z wami, do zerwania naszego związku, opartego na wdzięczności i miłości serca ludzkiego dla wszystkiego, co idealne i wiecznotrwałe.

Dowiedziawszy się, że ks. Letheby ukończył urządzanie swego domku, udałem się do niego w odwiedziny.

Zaraz na wstępie uderzyła mnie czystość i świeżość mieszkania. Podłogi wyfroterowane, dywany piękne, bronzy błyszczące, tu i owdzie, wybór książek gustownie oprawnych i wreszcie biurko z wielkim stosem rękopisów, mówiły, że mieszka tu człowiek dobrze wychowany i miłujący pracę.

Ścisnęło mi się serce, gdym pomyślał, jak go to wszystko znudzi, gdy tylko dni się skrócą, niebiosa okryją chmurami, deszcz bić będzie o szyby, a domek zadrży od wichru zachodniego, co zmiatając powierzchnię atlantyku, rzuca na nasz mały pagórek Kilronanu potop kroplisty. Mimo to rzekłem:

— Śliczne gniazdko urządziłeś sobie, księże. Życzę, aby ci tu zawsze dobrze było.

— Istotnie — zawołał, jakby w odpowiedzi na mój sceptycyzm—Bóg był bardzo łaskaw na mnie, przysyłając mnie tutaj!

I jakże tu poradzić sobie z takim optymistą!

— A jednak—dodałem, usiłując zachować dobry humor—to twoje zamiłowanie piękna pociąga za sobą skutki niezbyt przyjemne.

Przy tych słowach wskazałem na okno, poza którem cztery bardzo brudne noski przylepiły się do szyby, cztery pary oczął spoglądały z zachwytem na świat dla nich zaczarowany, od czasu do czasu zaś brudny paluszek wskazywał ten lub ów przedmiot bardziej zajmujący.

— Biedne dzieciaki!—odpowiedział — sprawia to im widocznie przyjemność, a mnie przecież nie szkodzi.

— Dlaczegoż więc nie wpuścisz ich tutaj?

— Tak daleko nie sięga moja pobłażliwość!—odrzekł ze śmiechem.—Próg tej posadzki stanowi linię graniczną. A zresztą wówczas pozbawiłbym ich przyjemności. Z chwi-

lą gdy człowiek dosięgnie rzeczy wymarzonej, rzecz ta traci już dla niego wartość.

Rozmawialiśmy długo i obszernie o wielu sprawach. Nagle, wikary, spojrzawszy na mnie zawołał.

— Czy pozwolisz, ojcze, że porozmawiamy poważnie?

— Dlaczegożby nie? I owszem! — odparłem.

— Sądzę — zaczął po chwili zastanowienia — że nie wyzyskujemy należycie wspaniałego pola działalności, jakie mamy przed sobą. Zacofańcami jesteśmy, choć posiadamy lud inteligentny i bogatą przyrodę. Co prawda, nie możemy pochwalić się dobrym rządem; czy jednak nie jesteśmy na równi z nim winni, pozostawiając wszystko tak, jak jest? Nie mam wcale na myśli wielkich reform społecznych, ani politycznych. Ot, chciałbym poprostu, aby każdy czynił, co może tam, gdzie mu Opatrzność żyć kazała. Innemi słowy, cóż nam na przeszkodzie stoi do poprawienia bytu materyalnego biedaków, śród których przebywamy? Oto, naprzykład, niezbędną tu jest przystań dla rybaków. Słyszałem, że całe ławice ryb nawiedzają te wybrzeża latem, niema zaś nic, coby ułatwiało rybakom połów i sprzedaż ryb z odpowiednim zyskiem.

— Niedaleko stąd, nad strumykiem — mówił dalej — istnieje nieczynna fabryka. Dlaczegoby nie sprobować puścić ją w ruch ponownie i dać zajęcie dziewczętom z osady? Jak zauważyłem, brak tu także dobrej wody do picia—i febra wybucha, podobno, peryodycznie.

— Wybacz, ojcze! — rzekł nagle. — Mówię tak, jakgdybyś ty wszystkiemu temu był winien. Spodziewam się jednak, że słów mych źle nie zrozumiesz?

— Bezwątpienia — odrzekłem — mów, księże, dalej.

I oto puścił wodze wyobraźni, stawiając lekką ręką młodości zamki wspaniałe, takie właściwie, jakie ja stawiałem w myśli lat temu trzydzieści! I zdawało mi się, że słyszę echo własnego głosu, własnych projektów. Czy wypadało jednak rozczarowywać go i unicestwiać te szlachetne zamysły? Nie, nie należy! — pomyślałem.

— Przedewszystkiem — rzekłem — musisz zobaczyć się z właścicielem tych obszarów na skłonach pagórków i wybrzeżu morskiem.

— Ma się rozumieć! Przecież to nie trudno! Jaki jest jego adres?— i przy tych słowach wziął do ręki notatnik.

— Nie wiem na pewno. Być może, iż właśnie w tej chwili stawia połowę majątku na ruletę w Monte Carlo; stara się zajrzeć do jednego z haremów w Stambule, lub zajada pieczeń z bizona w górach Sierry Newady.

Mój wikary zdziwił się.

— Ale przecież musi posiadać tutaj ajenta, pełnomocnika!—zawołał.

— O, tak, i do tego człowieka bardzo uprzejmego! Przyjmie cię nader grzecznie i w wyszukanych słowach powiadomi, że nic uczynić nie może.

— Jest jeszcze biuro rządowe. Wydział budowlany.

— Istotnie. Napiszesz tam list grzeczny. Po czterech tygodniach, co do dnia, otrzymasz odpowiedź następującą: „Mamy zaszczyt zawiadomić o otrzymaniu pańskiego komunikatu, który rozpatrzymy w jaknajbliższym czasie“. Znów napiszesz i znów, po czterech tygodniach punktualnie, otrzymasz odpowiedź: „Mamy zaszczyt zawiadomić o otrzymaniu pańskiego komunikatu, który przedstawiliśmy wydziałowi do rozpatrzenia“. I na tem koniec. Niech to cię jednak nie rozczarowywa i nie zraża.

— Musi istnieć przecież jakaś instancya apelacyjna. Cóż powie ksiądz proboszcz o parlamencie?

— Powiem to, że uwaga słuszna. Sprawa twoja dojdzie do izby posłów i będzie tam wniesiona. Sekretarz izby odpowie: „Sprawa jest rozpatrywana przez Wydział budowlany, nie możemy więc mięszać się do jego pracy“.

Ksiądz Letheby zamilkł.

— Co się zaś tyczy fabryki — mówiłem dalej — to wiesz, że o sześć mil stąd, w Loughboro, istnieje fabryka koszul. Zgłoś się tam z oświadczeniem, że życzysz sobie posiadać filię fabryki tutaj, a przyjedzie zarządca, popatrzy na budynek, pokręci nosem, zapyta, czy masz fundusz na odnowienie gmachu, lub czy nie zamierzasz urządzić w nim także wędzarni ryb, i w końcu napisze tobie prawdopodobnie o tutejszych mieszkańcach to, co pewna dama powiedziała o Napoleonie I: *Il salissait tout ce qu'il touchait.*

— Kłamstwo niegodziwe! — zawołał, porywając się z krzesła i rozbijając, ku wielkiemu memu żalowi, kilka japońskich bawidełek. — Kłamstwo niegodziwe, bo lud nasz jest najczystszy, najuczciwszy, najlepszy ze wszystkich na świecie, bez względu na biedne chaty, w jakich mieszka! Ale ja wiem, że ksiądz proboszcz nie mówi tego na seryo!

Skierował ku mnie płonące zapałem oczy i przyznam się, że podobało mi się to jego oburzenie, ten wybuch tak wymowny i szczery, a tak uczciwy.

— Mówię—odparłem spokojnie—zupełnie poważnie. Pragniesz ksiądz urzeczywistnić utopię, zapomniawszy już o języku greckim.

Uśmiechnął się.

— Najgorszego nie powiedziałem jeszcze—dodałem.

— Mów prędzej, księże proboszczu, chcę wiedzieć, co tu jeszcze gorszego może być do powiedzenia! — zawołał.

— Oto, że ludzie nie podziękują ci nawet, jeżeli—co jest niemożebnem—zdołasz ksiądz doprowadzić do skutku zamysły swoje!

Spojrzał na mnie niedowierzająco.

— Co? nie będą szczęśliwi, jeżeli wydobędą się z brudu i nędzy, a podniosą się do życia lepszego, milszego?

— Tak jest. Pozostaw ich ksiądz w spokoju. Nie mają oni wyższych pragnień, nie znają też większych niebezpieczeństw. „Nie sieją, ani nie orzą“, ale też nie zazdroszczą przepychu biblijnemu królowi Salomonowi. Jack Haslem i Dawid Olden śpią dzień cały w swych budach. Na noc zastawiają w morzu garnki do połowu homarów. Dnia następnego znajdują w garnkach tych dosyć zwierzyny, aby się módz upić porządnie za otrzymane pieniądze, a potem znowu zasypiają. Cóż można dodać im do szczęścia? Może kupisz im, księże, nowy „skuner“ i wyślesz na otwarte morze, gdzie czeka zimno, głód, a nawet śmierć? I po co? Po to, aby zarobili trochę więcej i bardziej się jeszcze upijali? W końcu zaś powiedzą: Czemu nas ksiądz wikary nie zostawił w spokoju? nam było lepiej przed tem!

To też powtarzam słowa twego poprzednika: *Cui bono?*

Zamyślił się i trwał w tej zadumie przez czas dłuższy, wreszcie rzekł:

— Bolesne to jest, ale sądzę, że na dnie tego wszystkiego spoczywa jakieś przykre nieporozumienie. Bądź co bądź spróbuję. Ojcze, udziel mi swego błogosławieństwa!

— I oto znów mam dowód—zawołałem—jak niepraktycznym ksiądz jesteś! Nie znasz nawet gwary naszej.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Gdybyś ksiądz znał nas lepiej — odparłem na to spojrzenie—tobyś wiedział, że prośba o błogosławieństwo znaczy u nas żądanie kieliszka wódki, a ponieważ nie jestem pod własnym dachem, przeto...

Słowa me przerwał śmiech głośny, podobny do dźwięku licznych dzwonków.

— Mniejsza o to - rzekł wreszcie—zacznę i tak.

— Zacznij ksiądz; krucze twoje włosy posrebrzą się w przeciągu jednego roku—i oto wszystko, co zyskasz.

ROZDZIAŁ V.

Małe nieporozumienie.

Ks. Letheby rozpoczął działalność rychlej, niż przypuszczałem.

Mniej więcej w dziesięć dni po mojej wizycie u niego, siedziałem po śniadaniu u siebie w pokoju, zajęty czytaniem dziennika *„Freeman's Journal“* z dnia przedwczorajszego, gdy wtem otworzyły się gwałtownie drzwi, rzucony gniewnie pęk kluczy padł na stół, a głos, w którym poznałem panią Darcy, babkę kościelną, czyli zakrystyankę, podniesiony do najwyższej nuty oburzenia, zawołał:

— Bodajby nikt nie zapłakał na mym grobie, jeżeli dotknę się tych kluczy kiedykolwiek jeszcze! Ciekawam, skądeście go, księże proboszczu, wyrwali, skąd wogóle ten człowiek tu się zjawił! Wiem, wiem, syn biedaka, syn sukiennika z Kilkeel. Opowiadała mi pani Mortary, jak łatała skarpetki jego staremu! I ten człowiek przychodzi tutaj szkalować ludzi uczciwych? — Brud!—powiada.—Gdzie?—pytam.—Tam!—powiada.—Gdzie?—pytam.. Pochodzę z lepszej rodziny od niego! Że też, ksiądz proboszcz nie poskarży się nigdy! Ależ bo wasza wielebność zbyt jest łagodny. Pierwszy lepszy wikary może mu kołki na głowie ciosać! Ja jednak takiego postępowania nie zniosę! Choćbym miała żebrać od domu do domu, nie zniosę, by mnie nazywano brudasem! Czy panie z pałacu nie powiedziały mi, że mogą w lichtarzach ko-

ścielnych przejrzeć swe twarze, czy ksiądz biskup nie przyznał, że nasza zakrystya jest najczystszą w dyecezyi? Ale nasz nowy wikary, ze swą pańską wymową, której nikt zrozumieć nie może, ze swemi pańskiemi meblami i wygadaną swą służącą, sądzi inaczej! To też nikt przy nim wytrzymać nie może, my wszyscy stąd precz pójdziemy! Mój Boże, po ośmnastu latach szorowania, prania, prasowania muszę z dwojgiem sierotek, k óre mi ten niegodziwiec mąż, Panie, świeć nad duszą jego, pozostawił— pójść na obczyznę za chlebem! Nie jestem już dobrą dla waszej wielebności, ale nie ja tem martwić się będę! Gdybyście mnie tu, wasza wielebność, najusilniej błagał: Pani Darcy, błagam was, weźcie te klucze i powróćcie do obowiązków waszych! – Nie dam się skusić! Nie! Niech wasza wielebność weźmie sobie jakiego heroda babę, któraby się podobała nowemu księdzu wikaremu, bo Mary Darcy już do niczego?

Wylawszy z siebie ten potok słów, wybiegła z pokoju, po chwili jednak wróciła.

— Te trochę pieniędzy, które mi się należą, możecie, ojcze wielebny, przysłać mi do domu, zanim wyjadę do Ameryki. Zwracam uwagę, że w zakrystyi jest pół funta świec i dwie szklanki wina kościelnego w butelce.

Znów wyszła i znów w tej chwili powróciła.

— Bielizna niepotrzebna jest w praniu u Nelly O'Brien, a czarny ornat u Toma Carmodyego. Klucz od kasy znajduje się pod drzwiami szafy od bielizny, na lewo, kielich zaś w koszyku, zawinięty w chustkę. A jeżeli zechce ksiądz proboszcz dać mi świadectwo, to może Hanna przyniesie je do mnie wieczorem.

Wyszła, ale nie zamknęła drzwi i trzymając rękę na klamce mówiła:

— Do widzenia, wasza wielebność, niech Bóg was błogosławi. Wyście, ojcze wielebny, nigdy złego słowa biednej kobiecie nie powiedzieli!—poczem zaczęła płakać.

Nie odrzekłem ani słowa na ten potok skarg. Patrzyłem uporczywie na długie kolumny jakiegoś wykazu giełdowego w dzienniku chociaż jednego wyrazu odczytać nie byłem w możności.

— Niebardzo przyjemna rozprawa!—pomyślałem.— Mój nowy wikary poczyna sobie zbyt ostro!

Wkrótce potem przyniosła mi Hanna szczegóły zajścia.

Pani Darcy i Hanna nie są przyjaciółkami. Bo też niemożebnem jest, aby dwie takie potentatki wioskowe żyły w przyjaźni. Zwykle Hanna spoglądała na zakrystyankę z góry, pani Darcy jednak, jako powaga w rzeczach tyczących się nabożeństw, ślubów i pogrzebów, miała wielkie poważanie w parafii i nieraz odzywała się z pogardą o mej gospodyni. Dziś atoli obydwie kobiety zawarły, jak się wyrażają politycy w dziennikach, dwuprzymierze przeciwko nowemu przybyszowi, z silnem postanowieniem zgniecenia pierwszego objawu chęci panowania. Pani Darcy przypadło w udziale być męczenniczką tego postanowienia i rozpocząć walkę. Był to, niestety, pierwszy i ostatni zamach, z zupełnie innym wynikiem, niż przypuszczała.

— Jak się bowiem okazało, mój nowy wikary, czyniąc skrupulatny przegląd zakrystyi i jej skarbów, znalazł tam—co się zwykle zdarza reformatorom—nadzwyczajny nieporządek. Nie uśmiechał się jednak przy tem dobrotliwie i nie zwalał obowiązku poprawy złego, które spostrzegł, na barki proboszcza. Zanadto był energiczny i sumienny.

Otwierał wszystkie szuflady, wyjmując z nich szaty kościelne zaśniedziałe i stęchłe, głośno zarzucał brak powietrza w zakrystyi, pousuwał najdroższe skarby pani Darcy, wykonane przez nią ozdoby z niebieskiego papieru w złote gwiazdy, przeglądał ze skrzywionemi usty korporały etc., wreszcie zakończył przegląd uwagą:

— Jak żyję nie widziałem podobnego brudu.

Możecie zarzucać irlandczykowi co się wam podoba, ale jeżeli nie życzycie sobie spotkać się z jego wzrokiem groźnym i usłyszeć złorzeczenia, —radzę—nie zarzucajcie mu, że jest brudny. Pani Darcy wytrzymała z godnością, bez mrugnięcia, skrupulatną rewizyę swego gospodarstwa, ale gdy ksiądz wikary wyrzekł słowo fatalne, wybuchła gniewem tem straszniejszym, im dłużej był ukrywany pod powłoką grzeczności.

— Brud!—zawołała.—Pragnęłabym widzieć choćby odrobinę brudu tutaj!

— Boże drogi, co mówisz kobieto! Wszak tu brud jest wszędzie: w powietrzu, pod nogami, w kominku, na ołtarzu!

— Jegomość jest pierwszym człowiekiem, zarzucającym niechlujstwo temu miejscu. Ma się rozumieć, że niema tu dywanów, skór niedźwiedzich, ani wołowych, które, zdaje się, są obecnie modne. Niema tu zwierciadeł, ani fortepianu, ale niema też brudu! Niechno jegomość pokaże mi brud, bo dobra sława, to cały majątek biednej kobiety!

— Nie zarzucam nic waszej dobrej sławie, moja kobieto, ale jeżeli nie widzicie tu brudu, to ja was chyba nie przekonam. Popatrzcie na kominek.

Przy tych słowach wskazał jej zagłębienie kominka, wypełnione żużlami, na poły spalonym papierem i — popiołem.

— Patrzcie państwo! ksiądz nazywa brudem czyściutki popiół i zmietki z ołtarzy! Cóż dalej, cóż dalej?

— To dalej!—rzekł, podprowadzając ją do ołtarza i wskazując na obrus pomięty, szary, pokryty widocznemi plamami różnej barwy i wielkości.

— Czyż nie jest to wstydem dla kościoła? — spytał poważnie.

— Nie widzę w tem wstydu żadnego — odparła pani Darcy.—Obrus był prany na Boże Narodzenie i jest dzisiaj tak czysty, jak wówczas, gdy przywieziono go z pralni.

— Więc nazywacie to czystością?—zawołał, wskazując na miejsca poplamione woskiem ze świec.

— Wielkie nieszczęście, że trochę poświęconego wosku kapnęło ze świec na ołtarz!

— Jesteście nieznośną, kobieto! Wiedzcież, że doniosę o wszystkiem księdzu proboszczowi, niech on się z wami rozprawi.

— Dobrze, dobrze!—wrzasnęła,—ale ja wpierw opowiem, jak było!

Tak też uczyniła. Ksiądz Letheby ze swej strony opowiedział mi zajście również, ale opowiedział z niezmierną delikatnością, bo czuł, że oskarża pośrednio i mnie także o zbytnią powolność i zaniedbanie. Słuchałem słów jego ze wstydem pewnym i z bólem serca; w końcu zaś postanowiłem dać mu zupełną swobodę działania. Wiedzia-

łem, że pani Darcy nie tak prędko wybierze się do—Ameryki.

Jakże byłem zdziwiony następnej niedzieli, gdy, wszedłszy do zakrystyi, poślizgnąłem się tak, że gdyby nie sąsiedztwo ściany, prawdopodobnie zawakowałoby probostwo w Kilronanie. Podłoga była wywoskowana, tu i owdzie widniały chodniki z włókien kokosowych. Kominek odświeżony,—zasłaniał ekran, na którym widniał wcale ładny krajobraz alpejski; zegar cykał głośno tak, jakgdyby wyrażał zadowolenie, że nareszcie dano mu możność wskazywania czasu po tylu latach odpoczynku, a mali moi ministranci oczekiwali czyści i wymyci, w białych, jak śnieg, komeżkach.

Nie koniec na tem. Zamiast poszarpanego i okrytego plamami, znalazłem humerał bielutki i starannie wyprasowany, alba zaś była tak wykrochmalona, że gdybym był postawił ją na ziemi, stałaby o własnej mocy. Wolałem stare swe szaty i o mało, żem ich nie zażądał; czułem wszakże, iż muszę się poddać reformatorskiej działalności nowego wikarego. To też z pewnem uczuciem wstydu zaniechałem zamiaru. Gdym jednak w końcu nałożył nowy biret, krający mi czoło kantami ostremi, nie mogłem wytrzymać dłużej i zawołałem:

— Pani Darcy!

Z ukrycia podeszła ku mnie miła kobieta, o włosach starannie uczesanych, w białym fartuszku, ozdobionym koronkami i przypiętym do piersi. Uśmiechała się wstydliwie i wyglądała tak, jakgdyby chciała uciec i ukryć się gdziekolwiek.

— Pani Darcy!—zawołałem ponownie.

Młoda osoba uśmiechnęła się jeszcze wyraźniej i rzekła z wdziękiem:

— Jestem do usług waszej wielebności!

Gdyby nie to, że życie nauczyło mnie panować nad sobą, byłbym krzyknął z podziwu, poznawszy głos starej mej znajomej. Powstrzymałem się przeto, ale wyznać muszę, znowu ze wstydem, że w ciągu całej Mszy świętej i do końca dnia zajście to było dla mnie źródłem roztargnienia! Co się stało!? Chciałem pytać, godność jednak stanowiska nie pozwalała na to. Po kilku dniach dopiero odkryłem tajemnicę zmiany tej dziwnej.

Przenosząc się do lepszego świata, Jem Darcy pozostawił na barkach biednej wdowy ciężar pod postacią dwojga dzieci. Źle mówię: ciężar, bo półtoraroczny Patsej był okiem w jej głowie, a sześcioletni biedny garbusek Jemmy sercem jej serca. Zapracowywała się, by zarobić dla tych dzieci na kawałek chleba, by Patsey miał kiedy niekiedy ładną kokardkę przy sukience, a Jemmy czapkę marynarską, i jedynem szczęściem jej było, gdy widziała radość w ich oczach. Otóż, dnia owego, w którym zawiadomiła mnie, że opuszcza tak poważne stanowisko zakrystyanki, kroczyła ku chatce swej z sercem przepełnionem żałością.

Już nie powrócą chwile owe, kiedy to podczas nabożeństwa w kościele spoglądano na nią z szacunkiem, jako na osobę dla służby Bożej niezbędną! Któż, jeżeli nie ona wiedziała nazwiska, uchylających się od obowiązków kościelnych? Któż, jeżeli nie ona uczyła niezgrabne matki chrzestne, jak trzymać dziecko podczas obrzędu Chrztu świętego? A któż potrafił lepiej od niej układać nieboszczyków? Któż wreszcie znajdywał podczas obrzędu zaślubin obrączki, gdy zmięszany, zaczerwieniony pan młody szukał ich po wszystkich kieszeniach, ksiądz się niecierpliwił. a panna młoda czekała zawstydzona? Wszystko to minęło i wszystko to porzuciła w poczuciu godności swej i obowiązku.

I oto kroczy teraz przez wioskę rozgoryczona, ocierając fartuchem łzy w oczach.

Podeszła wreszcie do chaty, oczyma od łez zaczerwienionemi spojrzała jak zwykle do wnętrza, przez okienko i stanęła, jak wryta.

Na podłodze leżał w ulubionej postawie, wsparty na rączkach garbusek Jemmy i w głębokiej zadumie nowego Edisona rozmyślał widocznie nad tem, jak zbudować pałac z rozrzuconych po podłodze klocków malowanych; a obok, plecami zwrócony do okna, siedział wróg jej, w jej mniemaniu śmiertelny, ks. Letheby, kołysząc w prawej ręce laleczkę gumową, gdy tymczasem maleńki Patsey z oczętami szeroko rozwartemi ze wzruszenia, czynił nadludzkie wysiłki, by schwycić zabawkę, a śmiał się przytem i krzyczał z radości.

Pani Darcy cofnęła się szybko, ale znów zajrzała do okienka. Nie, to nie było złudzenie...

Ksiądz Letheby znów odniósł zwycięstwo.

W wiosce robiono grube zakłady, po piętnaście przeciw jednemu o pół „galona“ porteru, że ksiądz wikary zmusi panią Darcy do umycia twarzy. Zakłady wydawały się szaloną spekulacyą, a jednak zakładający się wygrali. Dziś, podobno, w kuźni zakładają się ludziska po pięćdziesiąt przeciw jednemu, że pani Darcy za miesiąc nosić będzie czepeczek koronkowy z wstęgami, jak panny służące z pałacu.

ROZDZIAŁ VI.

Wycieczka pasterska.

Kapitan Campion należał do tego szczególnego rodzaju katolików, jaki posiadała Irlandya przed laty pięćdziesięciu, a który obecnie, pod wpływem nowych warunków i otoczenia, wymiera szybko. Silna, brutalna była to garść ludzi. Wyrzec słowo znaczyło dla nich — uderzyć. Każdy był dżentlemanem zawsze gotowym umrzeć za wiarę, o której dogmatach nie miał pojęcia i której przykazania zaniedbywał.

Dziwne rzeczy działy się nieraz w klubach miejskich i prowincyonalnych. Świat nie wie o nich, bo kelnerzy są dyskretni, a zarządcy mają szacunek dla swych przełożonych. Gdyby jednak ściany mogły mówić, to opowiedziałyby o kieliszkach rozbitych, kijach bilardowych pogruchotanych i razach zamienionych za jedno złe słowo o Papieżu lub przeciwko księżom. Były to wybuchy płomieni gorących, gasnących szybko, sprawcy których, po wybuchu, stawali się znów dżentlemanami. Bujna wyobraźnia celtycka przypisywała wiele takich czynów bohaterskich kapitanowi Campionowi. Zwłaszcza jedno zdarzenie utkwiło w pamięci wszystkich. Kapitan miał pewnego razu, podczas polowania, wysadzić z siodła uderzeniem rączką szpicruty, a następnie pokiereszować niemiłosiernie oficera od ułanów za to, że poważył się o córce jego, Bittrze, mówić szyderczo, jako o pięknej „papistce".

Kapitan Campion rzadko bywał na nabożeństwie, a jeżeli przyszedł, to niecierpliwił się i kręcił w swej ławce, a podczas kazania ziewał. Do spowiedzi nie przystępował nawet w czasie Wielkanocnym. co też zniewoliło mnie do zerwania z nim stosunków towarzyskich, choć często prosił, ażebym go odwiedził.

Różniły nas też przekonania polityczne, bo kapitan był zakamieniałym torysem, uważającym lud za niewolników swoich. Przyznanie ludowi temu jakichkolwiek praw wydawało się kapitanowi Campion wprost dzikiem. Kazał płacić sobie za prawo mieszkania tak dobrze na górze skalistej, jak i w nagiem bagnie, jeżeli należały do niego. Jedynym bowiem fetyszem była dlań -własność jego. On to głównie sprzeciwiał się wszelkim moim projektom i dążeniom do polepszenia losu mieszkańców okolicznych; on to uważał zawsze za rzecz zdradziecką, wyrywanie ludu ze stanu niewolnictwa. Nienawidzono go też powszechnie. Nie było prawie rodziny w okolicy, którejby nie skrzywdził, okrucieństwo bowiem praw angielskich w Irlandyi posuwał do ostateczności. Wyrzucał z chat czynszowników, a następnie palił siedziby opuszczone. Za najlżejszy „zamach“ na swoją własność, pociągał ludzi uczciwych do kryminału, prześladował wdowy, pozbawiał dachu nad głową sieroty po dłużnikach swoich. Wiedział, że przeklinano go za wszystkie te niegodziwości, ale z przekleństw nic sobie nie robił.

Bittra Campion siedziała w obszernym pokoju bawialnym, przy wielkiem oknie, z którego widok rozpościerał się daleko na płaskie, bagniste wybrzeża, aż hen, do morza, widniejącego niby pasmo srebrne na widnokręgu. Szyła ubranko dziecinne, ale twarz jej piękną i łagodną pokrywał cień smutku. Od czasu do czasu przerywała robotę i zwracała oczy ku drzwiom nasłuchując uważnie. Nareszcie rozległy się ciężkie kroki w korytarzu, drzwi otwarły się z trzaskiem i wszedł kapitan Campion.

— Wszystko dobrze? — spytał. — Cóż to, smutek na twarzyczce mego kochania? Pensa, nie, funta [1]) całego płacę za ten smutek.

---

[1]) Funt szterling—blizko 10 rubli.

— Dobrze ojcze — odparła Bittra szybko — właśnie bardzo mi potrzeba pieniędzy.

— Znów znalazłaś jakiegoś idyotę w górach, lub włóczęga bezczelny wzruszył twe serduszko! Ale trudno, będziesz miała pieniądze.

Mówiąc to, podszedł do niej i głaskał piękne jej włosy i spoglądał na nią z rozrzewnieniem. Nagle zawołał:

— Bittra, głodny jestem, jak jastrząb, każ przynieść herbaty!

A gdy wstała, i piękna, wysmukła, kroczyła przez pokój, patrzał za nią i szeptał:

— Boże, jakże podobna do matki!

Rzucił się na kanapę i spojrzał przez okno; zamiast jednak wybrzeża bagnistego, ujrzał długą, nizką wyspę, okrytą roślinnością podzwrotnikową. W cieniu palm, nad brzegiem morza lazurowego stała chatka, a przed nią klęczał on, młody oficer marynarki, u stóp jedynej swojej, dziecka niemal. W rok potem został wdowcem z niemowlęciem, sierotką.

— Gorzki (*bitter*) nasz los!—mawiał—i nazwał niemowlę Bittrą.

Weszła Bittra, a za nią służąca z herbatą.

— Ojcze— rzekła nieśmiało — jutro będzie „misya“ w osadzie, czy mogę prosić księży na śniadanie.

— Bezwarunkowo! Wszak lepiej im tutaj, niż w chacie, pomiędzy gratami, w towarzystwie wrzeszczących dzieciaków, śród brudu i nieporządku.

— Ach, nie, ojcze! Tak źle nie jest. Biedacy robią dla księży, co mogą!

— Dobrze, już dobrze! — krzyknął. — Niech księża przyjdą na śniadanie. Właśnie dwie, czy trzy świeże s o l e (gatunek ryb) są na jachcie.

Nie przyjęliśmy atoli zaproszenia panny Campion, pomimo to jednak wycieczka nasza pasterska do Glencarnu była niezwykłą.

Zwłaszcza zaciekawiało mnie wrażenie, jakie wycieczka ta sprawi na moim eleganckim wikarym. To też śledziłem go uważnie, gdy, opuściwszy na wzgórzu powóz, brnęliśmy po rzadkiem, żółtem błocie, śród mokrych od rosy wrzosów do ubogiej chatki górskiej. Przyznać tak-

że muszę, że było z mej strony złośliwością, iż pozwoliłem mu zagłębić się pierwszemu, bez uprzedzenia, w kłęby czarnego dymu, zapełniające zwykle chaty tego rodzaju.

A potem to odprawianie Mszy świętej przy zwykłym stole roboczym, zamiast ołtarza, z uprzężą zwieszającą się nad głową, psem owczarskim u nóg rozłożonym i kurami, czyniącemi wszelkie możliwe wysiłki, aby dostać się na obrus prowizorycznego ołtarza!

Byłem pewny, że to mu się podobać nie będzie, więc też z niecierpliwością oczekiwałem końca nabożeństwa, by usłyszeć skargę na te pierwotne urządzenia z ust wybrednego młodziana.

— On nigdy tego nie wytrzyma—myślałem — zapakuje manatki i czmychnie z powrotem do Anglii.

Jak zwykle, tak i tym razem zawiodłem się srodze. Zamiast spodziewanego wyrazu niezadowolenia, ujrzałem w oczach jego łzy radości i współczucia, a zamiast oburzenia—zachwyt.

— Nic podobnego nie widziałem jeszcze! Co za wiara głęboka i szczera! co za szacunek, co za grzeczność uprzedzająca! — wołał. — Żadna królowa nie potrafiłaby przyjmować w swym pałacu tak, jak przyjmuje nas ta kobiecina w tej chatce biednej! A ci ludzie w zadymionej kuchni! Z początku nie mogłem rozróżnić w dymie ich twarzy. Doprawdy, oddałbym połowę wiedzy mojej za możność odmalowania tych silnych, dzielnych górali, z twarzami opalonemi przez wiatr i słońce, a rozpromienionemi wiarą!

I pomyśleć, że do mnie, dzieciaka jeszcze niemal, przystępując, przyklękają na ostrych brukowcach i odsłaniają mi duszę, nie zważając na obecność towarzyszy!

A te dziewczątka z słodkiemi, czystemi twarzyczkami, ukrytemi w chustkach zarzuconych na głowę! A ci starcy pochyleni nad ogniskiem!... Doprawdy, księże proboszczu, musisz być chyba najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem, boć to są ludzie, za których umrzeć warto!

Rano, gdyśmy podchodzili do chatki, mżył deszcz gęsty, a drobny. Pierwszą osobą, którą spostrzegliśmy wchodząc do zatłoczonej izby, była Bittra Campion, owinięta w długi płaszcz nieprzemakalny i klęcząca razem

z innymi na zabłoconej podłodze. Co prawda, dobrzy ludziska podłożyli jej worek pod kolana.

Nie zdziwiłem się patrząc na to piękne zjawisko; widywałem bowiem już nieraz pannę Campion na nabożeństwach w chatach włościańskich. Ks. Letheby atoli cofnął się jakby zdumiony i spojrzał na mnie pytająco. Udałem, że nie widzę i przeszedłem do izby sypialnej, by słuchać spowiedzi.

Dzwonienie małego dzwonka zwiastowało mi, że w sąsiedniej izbie odprawia się Msza święta. Wreszcie skończyłem spowiadać. W sąsiedniej izbie skończyło się także, jak sądziłem, nabożeństwo; przypatrywałem się więc obrazkom, rozwieszonym po ścianach sypialni, gdy nagle zabrzmiał pełen gniewu głos ks. Lethebyego:

— Zaraz mi na kolana! Czyż nie macie szacunku dla Tego, Którego Ciało i Krew zostały wam przed chwilą udzielone, a Który przed wami jest oto na tym ołtarzu?

Ludzie powstali z klęczek z chwilą ukończenia ostatniej modlitwy. Uraziło to ks. Lethebyego, który, jak się dowiedziałem następnie, miał cześć szczególną dla Przenajświętszego Sakramentu.

Zjadłszy śniadanie w chatce góralskiej, wracaliśmy znów przez błoto i wrzosy przy ciągłym deszczu do powozu. Wikary był czegoś zadumany, wreszcie zdjął kapelusz i otrząsając go z wody, rzekł do mnie:

— Stała się rzecz przykra. Słyszał zapewne ksiądz proboszcz, jak krzyknąłem gniewnie, ale bo też doprawdy rozgniewało mnie to, że ludzie ci wstają z klęczek natychmiast po przyjęciu Komunii świętej, chociaż mówiłem im tyle razy o czci, jaką są winni Najświętszemu Sakramentowi.

— A czyś ksiądz zauważył—spytałem—na czem klęczeli?

— Wiem, że nie na aksamicie.

— Tak, nie aksamit to, lecz brukowce i do tego ostre brukowce! A czy wiesz jak długo klęczeli?

— Podczas Mszy świętej?

— Nie—odparłem—podczas spowiedzi, a następnie dopiero podczas nabożeństwa. Jak uciążliwem jest takie klęczenie, miałem tego dowód raz, gdym słuchał w chacie spowiedzi, siedząc wygodnie przy kominku.

— Ojcze duchowny — zawołał nagle spowiadający się—pozwólcie mi, na miłość Boga; podłożyć czapkę pod kolana, bo inaczej nie wytrzymam!

Mój wikary zaśmiał się szczerze.

Nareszcie wyszliśmy na drogę i siedliśmy do powozu. Podczas jazdy skorzystałem z chwili milczenia, by dać młodzieńcowi małą nauczkę.

— Kochany księże—rzekłem.—Najgłówniejszą zasadą życia irlandkiego jest *quieta non movere*. Gdy położysz palec na rzecz, która wydaje ci się nieszkodliwą i bezsilną, rzecz ta zerwie się sycząc i plując na cię i musisz wtedy leczyć ranę zadaną, jeżeli nie chcesz doczekać się skutków straszliwych. U nas, w Irlandyi, każdy spogląda na sprawy społeczne ze swego punktu widzenia. Setki zwierciadeł mamy tu skoncentrowanych na jeden przedmiot, każde z nich widzi ten przedmiot w innem oświetleniu, ale każdemu zdaje się, że jego tylko obraz jest prawdziwy. Gotowe o to walkę toczyć.

— Przepraszam, słucham uważnie, ale zdawało mi się, że ksiądz proboszcz powiedział, iż zwierciadła mają oczy i gotowe są walkę z sobą toczyć. Takie rzeczy widziałem tylko na rysunkach w pismach humorystycznych.

— Zażartowałeś ksiądz ze mnie!—zawołałem. — Nie to chciałem powiedzieć. Miałem na myśli ręce, trzymające zwierciadła.

— Przepraszam — odparł — za tę przerwę. Ale jestem po troszę purytaninem, co się tyczy języka.

Przyznam się, że ubodła mnie ta wymiana zdań. Biedny ojciec Tom nigdy nie przerywał, gdym przemawiał do niego. Wzdychał tylko i powtarzał: „Tak, tak, ma się rozumieć!“ albo „*Cui bono, cui bono*“. Postanowiłem odłożyć nauczkę na czas sposobniejszy, ale wikary odezwał się nagle:

— Mów, księże, proboszczu, dalej. To było bardzo zajmujące. Mówiłeś właśnie o bitności zwierciadeł.

Czułem w tych słowach ostrość kwasu; odrzekłem też z odpowiednią ciętością:

— Musisz ksiądz jeszcze wiele, bardzo wiele nauczyć się, zanim dożyjesz siwych włosów i zmarszczek. A jeżeli chcesz jak najdłużej utrzymać twarz gładką i włosy czarnemi, to pamiętaj księże: *quieta non movere*. Ot

naprzykład i te wycieczki przeciwko przesądom. Walczyć ksiądz będziesz lata całe, by zniweczyć wiarę w uroki i t. p.—i cóż z tego? Odbierzesz ksiądz ludowi jego poezyę, pozostawiając mu samą prozę życia. Przytem wyrobisz ksiądz w nim skłonność do zapatrywania się na rzeczy krytycznie, a niema dlań nic chyba gorszego nad to. Zresztą po co mówić o tem, skoro wszystkiego tego ksiądz jeszcze nie rozumie?

— Owszem, rozumiem. Wszystko to brzmi bardzo pięknie, ale także—przepraszam za wyrażenie—podszyte jest brakiem odwagi. W każdym razie, zobaczymy!

ROZDZIAŁ VII.

Skrupuły.

Kapitan Campion wydał wielki obiad w przeddzień Wszystkich Swiętych. Zaproszono też mego nowego wikarego. Przyjął zaproszenie i poszedł. Byłem z tego zadowolony, bo szkoda mi było doprawdy, aby tak obiecujący młodzieniec zasklepił się w nudnej wioszczynie, a o dobre towarzystwo tak trudno w Irlandyi!

Anatomia konia, to niemal jedyny temat rozmów płci brzydkiej, a stroje na balu ostatnim... Nie; nie powiem więcej, bo mógłbym zranić kogo, a to nie wypada staremu księdzu, stojącemu nad grobem.

Ks. Letheby poszedł spacerem przez bagna do pałacu, chciał bowiem po drodze odwiedzić jeszcze kilka chat. W jednej z nich leżała stara, schorowana kobieta. Syn jej, człowiek silny, lat może trzydziestu, cierpiał na wrzód skrofuliczny, który utworzył mu się na karku i szpecił go bardzo.

W chwili gdy ksiądz wikary wszedł do chaty, stał ten młodzieniec przed kawałkiem zwierciadła, utkwionym w murze. Na widok księdza schował coś szybko do kieszeni.

Wzbudziło to podejrzenie księdza wikarego, więc zapytał szybko:

— Coś robił?

— Nic, proszę księdza! — odparł chłop zmięszany.

— Więc cóżeś schował?

— Nic, proszę księdza!

— Powiedz, Nedzie, księdzu! — zawołała z łóżka stara kobieta.—Bo to, proszę ojca, talizman, który mu dała pewna dobra kobieta. Ten talizman, ojcze, już go wyleczył.

Ned spojrzał gniewnie na matkę, ale, posłuszny rozkazującemu ruchowi księdza, wydobył z kieszeni niewielki zwój sznura, którego jeden koniec był rozstrzępiony, tworząc pędzel.

— I myślisz, głupcze jeden — zawołał wikary z oburzeniem—że marny ten sznur może cię wyleczyć?

— Już mnie wyleczył. Spójrzyj, ojcze, tutaj! — odparł, wskazując księdzu kark obnażony.

Ks. Letheby spojrzał. Istotnie, tam gdzie przed paru dniami istniał cieknący, obrzydliwy wrzód, widać było tylko czerwoną skazę, jakby po sparzeniu Zmięszał się, zdumiony ks. Letheby, ale oprzytomniał szybko.

— Nie dziwi mnie to — odrzekł. — Wiem, że szatan posiada siłę nadludzką, ale czy ty wiesz, nieszczęśliwcze, że złemu duchowi zawdzięczasz swe wyleczenie!

— Mówiłam mu to samo — zajęczała z łóżka stara matka.—Mówiłam: Lepiej, abyś był zawsze chory, niż żebyś miał grzeszyć przeciwko przykazaniom Bożym. Wiem, że nic dobrego z tego nie wyniknie!

— Dlaczego więc Bóg pozwolił na to!—zawołał Ned.

— Gdybyś znał lepiej wiarę swoją — odrzekł ksiądz wikary—tobyś wiedział, że Bóg dopuszcza złe uczynki. Tem gorzej dla sprawców złego. Popełniłeś grzech ciężki.

— Ależ to jest dobry uczynek — mruknął Ned, siląc się na dysputę teologiczną—a co jest dobre pochodzi od Boga.

— Skutek może być dobry, ale środek zły. Co to jest?—spytał, wskazując na sznur, zwieszający się w ręku Neda.

Zagadnięty milczał.

— Boisz się powiedzieć? Więc musi w tem być coś złego.

Ned dłubał w kamizelce i patrzał z podełba w okno.

— Jeżeli nie chcesz odpowiedzieć, to zabiorę ten sznur z sobą.—To mówiąc, ksiądz wikary zwinął sznur z zamiarem włożenia go do kieszeni.

— Właścicielka będzie go szukała — mruknął znów Ned, uśmiechając się tajemniczo.

— Powiedz jej, że sznur jest u ks. Lethebyego, niech przyjdzie po swą własność.

Wymówiwszy słowa powyższe, ks. Letheby schował sznur do kieszeni i skierował się ku drzwiom.

— Nie odchodźcie, nie odchodźcie, ojcze!— zajęczała kobieta w łóżku— to jest zła rzecz, oddajcie ją Nedowi, a on zwróci ją jutro właścicielce.

— Nie! Zwrócę sznur sam i powiem parę słów prawdy w dodatku.

Ned podszedł do księdza i rzekł szeptem:

— Nie dotknęlibyście, ojcze, tego sznura, gdybyście wiedzieli do czego służył.

— Do czegóż?—spytał ksiądz wikary.

— Czy pamiętacie, ojcze, starego Simmonsa, emeryta w Lougheagle?

— Tego, który popełnił samobójstwo?

— Tak, powiesił się na belce w stodole.

— Słyszałem o nim.

— Powiesił się z pomocą sznura.

— Zdaje się.

— A więc sznur ten jest w kieszeni waszej, ojcze.

Wikary drgnął, jak ukłuty. Straszna ta wiadomość ubodła go do żywego. Zapłonął gniewem, wyrwał sznur z kieszeni i podszedłszy do kominka, na którym żarzył się popiół, rzucił weń sznur, a następnie czekał dopóty, dopóki nie pozostała zeń garść białego popiołu. Staruszka w łóżku odmawiała różaniec, a gdy ksiądz odchodził błogosławiła go drżącym ze strachu głosem.

Ned uchylił kapelusza, gdy jednak ksiądz wikary znikł już w ciemności, odezwał się za nim:

— Ona przyjdzie tu upomnieć się o swój sznur, proszę ojca.

Wikary odwrócił się.

— Powiedz jej — odrzekł krótko — by przyszła do mnie!

Ta myśl sprawiła mu uczucie przykre. Przybył do domu smutny. Wkrótce jednak powróciły znowu wspomnienia obiadu.

Zbliżywszy się zaś do Neda, zawołał jeszcze:

— Radzę ci przystąpić do Spowiedzi jaknajprędzej, inaczej bowiem, jak mówi Pismo, może zdarzyć się coś gorszego.

Obiad w pałacu był doskonały. Kapitan Campion przewodniczył. Naprzeciwko niego siedziała Bittra, obok niej kapitan Ormsby ze straży nadbrzeżnej. Dalej kilku urzędników bankowych z sąsiedniego miasteczka, pełnomocnik lorda L. z żoną, chirurg wojskowy, wdowiec z dwoma córkami i pastor protestancki z żoną. Mój wikary był w swoim żywiole. Światła, kwiaty, muzyka, towarzystwo inteligentne—wszystko to działało na jego zmysły, to też rozochocił się bardzo, rozweselając i czarując wszystkich. Gdy odchodził około 11-ej w nocy, Bittra odprowadziła go do progu.

— Księże dobrodzieju! jakżeśmy ci bardzo wdzięczni za te odwiedziny!—rzekła.

Księżyc świecił jasno nad moczarami i morzem, gdy ksiądz wikary wracał do wioski.

— Cudny wieczór!—myślał!—A jak to Ormsby i Campion podskoczyli, gdym wspomniał o potrzebie zbudowania *skunera* (statek żaglowy) na potrzeby rybaków naszych. Jestem pewny, że ta sprawa da się załatwić.

— Potem pomyślimy o zbudowaniu wędzarni i wioska zmieni się zupełnie, stając się wzdłuż i wszerz kraju znaną.

Spojrzał na krajobraz, oświetlony łagodnie księżycem.

— Ot tam, na tym zakręcie, zbudujemy przystań dla „Gwiazdy“, bo tak musi być nazwany skuner. Już ją widzę, jak wypływa z portu i pruje fale!... Co za kwiaty, co za towarzystwo, co za przyjemność obiadować w podobnem środowisku... Ach ten śpiew, nie mogę go zapomnieć!

Na czarnem tle trzęsawisk widniały nędzne chałupy chłopów i robotników.

— Kto wie—pomyślał—może nie jeden z tych biedaków poszedł spać głodny.

— Białe róże, azalie, jastruny, muzyka, Waldteufel, Straus, Wagner, śpiew...

Drgnął, podszedł do sprzętu, przypominającego wykwintnie rzeźbiony kredens, i otworzył jego drzwiczki.

Był to bardzo cenny tryptyk, ofiarowany mu niegdyś przez pewną pobożną rzymiankę. Środkową jego część zajmował obraz mistrzowskiego pędzla, przedstawiający Jezusa Chrystusa z barankiem u nóg.

Wikary długo wpatrywał się w tę postać Zbawiciela, którą ukochał tak głęboko, wreszcie padł na kolana i zatopił się w gorącej modlitwie.

ROZDZIAŁ VIII.

Nasz koncert.

Zima, poprzedzona przez białe szrony w końcu października, zakradła się cichaczem do naszej wioski. Ciszę jej zamącił na czas pewien wypadek z koniem mojego księdza wikarego. Koń ten, piękny kasztan, okulał pewnego dnia, gdy ks. Letheby jechał do chorego. W rozmaity sposób tłomaczono sobie przyczynę tego okulenia, wreszcie jeden z farmerów, podejrzewając coś, zbadał kopyto i znalazł w niem głęboko utkwioną grubą igłę. Widocznie igła, wepchnięta w kopyto, dostawała się coraz głębiej, aż wreszcie dotknęła miejsca czułego i koń okulał.

Rana zagnoiła się, musieliśmy więc owego konia leczyć, zawiesiwszy go na pasach w stajni.

Ksiądz wikary odczuł ten wypadek bardzo, lecz mnie jednemu tylko się zwierzył, kogo o ten czyn nieludzki podejrzewał.

Pewnego wieczora w listopadzie zjawiła się u mnie deputacya złożona z lekarza, nauczyciela szkółki wiejskiej i kilku młodzieńców, znanych z pięknego głosu, którym popisywali się chętnie na zebraniach w zajeździe.

Mam wielki szacunek dla naszego lekarza; jest to bowiem młodzieniec wykształcony, nader pracowity, dobry i przyjacielski dla biedaków. Niejedną też godzinę przyjemną spędziłem w jego pracowni.

— Przybyliśmy tu do księdza proboszcza w sprawie koncertu — rzekł lekarz.

— W sprawie czego?

— W sprawie koncertu. Bo dlaczego nie mamy urządzić tutaj takiej rozrywki, gdy na nią pozwalają sobie każdej zimy parafianie w Labbawally, Balredown, a nawet w Maydore?

— Zdawało mi się, że dla urządzenia koncertu potrzeba śpiewaków? — rzekłem po chwili namysłu.

— Ma się rozumieć?

— Zkądże ich więc weźmiecie?

— Ci młodzieńcy — odparł lekarz — mają piękne głosy, a przytem urządzimy chór z dziatwy szkolnej i wreszcie...

— Doktór nam dopomoże — odezwali się młodzieńcy, wyręczając lekarza, któremu najwidoczniej trudno było przyznać się do talentu w tym kierunku.

— Dobrze, ale potrzeba wam będzie także fortepjanu.

— O to niema obawy? Dostaniemy coś jeszcze lepszego! — zawołał lekarz.

— A na jaki cel pragniecie urządzić ten koncert? — zapytałem.

— Na biednych! — odpowiedziano chórem. Zobaczy ksiądz proboszcz, co pozyska dla biednych na „Gwiazdkę"!

Nadzieja możności zakupienia ciepłych kołder, pończoch, węgla, drzewa, herbaty dla biedaków rozradowała mnie bardzo.

— Daję wam, chłopcy, błogosławieństwo moje! — zawołałem.

— Dziękujemy księdzu proboszczowi, ale pragnęlibyśmy także prosić o ofiarę na wydatki.

— Co za wydatki?

— Urządzenie koncertu pociąga za sobą wydatki: to też musimy prosić osobistości wybitniejsze o pomoc.

Dałem gwineę.

Nadszedł termin koncertu. Przyznać muszę, że bardzo mi się nie chciało opuszczać fotelu, ognia na kominku, pantofli i Homera — bo razem z księdzem wikarym zabraliśmy się gorliwie do greczyzny, by pokazać księdzu

biskupowi, że istotnie potrafimy coś zdziałać w tym kierunku. — Na dworze był mróz, a koncert odbywał się w pustym składzie nad brzegiem strumienia. Wzdrygnąłem się więc na myśl spędzenia paru godzin w tej szopie z powybijanemi szybami, przez które wpada powiew lodowaty wiatru morskiego. Jakżem się jednak zdziwił, gdy u drzwi składu odebrał odemnie bilet młodzieniec starannie ubrany, z bukiecikiem kwiatów w dziurce od guzika i gdym wszedł do sali pełnej światła i publiczności.

Wszyscy zwrócili się ku mnie i powitali okrzykiem radosnym. Zdjąłem futro i byłem szczęśliwy, żem przyszedł.

W głębi sali znajdowała się estrada, pokryta dywanem i kwiatami. Z pośród lasu krzewów i palm wyglądał fortepian. Liczne lampy oświetlały salę. Zdawało mi się, że śnię, gdy podeszła ku mnie panna Campion i, wyraziwszy swą radość, żem przyszedł, szepnęła:

— Teraz rozumiem wszystko. Trzeba być czarodziejem, by wywołać taką zmianę.

Ksiądz Letheby siedział obok mnie cichy i milczący, jak zwykle. Wyglądał tak, jak gdyby nic nie wiedział o tem dziele prawdziwie nadzwyczajnem. W końcu jednak gdym wpierał w niego, że on to jest tutaj głównym projektodawcą, organizatorem, rysownikiem i budowniczym, odrzekł spokojnie:

— Wszak wie ksiądz proboszcz, że naszym obowiązkiem jest kształcenie ludu, jak również, że ten lud jest do wszystkiego zdolny.

Uwierzyłem.

Na końcu długiej sali wszczął się hałas, odwróciłem się więc, by tam spojrzeć.

— Cóż to za państwo? — zapytałem na widok długiego orszaku, zbliżającego się ku nam.

— Państwo? — odparł ks. wikary. — Poprostu nasi aktorzy.

Właśnie mijały nas czyściutkie, ładne dzieweczki w satynowych sukienkach i białych trzewiczkach, ze zgrabnie uczesanemi włosami, trzymając w rączkach bukieciki pachnące.

— Panienki z pałacu? — szepnąłem.

— Gdzież tam! — zawołał ks. Letheby. — To nasze miejscowe dzieci szkolne. Oto Mollia Lennon, córka kowala; Anna Logan, której ojciec sprzedaje księdzu proboszczowi ryby; Tessie Navin, Mandie Kennedy...

— A któż to jest ta wielka panna z włosami zwiniętemi w węzeł grecki, jak dziewczęta z Fanagry?

— Toć to Alicya Moylan, starsza uczennica naszej szkoły!

— Nie może być! — zawołałem. Ale nie było czasu już na dalsze uwagi, bo oto zbliżał się lekarz z gromadą chłopców, przyodzianych w czarne surduty, wypomadowanych i uczesanych starannie.

— Nie mówiłem księdzu proboszczowi — szepnął, mijając me krzesło — że sprawimy mu niespodziankę?

W tej chwili podszedł do mnie chłopak, wystrojony jak laleczka i podał mi ręką, odzianą w białą rękawiczkę, program koncertu.

— Od innych żądamy pensa za ten program; księdza proboszcza nic on kosztować nie będzie!—rzekł z ukłonem.

Podziękowałem grzecznie.

— Kto to jest ten mały dżentlemen? — zapytałem szeptem księdza wikarego.

— Nie znasz go, ojcze?

— Nigdy go jeszcze nie widziałem.

— A przecież strofował go ksiądz proboszcz ubiegłej niedzieli, gdy dzwonił podczas *Agnus Dei*.

— Strofowałem tego małego urwisa, Karola Daly.

— To właśnie on!

Sądziłem, że ks. Letheby kpi ze mnie, chciałem więc wybuchnąć, gdy w tem usłyszałem dokoła sykanie.

Panna Campion zasiadła do fortepianu na estradzie; dała ręką znak chórom i rozpoczął się koncert.

Jeden za drugim podchodzili do estrady śpiewacy zażenowani, każdy wszakże wywiązywał się doskonale z zadania.

Zamyśliłem się głęboko. Zdawało mi się, że nie jestem starym proboszczem w Kilronanie, lecz młodym wikarym, któremu świat przedstawia się różowo, w którego żyłach krew płynie żywo, a oczy ciskają błyskawice...

Lekkie dotknięcie obudziło mnie z zadumy. Anim się spostrzegł, że koncert dobiegł do końca i publiczność z miejsc powstaje.

— Jakże się podobał koncert księdzu proboszczowi?

— Czy ksiądz proboszcz nie może z nas być dumnym!?

— Czy może porównać się z nami parafia Moydoru?

Takie pytania słyszałem dokoła, gdy podeszła do mnie panna Campion.

— Spodziewam się, że ksiądz proboszcz jest zadowolonym z naszego pierwszego występu? — rzekła skromnie.

Cóż mogłem odpowiedzieć, jeżeli nie to, że koncert był wspaniały, że spodziewam się, iż nie będzie ostatnim i że jestem jej za trudy mocno obowiązany.

Zaledwie odeszła, gdy ujrzałem się otoczony przez rój młodych towarzyszek, rozpromienionych zadowoleniem.

— Teraz nasza kolej, księże proboszczu! Prosimy o pozwolenie potańczenia, zanim pójdziemy do domów.

— Co? Takie dzieciaki myślą o tańcu? Jeszczeby czego? Zaraz zaśpiewać mi: „*Home, sweet home*“ (znana pieśń angielska) i marsz do łóżek.

— Niechże nam ksiądz proboszcz pozwoli!

— Jeden tylko taniec!

— Skończymy w pół godziny!—wołano.

Nagle ktoś krzyknął:

— Pozwólcie, *dziadku* Danie!

Zmięszali się inni i spojrzeli ze strachem dokoła; po raz to bowiem pierwszy odezwano się do mnie tak poufale. Ale właśnie ta prośba tak poufała i serdeczna, przechyliła zwycięstwo na ich stronę.

Udałem, że nie widzę chłopców, zaglądających ukradkiem przez oszklone drzwi sali.

— Chłopcy poszli już do domów?

— O, dawno już temu! Za leniwi są do tańca!

— Więc będziecie tańczyły bez nich?

— Ma się rozumieć!

— I żadnych walców lub innych tańców nieprzyzwoitych?

— Ma się rozumieć!

— I pójdziecie spać o północy?

— Co do minuty, ojcze!

— A więc, niech mi Bóg przebaczy,—tańczcie sobie, małe poganki.

— Dziękujemy księdzu proboszczowi, dziękujemy!— wołano chórem.

Zamyślony wróciłem do domu i resztę nocy spędziłem bezsennie.

ROZDZIAŁ IX.

Nagana.

Pewnego poranku zjawił się u mnie stary i ceniony kolega i przyjaciel—widocznie zafrasowany.

Zaczęliśmy rozmowę od stwierdzenia stanu pogody. Zgoda pod tym względem nastąpiła łatwo, widząc atoli chmurę na czole przyjaciela, rzekłem:

— Macie coś na sercu, ojcze Jakóbie.

— Jeżeli mam być szczerym, ojcze Danie — zawołał szybko—to powiem, że istotnie chciałbym z wami w pewnej sprawie porozmawiać, obawiam się jednak być natrętnym.

— O, bynajmniej! — odparłem. — Zawsze gotów jestem wysłuchać braterskiego i koleżeńskiego napomnienia.

— Jak wiecie, ojcze Danie, jesteśmy starymi przyjaciółmi. Znacie też, ojcze, moją przychylność dla was ..

— Najzupełniej, ale na miłość Boską, nie wymawiajcie mi tego, ojcze Jakóbie: To *subintellectum*, jak mówią teologowie.

— A więc — rzekł trochę zmięszany moim wybuchem—powiem wam, ojcze, otwarcie, że parafia wasza na psy schodzi! Porzuciliście wszystko i pozwalacie temu młodzieńcowi robić, co mu się żywnie podoba. Lud, zaręczam wam, patrzy na to krzywem okiem, my, księża, również nie jesteśmy zadowoleni, a biskup, gdy o tem

usłyszy, że zaś usłyszy tego pewny jestem, zadowolony także nie będzie.

— Pozwólcie, ojcze Jakóbie, że zapytam, co właściwie zarzucacie „temu młodzieńcowi"?

— Wszystko! Nie życzymy sobie, aby tu przybywali młodziki angielscy i uczyli starych księży rozumu! Utrzymaliśmy przecież w ludzie wiarę...

— Nie mówmy o tem; nie mówmy także o latach głodowych, zasługi księży irlandzkich pod tym względem zapisane są w Niebiosach...

Zmiękł cokolwiek.

— Wiem--ciągnąłem — że jesteście, ojcze, człowiekiem rozumnym, powiedzcie mi przeto, co mam czynić?

— Wziąć się do tego młodzieńca, okiełznać go i nauczyć, by pilnował swego nosa.

— Dobrze, ale powiedzcie mi, ojcze, jak się mam zabrać do tego.

— Jak się zabrać? Ot, poprostu, powiedzieć, że nie pragniecie w waszej parafii żadnych nowości. *Nil innovetur, nisi quod prius traditum est.* Powiedzieć, że powinien iść ręka w rękę z ogółem księży w dyecezyi i zastosować się do wymagań powszechnych. *Quod semper, quod ubique, quod ab omnibus.* Powiedzieć, że młodzieńcy powinni umieć zachowywać się wobec starszych. Wziąć wreszcie *Selva* lub Ojców Kościoła i wykazać mu to dowodnie.

— Bóg wam zapłać!—odparłem z wdzięcznością i pokorą.—Zdjęliście mi, ojcze, ciężar z serca. A teraz zobaczmy, jak to się da zrobić.

Przy tych słowach sięgnąłem na zakurzoną pułkę i wziąłem do ręki mały, ulubiony tomik, coś w rodzaju antologii pierwszych Ojców Kościoła:

— Zobaczymy co mówią o *sortes Virgilianae* i zacząłem czytać wolno, z namaszczeniem:

„At nunc, etiam sacerdotes Dei, omissis Evangeliis et Prophetis, vidimus comedias legere, amatoria bucolicorum versuum verba cantare, tenere Virgilium, et id quod in pueris necessitatis est, crimen in se facere voluptatis.

— To nie złe—rzekł mój słuchacz krytycznie, gdym odłożył książkę z przerażeniem.

— To zupełnie stosuje się do niego. Ale co wam jest, ojcze Danie, czyście nie chorzy?

— Nie, jeno trochę zawstydzony. Słowa, które właśnie odczytałem, uderzają we mnie obuchem. Bo cóż robiłem przez pół wieku, jeżeli nie wertowałem Horacyusza i Wirgila?

— O, nie bierzcie tego do serca, ojcze! Toć to zapatrywanie krańcowe, któż jest jego autorem?

— Mąż bardzo mądry i pobożny: Swięty Hieronim.

— Ach, rzecz prosta, był dziwakiem — przepraszam, wyraziłem się bez szacunku—był reformatorem.

— W rodzaju mego wikarego, co?—zapytałem.

— Mniejsza o to! Weźmy innnego świętego. Ot, naprzykład świętego Bernarda. Był to doradca mądry i łagodny.

Przewróciłem kilka kartek i czytałem:

Lingua magniloqua—manus otiosa!
Sermo multus—fructus nullus
Vultus gravis—actus levis!
Ingens autocritas – mutans stabilitas!

Teraz mój przyjaciel wyglądał jak uderzony obuchem. Spostrzegł widocznie, że się nie dogada ze mną, bo sięgnął za kapelusz.

— Nie odchodźcie, ojcze—rzekłem, biorąc za dzwonek—poślę po ks. Lethebyego i przekonam was, że go okiełznać potrafię.

— Nie... widzicie ojcze... nie mogę... muszę odwiedzić chorego... przytem oczekuję gościa... przepraszam... do zobaczenia!

— Zostańcie, ojcze! Wypijemy szklankę wina.

— Nie, nie! Dziękuję bardzo. Mam konia młodego i niecierpliwego. *Au revoir!*

— *Au revoir!* — zawołałem i nałożywszy kapelusz oraz wziąwszy laskę o złotej główce do ręki, poszedłem zganić wikarego.

Bezwarunkowo musiałem działać i to działać szybko; przekonałem się bowiem, że naraziłem się na języki ludzkie i że zaczęto już uważać mnie za starego niedołęgę. Coprawda, mojemu wikaremu nie mogłem nic zarzucić.

Był wzorem kapłana chrześcijańskiego pod każdym względem i wszystko, co zdziałał w parafii, od chwili swego przybycia, miało na celu pożytek Kościoła i ludu. A jednak dłużej tak być nie mogło!

Wszyscy to mówią, a głos ogółu jest słuszny. Pozatem złe jakieś przeczucie mówiło mi, abym tej działalności tamę położył, choćbym miał postąpić wbrew sumieniu.

Jednocześnie atoli głos z dawno zamarłej przeszłości ostrzegał: Uważaj, abyś nie sprzeciwił się woli Najwyższego!

Pełen takich wątpliwości i uczuć sprzecznych, dążyłem po drodze okrążającej wioskę i przecinającej ścieżkę, wiodącą do szkoły. Nagle szmer rytmiczny głosów, podobny do chórem odmawianych pacierzy, obudził mnie z zadumy. Podniosłem oczy i ujrzałem na zakręcie drogi dzieci, wychodzące ze szkoły.

Byłem przyzwyczajony do widoku tych jakby dzikich bosych dzieciaków, wybiegających ze szkoły śród okrzyków i wycia, przeskakujących rowy, goniących się po murawie i błocie, a mało bardzo zwracających na mnie uwagi, gdym przechodził tamtędy. Dzisiaj atoli dzieci te szły wolno, trójkami, spuściwszy skromnie oczy i odmawiając wspólnie różaniec. Jedna z dziewczynek intonowała „Ojcze nasz“ lub „Zdrowaś Marya“, reszta powtarzała za nią chórem modlitwy.

Zdumiony, wstrzymałem ten pochód.

— Cieszy mnie to—rzekłem—iż sprawujecie się tak pięknie i przykładnie. Odkądże to odmawiacie wspólnie różaniec?

W jednej chwili powaga znikła z oczu dzieci—i cała gromadka otoczyła mnie szczebiocząc:

— Od tygodnia, księże proboszczu!... Ks. Letheby opowiedział nam, że w Niemczech nieraz robotnicy odmawiają wspólnie pacierze, idąc do pracy; powiedzieliśmy więc sobie, dlaczego to i my nie mielibyśmy tak samo, jak ci niemcy, odmawiać różańca, powracając ze szkoły lub idąc do niej?

— Bardzo to pięknie z waszej strony, a czy macie wszyscy paciorki do przesuwania?

— Ja mam!—zawołała dziewczynka, która intonowała pacierze – a reszta liczy na paluszkach

— A więc, dzieci, każde z was dostanie odemnie różaniec, a tymczasem weź, Anstie, to co mam przy sobie.

Z temi słowy podałem dziewczynce różaniec mój z perłowej masy i srebra.

Uszczęśliwiony patrzałem na jej radość. Dzieci ustawiły się ponownie w trójki i przeszły, szepcąc w dalszym ciągu pacierze.

Znów nowość! Doprawdy, że to zaczyna być nieznośne! Któż bo słyszał o czemś podobnem! A więc cóż mam uczynić? Nie pozwolić odmawiania różańca, — zabronić dzieciom zwracania się do ich Matki i Królowej?

Gdym o tem pomyślał, zdawało mi się, że widzę tę Matkę-Królowę spoglądającą na mnie z Niebios i że słyszę głos proroczy:

„Ex ore infantium et lactantium perfecisti laudem propter inimicos tuos, ut destruas inimicum et ultorem.

Najwidoczniej wszystko się przeciwko mnie sprzysięgło!

Po zwykłych słowach powitania, ksiądz wikary, podając mi ze śmiechem zeszyt miesięcznika, który leżał otwarty na biurku, zawołał:

— Przeczytajcie, księże proboszczu, a przyznacie, że takiego szczytu zarozumiałości nie widzieliście jeszcze!

„Co się tyczy mych pretensyj — czytałem — to takie mam o nich zdanie: Jeżeli lord Liverpool zwraca uwagę jedynie na zasługi naukowe, to zasługi Coplestona nie przewyższają moich, tak samo zawyrokuje też świat o wiadomościach mych ogólnych. Jeżeli zaś lord Liverpool weźmie pod uwagę zasługi fachu, to moje mają się do Coplestonowych, jak Andy do pagórka piaszczystego. Niema nawet porównania pomiędzy nami. Copleston nie jest teologiem, a ja nim jestem.

„Jeżeli, dalej, chodzi o wpływ w uniwersytecie, to dam Coplestonowi miesiąc czasu do przygotowania, a pomimo to odniosę nad nim zwycięstwo w każdej rozprawie, jakaby się nadarzyła. Co do popularności mojej nominacyi, to wszyscy koledzy powitają ją z radością. Inaczej rzecz się ma z Coplestonem.

„Powiem otwarcie: nieraz myślałem, że biskupstwo mnie nie minie...

„Zakończę wyznaniem życzeń moich. Gorącem pragnieniem mojem jest zostać wielkim kaznodzieją i stanąć w szeregu największych w Anglii. Drugiem pragnieniem,—zostać założycielem szkoły teologii w Oksfordzie. Ale tego nie osiągnę dopóty, dopóki nie zostanę biskupem oksfordskim.

„Oto wyznałem najtajniejsze myśli moje. Życzyłbym sobie wreszcie otrzymać po kilku latach emeryturę i osiąść na jakiem biskupstwie, gdzie niewiele byłoby pracy.

„Nie żądam też wcale biskupstwa w Londynie lub Canterbury, nie uważam bowiem tych stanowisk za dogodne dla siebie.

„Żądam natomiast pieniędzy, bo jestem biedny i dzietny i żądam tytułu, bo bez tego żyć nie mogę".

— Czy list ten nie jest wprost wspaniałym?—spytał ks. Letheby, gdym odłożył zeszyt.

— Biedny jakiś—odrzekłem.—Zwłaszcza to powoływanie się końcowe na dzieci jest odpowiednią ramą do lichego obrazka, jaki o sobie kreśli. Któż to jednak taki?

— Ni mniej ni więcej, jeno dr. Lloyd, profesor teologii na uniwersytecie oksfordskim, twórca ruchu Traktaryanów! Czyż może ks. proboszcz wyobrazić sobie kapłana katolickiego, piszącego list taki?

— Nie—odparłem—nie mogę wyobrazić sobie kapłana katolickiego, postępującego w ten sposób, sądzę jednak, że istnieją księża, którzy w głębi duszy kryją takie same, jak ów dr. Lloyd, pragnienia. Powiem nawet otwarcie, że gdym został proboszczem, wówczas i mnie zdawało się dziwnem, jakim sposobem Kościół katolicki mógł istnieć 19 wieków bez mego współudziału oraz dlaczego Biskup mianował wikaryuszem jeneralnym staruszka, który nieumiał nawet kazać, pominął zaś taką doskonałość pod każdym względem, jak ja! Wiele, wiele lat upłynęło zanim pogodziłem się z temi myślami i wierz mi, młody przyjacielu, że nie jeden z nas jest równie dalekim od „Naśladowania Chrystusa", jak dr. Lloyd, tylko że się do tego nie przyznaje.

— A ja myślałem—zawołał ksiądz wikary — że mamy jednego tylko konfratra przypominającego d-ra Lloy-

da, a mianowicie ks. Jakóba!.. Tu wymienił nazwisko przyjaciela, który właśnie odwiedził mnie rano.

Nareszcie więc znalazłem otwór w zbroi tego Goliata, nie zwlekając przeto, uderzyłem weń rapirem.

— Czy jesteś, księże, bardzo zajęty? — spytałem.

— Nie, księże proboszczu!—odparł.

— Możesz wysłuchać powiastki?

— I owszem!

— Oto—zacząłem wolno — w pierwszych latach mego probostwa miałem wikarego o wiele młodszego od siebie. Traktowałem go z góry, albowiem nadęty był w obcowaniu oraz popisywał się ciągle łacińskiemi i francuskiemi cytatami.

Na pozór był to człowiek próżny, samolubny i zadowolony ze swej osoby. Choć nie jeździł sam konno, miał do koni namiętność niezwykłą. Znał się też na koniach tak, że sąd jego pod tym względem uważano za nieomylny.

Pewnego razu nabył śliczną klaczkę. Stworzenie to tak się do niego przyzwyczaiło, że chodziło za nim, jak pies. Nikomu nie pozwolił czyścić jej lub karmić. Sam załatwiał wszystkie te czynności. Bata nie używał wcale. Zawołał lub gwizdnął, a robiła wszystko, co żechciał. Na kilka dni przed wypadkiem, który mam zamiar opowiedzieć, ofiarowano mu za nią 150 funtów szterl., ale o sprzedaży ani chciał słyszeć.

Wybraliśmy się raz na konferencyę do parafii o 13 mil ang. od Kilronanu odległej. Klaczka powiozła nas tam i z powrotem. Nie dziw, że była zmęczona.

— Już jej tam nigdy nie wezmę — rzekł wikary po powrocie—zbyt się męczy. Wynajmę raczej jaką starą szkapę.

Zanim zasiedliśmy do obiadu, zaopiekował się klaczką, oczyścił ją, dał owsa i nakrył derką. Zarżała radośnie.

Zaledwie atoli siedliśmy do obiadu, przybył posłaniec z kartką od doktora, wzywającą do udzielenia ostatnich Sakramentów chorej kobiecie. „Proszę przyjechać jak najprędzej, jest bardzo chora“—pisał lekarz.

Nie było rady.

— Czy macie konia! — zawołał wikary do posłańca.

— Nie, proszę księdza, przebiegłem na przełaj ścieżynami górskiemi, bo nie było już czasu do stracenia.

Wikary udał się wprost do stajni i otworzył jej wrota. Klaczka zarżała, poznała bowiem jego kroki. Światło latarni zabłysło w jej oczach, gdy zwróciła się ku niemu.

— Chodź, klaczuchno, znów ruszymy w drogę!— rzekł do niej.

Westchnęła żałośnie, jakby rozumiejąc, co mówił.

Wyprowadził ją ze stajni, zaprzągł, uderzył lejcami i zniknęli w ciemnościach. Na przestrzeni pierwszych pięciu mil ang. droga ciągnęła się jak po stole, następne jednak dwie mile trzeba było jechać po zboczu stromego pagórka. Wikary powstrzymał klaczkę, by nie męczyć jej zbytecznie, w tej chwili atoli ujrzał na szczycie pagórka światła pochodni, zakreślające łuki w ciemnościach. Zrozumiał, co znaczą te sygnały; uderzył więc klacz lejcami, ale biedne stworzenie zanadto było już zmęczone, by ruszyć prędzej. Zachęcał je słowami lecz i to nie pomogło. Wówczas pierwszy raz w życiu sięgnął po bat. Nie uderzył jednak. Swisnął nim tylko w powietrzu nad łbem klaczki. W jednej chwili, jakby urażona takiem postępowaniem, zebrała wszystkie siły i ruszyła pod górę z kopyta. Coraz wyżej i wyżej, biegła niby sarna, całym pędem, a kabryolet uderzał o kamienie i podskakiwał, zataczając się z jednej strony na drugą.

Właśnie dosięgnięto szczytu, gdy ksiądz wikary usłyszał głosy wołające:

— Prędzej, prędzej, drogi ojcze, bo chora skona!— gdy nagle klaczka potknęła się i padła ciężko. Wikary wypadł z impetem z kabryoletu, uderzył głową o kamień i pozostał na miejscu bez czucia.

Gdy odzyskał przytomność, usłyszał słowa:

— Proszę księdza, ona nie żyje!

— Kto taki? kobieta?—spytał.

— Nie, ale klaczka.

— Dzięki Ci Boże!—zawołał z głębi serca, poczem, oszołomiony, chwiejący się, cały oblany krwią, ruszył przez skały, wrzosy, zarośla. Ślizgał się po mokrych kamieniach, przebył wbród potok górski i wreszcie stanął u drzwi chaty.

Lekarz mył instrumenty chirurgiczne, gdy ksiądz wchodził.

— Wszystko dobrze!—zawołał, widząc wchodzącego.—Operacya udała się doskonale, choć była tak ryzykowna! Ale co widzę?—ksiądz dobrodziej jest okrwawiony!

— To nic, doktorze. Klaczka moja upadła i wyrzuciła mnie z kabryoletu. Czy mogę pójść do chorej?

— Ma się rozumieć, ale pozwól ksiądz przedewszystkiem, że obmyję ranę.

— To nie rana, doktorze; to tylko zadraśnięcie.

I poszedł wikary i dopełnił świętego obowiązku. A gdy wyszedł od chorej, oszołomiony jeszcze i zbolały fizycznie, ruszył na drogę górską, gdzie otoczona przez grono górali, leżała klaczka z potrzaskanym kabryoletem. Nachylił się do niej, pieścił ją i przemawiał, ale ona raz jeszcze tylko otworzyła oczy, spojrzała na swego pana, drgnęła i żyć przestała.

— Zakopiecie ją—rzekł do górali—tu, chłopcy, pod tym pagórkiem kamieni, a kabryolet i uprząż zniesiecie mi jutro rano.

Jakie były uczucia jego, gdy powracał do domu, łatwo odgadnąć. W ciągu też kilku dni nie zwierzał mi się z niemi.

Dowiedziałem się wreszcie o szczegółach wypadku. Ów okrzyk z głębi serca: Dzięki Ci Boże!—zmienił w zupełności opinię moją o księdzu wikarym, którego posądzałem o samolubstwo i próżność; pod tą powłoką bowiem dojrzałem takie zalety, jakie czynią z ludzi bohaterów lub świętych.

— Odwołuję moją uwagę niestosowną, bez zastrzeżeń — rzekł ks. Letheby, gdym skończył opowiadanie. — Byłem niesprawiedliwy i niedobry. Rzecz godna zastanowienia, że ilekroć powiem co złego, wnet następuje kara.

— Możesz ksiądz — odparłem — nie być wielkim teologiem ani myślicielem, a jednak to, coś powiedział, zawiera prawdę głęboką. Bóg bywa pobłażliwy na nasze małe bunty przeciwko Niemu; gdy jednak my, okruszyny, zaczynamy szkalować jeden drugiego, ręka Jego dosięgnie nas z pewnością! To też *festina lente, festina lente*! Rada zbawienna!

— Czy mam wymawiać z naciskiem: *festina*, czy też *lente*?—spytał skromnie mój ksiądz wikary.

Spojrzałem na niego.

— Bo—mówił dalej—w ostatnich czasach zrobiłem kilka rzeczy bezwątpienia nie na czasie, jak np. ów koncert i...

— Wszystko to jest bardzo dobre, ale *lente, lente!*

— A ta sprzeczka z naszą zakrystyanką? Powinienem był jej uniknąć...

— Bynajmniej, ale *lente, lente*!

— Zdaje mi się również, iż powinienem był nie uczyć dzieci wspólnego odmawiania różańca...

Tym razem spojrzałem mu w twarz uporczywie, był jednak nie zmięszany i zagadkowy, jak sfinks.

— Dobranoc—rzekłem wreszcie i ruszyłem do domu, zastanawiając się nad tem, o ile odzyskałem władzę i zadowoliłem owego nienasyconego potwora, zwanego opinią publiczną.

W pewnem dziele amerykańskiem opowiadanie kończy się zagadnieniem, kto przy danych okolicznościach wyłoni się z klatki: kobieta czy tygrys?

Zagadnienie to przypomniało mi się, gdym szukał odpowiedzi na pytanie: Kto komu dał napomnienie? Czy ja mojemu wikaremu, czy wikary mnie?

Dotychczas nie zdobyłem się na odpowiedź.

ROZDZIAŁ X.

Sprzysiężeni.

Ks. Letheby wracał niedawno, już po północy, od chorego i szedł wybrzeżem morskiem, lubił bowiem, jak mówił, przyglądać się morzu wzburzonemu, gdy na każdym szczycie fali zdają się płonąć gwiazdy, a w każdem zagłębieniu księżyc odbija swe oblicze.

Idąc tak wybrzeżem wzdłuż skał, co z jednej strony schodzą do olbrzymiej doliny morza, z drugiej zaś nikną w dolinie, zarośniętej jodłami i topolami, usłyszał, jak mu się zdawało, głosy w ciemnościach. Przystanął więc, by się przekonać, czy go słuch nie myli.

Niebawem odbiły mu się istotnie o uszy głosy ludzkie. Poznał ostre dźwięki komendy wojskowej, a potem rytmiczne kroki maszerującego oddziału. Zdawało mu się nawet, że w promieniach księżyca, przedzierających się przez gęstwinę, dojrzał błyski stali.

— Było to okropne odkrycie, — rzekł do mnie — nie przypuszczałem bowiem nawet, że tu, pośród nas, kwitnie w całej okazałości stowarzyszenie tajne, rewolucyjne.

Gdy to mówił, krew we mnie zagrała irlandzka i o mało żem nie zaśpiewał:

Nad brzegiem szumnej rzeki
Czarne roje ludu kroczą,
A nad bronią ich błyszczącą
Nieśmiertelna zieleń tkwi! [1])

[1]) Sztandar irlandzki wyobraża złotą lirę na tle zielonem. P. T

A wikary mówił dalej:

— To jest bardzo źle dla ich ciała i duszy. Trzeba temu zaradzić.

— Zle jest istotnie — odparłem żartobliwie — chyba jednak gorzej dla ciała, niż dla duszy. Smarkacze ci, bawiąc się po nocach w żołnierzy, dostaną febry i na tem koniec. Ale mówmy poważnie. Nie widziałeś ksiądz w pobliżu policyanta?

— Nie, a jeżeli był jaki, to tak ukryty, żem go nie dostrzegł.

— Możesz ksiądz być pewnym, że niewidzialni widzowie byli świadkami tych ćwiczeń nocnych. Wiem, iż kilku chłopców z osady otrzymuje pieniądze z policyi tajnej i że nazwiska wszystkich członków stowarzyszenia zapisane są w archiwach zamkowych. Gorszem jednak jest to, że ów rozwój stowarzyszeń tajnych pociąga za sobą utratę wiary, że członkowie ich nie przystępują do Sakramentów i dopuszczają się innych zdrożności. Dlatego też należy działać nader ostrożnie.

— Chyba nie chce ksiądz proboszcz powiedzieć, że trucizna kontynentalna przedarła się aż tu, do Irlandyi?

— Owszem! Nie na wielką jeszcze skalę, co prawda; w każdym jednak razie trucizna ta istnieje już tutaj. Zaprzeczyć temu niepodobna. Aby ją zwalczać, musimy postępować ostrożnie. Dobry chirurg nie działa gorączkowo i nie spieszy się nigdy podczas operacyi. *Lente*, *lente*!

Gdym to mówił, lekki uśmiech igrał na twarzy księdza wikarego, a ja uczułem obawę, by młodzieniec ten nie zapędził się zbyt daleko, co w istocie byłoby nader niebezpiecznem. Czy mogłem jednak temu zapobiedz? Dla ks. Lethebego istniał jeden tylko sposób walki ze złem: Zdusić je w zarodku.

Jakim sposobem dowiedział się o miejscu ich zebrań — tego nie wiem.

Popołudnie niedzielne bywało ich porą. Zbierali się pod pozorem wyścigów na wzgórzach i polowania na króliki. Czy to przypadkowo, czy rozmyślnie, ks. Letheby znalazł się na miejscu zebrania około godz. 4-ej po południu. Wysoki wał i szereg jodeł zakrywał go przed oczyma zebranych. Przemawiał właśnie krawiec wioskowy

utykający na jedną nogę i z tego powodu przezywany powszechnie kulasem.

— Obywatele rodacy,—mówił— pora czynu nadeszła. Z krańca w kraniec kraju uciskani niewolnicy irlandzcy powstają milionami. Zbyt długo oszukiwano ich fałszywemi obietnicami, zbyt długo najemnicy angielscy obałamucali ich i zwodzili. Wiemy, co to za chimera, co za oszustwo, ten cały, obiecany nam Home Rule (samorząd). Kraj nasz wyzyskują na korzyść własną stronnictwa angielskie. Ale wszystko to już mija. Żadnej agitacyi konstytucyjnej, żadnej walki pokojowej! Ołów uczyni to, czego nie mogły uczynić piękne przemówienia. A jeżeli owe zastępy czarne, otrzymujące rozkazy z Rzymu, zechcą nam tym razem przeszkodzić, to znajdziemy środek i na nich. Zachód się budzi i bądźcie pewni, że nie uda się księżom zagasić słońca wschodzącego.

Zaledwie mówca wymówił słowa powyższe, gdy uczuł, że go ktoś za kark chwyta i z pagórka torfowego, który służył mu za trybunę, unosi w powietrze.

Zdołał wreszcie obrócić się i poznawszy, iż to ks. Letheby trzyma go tak pomiędzy ziemią a niebem, jęknął przerażony. Ksiądz wikary rzucił go na ziemię, jak szczura. Uczuwszy ziemię pod nogami, Kulas czmychnął, nie oglądając się już po za siebie, a ksiądz zwrócił się ku osłupiałym słuchaczom.

— Bóg jeden wie, chłopcy—przemówił— jak mi was żal bardzo. Jesteście na pochyłości, której końca nie widzicie. Wiem, że byłoby bezcelowem przekonywać was, na jakie narażacie się niebezpieczeństwo; ostrzegam was jednak, że gwałcicie prawa Boga i Kościoła i że żadnego z działalności waszej nie doczekacie się błogosławieństwa. To zaś — przy tych słowach, sięgnął do kieszeni i wyjął niebieski papier urzędowy — dowiedzie wam może, jak jesteście lekkomyślni, oraz że zdrajcy są pomiędzy wami.

Wolno i wyraźnie odczytał następnie ksiądz Letheby listę wszystkich sprzysiężonych w parafii. Młodzieńcy słuchali ponuro, klnąc przez zęby. Zdrada była widoczną, a to ich upakarzało, męczało, zbijało z tropu. Niemniej przecie niektórzy starali się bronić.

— Księża są zawsze przeciwko ludowi! — rzekł na śmiałka wyglądający młodzieniec, który bywał zagranicą.

— Jest to kłamstwo bezczelne, popełniane świadomie! — zawołał ks. Letheby. Wiecie o tem dobrze, iż duchowieństwo walczyło razem z ludem irlandzkim przez siedm wieków za prawa jego cywilne i duchowe. Twój własny ojciec opowiadał mi o czasach, gdy księża przekradać się musieli w przebraniu handlarzy wędrownych dla odprawiania nabożeństwa po farmach. Pokazywał mi też jaskinię na wybrzeżu morskiem, gdzie odprawiała się Msza święta, a rybacy słuchali jej, udając, że zarzucają sieci.

— To prawda, — odpowiedziało kilku młodzieńców, opowiadali nam o tem ojcowie i dziadowie nasi.

— A teraz przyjrzyjcie się skutkom waszej lekkomyślności. Więzienie w Portlandzie lub Dartmoorze, wygnanie do Ameryki bez możności powrotu, oraz uczucie opuszczenia przez Kościół, bo wiecie, że gwałcicie prawa Jego. Nie możecie przystępować do Spowiedzi, wiadomo wam bowiem z góry, że rozgrzeszenia nie otrzymacie; postrachem będziecie sióstr waszych i matek; a to wszystko na rozkaz kilku szubrawców, będących na żołdzie policyi tajnej, oraz z polecenia dzienników, redagowanych przez masonów i żydów!

— Wasza wielebność przesadza! — zawołał jeden z młodzieńców. W Irlandyi niema pism masońskich, ani też żydowskich!

— A więc powiem wam, — odparł ks. Letheby — że na kontynencie europejskim wszystkie większe dzienniki są własnością masonów lub żydów; że cała nienawiść i gorycz, wywołane w ciągu ostatnich lat 50 przeciwko Kościołowi są ich dziełem, że ruch antyklerykalny w Niemczech i Francyi został przez tę prasę starannie przygotowany i popierany; że nienawiść dla Stolicy Apostolskiej jest jej hasłem, i w końcu, że istotnie dzieło to masońskie i żydowskie przedostało się już także do Irlandyi. Dyabelskie dzieła tego piętno widnieje wyraźnie w złośliwych artykułach antyklerykalnych i antyreligijnych, jakie czytacie przy świetle ogniska w kuźni. Jednocześnie zaś ci sami masoni i żydzi wyrabiają paciorki do różańców matek waszych i drukują książki do nabożeństwa, używane

przez was w kościele. Irlandczycy atoli są zawsze głupcami, dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek!

Wspaniały był wprost ów zwrot w przemowie ks. Lethebyego, przypisujący masonom i żydom działalność antyklerykalną z jednej strony, a wyrób paciorków i książek do nabożeństwa — z drugiej. Skoro jednak zastanowimy się nad tem dziwnem zestawieniem, to przyznać musimy, że ksiądz wikary miał słuszność. W istocie bowiem nie jeden mamy dowód na to, iż antykatoliccy działacze w Irlandyi trzymają się tej samej taktyki, jaka podkopała wiarę we Francyi i w niektórych okolicach Włoch; a gdy z jednej strony robią interes na wydawnictwach katolickich, z drugiej rozprzestrzeniają literaturę pornograficzną. Wiedzą oni też dobrze, iż jedyna istnieje tylko droga do podkopania wiary irlandczyków, a tą drogą jest posiew myśli wstrętnych dla moralności katolickiej.

Wystarcza zniszczyć jedynie wały, broniące czystości ducha narodu, by zdobyć całą twierdzę.

Poturbowany przez ks. Lethebyego krawiec przyszedł do mnie na skargę, żądając kategorycznie natychmiastowego „wydalenia“ księdza wikarego, oraz dając do zrozumienia, że postara się o „zasuspendowanie“ go w spełnianiu obowiązków kapłańskich. Gdyby zaś te jego żądania — oświadczył — wypełnione nie były, w takim razie zaskarży księdza wikarego do sądów o napaść i pobicie, oraz zażąda odszkodowania w sumie paru tysięcy funtów.

Słuchałem tych gróźb cierpliwie, w końcu jednakże oświadczyłem, że w każdym razie taki analfabeta jak on nie powinien wygłaszać mów podburzających.

Wyraz „analfabeta“ oburzył go straszliwie. Zaprzeczył mu stanowczo, wołając, iż umie czytać i pisać nie gorzej od pierwszego lepszego księdza!

— A czy potrafisz przeczytać swoje własne pismo? — spytałem.

— Czy potrafię? — Proszę spróbować!

W odpowiedzi podsunąłem mu pod oczy ostatni jego list, pisany do pomocnika inspektora okręgu.

Gdy go ujrzał, sądziłem, że padnie rażony apopleksyą.

— A teraz łotrze — rzekłem, składając i chowając list — przebaczam ci wszystkie niegodziwości i zdradę. Co ks. Letheby z tobą uczyni, to rzecz nie moja. Nie przebaczę ci jednak nigdy, kiepski krawcze, złego kroju sutan moich, nie przebaczę ci również tego, że oto teraz naprzykład wydajesz z siebie woń niby cała gorzelnia. Powiedz mi wreszcie łobuzie jeden, jakie prawo miałeś rozgłaszać w szynku pani Haley, że się powtarzam w kazaniach? Jeżeli ja, mając do tego prawo, jako starzec, uznam za stosowne powtarzać się, by w zakute głowy wasze wpoić zasady chrześcijańskie — co ci do tego cząstko zaledwie człowieka? Czy nie powiedział już Homer nieśmiertelny, iż każdy krawiec to...

— Na miłość Boską! — proszę księdza proboszcza oszczędzać mnie, nigdy już nie uczynię tego.

— Czy obiecujesz krajać mi w przyszłości ubrania z matematyczną ścisłością?

— Obiecuję!

— Czy obiecujesz wyrażać się w przyszłości z całym szacunkiem o mnie i moich kazaniach?

— Obiecuję!

— A więc idź precz! *Exi, erumpe, evade!*

Wieczorem zaproponowałem księdzu wikaremu rozwiązanie następującego zagadnienia: Dla czego denuncyacya złego uczynku jest uważana za większą zbrodnię, niż sam zły uczynek?

Spojrzał na mnie zdziwiony, pytałem więc dalej: Dlaczego powodzenie jest zawsze probierzem zasługi? Dlaczego oszust na olbrzymią skalę nazywa się wielkim finansistą, a biedak, który ukradnie bochenek chleba, łotrem i złodziejem? Dlaczego kłamca genialny jest wielkim dyplomatą, a zwykły krętacz wstrętnym oszustem? Dlaczego Napoleon I-szy jest bohaterem, a włóczęga, który zabija na drodze publicznej okropnym mordercą? Dlaczego Bismarckowi stawia się pomniki za to, że zmiażdżył Francyę, okrywając ją krwią i łachmanami, ugiął pod ciężarem podatków, — wyśmiewał ginące jej dzieci i kłamał w sposób najwstrętniejszy, gdy tymczasem naśladowców jego na małą skalę nazywa się zbrodniarzami? A teraz młodzieńcze słuchaj. Jeżeli przez spokojną, mocną, niczem niezwyciężoną wytrwałość zdołasz zgnieść

i wyplenić to tajne stowarzyszenie u nas, zyskasz sobie podziw wszystkich ludzi. Jeżeli jednak nie uda ci się dokonać tego, zostaniesz ogłoszony za „fanatyka“, twoja energia zaś będzie uważaną za nieostrożność. Nazwą cię ludzie głupcem i spytają, dlaczego biskup pozwala takim ludziom młodym rozporządzać się samodzielnie?

Bo dziś jest zbrodnią u nas być młodym. Jedyny sposób zmycia tej skazy, to powodzenie.

Powiesz, mój księże, iż to wszystko, co teraz rzekłem, jest bardzo pogańskie, zastrzegam przeto, iż nie są to moje zapatrywania. Jeżeli o mnie chodzi, to zgadzam się z ukochanym, bosonogim św. Franciszkiem, wartym więcej, niż pięćdziesięciu Arystotelesów, lub ze św. Tomaszem a Kempis, wartym więcej, niż pięćdziesięciu Platonów, iż człowiek jest tem, czem jest w oczach Boga, niczem więcej.

Chcesz wiedzieć dlaczego zalecam ci rozważanie wszystkich tych trudności spekulatywnie? Oto poprostu pragnę, aby umysł twój nie zardzewiał podczas długich wieczorów zimowych.

ROZDZIAŁ XI.

Naprawa kościoła.

— Nie mogę zrozumieć tych ludzi! — rzekł do mnie ksiądz wikary wkrótce po owem zdarzeniu z członkami stowarzyszenia tajnego. — Takiej mięszaniny pobożności i braku szacunku, niegodziwości i wspaniałomyślności, obłudy i dziecęcej otwartości, nigdy jeszcze nie widziałem. Gdy przystępują w Niedzielę do Komunii św., serce me rozpływa się na na widok seraficznej zaiste łagodności, z jaką podchodzą do Ołtarza. To ich pokorne bicie się w piersi, te wejrzenia poważne i słowa gorące modlitwy sprawiają, iż z całego serca dziękuję Bogu za takich ludzi. Zaledwie jednak Msza św. skończona, a już uciekają wszyscy tak szybko, jak gdyby dach kościelny spadał im na głowy.

Albo ta stara baba, targująca się o kilka pensów przy kupnie paru kurcząt, oddająca zaś wam dnia następnego pończochę, napełnioną pieniędzmi, zebranemi w ciągu całego żywota!

Nie, doprawdy, nie mogę ich zrozumieć.

— Przypuszczam jednak — odparłem, - -że nie znajdujesz, księże, tak gwałtownych kontrastów w protegowanym przez was Jemie Deadym?

Roześmiał się głośno i opowiedział mi ostatnie swe przejścia z tym wioskowym budowniczym.

Jem zgodził się naprawić mur i dach, zaciekający w kaplicy świętego Józefa za 25 szylingów.—Mało to co pra-

wda—mówił—ale co zrobić z człowiekiem, który nie może rozróżnić łopaty od kielni.

W Poniedziałek po południu zapukał Jem do drzwi księdza wikarego.

— No, jakże Jemie, — rzekł ksiądz Letheby wesoło — robota postępuje?

— Doskonale idzie — odparł Jem — ale przyszedłem po drabinę.

— Drabinę? — powtórzył ksiądz wikary.

— Tak, po drabinę, bo muszę dostać się na dach kaplicy.

— Wszak mówiliście przed chwilą, że robota postępuje.

— Ma się rozumieć! Przygotowania wszystkie są ukończone, ale muszę przecież wejść na dach kaplicy.

— Bez wątpienia! Dlaczego więc tam nie wchodzicie?

— Czy wasza wielebność sądzi, że jestem muchą albo orłem?

— Co do tego, to nie!

— A więc człowiek tak znający się na budownictwie, jak wasza wielebność, powinien wiedzieć, że przedewszystkiem jest mi potrzebna drabina.

— Nie zbuduję chyba drabiny na wasze zawołanie!

— Bo też nie potrzeba. Napisze mi wasza wielebność karteczkę do pałacu i drabina będzie.

Mieliśmy powody do nie żądania żadnych grzeczności od pałacu, ale co było robić? Ksiądz Letheby napisał karteczkę.

— Cóż więcej jeszcze żądacie! — zapytał stanowczo.

— To wszystko! Czy wasza wielebność sądzi, że będę co pięć minut żądał czegoś nowego? Życzę długiego życia waszej wielebności.

Około godziny 4-ej po południu drabina pojawiła się na ulicach wioski śród ogólnego zaciekawienia kumoszek i hałasu dzieci. Dwóch ludzi niosło przedni jej koniec, jeden popychał wózek, na którym leżała, a dwóch innych pchało tylny koniec. Za nimi szedł Jem Deady z rękoma w kieszeniach i słomką w ustach.

Ludzie przy drabinie podwoili wysiłki, gdy mijali okna domu księdza wikarego.

O godzinie zaś 6 wieczorem ludzie ci, oraz właściciel wózka, stanęli u drzwi ksiedza Lethebyego.

— Przychodzimy — rzekł jeden z nich — po zapłatę dzienną.

— Tak? A za co żądacie zapłaty?

— Wieźliśmy drabinę z pałacu do kaplicy. Praca to, mówiąc nawiasem, nie lada. Nie powtórzyłbym jej za pięć szylingów!

— Ani ja także!

— Ani ja!

— A więc powiem wam — zawołał ksiądz wikary— że nie uwzględnię bezecnych żądań waszych! Nie ja was wynajmowałem, nie ja płacić będę!

I zatrzasnął im drzwi przed nosem.

Usłyszał też za drzwiami szepty i złorzeczenia, nie zwracał jednak na to uwagi.

— Trzeba im było dać szylinga — rzekłem — a kupiliby sobie łyk piwa i byłbyś miał, księże, przyjaciół, zamiast wrogów!

— Nigdy! — zawołał dumnie z błyskiem w oczach, Nigdy nie przyczynię się do ich demoralizacyi.

Następnego dnia poszedł ksiądz wikary zobaczyć jak postępuje robota przy naprawie dachu.

Nie spostrzeżony wszedł do zakrystyi, skąd mógł widzieć najlepiej, i ujrzał Jema, siedzącego na dachu bezczynnie i rozmawiającego z gronem ludzi, stojących na cmentarzu.

— Jem — wołał jeden z ludzi — nie zabijaj się pracą, życie trzeba brać lekko!

— Co za szkoda — mówił inny, że Jem utracił głos! Mógłby nam zaśpiewać!

— Złóżcie się na kwartę piwa od pani Haley, a zaśpiewam. Inaczej nie mogę. Tu na dachu wściekle jest sucho.

Złożono się istotnie i pchnięto chłopca do szynku pani Haley po piwo, tymczasem zaś przekomarzano się w dalszym ciągu.

— Przysięgłeś, Jemie, nie pić więcej!

— Eh, on przysięga co kwartał!

— Właśnie kwartał skończył się wczoraj.

— Kłamstwo!—zawołał Jem— przysiągłem nie pić w szynku, a to nie szynk, jeno—dzięki Bogu—kościół!

Przy tych słowach wszyscy uchylili kapeluszy.

Ale oto nadbiegł chłopak z piwem. Po drabinie, z wielką ostentacyą, podano dzban Janowi na dach.

Jem przechylił dzban, łyknął spory haust i otworzył usta do śpiewu. W tej chwili atoli ksiądz wikary, nie mogąc patrzeć już dłużej na to widowisko, wyszedł z zakrystyi.

Jem spojrzał z filozoficznym spokojem na księdza, trzymając dzban w ręce. Ludzie, stojący na cmentarzu, znikli bez śladu.

— Panie Deady—rzekł ksiądz wikary — aczkolwiek cenię głos pański bardzo, to jednak nie wynająłem was, zdaje się, po to, byście mieszkańców wioski śpiewem zabawiali, lecz po to, abyście uczciwie wykonali pracę, której podjęliście się za dobrem wynagrodzeniem.

— To dobre! — zawołał Jem bezwstydnie —gdybym był turkiem lub ormiańczykiem, to i wtedy jeszcze nikt nie mógłby mi zabronić zjeść obiadu!

— Ależ to nie jest godzina obiadowa!

— Jak świat światem, godzina obiadu jest pomiędzy 12-tą a 1-szą, chyba że jadałbym w pałacu. Wówczas bowiem, dla mej wygody, odłożyłbym ją do godz. 8-ej wieczorem.

Ksiądz uczuł tę przymówkę.

— I obiad wasz składa się zawsze z kwarty wstrętnego piwska, jakie widzę w tej chwili w waszych rękach?

— Rzeczywiście, wasza wielebność, chyba gdybym był zaproszony na obiad przez kapitana Campiona, to wtedy zapijałbym wino szampańskie!

Dyalog powyższy opowiedział mi mój ksiądz wikary z wielkim gniewem, wykrzykując:

— Nigdy nie widziałem takich ludzi, nie mogę po-prostu ich zrozumieć!

— Czy zechcesz przyjąć, księże, radę odemnie? — zapytałem.

— Z największą chęcią!—odpowiedział łagodnie, jak dziecko.

— A więc dla uczynienia z siebie człowieka doskonałego, braknie ci tylko poskromienia gwałtowno-

ści. Widzę to na każdym kroku. Być może, iż jest to cechą wrodzoną charakteru twego, być jednak również może, iż nabyłeś jej żyjąc życiem gorączkowem miast wielkich. Wyrabiaj przeto w sobie umiejętność chodzenia krokiem wolnym, mówienia wolno i z zastanowieniem.

— Ależ, ojcze, wy mnie skrzydła podcinacie, ołów mi do nóg przywiązujecie!

— Czy słyszałeś kiedy, księże, o Michale Montaigne?—zapytałem jeszcze.

— Tak, nie obcem mi jest nazwisko to, ale też jest to wszystko, co wiem o nim.

— To dosyć, gdyż nie zyskuje wcale na bliższej znajomości. Otóż, ojciec jego nosił podeszwy ołowiane, by wzmocnić sobie nogi i módz skakać wyżej. Tego żądam od ciebie. Ale o czem to mówiliśmy? Aha! Trzeba ludzi naszych brać takimi, jakimi są. Nie zdołasz, księże, w kilka dni odrobić tego, co zdziałały wieki.

— Dobrze, ale w takim razie, dla czego ludzie ci zmieniają się nagle, gdy powędrują do Anglii lub Ameryki, dlaczego stają się tam odrazu cywilizowanymi?

— Istotnie tak jest. Przyczynę zaś tej nagłej przemiany stanowi otoczenie. W naszych atoli warunkach cierpliwość nadzwyczajna jest koniecznością!

— Co jednak trapi mnie najbardziej — odpowiedział ksiądz wikary—to uczucie, że mamy tu materyał na świętych, a tymczasem... weźmy ot naprzykład owego Jema. Nie mówię już o jego bezczelności, lecz o tem krętactwie nieuczciwem!

— Ach, zostaw go w spokoju! W tej chwili trują go już wyrzuty sumienia, skutkiem czego, przybywszy do domu, wyspowiada się ze wszystkiego swej żonie. W odpowiedzi usłyszy potop słów za to, że ośmielił się być bez szacunku względem kapłana. Zmartwi to go jeszcze bardziej, puści się więc dla zagłuszenia wyrzutów sumienia na hulankę i wróciwszy do domu po pijanemu, będzie bił żonę, a w końcu schorowany, upokorzony i żałujący za grzechy, przyjdzie przeprosić was i przysiądz ponownie, że nigdy już pić nie będzie. To jego program.

— To bardzo smutne!—westchnął ksiądz wikary.

Następnej atoli Niedzieli odzyskał całą utraconą powagę i zdobył nieśmiertelną sławę w parafii, gdy podczas partyi piłki nożnej pomiędzy „Siejącymi postrach świątobliwy“ z Kilronanu a „Wilczemi głosami“ z Maydore, pomógł pierwszym do zwycięstwa grą znakomitą i siłą atletyczną.

Mieszkańcy Kilronanu szaleli z radości, a jeden z nich odezwał się w zachwycie:

— Ach! gdyby on zechciał nas poprowadzić!

ROZDZIAŁ XII.

Pewnego dnia na początku Grudnia wybrałem się do mego księdza wikarego.

Był to jeden z owych dni okropnych, co pozostawiają po sobie ślady niezatarte pod postacią drzew pogiętych i połamanych. Wicher południowo-zachodni wył, rzucając potoki deszczu na morze, trzęsawiska i góry. Rowami osady płynęły z szumem strumienie brudnej, brunatnej wody. Żadnego żyjącego stworzenia widać nie było, prócz kaczek, które niewzruszone brodziły po błocie i kwakały jedynie wtedy, gdy silniejsze uderzenie wichru unosiło im pierze i rzucało je z kałuży do kałuży na pustej ulicy.

— Obrzydliwy czas—rzekłem, wchodząc do ks. Lethebyego.

Spojrzał na mnie pytająco. W tej chwili wicher zatrząsł okiennicami i zawył tak, jakgdyby mówił: Wtargnę tu i zepsuję wszystko, czy chcecie, czy nie chcecie.

— Na Jowisza! [1])—zawołał wikary.—Nigdy nie czułem się lepiej. A każde uderzenie burzy, każde zawycie wichru przywiązuje mnie bardziej do tego gniazdka, jakie sobie tu urządziłem.

Istotnie było to gniazdko miłe. Na kominku trzaskał wesoło ogień z węgli kamiennych, torfu i błotnej dę-

[1]) *By Jove!* Żartobliwe zaklęcie anglików, którzy nigdy nie używają w zaklęciach, przez szacunek, Imienia Boskiego.

biny—najprzyjemniejszy ogień w świecie—z każdego kątka wyzierały: czystość, nawet pewna wytworność, ciepło i smak. Obrazy ożywiały białość ścian, otwarty fortepian zapraszał do grania, a wyzłacane okładki czerwone, niebieskie i purpurowe książek w bibliotece migotały w świetle palącego się ognia. Jednem słowem obraz zachwycający, w porównaniu z wichrem szalejącym na dworze.

— Czegóż mi potrzeba? Wygody? Mam ją. Komfortu? Mam go także. Zdrowia? Dzięki Bogu, jest doskonałe. Towarzystwa? Oto tu na półkach mam monarchów świata, gotowych na me zawołanie. Platon, Eschylus, Arystoteles, Wirgil, Dante, Szekspir. Zawołam ich, a otwierają wargi i przemawiają. Chcę być samotnym—powracają na półki ..

Znów wicher uderzył w dom, jak gdyby próbował go przewrócić.

— Niebardzo byłoby przyjemnie zostać teraz wezwanym do chorego—zauważyłem.

— Nie gniewałbym się o to!—odpowiedział.—Ciepło ognia byłoby następnie tem przyjemniejszem. Nic tak nie lubię, jak przechadzkę podczas wichru, tam, pod skałami, na wybrzeżu morskiem, gdy zimno przejmuje, a sól morska na wargach osiada. Co za rozkosz, gdy powróciwszy z takiej przechadzki, człowiek zmieni ubranie i zasiądzie w pokoju ciepłym, przyjemnym. Dziś rano już wychodziłem.

— Dziś rano? Gdzie?—spytałem.

— Do Campionów.

— Żartujesz ksiądz.

— Mówię szczerą prawdę. I wie ksiądz proboszcz po co?

— Nie umiem odgadywać zagadek.

— Czy zna ksiądz proboszcz wdowę po konstablu z Moydore?

— Nigdy o niej nie słyszałem. Ale, ale! Czy to nie ta, która stara się o pozwolenie na sprzedaż trunków?

— Ta sama.

— Możeś jej ksiądz w tem pomógł? Nie, niech Bóg zachowa. To byłby zbyt wielki przeskok.

— A jednak pomogłem.

— Co?!

Ksiądz Letheby spojrzał na mnie zakłopotany, wreszcie rzekł:

— Przepraszam księdza proboszcza, ale opowiem jak to było. Przyszła dziś rano do mnie przemoczona, w ubraniu wystrzępionem. Strój jej wdowi ociekał deszczem. Usiadła tam. Widać jeszcze ślady jej nóg zabłoconych na podłodze. Opowiedziała mi, że mąż jej niedawno umarł, zostawiając ją bez grosza z czworgiem dzieci. Jeżeli—mówiła—ja jej nie dopomogę, to nic jej nie pozostanie, jak szukać schronienia w przytułku. Słyszała o mnie, że jestem dobry, że wszyscy o mnie mówią... Czy uważa ksiądz proboszcz?

Kiwnąłem głową, na znak, że rozumiem.

— W końcu—mówił dalej wikary—oświadczyła mi, że istnieje jedyny tylko sposób przyjścia jej z pomocą, a mianowicie wystaranie się dla niej o pozwolenie na wyszynk piwa i wódki.

Usłyszawszy to, przerwałem jej mowę.

— Kochana kobieto — rzekłem — gdybyście prosili mnie o mianowanie was damą dworską królowej—skutek nie byłby lepszym. A zresztą, prędzej dam sobie prawą rękę odrąbać, niż pozwolę na założenie nowego szynku. Nie! Jestem najzupełniej zdecydowany starać się o to, by w osadzie pozostał co najwyżej szynk jeden tylko!

Patrzała na mnie z rozpaczą. Wreszcie zagrała w niej krew celtycka.

— Bardzo to łatwo, księże wikary, uczyć biedaków nie mających kawałka chleba i dachu nad głową, gdy się posiada i dywany, i obrazy, i fortepian, i bronzowe przybory do kominka; gdybyście jednak, wasza wielebność, mieli, tak jak ja, czworo dzieciaków do wyżywienia, tobyście inaczej śpiewali!

Powstała i zawróciła ku drzwiom.

— Boże ulituj się nad biedakami—rzekła — bo któż im dopomoże, jeżeli nawet księża ich opuszczają!

— Nie wiem, co się ze mną stało; ale słowa te tak na mnie podziałały, że zawołałem:

— Słuchajcie kobieto! Powiedziałem, że nie mogę wam dopomódz do otrzymania pozwolenia na szynk, bo to jest sprzeczne z zasadami mojemi. Więc oto co zrobimy. Pójdę z wami do kapitana Campiona i przedstawię mu

was na zasadzie listu waszego proboszcza. Ale pamiętajcie! Ani słowa nie przemówię w interesie waszym! Rozumiecie?

— Rozumiem, niech Bóg błogosławi waszą wielebność!—odparła. Gniew jej znikł najzupełniej.

I poszliśmy.

Kapitan Campion nie był jeszcze ubrany, zostawiłem więc wdowę w przedpokoju, a sam wyszedłem na dwór i, zatrzymawszy się pod okopem domu, lubowałem się widokiem wzburzonych fal morskich. Minęło może z pół godziny, zanim wróciłem do przedpokoju. Nie potrzebowałem już przedstawiać wdowy, bo sama przedstawiła się kapitanowi i otrzymała od niego obietnicę, że przemówi za nią na pierwszej sesyi komisyi podatkowej. Nigdy jeszcze, doprawdy, nie byłem tak zły i tak szczęśliwy jednocześnie.

Ksiądz Letheby skończył, a ja spojrzałem na niego przygnębiony.

— Źle się dzieje! Ośm szynków w osadzie, liczącej zaledwie trzysta rodzin!

— Niestety!—odparł, jakby czując wyrzuty sumienia.

— Ale—dodał—wizyta moja była za to pod innym względem owocną. Dała mi bowiem dowód, że nawróciłem Campiona!

— Na co?—zawołałem.

— Na drogę obowiązków względem Boga, Kościoła i ludzi.

— To niemożebne! — zawołałem ze zdziwieniem i w jednej chwili stanął w wyobraźni mej obraz szczęścia tej panienki świątobliwej, którą tak okropnie truła niewiara jej ojca. Jakże często, jakże gorąco modliła się o to, jak wiele Mszy świętych ofiarowała i ile razy przyjmowała Komunię świętą na tę intencyę! Ileż to razy widziałem ją, jak po przyjęciu Komunii świętej tkwiła oczyma w Sakramencie Przenajświętszym! Odgadywałem jej myśli, wiedziałem, że puka do serca Jezusowego o tę łaskę. A ileż to razy oczy, prośby i boleści pełne, zwracała ku Matce Boskiej Bolesnej, błagając Ją o usunięcie z jej życia tego zmartwienia. O, gdyby mężczyzni wiedzieli, jak wiele bólu i niepokoju sprawia sercom czułym, które nie śmią ujawnić swych smutków, ich obojętność dla religii

świętej, to, zaprawdę, Kościół nie potrzebowałby opłakiwać tylu niewiernych i buntowniczych swych dzieci!

Rzekłem więc do księdza wikarego:

— Niech was Bóg błogosławi! Jakimże to jednak sposobem dokonaliście tego nawrócenia?

— Była to praca—odparł zarumieniony — nie jednego dnia, ani jednej wizyty. Zakładałem długo szańce dokoła twierdzy! Nakoniec rozpocząłem bombardowanie i twierdza się poddała. Niech mi ksiądz proboszcz powiedzieć raczy, czy słyszał kiedy o „Halcyonie"?

— Czy słyszałem o „Halcyonie"! Czy istnieje mężczyzna, kobieta lub dziecko od skał Moheru do wyspy Achilla, którzyby nie znali tego zgrabnego jachtu i nie wiedzieli, że Campion kocha go więcej niż dziecko własne? Czy nie opowiadano w każdej chacie wzdłuż wybrzeża z dumą i przerażeniem o tem, jak podczas dni burzliwych na falach rozszalałych pędził ten jacht, z rozpostartemi żaglami, znacząc drogę swą smugami piany, niknąc w otchłaniach i wyskakując znowu na szczyty fal! Czy ludzie nie przerywali pracy w polach i oparci na motykach nie spoglądali z przerażeniem na te harce z wichrem po morzu? Czy strażnicy wybrzeży nie śledzili go lunetami i nie wołali: Oto waryat Campion ze swoim dyabłem!

— A cóż wy, księże, wiecie o „Halcyonie"? — zapytałem.

— Wiele ze słyszenia i niemało z doświadczenia własnego!—odparł.

— Nie powiecie chyba, żeście go oglądali.

— Nietylko oglądałem go, ale jeździłem nim i sterowałem; zaznawałem też w nim niemało trwogi i radości, podobnie jak sam Campion!

— To niemożebne! Wszak Campion nikomu, prócz córki, nie pozwala przekroczyć burty swego yachtu!

— A więc powiem księdzu proboszczowi, żem kilkakrotnie jeździł yachtem z kapitanem. Na dowód może ksiądz proboszcz wyegzaminować mnie z wiadomości dotyczących np. rei, masztów i żagli.

Jak widzę, wikary mój zaczyna być wesoły. Prawdę powiedziawszy, nie bardzo mi się to podoba, wolał-

bym, aby umiał zachować godność szaty swojej. Ale cóż— otoczenie! Ciekawy jestem, jak daleko zajdzie!

— Mniejsza o w asze wiadomości marynarskie—rzekłem — powiedzcie mi raczej, księże, jak potrafiliście ujarzmić Campiona!?

— Długa to historya, ale postaram się być treściwym. Wiedziałem, że do każdego serca inna droga prowadzi, postanowiłem więc spróbować i w tym razie drogi właściwej. Do rolnika trafić najlepiej, rozmawiając z nim — o zbiorach, do rybaka — o sieciach, do sportsmana—o koniach. Jest to pewnego rodzaju dyplomacya, bez której wolałbym obyć się, co prawda, ale jest to niemożebne.

— Istotnie — zauważyłem.—Natura ludzka jest bardzo krętą. Pod górę drogą poziomo dostać się nie można.

— Nie lubię cienia nawet podstępu, nienawidzę skrytości, a jednak nie chciałbym aby Campion dowiedział się, że podszedłem go nawet w sposób tak niewinny.

— Człowieku! — zawołałem — nie bądźże dziecinnym z temi skrupułami i nie wystawiaj na próbę cierpliwości słuchacza, który umiera z zaciekawienia. Pomyśleć tylko: ten człowiek potrafił ujarzmić Campiona!

— A więc było to tak: Znałem się cokolwiek na łodziach, zacząłem więc o tem rozmowę z Campionem. — Nie dał się jednakże w z i ą ć na to. Zaszedłem tedy z innej strony. Zapytałem, dlaczego nie bierze udziału w regatach w Galwayn. Odpowiedział, że nie lubi wycieczek po mieliznach wzdłuż brzegów. Wobec tego zauważyłem jaknajspokojniej, iż słyszałem, jakoby *Halcyon* był yachtem dobrym tylko przy lekkim wietrze, przy silnym bowiem kołysze się zanadto. W jednej chwili buchnął gniewem gwałtownym. Na to właśnie czekałem. Zaczeliśmy spór, który tem się skończył, że kapitan zaproponował mi udział w wycieczce yachtem w najbliższy dzień burzliwy.

— Nie wiem, czy pamięta ksiądz proboszcz ową burzę 18-go czy 19-go Września. Była silniejszą, niż sobie tego życzyłem, ale cóż, słowo się rzekło, trzeba go było dotrzymać.

Spotkałem się z kapitanem u rzeczki. Wiatr dął od brzegu. Dopóki yacht płynął w miejscach osłoniętych

skałami, było jeszcze jako tako, z chwilą jednak, gdyśmy wypłynęli na pełne wody, doprawdy, wolałbym wcale nie znać morza. Leżałem na ławce wzdłuż yachtu, a Campion sterował. Od czasu do czasu fale przelewały się przez dziób statku. Byłem przemoczony do nitki, a Campion w ubraniu nieprzemakalnem kpił ze mnie. Od czasu zaś do czasu pytał: Jakże, yacht kołysze się bardzo? Odpowiadałem z krwią zimną i spokojem; wiedziałem bowiem, że wystawia on na próbę moją odwagę, gdy yacht to wznosił się z fali na falę, to opadał w olbrzymie doliny morskie. I wreszcie, w chwili, gdy nagle zmienił się kierunek wiatru, Campion wykręcił sterem tak, że yacht nieomal bokiem położył się na fali, żagiel musnął powierzchnię morza, a chorągiewka u szczytu masztu zanurzyła się w wodzie.

Sądziłem, że jesteśmy zgubieni. Z całej siły uchwyciłem się burty, by nie wpaść do morza, a on patrzał na mnie badawczo. Nagle znów ster wykręcił i yacht wyprostował się na falach.

— Smierć zajrzała nam w oczy — rzekł zimno.

— Rozstalibyśmy się na zawsze — odparłem.

— Dlaczego?

— Bo ja poszedłbym wyżej, a pan niżej.

— Chcesz, ksiądz powiedzieć, że poszedłbym do piekła.

— Ma się rozumieć.

— Nie jestem złym człowiekiem.

— Jesteś! Prześladujesz biedaków, tarzasz ich twarze w błocie; jesteś człowiekiem bez religii, bo nigdy nie przyklękniesz przed Bogiem; jesteś człowiekiem n i e u c z c i w y m, bo oświadczasz, że należysz do wyznawców wiary katolickiej, a tymczasem nauk jej nie słuchasz, przykazań nie zachowujesz!

— Milcz, księże! Nie przywykłem, by w ten sposób do mnie przemawiano!

— Być może! — odparłem — mimo to jednak musisz pan wysłuchać słów moich, bo nie możesz zatkać uszów palcami i jednocześnie sterować *Halcyonem*. Godzina upłynie, zanim przybijemy do brzegu, a przez ten czas musisz pan wysłuchać tego, czegoś jeszcze nigdy nie słyszał!

— Mam wielką chętkę, księże, wyrzucić cię do morza

— Najzupełniej jestem przekonamy, że nie trudno byłoby panu dopuścić się morderstwa, ale i w tym wypadku jesteś pan skrępowany, bo nie możesz wypuścić z ręki lin, kierujących żaglami.

— I zacząłem siec go słowami, jak biczem. Wystawiłem mu, jak strasznie rani serce swego dziecka, i jak okropnie jest znienawidzonym przez mieszkańców wybrzeża; główny jednak nacisk kładłem na n i e u c z c i w o ś ć polegającą na przyznawaniu się do wiary, której się praktyk nie wypełnia Rozgniewałem się na dobre, to też słów nie dobierałem. On słuchał w milczeniu głębokiem, kierując yachtem ku brzegowi. W końcu jednak zawołał.

— Na Jowisza, nigdy nie przypuszczałem, że ksiądz może przemawiać tak ostro do człowieka z lepszej sfery! Ten stary niedołęga...

W tem miejscu przerwał ksiądz wikary opowiadanie i rzekł zmięszany:

— Przepraszam księdza proboszcza, słowa te wyrwały mi się mimowoli.

— Nic nie szkodzi — odparłem — opowiadaj ksiądz dalej.

— Ależ to jest nieprzyzwoite!

— A więc wymagam od was, księże, byście mi powtórzyli co do słowa wszystko, co kapitan powiedział. Przecież to jest właśnie najciekawsze!

— Niechaj tak będzie. Otóż powiedział: Ten stary niedołęga i mól książkowy nigdy nie ośmielił się przemawiać do mnie w ten sposób! — być może jednak, że źle zrozumiałem!

— Bynajmniej!—odrzekłem.—Kapitan miał na myśli mnie, swego proboszcza. „Niedołęgów“ jest więcej w naszej osadzie, wątpię atoli, by znajdował się drugi „mól książkowy“. To ja napewno. Opowiadaj więc, księże wikary, co dalej było.

— A więc znów zamilkł, a potem urywanemi zdaniami mówił sam do siebie: Nigdy nie pomyślałbym tego! Taki chłystek. Na pozór nie potrafiłby trzech zliczyć! Co Bittra powie gdy jej to powtórzę! Nakoniec wpłynęliśmy do ujścia rzeczki i przybiliśmy do brzegu. Wyskoczyłem

na ląd i unosząc kapelusza ruszyłem, nie przemówiwszy słowa, ku domowi. W tem usłyszałem głos za sobą:

— Jedno słówko, księże Letheby! Musicie wstąpić do mego domu i wysuszyć ubranie, inaczej przeziębicie się śmiertelnie.

— O, nic mi nie będzie!—odrzekłem i poszedłem dalej, ale już kapitan był przy mnie.

— Przepraszam was, księże—rzekł—za moją gburowatość... Ale, doprawdy, nikt przed wami nie śmiał przemówić do mnie tak ostro. I powiem otwarcie, podobała mi się ta odwaga, bo my, ludzie z lepszego towarzystwa, niczem tak nie pogardzamy, jak tchórzowstwem. Gdyby wasi konfratrzy mieli więcej odwagi przekonań i występowali do walki przeciwko nam, grzesznikom, z całą śmiałością, to nieraz inny obrót wzięłyby rzeczy. Lubimy ludzi, którzy dają nam dowód, że wierzą w piekło, usuwając nas od niego!

— Ale oto — kończył wikary—zaczynam być samochwalcą. Dodam więc jeszcze tyle tylko, że kapitan obiecał zastanowić się nad tem, co mu powiedziałem, a ja wymogłem na nim, iż stawi się w kościele na Boże Narodzenie.

Ksiądz Letheby skończył, a ja pogrążyłem się w zadumie.

— Doskonała to nauka—rzekłem wreszcie.—Nie robimy sobie wcale skrupułów, gdy mamy zganić prostaka, ale boimy się drażnić możnych tego świata! I dlatego lekceważą nas za nasze tchórzowstwo! Czy nie prawda? Dzielny z was człowiek, księże! Jakże się ucieszy biedna Bittra!

ROZDZIAŁ XIII.

To i owo.

Wikary przyszedł do mnie i spędziłem z nim wieczór tak przyjemny, jak rzadko. Sądzę, że i on jest zadowolony, bo więcej sprawił mi przyjemności, niż ja jemu. My, starzy, jesteśmy gadatliwi i bardziej zakochani w przeszłości niż w teraźniejszości, a to drażni tych, którzy mają oczy zwrócone ku pełnej najpiękniejszych nadziei przyszłości.

Słynny epilog trzeciej księgi ód Horacyusza był przedmiotem rozpraw naszych tego wieczora.

Zastanawiając się nad pewnością, jaką miał ten poeta, co do nieśmiertelności—nieśmiertelności sławy jedynie, bo tylko w taką nieśmiertelność wierzył—zauważyłem, że ludzie dobijają się zawsze o coś, gdy jednak cel pragnień osiągną, wówczas lekceważą go i stają się dlań obojętni.

— Przypominam sobie—rzekłem—pewnego starego księdza, który bardzo się gniewał o to, że go nie mianowano kanonikiem, zapytywałem go też nieraz, co mu z tego przyjdzie? Odpowiadał, że chciałby przynajmniej umrzeć z tym tytułem. Nareszcie otrzymał godność pożądaną, ale już po kilku miesiącach żałował dziewięciu funtów, jakie zapłacił za odznaki.

— Czy sądzisz ksiądz proboszcz, że byłby zadowolony, gdyby mógł powrócić znów do stanu zwykłego sługi Bożego?—spytał ksiądz wikary.

— Bezwątpienia. Otrzymał zadośćuczynienie i to mu wystarczało.

— Musi w tem coś być istotnie, bo oto przypominam sobie ów wiersz pełen goryczy o sławie, napisany przez Tennysona wtedy właśnie, gdy poeta był u szczytu sławy. Sława—pisze—to zazdrość równych, obojętność wyższych, a uwielbienie ze strony tych, którymi się pomiata. Żałował też poezyj napisanych i gotów był całą swą sławę oddać za 5000 funtów szterlingów dochodu rocznego.

— A więc co z tego wynika? Co przyszło z tego Horacemu, że w ośmset lat po jego śmierci, biedny, stary ksiądz na krańcu ziemi zachwyca się jego utworami? — rzekłem zamyślony.

— Nic a nic! Ale pragnienia takie są bodźcami czynów ludzkich, a więc i postępu ludzkości wówczas, gdy nie działa dźwignia ludzkości największa: religia.

— I sądzisz, księże, iż Bóg dopuszcza je właśnie dlatego?

— Przypuszczam, Ale, ale, zapomniałem powinszować księdzu proboszczowi doskonałego smaku, okazanego w umeblowaniu tego saloniku. Doprawdy, urządził sobie ksiądz proboszcz gniazdko wytworne!

— Niestety, tak! Ale zato wygoda poszła precz! I kto temu winien jeżeli nie wy, niegodziwcze! Bo i po co wprowadziliście tu cywilizacyę waszą, bez której było nam tak dobrze! Hanna nie mogła zasnąć, dopóki nie doszła do tego, że moja siedziba stała się podobną do waszych wspaniałych apartamentów. A gdy zjawił się zbytek, wygoda ulotniła się przez okna. Bóg świadkiem co cierpię od dni czternastu! Muszę wycierać nogi o słomiankę na progu, wieszać kapelusz na wieszadle w przedpokoju, chodzić na palcach po tych wywoskowanych posadzkach. Boję się usiąść na filigranowych krzesełkach, by ich nie pogruchotać. Boję się powstać, by się nie poślizgnąć i nie połamać starych kości. Boję się jeść, aby nie powalać nowych serwet. Boję się pić, aby nie popękały mi w rękach nowe, wyzłacane filiżanki. Dopiero, gdy jestem w łóżku, czuję się bezpieczny. Com ja wam, księże Letheby, zawinił, że was tutaj przysłano?

— Jest to—odparł ze śmiechem—powszechne prawo odwetu. Ale, na seryo, wszystko co tu widzę, jest pełne

smaku i ładne. Z czasem przyzwyczai się ksiądz proboszcz do tego. Wie bo przecież ksiądz proboszcz o owym żartobliwym argumencie przeciwko potępieniu wiecznemu, że człowiek przyzwyczaja się ostatecznie do wszystkiego.

— Nie mogę zapomnieć o tym biednym Lloydzie — rzekłem, zmieniając tok rozmowy. — Czy nie jest to przykre, że dokument tak bardzo osobisty, jak ów list, stał się własnością publiczną i jest dyskutowany w pięćdziesiąt lat po śmierci autora przez dwóch księży na zachodniem wybrzeżu Irlandyi? Do kogo list ów był pisany?

— Do sir Roberta Peela. ówczesnego premiera.

— Miałem przyjaciela młodości — rzekłem — który bardzo lubił dawać rady; zdaje się nawet, że zwyczaj ten po nim odziedziczyłem. Otóż przyjaciel ten mądrość swą zawarł w zdaniach następujacych:

Nie radź się lekarza.

Nie ręcz za nikogo.

Nie pisz listów, których nie możnaby odczytać głośno na placu publicznym.

— Mam nadzieję, że ksiądz proboszcz stosował się do rad tak zbawiennych.

— Właśnie że nie, i żałuję tego.

Zagłębiliśmy się w rozmyślaniach.

— Nie łatwą jest rzeczą dla nas, księży, przyjmować rady—przemówił wreszcie wikary.— Czynności nasze tak pełne są godności, że wprost nie rozumiemy, jak można dawać nam napomnienia. Zdaje się, że to dziekan Stanley powiedział, iż duchowieństwo anglikańskie odznacza się gładkością dlatego, ponieważ w stosunkach domowych zmuszone jest nieraz słuchać wymówek i rad, które są tak potrzebne w życiu i że właśnie brak tego czynnika powoduje tyle sęków i narośli w naszem życiu towarzyskiem.

— Prawda, a jednak odmawiamy innym prawa robienia nam wymówek. Biskup co prawda ma do tego prawo i jest to jego obowiązkiem; ale słowa biskupie uderzają jak młot, to też nie spieszy się z wymówkami. Gorszem atoli dzisiaj jest to, że nawet proboszcz nie śmie czynić wymówek swemu wikaremu.

— Przepraszam — przerwał żywo wikary — uczyni mi ksiądz proboszcz wielką łaskę, strofując za lekkomyślność lub sprzeczności w postępowaniu.

— I przyjmiesz ksiądz wymówkę taką chętnie?

— Tego nie powiem, w każdym jednak razie przyjmę ją z szacunkiem.

— Dobrze. A więc zaczynamy. Porzućcie zwyczaj picia kawy i wypijmy po szklance zacnego ponczu!

Roześmiał się głośno i dźwięcznie. Wiedział, co żądza posiadania tajemnicy przyrządzania kawy kosztowała moją Hannę, bo Hanna dziwnie przywiązała się do księdza wikarego. Sprowadził jej nowy gatunek tabaki i pochwalił jej kuchnię. I oto stał się dziw! Hanna, gospodyni proboszcza, poszła pierwsza z wizytą do służącej księdza wikarego. Ogromne to ustępstwo było wynikiem głębokiego namysłu. I utworzyło się nowe przymierze—używając języka dyplomacyi europejskiej—przymierze podwójne. A prostem jego następstwem były narady kilkodniowe i ostatecznie zdobyła Hanna nagrodę za swą pokorę — bo pokora przynosi nagrodę nawet w tem życiu doczesnem — zdołała umeblować siedzibę moją *á la mode*, a nadto nauczyła się sposobu przyrządzania kawy, co jest w Irlandyi rzadkością.

Ma się rozumieć, że to wszystko nie obeszło się bez przykrości, boć nie bardzo przyjemnem jest, gdy konfrater jaki, wszedłszy do mego mieszkania, staje na progu osłupiały lub przeciągłym gwizdem daje wyraz swemu zdziwieniu. Albo owe sarkastyczne uwagi mieszkańców osady: Oho! — Hanna nie dostanie po starym ani pensa! Oho, stary spodziewa się chyba zwiększenia pensyi! Oho, Kilronan odnawia się nie na żarty! A pewna stara kobieta, która od czasu do czasu otrzymuje za mojem pośrednictwem wsparcia od krewnych z Ameryki, przekonana jest, żem przywłaszczył sobie pieniądze dla niej przysłane; to też trzy razy na tydzień zjawia się u mnie i mówi:

— Czy nadszedł list, wasza wielebność? Nie wezmę za złe waszej wielebności, jeżeli pieniądze są wydane. I owszem, wasza wielebność może używać z nich na swe potrzeby wiele zechce, mam jednak nadzieję, że nie opuści mnie w potrzebie, a przytem nie chciałabym, aby Marya myślała, że jestem niewdzięczna!...

I tak przywykłem do tych odwiedzin, że nie zaprzeczam już nawet, iż żadnego listu nie otrzymałem od Ma-

ryi z Ameryki. Chłopcy jednak, zbierający się w kuźni, doprowadzają biedną kobietę do rozpaczy.

— Słuchaj — dogadują jej — skąd nasz proboszcz wziął pieniądze na te piękne meble? Biedna Katy, nigdy już nie otrzymacie pieniędzy z Ameryki! Wiecie co, Katy? — poskarżcie się biskupowi, a on krzywdę waszą naprawi!

Do wszystkich tych przykrości dołączyła się jeszcze i ta, że rachunek za meble okazał się dwa razy wyższym, niż przypuszczałem. Co się stało z owemi pięćdziesięcioma funtami, jakie na odprawienie kilku Mszy za duszę moją zaoszczędziłem? Ani śladu po nich już niema!

— Powiem szczerze—zauważyłem, mieszając cukier łyżeczką w filiżance,—że nie lubię kawy. Napój to wcale nie towarzyski. Czyni człowieka ostrożnym, gdy tymczasem pod potężnym, podniecającym wpływem napoju wyrobu krajowego człowiek czuje potrzebę wywnętrzenia się wypowiedzenia swych uczuć. Dam wam, księże wikary, radę: porzućcie to lekarstwo tureckie i powróćcie do obyczajów ojców waszych, jeżeli chcecie mieć powodzenie w życiu.

— Jestem zanadto irlandczykiem, aby tak postąpić— odpowiedział, jak mi się zdawało, bez związku. Po chwili jednak dodał sarkastycznie:

— Gotów byłbym jeszcze wspominać przodków swoich i prosić, by mi na nogi następowano!

— A jednak dobrze byłoby, abyście, księże, nie poniewierali tradycyi. Myśmy także mieli dni nasze.

Zadumałem się wspominając dawne czasy.

— Nigdy zapewne nie spaliście, księże, w piecu wapiennym? — spytałem w końcu, budząc się z długiej zadumy.

— Niech mnie Bóg broni! — odparł zdziwiony.

— A ja spałem. — Zdarzyło się to w sposób następujący: Była mniej więcej godzina 10 w nocy, gdym przybył do starego proboszcza, na pierwszą w mem życiu posadę. Pukam, stukam, pukam—nikt nie odpowiada. Gdyby jednak pukanie moje odniosło było nawet i skutek, to i wtedy zdałoby się nie na wiele, bo mieszkanie ks. L. składało się z jednego pokoju i kuchni. Wreszcie odprawiłem woźnicę, pozostawiłem kuferek u drzwi i puściłem

się na włóczęgę w noc ciemną. Nie śmiałem zapukać do któregokolwiek z farmerów, gdyż były to czasy rozruchów i mógłbym był snadnie, zamiast powitania, otrzymać naboj śrutu lub uderzenie widłami. Noc była mroźna i gwiaździsta. Po dłuższej wędrówce, natrafiłem na wapniarnię. Ludzie, wypalający wapno odeszli widać niedawno, bo w piecu paliło się jeszcze. Wszedłem do nizkiego, sklepionego wejścia. Przyjemne ciepło ogarnęło mnie, położyłem się tedy na ziemi, wyjąłem różaniec i odmawiając pacierze zasnąłem.

Obudziły mnie głosy:

— Wynieś mi się zaraz stamtąd włóczęgo! Umykaj! Opuściłem więc legowisko.

— Mój Boże, wszak to ksiądz! — zawołali robotnicy.

Zmieniły się czasy! Ale i myśmy znosili ciężary i myśmy cierpieli!

Głębokie milczenie, przerywane jedynie trzeszczeniem torfu i drzewa płonącego w kominku zaległo pokój. Wreszcie przemówiłem:

Zechciejcie, księże, podać mi z półki tę książeczkę w oprawie skórzanej. To „*Pars Verna*“. Dziękuję. Książeczka ta przebyła ciekawe przygody. Była towarzyszką mą w niejednem przejściu przykrem. W czasach owych opuszczałem zwykle dom o godzinie 6 rano, by stanąć o siódmej tam, gdzie odprawiało się nabożeństwo. Spowiedzi słuchaliśmy od siódmej rano do trzeciej po południu z małą przerwą na śniadanie.

— Przepraszam księdza proboszcza, ale czy to może bne, aby ludzie czekali naczczo do trzeciej po południu na przyjęcie Komunii świętej?

— Tak, kochany młodzieńcze, zdarzało się to codziennie. Pamiętam nabożeństwo misyjne w miasteczku N., gdzie byłem wikaryuszem w 1854 r. Pewnego wieczora, śmiertelnie znużony, szedłem przez kościół do zakrystyi, gdy zbliżył się do mnie wysoki, biednie odziany człowiek. W tej chwili właśnie wybiło wpół do jedenastej.

— Prosiłbym o udzielenie mi Komunii świętej—przemówił.

Zdenerwowany zmęczeniem, odparłem opryskliwie:

— Zwyczajem jest w Kościele katolickim przyjmowania Komuni św. na czczo!—przypuszczałem bowiem, że człowiek ten zjawił się w kościele po dobrej kolacyi.

— Jeżeli o to chodzi—rzekł — to proszę księdza, abym mógł komunikować się każdej chwili w ciągu ostatnich trzech dni, gdyż Bóg mi świadkiem, że przez cały ten czas, żadna potrawa, ani nawet łyżka wody, nie tknęła ust moich!

Ale wracajmy do rzeczy. Mój Boże, jakże łatwo odchodzę od przedmiotu!

Po trzeciej szedłem do chorych i, czy uwierzysz księże, że nieraz całą noc spędzałem poza domem, chodząc od chaty do chaty, oddalonych nieraz po sześć i siedm mil (ang.) jedna od drugiej! Jakże często powracałem rano, gdy skowronki śpiewały ponad rolą, a słońce było już wysoko. Otwórzcie książkę.

Otworzył. Kartki były niemal tak czarne jak okładka i przylegały jedna do drugiej.

— Deszcz i wiatr irlandzki! Nie łatwo to było odmawiać modlitwy poranne, trzymając w jednej ręce książkę, a w drugiej cugle konia, podczas gdy wicher wśród gór harcował. A czy nie jesteście czasem, księże, manichejczykiem?

Spojrzał na mnie pytająco.

— Bo może widzicie postać Mefistofelesa, unoszącą się w parze buchającej z mojej szklanki ponczu?

— Ach, bynajmniej! Ksiądz proboszcz ma swoje upodobania, a ja swoje. I moje zaś i księdza proboszcza są nieszkodliwe. Nie używam trunków alkoholicznych, bo zwykle pracuję do późna w nocy, pragnę przeto mieć umysł trzeźwy.

— A więc tak bardzo pracujecie? Bóg z wami! Widziałem wasze notatki. Nie zapominajcie jednak o greckim. Język francuski jest językiem dyplomacyi, włoski — miłości, niemiecki —filozofii, łaciński—Kościoła, grecki —badań naukowych. Pamiętam jednak, że niegdyś gorliwość moja do nauki greckiego zdwoiła się, gdym przeczytał u któregoś z autorów wschodnich, że język ten jest tem dla wschodu, czem łacina dla zachodu.

— To prawda—rzekł, czerwieniąc się ksiądz wikary.— Otrzymałem pierwszy na całą Irlandyę medal za język

grecki, a jednak, gdym zabrał się niedawno do tak łatwego autora, jak Homer, *c'etait du grec pour moi*!

Przy tych słowach, Hanna otworzyła drzwi.

— Czy ksiądz nie pozwoli drugiej filiżanki kawy?

Oczekując na odpowiedź, poprawiła ogień w kominku tak, że płomienie strzeliły wesoło w górę, następnie rozświetliła lampę i kręciła się po pokoju tu i owdzie. Najwidoczniej nudziło się jej w kuchni.

— Dobrze Hanno—rzekł ksiądz wikary — napiję się jeszcze kawy. Zrobiłaś ze mnie zdecydowanego zwolennika wstrzemięźliwości. Nawet nie myślę o ponczu, gdy mam przed sobą wonny napój przez ciebie przyrządzany.

— A jednak przyznam się waszej wielebności, że w jednej kropelce wódki jest więcej życia. Zresztą, jak wasza wielebność uważa. Wszystko w tym domu jest na jego usługi.

Nie po raz to pierwszy Hanna przemawiała w ten sposób, pozwalając przypuszczać, że jest właścicielką mieszkania mego. Ale trudno. Odzywa się w niej nasz irlandzki niby „komunizm".

— Nie potrzebujecie, księże, martwić się z tego powodu — rzekłem, powracając do przerwanego wątku rozmowy — bo niedawno nie kto inny, jak lord Dufferin oświadczył, że aczkolwiek otrzymał stopień naukowy za rozprawę grecką, to jednakże tak potem zapomniał tego języka, iż musiał uczyć się go ponownie.

— Cieszy mnie, że to słyszę—odparł ksiądz wikary,

— A gdy znów posiądziecie znajomość języka greckiego, to zużytkujecie ją w kierunku, który wam najbardziej przydać się może.

Spojrzał pytająco.

— Poznajcie greckich Ojców Kościoła! Wierz mi ksiądz, że jest w nich więcej poezyi, nauki, filozofii i teologii, niż w całej literaturze nowoczesnej, zacząwszy od Szekspira. My jednak o tem nie wiemy; wiedzą za to dobrze duchowni anglikańscy. Podejrzewam, że niejedno ich piękne kazanie, niejeden uczony traktat, stamtąd został wzięty.

Zdaje się, że znużyłem biedaka wszystkiemi temi radami. Istotnie, umysł jego jest raczej praktyczny niż teo-

retyczny, bo oto zasypał mnie gradem pytań o parafii, które wprawiły mnie w zdumienie.

Czy syn Pata Herlihyego przystępował już do Komunii św.? Czy nie dobrze byłoby rozpocząć wykłady przygotowawcze do pierwszej Spowiedzi? Słyszał, że w szynku na drogach rozstajnych, t. j. w połowie drogi do Moydore, była całonocna zabawa taneczna. Dlaczego proboszcz z Moydore jej nie przeszkodził? Czy znam upośledzonego na umyśle Winfrieda Zane, mieszkającego w górach? Nie podobał mu się jeden z nauczycieli. Uważa, że jest niegrzeczny. Co było przyczyną oziębienia stosunków pomiędzy Learyemi i Shea'ami. Czy to, że przed laty 60 jeden z rodziny Shea'ów zasiadał na ławie przysięgłych podczas procesu, w którym jeden z Learych został skazany? Co słychać o moście przez strumień górski pod Slievorgue? Napisał do inżyniera. Czy sądzę, że zakonnice w Galway przyjmą nowicyuszkę? Słyszał, że pewien zakon z Nowej Zelandyi przyjmował dziewczęta...

— Drogi przyjacielu—rzekłem, odpowiedziawszy nie tęgo na cały ten szereg interpelacyi — wiem, że jesteś świętym, a skutkiem tego obdarzony władzą przebywania w kilku miejscowościach jednocześnie. Nie wiedziałem jednak, że potrafisz dyktować sześciu sekretarzom naraz jak Juljusz Cezar lub Suarez!

A gdy wstał i zabierał się do wyjścia, zapytałem:

— Jakim sposobem w ciągu tak krótkiego czasu zdobyliście, księże, tak szczegółową znajomość parafii?

— Oto — odpowiedział, zawiązując na szyi chustkę jedwabną — byłem raz świadkiem rewii wojskowej w Anglii, zaproszony przez oficerów katolików. Stałem blizko księcia Cambridge Książę zawołał:

— Kto dowodzi tą kompanią?

— „Ja, panie!—odparł jeden z oficerów.

— „Jak się nazywa trzeci żołnierz na prawem skrzydle? Żonaty czy kawaler? Jak długo służy? Jak się sprawuje? Czem jest z powołania?".

Dokładność z jaką oficer odpowiedział na wszystkie pytania wprowadziła mnie wprost w osłupienie. I zapytałem wówczas sam siebie, czy moglibyśmy tak samo dokładnie odpowiedzieć, gdyby nasz Wódz Naczelny spytał nas o naszych żołnierzy? Oto dlaczego postanowiłem sobie

poznać jaknajprędzej nazwisko, dzieje, stan każdego mężczyzny, każdej kobiety, każdego dziecka w tej parafii!

— I dopięliście tego—zawołałem z podziwem.—Znacie ich lepiej, niż ja, który wśród nich spędziłem 30 lat życia. Ale nie mogłem powstrzymać się od udzielenia mu małej rady:

— Jeżeli będziecie—rzekłem—proszeni o poręczenie w sprawach pieniężnych, nie dawajcie go; jeżeli ujrzycie, że na ulicy biją się dwa koguty, a skutkiem tego stosunki dyplomatyczne pomiędzy sąsiadami są przerwane — nie wchodźcie w to, po której stronie są prawa etyki i moralności; jeżeli przypadkowo pani Gallagher wyleje kubeł z pomyjami na ulicę w tym właśnie momencie psychologicznym, w którym pani Casey przechodzi ulicą i jeżeli skutkiem tego suknia tej ostatniej zostanie zniszczona, a wy, księże, ujrzycie zaćmienie słońca ieusłyszycie huk piorunów—nie odkładajcie na bok Eschylesa i nie biegnijcie godzić furyi; jeżeli pani Deady...

— Dziękuję, dziękuję księdzu proboszczowi! Niech się ksiądz proboszcz nie obawia, już ja sobie dam radę!

Zamknąłem drzwi za tą piękną, męską postacią i wróciłem do fotelu, szepcąc:

— *Paphémata — maphémata!* Tak będzie do końca świata, o Ojcze dziejów!

ROZDZIAŁ XIV.

Pierwsze Piątki.

Zauważyłem, że dziwna zmiana objawia się we mnie w miarę jak postępują te urywki pamięciowe z dziennika mojego i staram się też nadać im kształt pewien. Czuję, jak gdybym budził się ze snu hypnotycznego i odzyskiwał władzę utraconą. I wszystkie myśli i pragnienia, ba, nawet zdolności z przed laty trzydziestu powracają, żądając miejsc sobie należnych, niby władca zdetronizowany, pragnący choć raz jeszcze przed śmiercią zasiąść na tronie i ująć berło. Budzą się wszystkie idee i wszystkie komórki mózgowe wydają swą zawartość, jak gdybym użył względem nich magicznego zaklęcia. Nawet mechaniczna sztuka pisania, o której mówią, że jej nigdy zupełnie utracić nie można, przenika palce zesztywniałe skutkiem reumatyzmu, w miarę, jak atrament z pióra mego spływa na papier.

Niektórzy mówią, że przechodzę już w stan drugiego dzieciństwa. Nie odczuwam tego, ale gdyby nawet i tak było, nie szemrałbym przeciwko temu, bo, dzięki Bogu, potrafiłem zachować, pomimo wszelkich kolei losu i burzy myśli, czystość dziecka w mem sercu.

Zajmuje mnie wszystko co ludzkie. Krnąbrność ludzkości wywołuje uśmiech na mej twarzy i niema słabości

tak wielkiej, dla którejbym nie uczuwał żalu; niema szaleństwa, któremubym nie współczuł, cierpliwie oczekując wyroków Boskich. Tymczasem zaś spoglądam na wszystko *sub specie aeternitatis* i we własnej próżni życia znajduję wciąż nowy powód do pokory.

Bóg okazał swą dobroć, nasyłając mi tego młodego kapłana, by powołał do życia przeszłość moją. Pragniemy zachować przytomność umysłu do śmierci. Jakże szczęśliwy jestem, żem do przytomności powrócił po śnie trzydziestoletnim!

Prawda, że od czasu do czasu zakłóca mi ów młody kapłan wygodę letargu starości i wzdycham jeszcze czasem za chwilami błogiego spokoju. Podwoił, potroił zatoliczbę Spowiedzi sobotnich i Komunii niedzielnych. Posiadł serca młodzieży. Każe im wciąż o męstwie Chrystusa Pana, o Jego miłości prawdy, nieustraszoności, łagodności. Kładzie nacisk na to, że Chrystus Pan szczególnie młodzież umiłował, o czem świadczy sposób, w jaki wybierał apostołów i przywiązał do świętej swej Osoby. To też konfesyonał jego obleganý jest co sobotę wieczorem przez cichych, pokornych, pełnych nabożeństwa młodzieńców, oczekujących kolei przy mdłem świetle dwóch świec, przedmiotu niezadowolenia oszczędnej pani Darcy.

— Dlaczego marnować aż dwie świece! — mawia zakrystyanka.—Jedna wystarczyłaby najzupełniej.

Zgodziła się wreszcie na dwie, bo tak chciał ksiądz wikary, a najmniejsze życzenie jego jest dziś dla niej rozkazem.

Tak więc mężczyźni i młodzież idą spowiadać się do księdza Lethebyego, stare niewiasty za to i dzieci do mnie. Powiadają, że ostre słowo „starego“ nie tak razi, jak pańska mowa księdza wikarego.

Gdyby się tak mój Anioł Stróż spytał co mi dolega, nie umiałbym odpowiedzieć, gdyż nigdy nie kończę tego strasznego a tak świętego obowiązku słuchania Spowiedzi bez uczucia najgłębszego upokorzenia. Lekka głuchota jednego ucha i potrzeba wyciągnięcia czasem nogi, w której mam reumatyzm, czyni dla mnie konfesyonał niewygodnym. To też zasiadam zwykle na fotelu pod posągiem Matki Boskiej, otulony płaszczem, który spędził ze mną

nie jedną noc w górach. Dziatwa podchodzi do mnie bez cienia trwogi, stąpając niezgrabnie po dywanie, jakgdyby pod nim znajdowały się igły i szpilki; gdy zaś stanie u fotela, składa brudne rączki, otrząsa z twarzy niesforne włosy i, patrząc mi prosto w oczy opowiada Bogu i mnie grzechy swoje. Mój Boże! co to za grzechy! Bieda i niewinność pracowały ręka w rękę, by duszyczki te uczynić anielskiemi, by z oczu tych przebłyskiwało światło wewnętrzne. Przez drobne ciałka prześwieca płomień świętości i wiary, jak przez opalowe ścianki lamp z porcelany sewrskiej. A gdy dam rozgrzeszenie, dziewczynki mówią mi: — Dziękuję, ojcze!—chłopcy zaś: — To dobrze! — takim tonem jakgdyby chcieli dodać: — Stary przyjacielu!

Po nich nadchodzą stare niewiasty. Obawiając się dotknąć nogami dywanu, stąpają po wywoskowanej posadzce, zostawiając na niej szerokie plamy błota. Następnie przechylają się w tył, odmawiając po celtycku wyznanie wiary, poczem znów prostują się, przybierają postawę pełną godności i, poprawiając chustki na głowach, stoją niby prawnicy, mający przemawiać przed sądem. Wreszcie zbliżają się do mnie, by — nic nie powiedzieć! Bóg z niemi! Niewinne dusze. I na co tyle przygotowań? Nie dziw,że mój wikary powiada, iż mamy materyał, przy pomocy którego możnaby uczynić z Irlandyi nowy cud świata, zamienić ją na wyspę świętych. A jednakże brak jest czegoś! Oświadcza mi czasem, że czuje jakgdyby pracował w ciemności. Nie może przeniknąć charakteru tych ludzi. Jest w nich jakaś zagadka, jakaś tajemnica. Jest jakiś świat myśli i uczuć ukryty, nie ujawniony. Gdzież klucz do tej zagadki? Ksiądz Letheby szuka go wszędzie, ale znaleźć nie może.

Dla mnie jest bardzo łaskawy i czuły. Gdy zaczął specyalne nabożeństwo dziewięciotygodniowe ku czci Serca Jezusowego, poruszył wszystkich. Obiecywali sobie zbawienie wieczne, jeżeli w ciągu tego nabożeństwa, co Piątek, przystąpią do Komunii świętej.

Pewnego Czwartku wieczorem, gdy wiatr wył smutnie, deszcz uderzał w szyby, a wesoły ogień płonął na mym kominku, usłyszałem ciche stukanie we drzwi. Odłożyłem „Myśli“ Pascala, do których czuję dziwną predylekcyę, aczkolwiek nie lubię człowieka, który je napisał.

— Kilkoro dzieci pragnie pomówić z księdzem proboszczem — rzekła Hanna — ale nie przypuszczam, by ksiądz proboszcz chciał wyjść z domu na taką niepogodę!

— Przyślij je tutaj, zobaczymy!—odpowiedziałem.

Weszły nieśmiało, pchając jedno drugie i rozglądając się ciekawie po pokoju.

— Czego to chcecie? — rzekłem, zwracając się ku nim.

— Chcieliśmy wyspowiadać się, ojcze.

— Czy spodziewacie się życie dzisiaj zakończyć, że tak gwałtownie pragniecie Spowiedzi?

— Nie, ale jutro, ojcze, przypada pierwszy Piątek.

— Przypuśćmy, więc co z tego?

— Obchodzimy nabożeństwo dziewięciotygodniowe, jeżeli więc opuścimy jeden Piątek, to musimy zaczynać od początku.

— Pobiegnijcie do księdza Letheby'ego, on was wyspowiada.

— Ksiądz Letheby jest w konfesyonale, a przytem— tu uśmiech wykwitł na ustach dzieciaków — wolimy wyspowiadać się przed księdzem proboszczem.

— I nie żal wam wyciągać z domu takiego staruszka jak ja na taką słotę i trzymać go w zimnym kościele do późnej nocy?

— Nie zatrzymamy waszej wielebności długo. Byliśmy u Spowiedzi zeszłego miesiąca.

— A więc dobrze. Idźcie do kościoła, ja przyjdę tam niedługo. Przygotujcie się tymczasem.

— Dobrze, wasza wielebność!

— Chyba ksiądz proboszcz zmysły postradał—rzekła Hanna, gdy drzwi zamknęły się za dziećmi – żeby wychodzić z domu na taki czas. O, gdybym wiedziała po co te dzieciaki przyszły, nigdybym ich za próg nie wpuściła. Zachciało się im co tydzień Spowiedzi, jakgdyby raz na miesiąc nie wystarczało! Nie, doprawdy, małe dziecko więcej dba o swe zdrowie, niż ksiądz proboszcz. Dobrze, dobrze, niech tak będzie, a potem, przez całą zimę katar i zaziębienie!

Gderając tak, przyniosła mi buty, płaszcz, szalik i parasol, a gdym zanurzył się w ciemnościach nocy, słyszałem jeszcze za sobą ubolewania „na te nowe fantazye"!

Niepostrzeżenie, jak sądziłem, wsunąłem się do kościoła, zaledwie jednak usiadłem, drzwi konfesyonału księdza Letheby'ego otworzyły się nagle, szybkim krokiem, powiewając stułą purpurową, wybiegł ksiądz wikary z konfesyonału i przypadł do mnie z wymówkami.

— Jest to poprostu najwyższą nierozwagą, księże proboszczu, ażeby w taką noc wychodzić z ciepłego pokoju. Gdym prosił księdza proboszcza o pozwolenie na to nabożeństwo dziewięciotygodniowe, przez myśl mi nie przeszło, by od niego żądać czegoś podobnego!

— Nic nie szkodzi—odparłem.—Czy myślicie, księże, iż pozwolę, abyście przezemnie skoczyli do Nieba? A zresztą, te dzieciaki nie zajmą mi wiele czasu.

Dzieciaki patrzały z przestrachem na gniewną twarz księdza wikarego.

—W takim razie—zawołał—poproszę księdza proboszcza o pozwolenie zaniechania nadal tego nabożeństwa.

— Idźcie księże do swego konfesyonału. Będzie jeszcze czas pomówić o tem.

Widziałem, że był bardzo zagniewany, powrócił jednak do przerwanej pracy. Moja była rychło skończona. Podchodząc do drzwi rzuciłem raz jeszcze okiem na kościół. Przed wielkim ołtarzem połyskiwała, jak gwiazdka, lampa czerwona, a dalej nieco paliły się dwie świece woskowe, rzucające blade światło na malowane filary i na ciemne sylwetki ludzi, siedzących w równych rzędach po bokach konfesyonału księdza wikarego. Od czasu do czasu powstawał penitent i zasłaniając sobą światła świec, przechodził do balustrady przed ołtarzem, by odmówić modlitwę. Czasem przemknęła się mała postać dziecka i znikała w ciemności. Głęboką ciszę przerywało tylko głośniejsze słowo modlitwy lub westchnienie. Potężna praca dopełniała się w tej ciszy i zdawało mi się, że niezrównana Ofiara ze szczytu Kalwaryi dokonywa się ot tu, między nami, że ten młody kapłan w konfesyonale zbiera Krew Chrystusową z trawy, kamieni, drzewa i z gwoździ ostrych, i z włóczni, i z włosów płaczącej Maryi Magdaleny, i że skrapia nią łagodnie serca tych młodych wieśniaków. I pomyślałem, jak wielkiem szaleństwem jest nie widzieć, że to przyjęcie na siebie największego przywileju Boga — przywileju Łaski, jest samo w sobie najwyższym

dowodem dogmatycznym boskiego pochodzenia Kościoła; bo czyż ośmieliłaby się jakakolwiek instytucya ludzka uzurpować sobie godność tak wyniosłą i przywłaszczać sobie prawo tak olbrzymiej mocy?

Przykląkłem i odwróciłem się, by wyjść z kościoła, gdy nagle uczułem, że ktoś pociągnął mnie zlekka za ubranie. Spojrzałem na dół i dostrzegłem postać ciemną skuloną u nóg moich. Sądziłem w pierwszej chwili, że to jedno z dzieci, które zwykle oczekiwały na przywilej ujęcia za rękę swego proboszcza i przeprowadzenia go do domu śród ciemności. Nie było to jednak dziecko, lecz ktoś dorosły, jak zmiarkowałem z konturów ubrania. Czekałem, ale postać nie wyrzekła ani słowa, coś tylko, jakby odgłos łkania, odbiło mi się o uszy.

— Kto jesteś i czego życzysz sobie?—spytałem wreszcie.

— Ojcze, ojcze, ulituj się nademną!

— Nie wiem, kto jesteś—odparłem—i dlaczego prosisz o litość. Powstań,niech wiem, z kim mam do czynienia!

— Znasz mnie, ojcze, zbyt dobrze! Czyż na zawsze mam być potępioną?

Poznałem wreszcie Nance, tę samą, która szła za księdzem Tomaszem i błogosławiła go tego wieczora, gdy odjeżdżał od nas. Mnie zato nie błogosławiła i nie śmiała przemawiać do mnie, gdyż byłem zmuszony publicznie napiętnować biedną. Być może, istotnie, zbyt ostro i dobitnie mówiłem o niej — bo jakże trudno pohamować się w gorliwości, jakże łatwo przejść do nadużycia jej, do gniewu!

Nance przeto czuła strach przedemną i jedyną była w osadzie osobą, która nie śmiała przemówić do mnie.

— Po coś tu przyszła? — spytałem łagodnie.

— Po com tu przyszła? Dziwnie brzmi to pytanie w ustach kapłana. Czego pragnęło biedne stworzenie, które przyszło do większego niż wy, księże, Mocarza i On stworzenia tego nie odtrącił?

— To prawda, Nance, ale kobieta ta żałowała za grzechy, kochała Chrystusa i raczej śmierć ponieść była gotowa niż zgrzeszyć ponownie.

— A skąd wiecie, ojcze wielebny, iż ja tego samego nie pragnę? Czy wiecie więcej, niż Bóg nad nami, a On

jest świadkiem moim: na Mękę Syna Jego przeto przysięgam, że ogień piekielny nie doprowadzi już mnie do upadku!

Głos jej przy tych słowach zamienił się w szept cichy.

— Ogień piekielny — powiedziałam? O nie, nie obawiam się ognia piekielnego, lecz oblicza Boga i — waszego, księże proboszczu!...

Nachyliłem się i podniosłem ją łagodnie.

Ten uczynek, tak naturalny, wzburzył ją widocznie do głębi, bo wybuchła płaczem gwałtownym, namiętnym.

— O księże, księże! Gdybyście byli przemówili tak do mnie trzy miesiące temu, iluż oszczędzilibyście mi boleści! Mieliście jednak dla mnie, wasza wielebność, tylko słowa ostre i doprowadziliście mnie do szału, mówiąc, że nie godna jestem słuchać Mszy świętej. Ileż to nocy, o chłodzie i głodzie, spędziłam tutaj, u drzwi kościoła, i prosiłam Boga by mnie wpuścił. Ale ręka Jego była przeciwko mnie, tak jak wasza, księże proboszczu, i wejść nie śmiałam! A ileż to razy przez dziurkę od klucza wrót kościelnych patrzałam na serce Jego płonące i sądziłam, że zstąpi do mnie i przemówi, gdy Go nikt widzieć nie będzie. Nie przyszedł jednak, nie przyszedł! I On i wy, księże proboszczu, byliście przeciwko mnie. A gdy o rosie porannej przychodziła zakrystyanka, uciekałam znów do nory swojej!

— Mów ciszej, Nance—szepnąłem, gdy głos jej jakby świstem rozlegał się w ciemności, — bo usłyszą cię mężczyzni.

— Gorsze rzeczy słyszeli odemnie, niż to, co mówię w tej chwili. Tak mi Boże dopomóż! Nie dbam o nich, ani o to, co czynią. Ale, gdy dziewczęta omijają mnie zdaleka, by nie spotkać się ze mną, gdy matki zakrywają fartuchami oczy dzieciom swoim, by na mnie nie spojrzały, to strasznie, strasznie! I doszło do tego, księże proboszczu, że często, gdy wyście w łóżku wygodnie spali, ja stałam tam, na tych skałach w dole, i słuchałam głosu wołającego na mnie oceanu, i widziałam czołgające się ku mnie fale zgłodniałe i zdawało się, że już nic, nic niema pomiędzy mną a piekłem, jednak...

Przy tych słowach rozpięła stanik i wyjąwszy zawieszony na piersi szkaplerz pocałowała go gorąco.

— O, gdyby nie to, gdyby nie ta rzecz święta, przepadłabym na wieki! Szkaplerz mnie powstrzymywał i wołałam z całej duszy: Nigdy, nigdy! — i znów zwracałam twarz do świata tak niemiłosiernego dla mnie!

Uczułem lekką woń alkoholu, gdy to mówiła.

— Ładny to początek, Nance!—przychodzić tu wprost z szynku!

— To pani Haley dała mi kieliszek taki, jak naparstek, abym miała odwagę przyjść tutaj i stanąć przed waszą wielebnością!

— A więc, co będzie? Czy zmienisz, Nance, sposób życia?

— Czy przyszłabym tutaj, gdybym nie pragnęła tego?

— I zdecydujesz się przystąpić do Spowiedzi jaknajprędzej?

— Jaknajprędzej? W tej chwili, księże proboszczu, i wdzięczna będę Bogu za tę Jego łaskę.

— Poproszę w takim razie księdza Letheby'ego, by przyszedł tutaj i wysłuchał cię Spowiedzi.

— Jeżeli to uczynicie, księże proboszczu, natychmiast opuszczę kościół i nie zjawię się więcej!

Przy tych słowach poprawiła chustkę na głowie, tak, jakgdyby zabierała się do wyjścia.

— Cóż ci zawinił ks. Letheby? Wszyscy go lubią.

— Być może. Ale każde jego spojrzenie, każde słowo, jakie wyrzekł do mnie od czasu przybycia do tej parafii, były dla mnie trucizną!

— Musisz chyba wiedzieć — dodałem, by wybadać, czy strach przedemną nie wpłynie na szczerość Spowiedzi — że i ja mam język ostry.

— Nic nie szkodzi—odparła—wszak mówią, że groźba wasza, księże proboszczu, jest gorszą, niż kara.

I oto w tę noc ciemną, zimową, wysłuchałem dziejów boleści i żalu. A dziękując Bogu za tę owieczkę nawróconą, czułem się bardziej niż kiedykolwiek winnym i upokorzonym: *Caritas erga homines, sicut caritas Dei erga nos!* Oto był mój tekst ulubiony, wynik całej filozofii spekulatywnej. Przypominałem go nieraz innym, nawet księdzu

Letheby'emu, gdy przychodził do mnie żalić się na krętactwa tych ludzi lekkomyślnych o bujnej wyobraźni. „Jeżeli Bóg na wysokościach—mówiłem—jest tak pobłażliwy na złość niewymowną tego świata; jeżeli spokojnie patrzy na okropną orgię grzechu tu, na ziemi, w jej miastach, wsiach i osadach — wstrętne pogaństwo i wstrętniejsze jeszcze od niego zepsucie świata chrześciańskiego — to dlaczego my mamy być zrzędami niecierpliwemi? A jeżeli Chrystus był tak łagodny i czuły dla tych plugawych, złowonnych, trędowatych i niewdzięcznych żydów — to dlaczego my nie mamy być pobłażliwymi dla grzechów powszednich ludu świątobliwego?

I byłem zmuszony przyznać, że z dumy i drażliwości ku poniżeniu nie godności Boga, lecz naszego własnego stanu, zapominamy o powołaniu i obowiązkach naszych.

Skoro zaś przypomniałem sobie, jak często w zimowe poranki niedzielne, gdy deszcz lał jak z cebra, a uliczki osady zamieniały się w strumienie, widziałem włościan, robotników, stare kobiety i młode dziewczęta przemoczone do nitki, przychodzące do kościoła z najodleglejszych zakątków gór; i jak często, odmawiając modlitwy przed Mszą świętą, patrzałem w kościele na unoszącą się z ich ubrań przemoczonych parę gęstą, podobną do dymu kadzideł; — to mimowoli przychodziło mi na myśl, jak łatwem powinno być dla nas przebaczanie lekkomyślności i nierozważnych słabostek takim ludziom, jak dziękować powinniśmy Bogu, że wyznaczył nam wśród nich stanowisko.

Bardziej niż ona byłem skruszony, słuchając grzechów tej biednej wykolejonej, bo każdy wyrzut, jaki z jej ust padał, odbijał się echem w ciszy świątyni i mnie czynił współwinnym. Wzruszenie moje zwiększyło się, gdym nalegał by przystąpiła nazajutrz do Komunii świętej.

Myśl przystąpienia do Stołu Pańskiego przejmowała ją wprost przerażeniem.

— Może za kilka miesięcy, ale jutro — nie, nie!

Przestrach jej był okropny:

— Ojcze, On mnie zabije, jak zabił kłamcę!

Uspakajałem ją.

— Ojcze, ludzie powiedzieli, że Ciało Pańskie krwią ocieknie. gdybym ja go dotknęła!

Przemawiałem i przekonywałem ją łagodnie, tak, że w końcu skrupuły jej przybrały postać więcej naturalną.

— Ludzie powstaną z miejsc i opuszczą kościół!

Potem uparła się, mówiąc, że nie ma ubrania. Po wielu wreszcie trudnościach, powołując się na jej pokorę i chęć odbycia pokuty, zdołałem ją przekonać, że powinna przystąpić do ołtarza przynajmniej wtedy, gdy inni pobożni otrzymają już Przenajświętszy Sakrament.

Nazajutrz lekki szmer rozległ się w kościele, gdy przystępujący do Komunii świętej odeszli od ołtarza, a ja czekałem, trzymając Przenajświętszy Sakrament zwrócony do ludzi. Zdziwienie ogólne malowało się na twarzach. Nagle, z najciemniejszego zakątka kościoła, postać okryta szalem zbliżyła się zwolna boczną nawą do ołtarza. Wszyscy odgadli, że to Nance. Uczucie pogardy zamieniło się w litość, głęboką litość. W kościele słychać było wyraźnie chrząknięcia ludzi wzruszonych.

Gradem staczały się łzy po twarzy biednej grzesznicy, gdym kładł jej na język Ciało Pańskie. Przyjąwszy Je wstała, widocznie wzmocniona, i cichym, wolnym, ale już pewnym krokiem wróciła na swe miejsce.

Gdy odchodziła od ołtarza, zauważyłem nowy, czarny szal na jej ramionach. Domyśliłem się kto był ofiarodawcą. Uprzedziło mnie czułe, zacne serce nad wszystkiem czuwającego wikarego.

Wybuchem gniewu powitała mnie Hanna, gdym wrócił późną nocą, przemoczony, do domu.

— Niema o czem mówić, Hanno — rzekłem, po wyczerpaniu przez nią całego słownika wymówek — nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się dokonać piękniejszej pracy.

Spojrzała na mnie bystro i snać, kobiecym instynktem wiedziona, coś odgadła, bo rzekła pokornie:

— Dzięki Ci Boże!

ROZDZIAŁ XV.

Przed Bożem Narodzeniem.

Postępy moje i mego wikarego w pracy nad autorami greckimi nie są ani tak wielkie, ani tak ciągłe, jak to sobie zapowiadaliśmy. To z tego, to z owego powodu odbiegamy od przedmiotu lekcyj naszych wieczornych. Zaczynam przekonywać się, że wikary mój ma skłonności bardziej nowoczesne, a raczej, że posiada skłonność do studyów mniej archaicznych lecz zato bardziej zajmujących. Co do mnie, to przeczytawszy gdzieś, że litery hebrajskie z owemi maleńkiemi punkcikami, oznaczającemi samogłoski, doprowadziły do ślepoty niejednego uczonego pełnego zapału, wyobrażałem sobie teraz, że litery greckie są również dla mego starego wzroku zbyt męczące.

W każdym razie niech czytelnik nie spieszy się z wydaniem sądu o nas i niechaj nie woła: Wiedziałem, że tak będzie! Bo aczkolwiek trudno przypuścić, abym w 73-cim roku życia odżywił w sobie zapał do greckiego i abyśmy we dwóch zdołali istotnie utworzyć akademię w Kilronanie, to jednak pragnąłbym, aby czytelnik mógł odczytać, taki naprzykład, przekład „Snu Atossy“, dokonany przez mego wikarego lub mój przekład „Prometeusza“; — mniejsza wszakże o to! Marność nad marnościami, jak mówi Pismo.

Dziwną melancholię, prawie smutek odczuwam, gdy nadchodzi Boże Narodzenie. Nie wiem, czy jest to skutkiem tej ponurej, wiecznie płaczącej pory roku od Listopada do Kwietnia, czy też wspomnień, jakie się przy tem święcie zjawiają—dość, że otacza mnie jakaś nieokreślona tęsknota, zwiększona jeszcze przeczuciem, iż w przyszłości wielka ta uroczystość chrześcijańska zamieni się na zwykłe świętowanie, tracąc charakter tkliwy i tak pełen świętości.

Bo czyż nie jest to zjawiskiem wymownem, że rządy wciąż obecnie zwiększają liczbę świąt świeckich, a faryzeusze oburzają się na próżniactwo i demoralizacyę katolików z powodu tych kilku dni w ciągu roku, poświęcanych Synowi Bożemu?

Nie! Obowiązkiem naszym jest zachowywać tradycyę. A tradycyą dla mnie jest odczytywanie przy nadchodzącem święcie Bożego Narodzenia wszystkiego, co się tyczy tego najtkliwszego i najważniejszego zdarzenia w dziejach ludzkości.

O tym zwyczaju moim i zasadach, tyczących się dnia tego Wielkiego, mówiłem z wikarym wieczorem w Niedzielę, poprzedzającą pierwsze za jego bytności święta Bożego Narodzenia i wnet potoczyła się rozmowa o dawnych proroctwach i podaniach, o podróżach do Betleemu, wreszcie o świętokradzkiem panowaniu mahometan w miejscach świętych Przy wspomnieniu o tem, zaiskrzyły się oczy księdza wikarego i zdało mi się, że widzę przed sobą Piotra pustelnika, którego drżące usta szepcą: *Deus vult!*

Mój Boże! co to za wspaniała rzecz ten entuzyazm młodości, ten szlachetny idealizm, nie oglądający się na skutki, widzący jeno w pobudce palec Boży i nie dbający o nic więcej!

— Podajcie mi, księże, Wirgilego—rzekłem, by zapobiedz wybuchowi; gdy bowiem mój wikary wybuchnie na temat o nowoczesnem zwyrodnieniu, — to nieprzyjemnie, zaprawdę, słuchać słów jego.

— A teraz oszczędźcie mi, księże, starych mych oczu i odczytajcie z przejęciem ten ustęp z czwartego eklogu, w którym znajduje się przepowiednia o nadejściu Chrystusa.

Wikary czytał głosem dźwięcznym:

Ultima Cumaci venit jam carminis aetas;
Magnus ab integro saeclorum nascitur ordo
Jam redit et Virgo, redeunt Saturnia regna;
Jam nova progenies coelo demittitur alto.

A gdy doszedł do dwuwiersza następującego, powtarzałem go za nim, jak modlitwę:

„O mihi tam longae maneat pars ultima vitae
Spiritus et quantum sat erit tua dicere facta.“

— Nie dziw, — rzekł skończywszy — że w wiekach średnich, w tych wiekach światła, Wirgila uważano niemal za świętego. Dzisiaj zato stosowniejszem byłoby chyba marzenie o Chrysusie umierającym. Boć wprost okropnem jest, jak ludzie oddalają się od Niego. Ot, naprzykład, Ormsby, ten spokojny, jawny niedowiarek! I niema najzupełniej środka, by przeszkodzić małżeństwu jego z panną Campion!

— Co? Ormsby, niedowiarek, żeni się z panną Campion! Jakim sposobem wszystko to było dotychczas tajemnicą dla mnie? — zawołałem.

— Sądziłem, że wspominałem już o tem księdzu proboszczowi, — odparł nieśmiało. — A jeżeli nie wspomniałem, to chyba dlatego, że mam wciąż tyle do roboty! Małżeństwo panny Campion z Ormsbym odbędzie się za kilka tygodni, jeżeli...

— Jeżeli nie nadużywam — przerwałem trochę urażony — zaufania, jakie w was pokłada młoda para, to radbym wiedzieć, od jak dawna istnieje ów projekt matrymonialny i co kapitan Campion o tem myśli?

— Jak widzę — odparł wikary — ksiądz proboszcz czuje słuszną do mnie urazę za to, że nie wspomniałem mu wcześniej o tej sprawie, ale doprawdy, wydawała mi się tak nieprzyjemną! O ile mi się zdaje, ksiądz proboszcz żywił nadzieję, iż panna Campion zostanie mniszką?

— Niech Bóg zachowa! — zawołałem gorąco — nie życzę sobie bynajmniej, aby wszystkie nasze najlepsze dziewczęta zostawały mniszkami. Żywiłem zawsze nadzieję, że panna Campion wyjdzie za uczciwego, katoli-

ckiego irlandczyka, jakim jest naprzykład naczelnik w Kilkech.

— Neil Cullen? Campion nie może słuchać o nim. Nie przebaczył mu dotychczas tego, że nie chciał strzelać, rugując opierających się dzierżawców w Labbawally dwa czy trzy lata temu.

— A cóż myśli osoba najbardziej w tej sprawie interesowana?

— Zdaje mi się, że Ormsby podoba jej się bardzo. Stary lubi go także i zapewne zamieszka z nim razem. Panna prosiła mnie, abym uczynił wszystko, co mogę dla nawrócenia Ormsbyego na wiarę prawdziwą.

— Ach, ta koteczka!—zawołałem—ktoby o tem pomyślał! Byłoby to nieźle, boć z litością patrzę na jej życie z tym starym wilkiem morskim, z tym wikingiem o czarnej grzywie! Ale do rzeczy, bo sprawa jest ważna. Pomówmy spokojnie. Kim jest właściwie ów Ormsby? Czy zna go ksiądz osobiście?

— Rozmawiałem z nim kilkakrotnie. Jest to młodzieniec wykształcony, przystojny, dobrze wychowany, przyzwoity. Posiada majątek, dający mu 200 funtów rocznie, prócz tego ma dobrą płacę, jako inspektor straży nadbrzeżnej i wreszcie ma piękne widoki na przyszłość, ale w nic nie wierzy...

— I zdaje się, nie wierzył nigdy.

— Przeciwnie. Wychowany był ściśle według zasad ewangelickich, niemal kalwińskich. Zaczął jednak potem wiele czytać i stał się niedowiarkiem, jak tylu innych.

— Dajcie mu, księże, co do czytania. Ma się rozumieć, że niema pojęcia o wierze naszej. Niech ją pozna, a stanie się jej wyznawcą.

— Niestety, tu jest właśnie sęk. Czytał wszystko. Podróżował po całym świecie i na przekór zacnej maksymie: *Coelum, non animum mutant*—czerpał wyznanie z otoczenia. W Londynie był teozofistą, w San Francisco wyznawcą sekty „Nowego Swiatła“, w Kairze muzułmaninem, w lasach Ceylonu buddystą, albowiem nauka Buddy uczyniła na nim wielkie wrażenie siłą swą tajemną i filofią spokojną; zdaje mi się nawet — tu ksiądz wikary głos

zniżył tajemniczo — że dostąpił tam zaszczytu pocałowania zęba Buddy!

— Doprawdy? I co mu z tego przyszło?

— Chyba niewiele i chyba tylko tyle, że stwierdził ewangelię sceptyków: „Istnieją na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofii naszej!“

— Hm, a więc tak rzeczy stoją? I na tego to włóczęgę padł wybór najmilszej naszej parafianki? Cóż teraz począć, by uczynić z niego katolika? Czy ma uprzedzenie do nas?

— Bynajmniej. Przeciwnie, lubi nas bardzo. Przyjmowany był w całym świecie bardzo gościnnie przez księży katolickich i powiada, że jesteśmy „paczką“ ludzi zacnych i wesołych.

— Hm, sądzę, że nie tak wyobrażał nas sobie św. Alfons z Liguori lub św. Karol Boromeusz, ale mniejsza o to. Czy wie, co wyznajemy i w co wierzymy?

— Najdokładniej. Czytał najlepsze nasze dzieła.

— Czy rozmawiał o tem z katolikami?

— Bardzo dużo; dowodzenia ich jednak nie zrobiły na nim wrażenia. A zresztą, czy może człowiek zostać katolikiem, jeżeli obcuje z takim Campionem!

— To prawda, choć nie wypada tak mówić już o tym, którego nawróciłeś ksiądz przecież. A czy rozmawialiście, księże, z Ormsbym o wierze?

— A jakże. Kilkakrotnie wracaliśmy razem wieczorami ścieżką skalną, w dół, do stacyi straży nadbrzeżnej.

— I o cóż mu właściwie chodzi? Czy wierzy w nieśmiertelność duszy?

— Trafił ksiądz proboszcz w sedno. To szkopuł najważniejszy i jak go przekonać pod tym względem, doprawdy, nie wiem. Pytałem go nieraz, czy nie posiada samowiedzy, to jest, czy nie jest moralnie przekonany o tem, że musi istnieć coś, jakieś *Ego*, na zewnątrz i poza mózgiem, oraz siły pośledniejsze, rozkazujące obu tym władzom? Że istnieje jakaś Istota intelektualna, wywołująca pamięć i rozwijająca jej działanie? Czy nie czuje tego, czy nie wie o tem, że może panować nad czynnościami swego mózgu, a nawet nad czynnościami każdej jego części? Jeżeli zaś twierdzi, że mózg jest materyą

niemą, nie mogącą tworzyć myśli, to gdzież jest to chcenie, czy inny czynnik, który myśl tworzy? Czynnik ten nie może być wytworem mózgu, bo w takim razie materya tworzyłaby myśl, a więc byłaby twórcą i tworem jednocześnie.

— Cóż na to odpowiedział?

— Słuchał uważnie, a w końcu rzekł spokojnie: Bardzo dobrze. Ale jeżeli *Ego* jest czemś innem niż mózg, i posiada samowiedzę, to gdzież podziewa się ta samowiedza, gdy mózg staje się anemicznym i śpi, lub gdy władze są zachloroformowane? — Oh!—odparłem—w takim razie organ jest zamknięty, klawisze nie działają! —Dobrze, ale gdzież się podziewa działacz?... Przyparł mnie do muru i ot, co powiem, ojcze Danie: Choćby mnie ksiądz proboszcz zdrajcą miał nazwać, rzucam w kąt Eschylesa i zabieram się do studyowania tego, co jest dla nas, księży, przedewszystkiem potrzebne!

— Mały ten wypadek nie powinien was, księże, wcale niepokoić. Odpowiedź znajdziecie w każdym podręczniku filozofii katolickiej.

— Jakiż podręcznik filozofii katolickiej w języku angielskim mógłbym doradzić Ormsbyemu?

— Doprawdy, młody przyjacielu, nie wiem. Istnieje pod tym względem wielka luka. Nie możesz mu dać do rąk w pergamin oprawnego foljału Suareza, bo może nie rozumie po łacinie. Nie znam absolutnie żadnej książki, którą mógłbyś dać wykształconemu niekatolikowi, oprócz Balmeza „Listów do sceptyka“.

— On i to czytał!—odrzekł ksiądz wikary.

Zamilkliśmy obaj.

— A jednak sądzę — rzekł wreszcie po dłuższej przerwie, jakgdyby myśl jakąś głośno uzasadniał — że te zastrzeżenia i dowodzenia nie mają najmniejszej wartości. Przekonałem się już w życiu, że wiara jest czystym, bezwzględnie czystym darem Wszechmogącego i że nabyć jej nie można przez studya i naukę, jeno przez modlitwę; dlatego też pokładam nadzieję w Panu naszym i Jego Matce Przenajświętszej.

— Głęboka i słuszna uwaga — odrzekłem, gdy powstawał by odejść—uczyń więc, księże, aby dzieci modli-

ły się, odmawiały Różaniec na tę intencyę. Pan Bóg nie odmawia ich prośbom.

— Ale, ale—zawołał, płaszcz nakładając—ciekawem jest to, że pomimo niedowiarstwa, Ormsby jest bardzo zabobonny. Nie uwierzysz ksiądz proboszcz, jak przejął się słowami niezrozumiałemi tej starej czarownicy, co konie kulawe zamawia. — Cóż mu powiedziała?

— Mowa jej zakrawała na wyrocznię. Żartem dał jej sześć pensów, a ona spojrzała na niego tak, jakgdy by nie wiedziała o czem myśli, zbadała szczegółowo linie jego ręki i wreszcie wygłosiła, jak Sybilla, słowa następujące:

— Miej mocne serce na stromej drodze.

Nie wywarły słowa te na nim wrażenia, więc rzekła:

— Kto cierpi, zwycięża.

— Najzupełniej zgodził się na to zdanie. Jako marynarz odczuwał prawdę w nim zawartą.

— Ale biały materyał nie zgodzi się nigdy na plamę — dodała w końcu.

To go uderzyło.

— Jestem szczery — mówił do mnie — przyznaję się do wad i słabostek ludzkich, nigdy jednak nie uczyniłem nic niehonorowego. Co więc miało znaczyć to zdanie? — Znaczyło—odparłem — żeś pan nie dawał jej dostępu do stacyi nadbrzeżnej, żeś nie pozwalał jej tumanić ludzi, będących pod twemi rozkazami, ani też żon ich lub dzieci; żeś przez to pozbawił ją niejednej sześciopensówki, musiała więc zemścić się na panu. Nie myśl o tem i koniec.— Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, księże — rzekł na to i powtarzał bez końca: „Ale biały materyał nie zgodzi się nigdy na plamę"—co to znaczyć może?

— Stara to historya! — rzekłem, gdy wikary skończył.—Takim samym był Wolter. A nie zapomnij, księże, o modlitwach dzieci.

ROZDZIAŁ XVI.

Boże Narodzenie.

W wigilię Bożego Narodzenia przyszedł do mnie ksiądz wikary w samo południe. Mieliśmy razem słuchać spowiedzi. Był czegoś zamyślony.

— W kościele—rzekł—spotka ksiądz proboszcz pannę Campion. Opowie ona zapewne wszystko.

— Na co sobie psuć krew?—zawołałem, by rozweselić wikarego. — Doprawdy, nie rozumiem, po co Ormsby jeździł aż na Ceylon, by poznać naukę Buddy i Nirwannę. Wszak mamy to pod bokiem. Patrzcie.

Naprzeciw plebanii, pod nagim murem, stało trzech ludzi, niedaleko jeden od drugiego. Nogi mieli rozstawione i spoglądali na drogę z tak filozoficznym spokojem, jakgdyby ciężary tego świata ważyły dla nich tyle, co puch na piórze. Z krwią zimną, krytycznie rozważali każdy kamyk, każdą grudkę, nie poruszywszy nawet głową, nie wyjmując rąk z kieszeni. Trwało to już od rana.

— Mój Boże! — zawołał ksiądz Letheby, gdym mu tych ludzi wskazał—to okropne!

— Nie, to wspaniałe!—rzekłem.

— I twierdzi ksiądz proboszcz, że sterczą tak już od rana?

— Daję księdzu na to słowo, a wiecie, że ludzie powołują się na mą prawdomówność. „Mówi zawsze prawdę, jak nasz proboszcz!“ — powiadają.

Wszędzie widzę tę śpiączkę szczególną!—zawołał, jak zwykle, z uniesieniem. Gdy jadę drogą, łeb mojego konia zawadza niemal o dyszel wozu, jadącego naprzeciwko, zanim jego właściciel ocknie się z odrętwienia i ściągnie leniwie lejce. Niech gdziekolwiek wstąpię, by odwiedzić chorego, sługa mój stajenny zasypia na koźle natychmiast, jak ów tłusty chłopak z „Klubu Pickwicka". Nad brzegiem morza ludziska śpią całemi dniami na piasku, w łodziach swych lub pod niemi. Dziwię się, doprawdy, że Charcot nie przysyła do Irlandyi wszystkich swych chorych nerwowych. Powietrze tutejsze nietylko uspokaja, ale usypia. Spokój tu panuje przedziwny, sen nieśmiertelnych!

Panna Campion z przyjaciółką swą, panną Leslie, która przybyła do niej z Dublina, zajęte były gorliwie przybieraniem kościoła na święta. Pani Darcy pomagała im w tej pracy, ale, sądzę, niebardzo była z niej rada, bo zapatrywania panny Campion i pani Darcy na piękno różnią się bardzo. Panna Campion powściągliwą jest i skromną, pani Darcy — głośną i manifestacyjną: panna Campion lubi mozajki i miniatury, pani Darcy afisze cyrkowe i obrazy w panoramach. Gdzie poprzednio pani Darcy stawiała ogromne pęki ostrokrzewu i bluszczu, tam panna Campion układa zaledwie po kilka listków z czerwonemi jagódkami pośrodku. Pani Darcy jest tem najwidoczniej zniechęcona i uważa sobie za obowiązek przyganiać:

— Panienka nie powinna tak bardzo oszczędzać ostrokrzewu. To niewiele kosztuje.

— Więc pani sądzi, pani Darcy, że tak nie będzie ładnie?

— Owszem, ale przecież proboszczowi nie chodzi wcale o oszczędność. Na Boże Narodzenie jest bardzo szczodry!

Przyznam się, że nieładnie to ze strony pani Darcy posądzać mnie o rozrzutność, ale mniejsza o to, dość, że z przygnębieniem patrzała na masę zieleni zalegającą podłogę kościoła.

Panna Champion zauważyła to niezadowolenie.

— Czy dekoracya nieładna? A może pani doradzi nam coś jeszcze?— zapytała zakrystyanki.

— Sądzę, panienko, że wszystko jest bardzo ładnie, zdałoby się jednak trochę ostrokrzewu do korony Matki Boskiej i gałązka do rączki Dzieciątka Jezus, bo kiedyż, jeżeli nie na Boże Narodzenie należy się Im ta ozdoba?

Panna Champion uczyniła zadość temu żądaniu pobożnemu i rzekła:

— A teraz, pani Darcy, ustawimy kilka gałęzi u drzwi kościoła, resztę zaś zabierzcie do domu, niech Jenny ozdobi niemi wasz pokój.

Pierwsza z tych propozycyi podobała się pani Darcy bardzo, a druga trafiła do jej matczynego serca.

— Niech was Bóg błogosławi, panienko, niech jaknajdłużej chroni serce wasze od smutku! — zawołała.

— Nic niema nowego? spytałem panny Campion, przechadzając się z nią po okrytej mchem ścieżce wzdłuż południowej ściany kościoła.

— Nie, ojcze! Chyba tylko to, że ojciec mój przystępuje jutro do Komunii świętej. Jakże jestem wdzięczną Bogu i księdzu wikaremu!

— Dobra to nowina Beato — rzekłem (nazywałem ją często Beatą, bo imię Bittra wstręt we mnie budziło. Mam zamiar w dzień jej ślubu imię to zamienić na Beatrix) — dobra to nowina; doda bowiem szczęścia osóbce, która zdaje się na to jedynie została stworzona, by wszystkich dokoła uszczęśliwiać. A poza tem nic niema nowego, coby zająć mogło starego księdza, który niegdyś Beacie pierwszej Komunii świętej udzielił?

Pokraśniała i spuściła główkę.

— A więc podaj staremu proboszczowi ramię, bo z dniem każdym słabnie coraz bardziej, i opowiedz mu wszystko. Może da ci radę.

— Oh, ojcze, gdyby to było możebnem! Ale zdaje się, że zbyt wiele żądam od Boga!

— Nie myśl o tem! — zawołałem gorąco. — Ot, lepiej rozpatrzmy się w tej sprawie.

— Gdybyś, ojcze, znał Rexa — zawołała — on taki jest dobry, taki delikatny, taki miłosierny dla biedaków, (sprytny łobuz — szepnąłem przez zęby), tak nas kocha wszystkich! Jestem pewna, że odrobiny tylko potrzeba, a stanie się katolikiem gorliwym!

Cóż miałem począć, ja, biedny starzec? Przygotowałem się do rozpatrzenia sprawy nawrócenia młodzieńca, do poważnego roztrząśnięcia wszystkich okoliczności za i przeciw, a tu oto zaraz na wstępie słyszę z ust panienki apoteozę wspaniałą tego młodzieńca, dla niej prawie półboga! Cóż może zdziałać mdłe światełko świecy rozumu w cieniu serca ludzkiego?

Nie, lepiej otwórzmy okiennice i wpuśćmy tam cały potok światła słonecznego!

— Słyszałem o tem — odparłem. Słyszałem również, a raczej czytałem w księgach ludzi świętych i pełnych myśli głębokich, że dar wiary udzielany jest obficie przez Ducha świętego osobom, które, jak twój narzeczony, wiodą życie czyste, nieskażone.

Drgnęła, gdym wymówił wyraz narzeczony, a na ustach jej wykwitł uśmiech, wart studyów. Biedny stary Dante! Nic dziwnego, żeś wędrował po przestworach, trącając zlekka gwiazdy na pani twej skinienie!

„*Beatrice in suso, ed io in lei guardava.*“

Tak będzie po wsze czasy!

A więc omówiliśmy całą sprawę. Rozprawialiśmy o możliwościach, żartowaliśmy z trudności, przecinaliśmy węzły, przeskakiwaliśmy przeszkody i wreszcie ujrzeliśmy w wyobraźni naszej wypisane na złotem, mroźnem powietrzu grudniowem wyrazy: Tak chcę! — w wieńcu wspaniałym z kwiatów pomarańczowych.

Ale oto przykład logiki kobiecej: Zaledwie skończyliśmy rozmowę i podeszliśmy do panny Leslie,—Beata rozpłakała się serdecznie! Przyjaciółka jej przeszyła mnie, ma się rozumieć, wzrokiem ostrym, jak sztylet, i jestem pewny, że w duszy szepnęła:—Obrzydliwy, stary potwór!

Ksiądz Letheby rozpromieniony zbliżył się do mnie po ciężkiej, długiej pracy w konfesyonale. Ale bo też nic go tak nie raduje, jak praca. Gdy mało spowiadających się otacza jego konfesyonał, jest on wtedy ponury, jak Syzyf; za to, gdy ma dzień pracą obciążony, promienieje, jak Ariel. Dziś właśnie był w humorze doskonałym.

— Na Jowisza, księże proboszczu! — zawołał, gdyśmy szli do domu posilić się kawałkiem ryby — znalazłem na niego środek! Środkiem tym jest *Kampaner Thal.*

— Doskonały środek — odparłem.

— Więc i ksiądz proboszcz sądzi, że to pomoże? Bo widzi ksiądz proboszcz, wszystkie nasze argumenty są dla niego poprostu prośbami, załatwia się więc z niemi odpowiednio.

— Zupełnie słuszna uwaga i dziwię się, żeś ksiądz przedtem o tem nie pamiętał.

— Istotnie to ciekawe. Ale najczęściej bywa tak, że znajduje się środki właśnie tam, gdzie się ich najmniej szukało.

— I naprawdę ksiądz proboszcz sądzi, że środek ten pomoże?

— Najzupełniej jestem przekonany! Może jednak powiecie mi, księże, przy sposobności, co to jest właściwie *Kampaner Thal?*

Spojrzał na mnie badawczo.

— Doprawdy, czasem zdaje mi się, że ksiądz proboszcz lubi żartować!

— Mów ksiądz dalej, nic nie szkodzi. Po wodzie i powietrzu, moc przyjemnego i dobrego słowa, to najlepsza i najtańsza rzecz, jaką Bóg daje nam, Swym dzieciom.

ROZDZIAŁ XVII.

Gwałtowne kontrasty.

Dzień Bożego Narodzenia był dniem niepodzielnego tryumfu dla ks. Lethebyego. Oczekiwał mnie cały szereg niespodzianek. Jednym bowiem z błędów — nie wiem zresztą, czy to jest błąd — księdza wikarego jest to, że lubi być dramatycznym. Jak powiada, nienawidzi zapowiadać rzeczy, które mogą się nie udać. Najbardziej zaś obawia się słów często nadużywanych: — Powiedziałem, że tak będzie! Otóż w dniu owym, tak świeżym, pogodnym i mroźnym, miałem kilka wstrząśnień przyjemnych.

Najpierw ujrzałem kapitana Campiona u stóp Ołtarza. Przybył o godz. 8 rano. Dzięki Bogu!

Skrupulatnie zachowuję przywilej udzielony nam przez Kościół odprawiania w dniu tym trzech Mszy świętych. Nie zaniedbałem go ani razu w przeciągu lat pięćdziesięciu. A jeżeli zaniedbam kiedykolwiek, to zaśpiewajcie *Requiem aeternam* — za biednego dziadka Dana.

Pierwszą Mszę zacząłem o godz. 7-ej rano. Zawsze sprawia na mnie duże wrażenie ta Msza wczesna w poranek Bożego Narodzenia. Noc jeszcze ciemna, pasemko świtu zaledwie rozpościera się na widnokręgu, w powietrzu czuć mróz, śnieg skrzypi pod nogami, ze wszystkich stron podążają ciemne postacie do kościoła. Słyszę rozmowy:

— Czy to wy, Mick?

— Tak, to ja, pani Grady. Wesołych świąt!

— Nawzajem.

— Dzień dobry, pani Mulcahy. Sliczny mamy poranek, dzięki Bogu.

— Istotnie, pani! Chwała Imieniowi Pańskiemu!

— Pospieszaj Bess, bo się spóźnisz!

— Niema obawy. Dziś trzy Msze mamy.

Pragnący uchodzić za lepiej wychowanych, mówią do siebie:

— Proszę przyjąć życzenia w dniu dzisiejszym.

— Nawzajem. Obyśmy byli wszyscy żywi i zdrowi za dwanaście miesięcy od dzisiaj.

Zaledwie rozpocząłem Hymn Anielski, gdy nagle z chóru, znajdującego się ponad drzwiami kościoła, zabrzmiała muzyka i śpiewy. Serce me uderzyło radośnie. Nigdy nie spodziewałem się tego. Słodkie dźwięki fisharmonii i głosów dziecinnych, płynące wśród ciemności kościołka, wzruszyły mnie tak, że łzy popłynęły strumieniem po zmarszczkach mej twarzy.

I cóż myślicie? co zaśpiewano na Glorię? Ni mniej ni więcej, tylko ustęp z „Dwunastej Mszy“ Mozarta! Od chwili owej duma Kilronanu tak wzrosła, że gotów on wyzwać Serafinów, aby odłożyli na bok skrzypki swe i wiolonczele, a stanęli do konkursu z „nowym chórem w Kilronanie!“

Pogwałciłem bardzo lekkomyślnie przepis ściśle obowiązujący przy *Dominus vobiscum*. Podniosłem oczy i rzuciłem spojrzenie przeciągłe na kościół i chór. Trudna rada. Gdyby nawet obecni tu byli Martinucci i Baruffaldi, Gavantus i Merati, Gardellini i Bauldry — jednem słowem cała Kongregacya świętych obrzędów — nie mógłbym wstrzymać się od tego. Trzymałem ręce rozwarte co najmniej przez ćwierć minuty, a wzrok mój toczył się po obecnych. Widok był wzruszający. Swiatła od ołtarza padały na twarze kapitana Campiona, Bittry i kilku wybitniejszych parafian, zasiadających w pierwszych ławkach, reszta natomiast kościoła tonęła w mrokach.

Zaledwie mogłem rozróżnić blade plamy twarzy, stłoczonych aż tam, u drzwi kościelnych. A nad niemi na chórze, przy świetle dwóch świec, ustawionych przy or-

gankach, u których miejsce zajął ks. Letheby, majaczyło kilkanaście postaci.

Ileż to pracy musiało kosztować ks. wikarego! Ileż to wieczorów musiał on spędzić tam, na zimnym chórze, by z głosów tych surowych i niezgodnych uczynić zespół doskonały! Wyobrażam sobie, ileż to cierpliwości, pochlebstwa i sarkazmu spotrzebował, by wyrobić twardy, grzmiący głos Dawida Oldena, by poskromić wysokie nuty Abby Lyden, która wyobrażała już sobie, że jest śpiewaczką pierwszorzędną, by przezwyciężyć nieśmiałość chłopców rybackich i wyszkolić tenory uczniów szkółki naszej! I oto teraz ponad tem wszystkiem brzmi baryton jego mocny a słodki, łącząc w jednę całość głosy rozmaite, łagodząc wybujałe, podsycając słabe. Na Offertorium zaśpiewał solo, akompaniując sobie na organkach. Któż ośmieli się powiedzieć, że to było niestosowne, że to nie było piękne?

„O Vergine bella!
Del ciel Regina,
A cui s'inchina
La terra ed el mar.

*

O Tu che sei stella
Del mare si bella,
Ci guido nal porta
Col tuo splendor!"

A gdy Ciało Pańskie spoczywało na korporale i zagrzmiały wspaniałe dźwięki *Adeste*—Boże, co za wzruszenie! — a jednocześnie, śród całej tej rozkoszy, co za poczucie skruchy, że przez tyle lat byłem proboszczem tutaj i jednak *mea maxima culpa! Ignosce, Domine!*

Położyłem Ciało Pańskie na języku kapitana Campiona, przebaczając serdecznie temu człowiekowi wszystko, czem zgrzeszył.

Łzy radości płynęły po twarzy Bittry, klęczącej obok ojca. Wielka liczba komunikujących się zmęczyła mnie bardzo. Ostatnią była Nance. Ukrywała się w głębokiej ciemności, sądzę jednak, że Dzieciątko Jezus spoczęłoby w ramionach biednej tej grzesznicy z niemniejszem zaufaniem, jak w ramionach dziewic bez skazy, których tak wiele, dzięki Bogu, znajdowało się śród ludu, zapełniającego kościół tego ranka!

Największa atoli niespodzianka oczekiwała nas po Mszy świętej. Zaledwie bowiem skończyło się nabożeństwo, rzucili się wszyscy do kaplicy świętego Józefa. I ja też ciekawością wiedziony skróciłem zdaje mi się modlitwę dziękczynną, by z całą powagą podążyć za innymi. Słyszałem wykrzykniki podziwu i radości, widziałem na twarzach rozczulenie i zachwyt, miłość i cześć głęboką. Nie dziw! Bo oto tam, pod dachem z deseczek sosnowych, znajdowała się stajenka betleemska taka, jaką widzimy w wyobraźni. Skały pokryte tu i owdzie mchami stanowiły jej ściany. U progu ziemia pokryta była szronem srebrnym, a w stajence, słomą i sianem. I widniał tam św. Józef łagodny, z wyrazem szacunku i podziwu na zmęczonej twarzy, i Matka — Panna słodyczy i zachwytu pełna i Ciałko bezradne z rączkami wyciągniętemi Tego, którego moc rozciąga się nad nieskończonością, w którego palcach słońca olbrzymie i systemy planetarne są tylko zabawką w tej chwili bytu Jego, którą nazywamy czasem. Trzech pasterzy, zdziwionych światłem, jakie biło od Dzieciątka, otaczało żłobek. Jeden z nich, chłopiec jeszcze, pochylił się nad żłobkiem, tak jak gdyby chciał podnieść w swych ramionach słodkie, bezsilne Dzieciątko, Wyciągnął ręce, a szerokoskrzydły kapelusz, podwiązany sznurkiem, opadł mu na plecy. A ponad tem wszystkiem uniesiony anioł rozwijał w rękach gwiazdami usianą wstęgę z napisem: *Gloria in excelsis Deo.*

Stałem śród zachwyconych parafian. Jedni klęczęli, szepcąc słowa zachwytu, miłości i współczucia. Inni opierali się o filary, pełni zadumy, ze łzami w oczach; dzieci pokazywały sobie paluszkami rozmaite szczegóły tego cudnego, nowego dla nich świata. I czułem, że bujna wyobraźnia celtycka ożywiała te figurki z terrakoty, że Bóg cofnął ją o wieków dziewiętnaście, że powiódł tych ludzi do progu prawdziwej Stajenki Betleemskiej w ową noc pamiętną. Sądzę, że właśnie to odczucie Wcielenia stanowi odrębną właściwość katolicyzmu. To święte człowieczeństwo naszego Pana zbliża nas tak bardzo ku Niemu, czyni nas tak bardzo względem Niego poufałymi, a rządy duchowne Betleemu, Jerozolimy i Kalwaryi, czyni ukochaniem, zwłaszcza ukochaniem biednych, pokornych, maluczkich. Słuchajcie:

— O mój Boże, i pomyśleć tylko, że w tę noc zimną Pan nasz spoczywa na słomie, że nóżęta mu marzną!

— A Matka — Panna! Toć to dziecko, nie większa od naszej Nory i niema przy Niej ani jednej niewiasty, która by Jej pomogła!

— Patrzcie na Jego rączki wyciągnięte, zupełnie jak u zwykłego dziecka. Niech będzie Imię Pańskie pochwalone. Cóż poczęlibyśmy biedacy bez Niego.

— A ten biedny święty Józef? Nie dziw, że jest zamyślony. Pomyśleć tylko: losy dwóch istot w jego są rękach, a on nie ma domu, gdzieby ich przytulił!

— Co za szkoda Mary, że nas tam nie było w tę noc świętą. Krwi serca własnego nie odmówilibyśmy Im. Nieprawdaż?

Podzielałem zapatrywania te,zwłaszcza co do świętego Józefa, a gdy ksiądz Letheby Mszę swoją ukończył, przyniosłem tu, przed Jasełka, stary mój fotel, złożyłem na kolanach brewiarz, tabakierkę i okulary i dałem folgę rozmyślaniom nad cudownem, wzruszającem wydarzeniem. Tak, święty Józef wywoływał w sercu mem dziwną sympatyę i litość. Czułem, że Matka i Syn rozumieją się nawzajem, że Ona widzi wszystko oczyma Boskiemi, niema w Niej przeto miejsca dla uczucia zdziwienia. Ale dla świętego Józefa całe to zdarzenie musi być niewymowną tajemnicą upokorzenia i miłości, nieskończonego poniżenia i nieskończonej godności, i zdawało mi się, że spogląda na twarz Małżonki i twarz Dzieciątka z wyrazem zapytania: Co to wszystko znaczy? — aczkolwiek pojmuje jasno znaczenie i ogrom tej wielkiej tajemnicy.

Przesiedziałem tam spokojnie do Benedykcyi o godzinie trzeciej po południu, a następnie do piątej, dumając i odmawiając różaniec. Od czasu do czasu przychodziły dzieci i opierając się o kolana moje, spoglądały z zachwytem i miłością na Dzieciątko betleemskie, a następnie zwracały się ku mnie z pełnemi dziecinnej naiwności pytaniami.

Przez cały dzień prąd ludzi ciekawych przepływał przed Jasełkami. A dni następnych zjawili się ciekawi z Moydore i z parafii okolicznych, bo sława Jasełek rozeszła się po okolicy szeroko. I stawali ludziska przed Żłóbkiem, dziwiąc się nagłemu wyniesieniu się Kilro-

nanu ponad inne parafie i tając w duszy żal do własnych pasterzy.

Dnia dwunastego po Bożem Narodzeniu, zadowolenie dosięgło szczytu, gdy u Żłóbka stanęli Trzej Królowie z darami, dopełniając obrazu. Zwłaszcza król murzyński cieszył się nadzwyczajnemi względami widzów. I unieśmiertelniła się sława Kilronanu, a inne parafie pozostały już stanowczo w tyle.

— Niech Bóg błogosławi człowieka, który nam taką radość sprawił! — zawołała pewna kobieta, gdym opuszczał kościół, idąc do domu na obiad.

— Niech Bóg błogosławi wszystkich naszych księży — dodała inna, obawiając się widocznie, aby mnie nie obraził wykrzyknik pierwszej.

— Szkoda, ojcze Danie, — rzekła wreszcie trzecia— żeście nam nigdy nic o tem nie mówili. Szkoda, żeście rzecz tak piękną tak długo trzymali w sekrecie.

Okazywali mi w ten sposób jakby litość, współczucie.

W domu, na stole, zastałem cały stos biletów z życzeniami, a wśród nich mały, piękny tomik „O naśladowaniu Chrystusa“ w przekładzie greckim ks. Jerzego Mayra, S. J. Był to dar ks. Lethebyego. Czyż to nie piękny z jego strony dowód pamięci? Ulubione me dzieło w ulubionym języku! Nie pamiętam tak radosnego dnia Bożego Narodzenia. *Quam bonus Israel Deus!* To samo powtórzył mój ksiądz wikary.

Po obiedzie mieliśmy przyjemną dyskusyę akademicką na temat starodawnych zwyczajów irlandzkich. Ksiądz wikary przemawiał z uniesieniem za ich zachowaniem, ja zaś twierdziłem przeciwnie, że ze względu na nadużycia, jakich stają się powodem, byłoby raczej korzystniej, aby wyginęły stopniowo.

W odpowiedni też sposób każdy z nas uzasadniał następnego dnia teorye swoje, albowiem Hanna odpędziła z oburzeniem grono chłopców, którzy starym zwyczajem podeśli do drzwi moich, śpiewając pieśń o mysikróliku, gdy tymczasem ks. Letheby wysłuchał śpiewów z przyjemnością i dał po sześć pensów każdemu z chłopców, zalecając im, by zawsze byli dobrymi irlandczykami i kupili sobie cukierków. Wieczorem dnia tego, gdym zabierał

się już do snu, gdyż wstaję zazwyczaj bardzo wcześnie, usłyszałem pukanie do drzwi w przedpokoju, następnie ożywione szepty, aż wreszcie w drzwiach uchylonych ukazała się głowa Hanny.

— Lizzie—rzekła—obawia się, że ksiądz wikary zachorował, pyta więc, czy ksiądz proboszcz nie raczyłby pofatygować się do niego?

— Mój Boże, i owszem! — zawołałem przestraszony; poszedłem prędko za służącą i niespodzianie wpadłem do mieszkania księdza wikarego.

— Co się stało, co się stało ? — krzyknął na mój widok.

— Nic szczególnego, mamy noc piękną — odparłem.

— Ejże! Lizzie musiała posłać kogo po księdza proboszcza.

— Tak, przyszła po mnie, bo zdawało jej się, że jesteście chorzy, księże. Czy jest tak istotnie?

W samej rzeczy wyglądał biedak niedobrze, a przy tych słowach opadł ciężko na krzesło.

— Doprawdy, chorzy jesteście!—powtórzyłem.

— O nie, to nie choroba—rzekł głosem płaczliwym, jak dziecko—ale serce mi pęka!

— Jeżeli tylko o to chodzi, nie kłopoczcie się księże, potrafimy serce naprawić, opowiedzcie tylko wszystko.

— Dlaczego nie! — zawołał, zerwał się z krzesła i chodził szerokiemi krokami po pokoju, założywszy w tył ręce, przyczem wykrzykiwał:

— Biedni, biedni chłopcy! Wczoraj wyglądali tak pięknie przy ołtarzu, a dzisiaj, dzisiaj — strach pomyśleć!

— Bardzo to dramatyczne—rzekłem—ale nie w moim guście. Lubię opowiadanie spokojne i w stylu prostym. Czy nie usłyszę go z ust waszych, księże?

Słowa te poskutkowały. Oto właśnie opowieść wygłoszona z przejęciem, przy akompaniamencie żywej gestykulacyi i kilku słów dosadnych.

Około godziny siódmej wieczorem wezwano księdza wikarego do osoby chorej w pobliżu naszej osady. Na drodze powrotnej usłyszał dźwięki śpiewu w blizkości szynku pani Haley i zatrzymał się z sercem bijącem radością, poznał bowiem słowa i nutę hymnu *Adeste*.

— Dzięki Bogu — szepnął — nareszcie lud zaczyna śpiewać po domach hymny nasze katolickie!

Po chwili jednak opanował go dziwny niepokój, poznał bowiem głos Jema Deadyego.

— Boże drogi—zawołał — czy to możebne? Czyżby pijak ten ośmielił się śpiewać hymn w szynku i bezcześcić go śród pijatyki?

Nie namyślając się tedy, pchnął drzwi szynkowni. W pierwszym pokoju nie było nikogo; uchylił przeto drzwi do następnego i oto co zobaczył: Oparte o ścianę stały ozdobione czerwonemi wstążkami gałęzie ostrokrzewu, śród których, jak piosenka mówi, ukrywał się „mysikrólik, mysikrólik, wszystkich ptaków król“ i z któremi obchodzono zrana osadę całą. Przy stole zastawionym szklankami i butelkami siedzieli rozwaleni lub leżeli mniej lub więcej pijani chłopcy śpiewacy, u komina zaś plecami zwrócony do drzwi, sterczał Jem Deady i wybijając takt palcem w kałuży porteru na stole, śpiewał:

„Deum de Deo, Lumen de Lumine,
Gestant puellae viscera“...

najpiękniejsze, najsłodsze wiersze wspaniałego hymnu.

Nieświadomy był obecności księdza i nieświadomy popełnianego świętokradztwa. Wikary spoglądał w ciągu paru minut na ten obraz, trzęsąc się z gniewu, przerażenia i wstrętu. Wreszcie zamknął cicho drzwi, wyszedł na ulicę i, pukając od domu do domu, wrócił wkrótce, wiodąc cały poczet ojców i matek. Co się potem stało, zapisanem jest po wieczne czasy w dziejach Kilronanu; dość powiedzieć, że wielu ludzi słyszało nocy owej taki hałas, iż w ciągu kilku dni następnych mieli ciągłe dzwonienie w uszach.

— Nie, doprawdy, ręce mi opadają, wyczerpany jestem zupełnie! Jutro piszę do księdza biskupa o *exeat* i wracam do Anglii, lub jadę do Australii, gdzie mam obiecaną misyę.

Temi słowy zakończył ksiądz wikary opowiadanie.

Aczkolwiek godzina była późna i powinienem był dawno już leżeć wygodnie w łóżku, to jednak temat wydał mi się zbyt zajmującym, by nie skorzystać z niego.

— A więc, drogi księże Letheby,—rzekłem — najoczywiściej pracujecie nie na chwałę Bożą, lecz dla zadośćuczynienia zachciankom własnym.

Usłyszawszy słowa te ostre, zadrżał i stanął przedemną.

— A to dlatego—mówiłem dalej z całym spokojem—że gdybyście mieli chwałę Boga na widoku, to klęska, której rozmiaru nie myślę zmniejszać, byłaby dla was pobudką do nowych wysiłków, zamiast do pogrążania was w rozpaczy. Dla was wszakże rzeczą główną jest to, że duma wasza została upokorzoną i honor wasz na szwank wystawiony, skutkiem czego obawiacie się obmowy ludzkiej. Powiedzcie mi szczerze, czy boli was to, że Bóg został obrażony, czy raczej to, że rozwiały się wasze piękne zamysły? W tem sęk! Święty Bonawenturo! — co za ciężar nałożyłeś na barki biednej ludzkości, mówiąc: *Ama nesciri et pro nihilo reputari!* Nie domyślałeś się nawet w głębi pokory własnej, że każdy z nas posiada pięknego złoconego bożka z etykietką, na której wypisano wielkie słowo: *Ja!* I nie domyślałeś się również, że każdy z nas stara się fanatycznie nawracać jaknajwięcej ludzi na wiarę w owego bałwanka.

— Zdaje mi się nawet—ciągnąłem dalej—że wychowanie pomaga nam jeno do lepszego wyzłacania, do bardziej wykwintnego przystrajania tego, ukrytego w nas bożyszcza i że nawet w chwili sądu nad niem, a mianowicie, przygotowując się do Spowiedzi świętej, obchodzimy się z niem, jak łagodna, bałamucąca swe dziecię matka, a nie jak sędzia nieugięty i bezstronny. Oto np., wy, księże Letheby! Jesteście dobrym, cenionym, gorliwym, działającym skutecznie kapłanem. Ponieważ jednak dotknięto was boleśnie—odezwał się natychmiast bożek wasz, żądając zadośćuczynienia i nietykalności na przyszłość. Powodziło się wam wszystko. Wiara wzrastała skokami olbrzymiemi od chwili przybycia waszego do parafii, ludzie uwielbiają was, macie zadowolenie wewnętrzne ze świadomości, że dokonywacie czynów najtrudniejszych, czynów reformatora; ponieważ atoli napotkaliście jedno niepowodzenie, odwracacie się tyłem do pracy waszej i szukacie losu spokojnego tych, co podkładają sobie poduszki pod plecy i zdobią czoła wieńcami. Czyż doprawdy sądzi-

liście, że szatan, ta siła żyjąca, osobista i wysoce inteligentna, pozwoli wam robić tutaj, co się wam podoba? Że założy ręce i będzie patrzał spokojnie, jak zmuszacie zastępy jego do haniebnej ucieczki w zamięszaniu? Jeżeliście naprawdę, księże, tak myśleli, to myliliście się bardzo.

Spotkało was niepowodzenie małe, a zrobiliście z niego odwrót paniczny. *Sauve qui peut!* A na czele tej ucieczki sam wódz—jenerał dotychczas pomyślnie działający—pierwszy zawraca w tył, rzuca miecz i zmyka!

— Na miłość Boską, księże proboszczu, przestańcie! Wstydzę się sam siebie!—zawołał ksiądz wikary.

Dobra bura jest warta czasem tyle, co zimna kąpiel. Działa wzmacniająco na chore nerwy.

Powróciłem do domu zadowolony prawdziwie, szepcąc: *Per la impacciata via, retro al suo duce.* Zdaje mi się, że wiem, gdzie dąży. Okropnie zgnębiona, pokorna, bezsilna postać czekała na mnie w przedpokoju. Sądzę, że gdyby wodospad Niagary spływał na nią w przeciągu kilku godzin, nie spłukałby jej lepiej. Czy potrzebuję dodawać, że postacią ową był Jem Deady pod opieką małżonki swojej, górującej obecnie nad nim?

— Oto jest, wasza wielebność, zbrodniarz nieszczęśliwy. Na miłość Boską, księże proboszczu, ukarzcie go tak, aby świecił przykładem całej parafii. Zdepczcie go, wasza wielebność, zmiażdżcie, zróbcie co chcecie, bo, doprawdy, serce mi już pęka!

Gdym przemyśliwał nad tem, do jakiego ze zwierząt niższego rzędu należałoby zaliczyć Jema, zdawało mi się, że oczy jego podniosły się na chwilę z wyrazem błagalnym.

— Jak widzę, Jem—rzekłem — obiad świąteczny nie posłużył wam wcale.

— Przepraszam — przerwała nagle pani Deady, przyjmując postawę wyzywającą — mój mąż miał obiad nie gorszy od czyjegokolwiek z parafian. Dałam mu gęś z nadzieniem, do którego włożyłam dwie garści rodzynków i imbiru, dałam mu boczek wieprzowy i półmisek kapusty.

— A dlaczego nie wspomnisz jegomości o pudyngu z ryżu — przerwał Jem z oburzeniem szlachetnem — bo, proszę księdza proboszcza, ona zrobiła tak wspaniały pu-

dyng, że możnaby go posłać do pałacu. Jestem pewien, że nawet sam ksiądz proboszcz zajadałby go z apetytem. Co za rodzynki, co za rodzynki!

— Oho, chciałbyś udobruchać mnie udawanemi pochlebstwami, stary blagierze!—zawołała pani Deady groźnie, mierząc go wzrokiem podejrzliwym.

— Udawać przed tobą, Bess? Chciałbym doprawdy widzieć człowieka, któryby potrafił cię oszukać! To też powtarzam raz jeszcze wobec tu stojącego księdza proboszcza i wobec ciebie, że ani w naszej parafii, ani w sąsiedniej, ani w sąsiadującej z sąsiednią, ani wreszcie w obrębie murów Irlandyi niema małżonki i gospodyni lepszej od ciebie, Bess.

Przy tych słowach, dla lepszego uwydatnienia zapału, Jem gruchnął kapeluszem o podłogę i otarł łzę z oka.

Byłoby istotnie niewdzięcznością odmówić pomocy tak znakomitemu dyplomacie! Nie dziw też, że służba dyplomatyczna Anglii, od Singapore do Halifaksu, spoczywa w rękach Irlandczyków. Co znaczyliby taki Schaffterhausen albo Laborie w rękach Jema Deadyego? Okręciłby ich dokoła swego palca. Na twarzy pani Deady wygładzały się zmarszczki gniewu, topniała widocznie pod słodkim deszczem pochlebstw.

— Przebaczyłbym wam wiele Deady—wtrąciłem. — Przebaczyłbym wam ciągłe gwałcenie przysiąg uroczystych, przebaczyłbym zawlekanie do szynku najwznioślejszych śpiewów Kościoła naszego...

— Proszę księdza proboszcza, oni się ze mną drażnili—przerwał Deady—powiadali, że nie mam pojęcia o łacinie i że ksiądz Letheby...

— Pojmuję—odrzekłem—i przebaczam. Ale tego, że wprowadzacie do szynku owieczki niewinne mojej owczarni, moich chórzystów i ministrantów, dzieci rodziców trzeźwych i religijnych, których serca krwawią się obecnie na myśl o waszem postępowaniu obrzydliwem...

— Patrzcie państwo, serca im pękają, rodzice trzeźwi i religijni! Chciałabym ich widzieć — syknęła nagle pani Deady. Niech się wasza wielebność nie obrazi, gdy powiem, że gdyby owi trzeźwi i religijni rodzice pilnowali swych dzieci, zamiast bawić się plotkami, to te religijne ich dzieci nie leżałyby pijane jak bez duszy w szynku pa-

ni Haley. Ale na to nikt nie zważa. Dzieci się popiły, kto winien? Jem Deady, zawsze i wszędzie Jem Deady. A tymczasem, jeżeli mam prawdę powiedzieć, on nie jest wcale gorszy—choć nie chcę mu tego w oczy mówić—od nich wszystkich! Ot co! A teraz chodź do domu biedny głuptasie! — i wyszła.

— Nie, nie wyjdę, muszę najprzód uczynić to, po co przyszedłem!

To powiedziawszy, Jem Deady przyjął postawę tak pełną stanowczości, jak gdyby raz na zawsze zakładał sztaby żelazne i zamki na gardło swe spragnione i złożył przysięgę uroczystą, że więcej pić nie będzie, a gdy skończył, rzekł do mnie szeptem:

— Powiedzcie mi, wasza wielebność, czy ten krawiec kuternoga, który przychodził tu do waszej wielebności ze skargą na księdza wikarego, nie znieważył was czasem?

— O, bynajmniej! — zawołałem w obawie o grzbiet krawca.

— Bo ja mam na niego oko oddawna i kiep jestem, jeżeli on nie oberwie po łbie odemnie!

— Proszę was Jemie, tylko bez gwałtów. Człowiek ten żałuje już za grzechy.

— Niechaj tak będzie, wasza wielebność. Nie będę sił tracił na takie stworzenie. Ale...

Tu popadł w głęboką zadumę, a po chwili zawołał:

— Jak Boga kocham, doskonale ksiądz proboszcz załatwił moją sprawę, boć język mojej baby przygnębił mnie poprostu. Niech waszą wielebność Bóg błogosławi i zachowa nam na długo!

Uchwycił moją rękę i całował tak gorąco, że podrapał mi ją kolcami brody dawno niegolonej.

Biedni ludziska! Jakże są do nas przywiązani, jakże, pomimo wszystkich wad swoich, czują, że otaczamy ich miłością więcej niż matczyną!

ROZDZIAŁ XVIII.

Zebranie.

Niema chyba prawa przyrodzonego lub nadprzyrodzonego, któreby zabraniało nam zbierać się od czasu do czasu i wykonywać przepisy św. Pawła w gościnności. Zdaje mi się, co prawda, że słowa tego mądrego Swiętego dotyczą głównie Biskupów; dlaczegóż jednak nie mamy postępować śladem naszych przełożonych i nie praktykować cnoty tak miłej? Jest to bardzo dobrze zbierać się czasem i wymieniać zdania. Zmiękcza to trudy życia codziennego, uczy młodzież szanować starszych, uczy starych pobłażliwości dla młodzieży. Takie jest przynajmniej zdanie moje i dlatego mam zawsze drzwi otwarte i szczere pozdrowienie dla każdego z braci swoich; kilka zaś razy do roku staram się zebrać dokoła siebie starych przyjaciół, by zacieśniać owe węzły przyjaźni, co tak uprzyjemniają życie i utrzymują świeżość pamięci.

Czasem, co prawda, starym moim druhom nie chce się narażać na podróż ośmio lub dziesięciomilową w zimne noce zimowe, młodzi zato przybywają zawsze. Nadzwyczajny tylko wypadek powstrzymuje ich od spędzenia wieczoru z dziadkiem Danem. A jednak nie robię wybryków. Ani zup żadnych, ani przekąsek — jak to lubią niektórzy z konfratrów moich, modzie hołdujących — niema u mnie. Zwykle indyk, szynka lub udziec barani, a do tego trochę przystawek, by zapełnić miejsca próżne na sto-

le. Według starej tradycyi irlandzkiej, nie spraszam gości więcej niż było muz, ani też mniej niż było gracyj, tym razem jednak — a było to w oktawę Trzech Króli — odstąpiłem od zwyczaju i, dzięki nie przybyciu kilku z zaproszonych, trzynastu nas siadło do obiadu. Trzynastka ta jednak nie wywarła jakoś wpływu na apetyty mych gości i żaden z nich od stołu nie powstał. Żartowano sobie z nieskończenie długiego życia niektórych proboszczów, a wikary mój, zajmujący drugie po mnie miejsce przy stole, oświadczył z całą powagą, że przesądowi o fatalnej trzynastce winien jest słynny obraz Leonarda da Vinci, przedstawiający Wieczerzę Pańską, w istocie jednak przesąd ów niema najmniejszego uzasadnienia. Oświadczenie to ulżyło kilku wątpiącym i zdwoiło ich apetyty. Obowiązki gospodarskie pochłaniały całą moją uwagę. Odetchnąłem dopiero wówczas, gdy nakrycie po obiedzie sprzątnięto, stół przygotowano do poobiedniej libacyi, a ośmiu współbiesiadników z naszej trzynastki odmówiło użycia napojów alkoholicznych i poprosiło o kawę. Okoliczność ta wywołała w duszy mej medytacyę nad wielką, choć tak cichą rewolucyą, rozprzestrzeniającą się coraz bardziej w łonie Kościoła irlandzkiego.

Mam już do czynienia z trzeciem pokoleniem księży irlandzkich, a każde z nich różni się od poprzedniego charakterem i działalnością tak, jak różni się pastor anglikański od średniowiecznego mnicha.

Wczesne moje wychowanie zabarwione było zetknięciem z układnymi, pracowitymi i cichymi księżmi, którzy wychowani w seminaryach kontynentu europejskiego, wprowadzili do Irlandyi wdzięk, powagę i świątobliwość, ale także i strach przed władzami świeckiemi, z lekką skłonnością do kompromisów, co—zdaje się—było rysem charakterystycznym całego duchowieństwa francuskiego zaraz po rewolucyi i wojnach napoleońskich.

Dobrzy ci ludzie bratali się z obywatelami ziemskimi, pożyczali sobie nawzajem parafian dla uświetnienia przyjęć urzędowych, byli przesiąknięci potrosze ideami gallijskiemi i nienawidzili postępu oraz kłopotów, jakie postęp nieodzownie pociąga za sobą. Jednem słowem, byli to ludzie święci, dobrzy, łagodni, trudno jednak nazwać ich c z ł o n k a m i K o ś c i o ł a w o j u j ą c e g o.

Nadeszło potem pokolenie księży wychowanych w seminaryum w Maynooth. Seminaryum to założono na podstawie zapomóg rządowych, a jednak wydało ono całą armię księży silnego ducha, zapamiętałych, nieustraszonych obrońców interesów duchowych i materyalnych ludu, ludzi wielkiego wzrostu, o zdrowiu żelaznem, spędzających konno po 10 godzin dziennie, pogardzających lekkiem winem francuskiem, kochających i karzących swój lud po ojcowsku, gotowych do bronienia go kosztem życia własnego, do walki krwawej z jego wrogiem dziedzicznym.

Silni w wierze, o życiu czystem, bez skazy, cięli słowami jak brzytwą, razili ręką jak piorunem; mieli atoli także serca matczyne dla maluczkich swoich owczarni. Każdy z nich znał klasyków gruntownie, mógł cytować całe ustępy z Virgila lub Horacego na pamięć przy toastach poobiednich i pogardzał literaturą angielską. Jako teologowie, należeli do rygorystów zbyt pochopnych do odmawiania rozgrzeszenia i wyznaczania pokut ostrych, a serdecznie nienawidzili nowoczesnych dewocyj, twierdząc, że Spowiedź przed Bożem Narodzeniem i przed Wielkanocą dla przeciętnego śmiertelnika najzupełniej wystarcza.

Jestem pewny, iż poprzewracali oni się w grobach wobec tych tysiącznych dewocyj, jakie dziś zajmują i umacniają w wierze pobożnych. Pomimo to wszakże mogliby śmiało pochwalić się, a nawet istotnie — może nawet zanadto z uszczerbkiem dla skromności chrześcijańskiej—chwalili się, że oni to utrzymali wiarę w ludzie i to właśnie przekonanie wyrabiało w nich moralność szczytną, przejmowało ich wstrętem do gwałcenia takich przepisów Kościoła, jak naprzykład *communicatio cum haereticis in divinis* albo używanie potraw mięsnych w dni postne.

Zdaje mi się, że należę do tej szkoły właśnie, aczkolwiek czuję sympatyę i dla innych. Tak jak w Teologii gotów jestem do braterstwa z Tomistami, Molinistami, Nominalistami i Realistami, tak z drugiej strony potrafię rozróżnić i ocenić rysy charakterystyczne rozmaitych pokoleń duchowieństwa Kościoła irlandzkiego. Czasem wszakże uniesiony próżnością, co tak uporczywie towa-

rzyszy nam śmiertelnikom aż do końca, wychwalam czasy ubiegłe, czasy swoje i słyszę okrzyki młodych:

— Bo też, ojcze Danie, to byli olbrzymi!

W chwilach takich dusza moja rośnie i wdzięczny jestem za pochlebstwo ze strony tych, którzy tak małą cieszą się sympatyą ze strony naszej.

I oto nadchodzi nowe pokolenie księży, co jak owi „lampadeforzy“ starych igrzysk ateńskich, wydrą nam z rąk pochodnię wiary i poniosą ją na Akropol Niebios. Starannie wygoleni, nie wielcy wzrostem, o twarzach śmiałych, jeżdżący na bicyklach, pijący kawę, encyklopedycznie wykształceni młodzieńcy. Sądzę też, że i oni spiszą się dobrze w walkach niedalekiej przyszłości.

Zabawnem jest wysoce dla widza bezinteresownego, jak ja, obserwowanie pobłażliwej pogardy, z jaką odnosi się starsze pokolenie księży do tego młodszego. Pokolenie to czuje wstręt do kawy i do ceremonii, a błędy jego co do tych ostatnich utworzyłyby chyba cały tom poprawek w istniejących podręcznikach *savoir vivre'u*. Prosić którego z nich, by podał filiżankę kawy, równa się zaproponowaniu żydowi prawowiernemu, by krajał szynkę lub hindusowi, by jadł przy jednym stole z chrześcijaninem.

Wiele jeszcze innych rzeczy wysoce cenionych przez pokolenie starsze jest dla pokolenia młodszego bez znaczenia. Kpią naprzykład z aureoli, jaką starsi otaczali konfratrów, którzy z odznaczeniem ukończyli zakłady naukowe, twierdząc, że prawdziwa nauka rozpoczyna się dopiero po ukończeniu szkół i że nauka szkolna, to tylko lekcya szermierki, nie zaś szermierka rzeczywista.

Opowiadają rzeczy straszne o ewolucyi nowoczesnej interpretacyi, nowych metodach hermeneutyki i Bibliach polychromicznych.

Jednem słowem niepokoją i przeszkadzają snom poważnych i okazałych weteranów lat głodu, wywołując w nich przepowiednię, że smutna przyszłość czeka Irlandyę, jeżeli zapanują w niej filozofia niemiecka i zwyczaj picia kawy, albowiem zniszczą one święte tradycye wiary i obyczaju Irlandczyków.

A jednak młodzi ci księża odziedziczyli najlepsze pierwiastki ze spadku po pokoleniu starszem. Wiara ich namiętna rywalizuje jedynie z namiętnem przywiązaniem

do ojczyzny. Każdy z nich należy do obejmującego świat stowarzyszenia, Księży Adoratorów, co, stworzone pod koniec naszego (XIX) wieku, wzrośnie do rozmiarów olbrzymich w przyszłym; nareszcie bowiem zaświtała w świecie świadomość, że dokoła świętej naszej idei rozegrają się wielkie walki wieku XX-go.

Wyspę naszą samotną, skąpaną w falach burzliwych mórz zachodnich, kochają niemniej od wychodźców, którzy płaczą za nią, niemniej od królów i bohaterów, którzy za nią walczyli. To też, pomimo wszelkich względów, jakiemi otaczam konfratrów mego pokolenia, widzę jasno, że pokolenie młodsze jest lepiej od nas przystosowane do wymagań nowoczesnych. Trąbka bojowa przyszłości zagra niedługo na odwrót dla starej gwardyi i wyśpiewa hasło dla młodszych: naprzód!

Tego wieczora, jak zwykle, rozmowa była bardzo ożywioną i toczyła się w zakresie obejmującym całą wiedzę ludzką i pracę. W końcu odbijały się już o uszy moje zdania oderwane, jak:

— Obaj Ballerini. Napewno, nie zdołają go aresztować.—Strzelać będzie do ludu.—Daniel wcale nie napisał ksiąg tych.—To nudne.—Dostał się do uniwersytetu gregoryańskiego.—Uwielbiam Balfoura za jego głęboką znajomość metafizyki.—Czy czytaliście artykuł w „Recordzie“ o dyspensie hiszpańskiej?—Otrzymał pierwszorzędne probostwo w Ballarach.—Nie sądzę, abyśmy byli obowiązani Msze te odprawiać.—Było to piękne kazanie, ale zbyt kwieciste dla mnie. — Te „Zasady etyki“ nie wytrzymują krytyki.—Jeden z naszych pobije was porządnie następnym razem.—Rwie winogrona i cytryny w Tivoli.—Skrócił swe studya i wydaje obecnie dziennik w Brooklynie.—Tona kosztuje teraz 35 szylingów, ale cena podniesie się jeszcze bardziej i t. d. i t. d.

Starsi, pod wpływem bardziej dobroczynnym, milczeli, jak studenci, rozpoczynający naukę. Śród całego tego chaosu wyrazów, uczepili się dwóch kotwic: O'Connella w polityce i św. Alfonsa w Teologii.

Nareszcie rozmowa potoczyła się jednym strumieniem. Wszystkich zajęło pytanie, co jest lepsze: Czy system dośrodkowy, skupiający wszystkich kształcących się na księży Irlandczyków w Seminaryum w Maynooth, czy

też odśrodkowy, rozpraszający ich po starych uniwersytetach kontynentu. Była to rozprawa poważna i spokojna, czasem tylko zmuszony byłem używać dzwonka i wołać:

— Panowie, trzem tylko wolno mówić jednocześnie!

Ciekawem było to, że ci wszyscy, którzy kształcili się w Maynooth, głosowali za wychowaniem kontynentalnem, ci zaś, którzy wychowywali się na kontynencie, tęsknili do Maynooth.

— Już sam wyjazd zagranicę—mówił jeden—jest szkołą. Podróż bowiem rozszerza zakres wiadomości, a więc kształci. Przytem daje sposobność nauczenia się języków obcych; dzisiaj zaś, kto nie włada przynajmniej językiem francuskim, jest istotą bezradną.

— Nie zgadzam się na to—odparł inny. Spędziłem sześć lat w seminaryum w N., a przez cały ten czas nauczyłem się zaledwie kilku wyrażeń, jak *cela va sans dire*, *tant pis*, które znajdziecie w każdym słowniku, a których mógłbym był również dobrze nauczyć się, gdybym mieszkał w Timbuktu.

— A jednak—wtrącił mój wikary, którego pomimo, że nie był popularny, słuchano z wielką uwagą—jeżeli czego żałuję w życiu, to tego, żem się w Rzymie nie kształcił i jedynem życzeniem mojem jest zobaczyć Rzym przed śmiercią. Mojem zdaniem, największy zakład naukowy irlandzki, stworzony z wyższych pragnień intelektualnych, powinien znajdować się w cieniu Siedmiu Pagórków.

— Dlaczego nie możnaby przenieść do Rzymu Kolegium w Dunboyne ze wszystkiemi jego stypendyami i prawami?—zapytał ksiądz młody i zapalczywy, który powiada, że może czytać Brewiarz, robiąc 10 mil na godzinę na bicyklu.

— Nie wydałoby to dobrych owoców. Należy być wychowanym w Rzymie, by ducha jego zrozumieć. Przesadzona latorośl nie będzie tam rozwijała się dobrze.

— Eh! — zawołał stary wychowaniec seminaryum w Maynooth, przysłuchujący się z widoczną niecierpliwością opinii ostatniego mówcy—co się tyczy naszego seminaryum, to zapomnieliśmy w niem więcej Teologii, aniżelibyśmy się nauczyli.

— Nie chcę czynić ujmy waszej znajomości Teologii, ojcze—odparł łagodnie mój ksiądz wikary—ale zdaje mi się, że w wykształceniu duchowieństwa nietylko *solvuntur objecta* Teologii odgrywają rolę ważną. A tylko Rzym udzielić nam może tych subtelności, prawie że nienamacalnych.

I znów rozpoczęła się walka gorąca na słowa; to też skinąłem na jednego z młodych, a on pojął znak mój i zawołał:

— Doprawdy, ojcze Danie, to zaczyna już być męczącem. Opowiedzcie nam lepiej. ojcze, jak to dowodziliście brygadą irlandzką w latach pięćdziesiątych. Czy nie zamierzaliście strącić Marsylii do morza?

— Dajcie mi spokój — odpowiedziałem — nie będę przecież jednej i tej samej historyi opowiadał przy każdym obiedzie. Ot, zaśpiewajmy co lepiej!

I zaśpiewaliśmy niejedną i nie dziesięć z tych pięknych starych melodyj irlandzkich, któreby posąg nawet powołały do życia.

Jeden z młodych zaśpiewał: „Śniłem, że mieszkam w pałacu z marmuru“, ale zaśpiewał tak, żem mu poradził aby więcej śpiewu nie próbował; warto zato było posłuchać, gdy mój ksiądz wikary zanucił przepyszną ową balladę o dzielnym naszym patryocie irlandzkim, Tomaszu Davisie, zaczynającą się od słów: „Namiot już pełen i szklanki na stole“.

Boże! co z nas za rasa dziwna, jakże łatwo ziębnie i rozgrzewa się krew w żyłach naszych! Widziałem wyraźnie, jak zbladły ze wzruszenia twarze księży młodych przy słowach:

Boże! w Swej opiece miej Irlandyę starą!
Rzekłbyś, że się boją, tak każdy był blady
Z tych, co dowodzili dzielną naszą wiarą,
Z irlandzkiej brygady!

i potem, gdy zniżywszy głos, ksiądz wikary pieśń kończył:

Bo od bram Dunkierki, aż na wschód daleki,
Hen do Białogrodu, gdzie pola i sady,
Tam legli wodzowie i —wiara na wieki,
Z irlandzkiej brygady!

Zaśpiewaliśmy następnie: „Budzi się zachód“ i „Kraju kochany“ wreszcie powstaliśmy i chórem zagrzmiała pieśń: „Boże błogosław naszego Papieża, naszego Ojca wielkiego, dobrego“.

Chciałem powiedzieć: zaśpiewaliśmy jednogłośnie i harmonijnie, byłoby to jednak lekceważeniem prawdy z mojej strony, w każdym razie zaśpiewaliśmy od serca i gdyby ów Wielki Starzec w Rzymie—mógł usłyszeć z małego swego pokoiku, poza olbrzymimi apartamentami, głosy nasze, wówczas przekonałby się, o czem zresztą wie dobrze, że w każdej chwili mógłby otoczyć irlandzkimi zastępami, jak pierścieniem ze stali, tron swój Piotrowy.

A potem rozpoczęły się pożegnania. Przy tej też sposobności wziąłem na stronę jednego ze starych przyjaciół moich, teologa niepospolitego, który posiada cały zbiór zgrzybiałych, omszonych, w skórę oprawnych ksiąg, na półkach.

— Czy ksiądz słyszał kiedy—zapytałem szeptem—o rzeczy tajemniczej, zwanej *Kampaner Thal?*

— Nigdy!—rzekł stanowczo.

— I nie domyśla się ksiądz, co to być może?

— Nie—odparł, zastanowiwszy się głęboko—i pewny jestem, że nie są to wyrazy ani greckie, ani łacińskie, ani irlandzkie.

— Niechże więc ksiądz poszuka w encyklopedyach swoich—prosiłem i da mi znać, jeżeli znajdzie.

— Ma się rozumieć!—zawołał, a potem, wskazując przez ramię na mego księdza wikarego, dodał:

— Napewno to ten chłystek?

— Tak jest—rzekłem.—On czyta tak dużo...

— Słuchajcie, ojcze Danie. Doprawdy, że marniejemy. Czyście widzieli kiedy obiad podobny do dzisiejszego?

— Nigdy!—odparłem z rezygnacyą.

— Czy pomyślałby kto, gdyśmy w te strony przybyli, że takich czasów doczekamy? Boć chłopcy ci przemawiają do nas tak, jakgdybyśmy im równi byli! Czy nie pamiętacie czasów, kiedy to wikary nie śmiał ust otworzyć wobec proboszcza?

— Ma się rozumieć, że pamiętam.

— A czy wiecie, czego się mój dopomina? Oto ołtarza, obrazka jakiegoś, przed którym paliłyby się świece przez dzień cały. Czy nie możecie—powiadam do niego—odmawiać Różańca, jak inni? Nie, on musi mieć ołtarzyk. A ma już wielką, czerwoną lampę, płonącą w tak zwanej, przez niego, kapliczce. Światło lampy tej widać o milę od brzegu. Powiadam rybakom: Nie potrzebujecie teraz obawiać się wypływać na morze w nocy. Macie teraz latarnię morską. Dowidzenia. Ale, ale, co to miałem zapisać?

— Aha, *Kompaner Thal*!—i zapisał wyrazy te, zdaje się, fonetycznie w notatniku swoim. A trzeba wiedzieć, że człowiek ten nie miał w przeciągu 14-letniego probostwa ani jednego skandalu w parafii i był poręczycielem przynajmniej połowy farmerów w okolicy.

Przez cały ten czas stał w kącie przedpokoju przyjaciel mój, którego zwałem Curé d'Ars. Teraz, gdy skończyłem rozmowę, podszedł do mnie uśmiechnięty i z wyciągniętemi rękoma.

— Dobranoc, ojcze Danie! Dzięki serdeczne! Nigdy nie spędziłem przyjemniejszego wieczoru. Co za dzielni młodzieńcy! Tacy zręczni, tacy weseli, a tak przykładni! Czy nie jest to satysfakcyą dla nas, że, odchodząc z tego świata, zostawimy na nim tak dzielnych obrońców Wiary?

Wikary mego przyjaciela oczekiwał z całym szacunkiem końca tych wynurzeń, po czem podał drobnemu staruszkowi płaszcz i zapiął go od dołu po szyję.

Staruszek przez cały ten czas dziękował.

— Kochany chłopak! Dziękuję, dziękuję. Co za kłopot ze mną! Teraz czuję się dobrze.

A wikary, wielki, jak grenadyer, owinął mu tymczasem szyję szalem i nakładał rękawiczki.

— Kochany chłopak! Dziękuję, dziękuję! Doprawdy, zrobił ze mnie mumię, prawdziwą egipską mumię. Ojcze Danie, dobranoc! Co za przyjemny wieczór!

Nie skończył jeszcze dziękować, gdy rosły wikary podniósł go, jak dziecię i usadowił w powozie.

W kilka dni potem rozmawiałem z wikarym moim o tem i owem.

Gdy już odchodził, rzekł do mnie:

— Co za wesołość panowała podczas owego obiadu u księdza proboszcza. Zabawiłem się doskonale.

— Bardzo się cieszę. Ale też sprawiliście, księże, przyjemność zebranym śpiewem waszym!

— Istotnie, bardzo byli względni dla mnie.

— Nie mówiąc o tych, którzy byli wewnątrz—odparłem—lecz o tych, co zewnątrz słuchali.

— Mój Boże—zawołał—co za skandal!

— Bynajmniej—rzekłem—owszem, zyskaliście o sto procent w opinii mieszkańców osady. Walczyli poprostu o miejsce pod oknem. A wiecie, księże, kto je zdobył? Wasz przyjaciel—Jem Deady.

Spojrzał na mnie z widocznem niezadowoleniem.

— Jem powiada—mówiłem dalej—że nie mógł oka zmrużyć przez noc całą, starając się przypomnieć sobie melodyę. Gdybyście mu dali słowa pieśni i wygwizdali nutę...

— Co, temu szubrawcowi!—strzelił ksiądz Letheby, jakby z pistoletu.

— I gdybyście udzielili mu dwóch lub trzech audyencyj—zapewne ma na myśli akompaniament na fortepianie—to jest pewny, że...

— ! ! !

— Mój Boże, jak to niektórzy ludzie gardzą popularnością!

ROZDZIAŁ XIX.

Kampaner Thal.

Wypadki mnożą się dokoła mnie tej zimy. Częściej też niż kiedykolwiek przedtem zmuszony jestem odkładać na bok ulubionych autorów, gdy lampa płonie, ogień trzeszczy wesoło na kominku, a ziemia budzi się ze snu zimowego.

Pewnego wieczora przybył do mnie gość niespodziewany. Ni mniej, ni więcej, tylko Reginald Ormsby, narzeczony Bittry.

Ze zwykłą u oficerów angielskich skromnością i uprzejmością, przepraszał mnie za najście o tak późnej porze; tłomaczył przyczyny swej wizyty i wyrażał obawę urażenia osoby tak znacznej, jak proboszcz Kilronanu.

Słuchając tej przemowy, zadzwoniłem i wnet zjawiła się Hanna, niosąc co potrzeba.

— Proszę!—rzekłem, podsuwając butelkę.

Nalał sobie kieliszek pewną ręką do pełna, przelał ostrożnie zawartość do szklanki i dolał wody gorącej. Widząc to, pomyślałem: Zna się na rzeczy, głośno zaś rzekłem:

— Ma się rozumieć, że pan pali.

— Nie ośmieliłbym się nawet myśleć o paleniu w pańskim pięknym saloniku, boć wiadomo, że dym cygar przesiąka firanki i czuć go potem dniami całemi.

— Mniejsza o firanki—odparłem.—Nie mam, co prawda, cygar, aczkolwiek niedługo chyba będę musiał w nie się zaopatrzyć; zdaje mi się bowiem, że cygaro jest jednym ze składników nowoczesnego wychowania, do którego nam, tworom przedpotopowym, przystosować się należy. Jeżeli jednak pan ma przy sobie cygara, to proszę zapalić po przyjacielsku. Bezwątpienia ważna przyczyna sprowadziła pana, a powiadają, że cygaro wywołuje łatwość i potoczystość myśli.

— W takim razie korzystam z pozwolenia i dziękuję.

Palił, milcząc, w przeciągu kilku sekund, a palił cygaro doskonałe. Przyjemny zapach napełnił pokój. Przerwałem milczenie:

— Mój nowy wikary miał z panem kilka konferencyj w sprawie religii i mówił mi, że spróbuje na panu środka zwanego *Kampaner Thal*.

— O tak, to prawda. Był dla mnie bardzo dobry.

Muszę w tem miejscu zaznaczyć, że przyjaciel mój teolog, którego prosiłem o wyjaśnienie znaczenia owego środka, odpisał mi temi słowy:

„Przejrzałem wszystkie moje encyklopedye, ale nie znajduję śladu nawet tego, o coś pytał. W każdym razie wyraz *Kampaner* pozwala domyślać się, że tu chodzi o dzwony. Zapewne przeto wikary twój żąda dzwonów dla waszej katedry w Kilronanie. Jeżeli domysł ten jest trafny, to kup dzwon w tonie ostrym i zawieś mu go u szyi. Przynajmniej wiedzieć będziesz, gdzie go znaleźć.

Przyjaciel twój....“

— Bardzo dobrze—rzekłem do Ormsbyego, ale doprawdy nie mam pojęcia do jakiego gatunku zwierząt ów *Kampaner Thal* należy. Czy jest to ryba, zwierzę ssące, ptak lub owad, czy też nowe lekarstwo lub nowy środek hypnotyczny?

— O, bynajmniej!—odparł ze śmiechem—jest to tylko książeczka. Oto ona. Zawsze noszę ją przy sobie. Istotnie, bardzo piękna.

Wziąłem do ręki książeczkę formatu dwunastki, obejrzałem i zwróciłem z niedowierzaniem.

— Więc ten to środek pomógł panu?—rzekłem z pogardą, której ukryć nie mogłem.

— Nie powiem by pomógł — odpowiedział smutno i pogrążył się w zadumie.

Smutek jest jedyną rzeczą, której nie znoszę, dlatego też, a może także pod wpływem bodźca ciekawości, poprosiłem Ormsbyego, by mi przeczytał kilka ustępów.

— Stary mój wzrok nie wytrzymuje natężenia—mówiłem—a druk jest drobny, to też, jako dobry chłopak, przeczytaj mi pan wolno kilka pięknych ustępów, może będzie potrzeba porozmawiać o nich.

Otworzył książeczkę i czytał wolno, nawet monotonnie, bez zmiany głosu, ale z wieloma pauzami, ja zaś słuchałem uważnie, zastanawiając się nad każdem słowem:

„Jestem najzupełniej przeciwny podróży malowniczej po planetach, każdy z nas bowiem nosi w sobie niebo pełne konstelacyj. Istnieje w sercach naszych świat wewnętrzny, duchowy, który wyłania się, jak słońce z poza chmur na świat zewnętrzny.

„Mam na myśli ów wszechświat wewnętrzny dobroci, piękności i prawdy—trzech światów nie będących ani częścią, ani latoroślą, ani też kopią świata zewnętrznego. Mało nas dziwi niewytłomaczone istnienie transcendentalnych tych niebios, bo one są w nas zawsze. I wyobrażamy sobie w głupocie naszej, że je tworzymy, gdy w istocie odczuwamy je tylko. Według jakiegoż to wzoru, za pomocą jakiejże to siły plastycznej i wreszcie z czego właściwie bylibyśmy w stanie je stworzyć? Ateista powinien zapytać sam siebie, zkąd otrzymał potężną ideę Bóstwa, której ani zaprzeczył, ani uzmysłowił; ideę, która nie powstała z porównywania rozmaitego stopnia wielkości, albowiem stoi w sprzeczności z jakąkolwiek wiarą, z jakimkolwiek stopniem. Istotnie, ateista mówi, jak inni, o prototypie, o oryginale“.

— Proszę zatrzymać się!— zawołałem. — To co pan czytasz, jest ontologicznym argumentem św. Anzelma, przyjętym później przez takiego samego żołnierza-filozofa, jak pan, zwanego Kartezyuszem. Nic niema nowego pod słońcem.

Dziwna rzecz, jak to nowocześni autorowie potrafią wertować starych naszych mistrzów i odtwarzać z nich cudne malowidła!

— Rzeczywiście, i to zamiast was—odparł Ormsby — bo, przepraszam za mą śmiałość, wy katolicy macie dziwny talent zakopywania skarbów swoich tak, aby ich nikt nie widział. Czy posiadacie w języku angielskim jakikolwiek traktat o nieśmiertelności duszy, który mógłby się z tym porównać?

— W tej chwili nie mogę sobie żadnego przypomnieć—odparłem wymijająco, spoglądając na książeczkę— ale proszę czytać dalej. Czas, to najtańsza rzecz w Irlandyi.

Ormsby więc czytał: „Świat wewnętrzny, który jest, zaprawdę, daleko piękniejszym i wspanialszym niż zewnętrzny—potrzebuje innego nieba, niż to, które istnieje nad nami, wyższego świata, niż ten, któremu słońce udziela ciepła, i dlatego mówimy słusznie nie o drugiej ziemi, nie o drugim globie, lecz o drugim świecie po za naszym wszechświatem.

„Giona przerwała mi: — A każdy cnotliwy i mądry człowiek jest dowodem tego drugiego świata...

„I—dokończyła szybko Nadina—każdy, kto cierpi niezasłużenie.

„Tak—odparłem—to właśnie przedłuża nić żywota naszego w wieczność. Potrójne echa: cnoty, prawdy i piękności, wywołane przez muzykę sfer nadziemskich, powołują nas z tej ziemi próżnej tam, gdzie brzmią tony muzyki. Dlaczego i na co dane nam były te pragnienia? Dlatego, by jak zakopany dyament, powoli znów przeciły powłokę naszą ziemską. Na co umieszczono na tej kuli ziemskiej nas, stworzenia ze skrzydłami słabemi, jeżeli zamiast unosić się w przestworza na skrzydłach eterycznych, zmuszeni jesteśmy opadać na tę ziemię, która nas zrodziła?... Czy anioł ma być uwięziony w ciele na to, by był jego sługą, ogrzewaczem i kamerdynerem, jego kucharzem i stróżem jego żołądka? Czy płomień eteryczny ma służyć na to tylko, by na rozkaz ogrzewał piec życia, a potem oziębiał się i gasnął?“

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze!—przerwałem — Autor wie, jak rzeczy traktować po męzku.

„Niezgodność pomiędzy naszemi życzeniami, a stosunkami—czytał Ormsby dalej — pomiędzy naszą duszą a ziemią, pozostanie zagadką, gdy żyć dalej będziemy,

bluźnierstwem, gdy żyć przestaniemy. Obcy, urodzeni na wysokościach, trawimy życie na nizinach w tęsknocie niezdrowej. Należymy do regionów wyższych i wieczna tęsknota żyje w sercach naszych...

„Czego to dowodzi?—spytał kapelan.

„Nie tego, że jesteśmy nieszczęśliwi, ale tego, że jesteśmy nieśmiertelni, tego, że ten świat nasz wewnętrzny dom aga się owego drugiego, po za nami...

„Nie mogę wypowiedzieć, jak bolesną, potworną, straszną, wydaje mi się myśl o śmierci unicestwiającej. Ludzie nieraz mają błędy i prawdy na ustach, nie w sercu. Dajmy, wierzącemu w unicestwienie, życie nie sześćdziesięcioletnie, lecz tylko sześćdziesięciominutowe, postawmy przed nim istotę ukochaną, lub mądrą i szlachetną, i powiedzmy mu, że to jest zjawisko bezcelowe o życiu tylko jednogodzinnem, czy uwierzy? Nie! Przypuszczenie niezniszczalności zawsze w nim żyć będzie; inaczej bowiem przed duszą jego, jak przed duszą Mahometa, wiecznie wisieć będzie podczas najpiękniejszej pogody chmura czarna i wiecznie będzie go prześladował strach Kainowy. Nie, gdyby nawet wszystkie lasy tej ziemi były gajami rozkoszy, gdyby wszystkie doliny były tak pięknemi, jak nasza, gdyby wszystkie wyspy były wyspami błogosławionemi, wszystkie pola polami Elizejskiemi, wszystkie oczy oczami dobroci, a wszystkie serca przepełnione radością—to i wtedy nawet, pomimo całej tej szczęśliwości, Bóg dałby duchom naszym obietnicę wiecznego istnienia. Cóż dopiero mówić, o Boże, gdy tyle domów jest domami żałoby, tyle pól polami bitew, tyle lic okrywa bladość, tyle ócz czerwieni się od płaczu lub zamyka pod tchnieniem śmierci? O Boże, czy to możebne, aby grób, ten port zbawienia, był ostanim, chłonącym, nie zwracającym nic wirem? Nie, deptany robak ośmiela się wznieść ku swemu Stwórcy i powiedzieć: „Ty nie mógłbyś stworzyć mnie tylko po to, bym cierpiał!“

Słuchałem z oczami zamkniętemi spokojnego rytmu zdań, poważnej, głębokiej muzyki jego głosu, działającej niewypowiedzianie uspakajająco; gdy nagle przy słowach ostatnich zachłysnął się i przestał czytać. Spojrzałem na niego. Ten wielki, silny człowiek płakał cicho, a łkania wstrząsały jego postacią. O, Panie! Jakże wiele ukry-

tych boleści istnieje na tym świecie. Ktoby to pomyślał, że ta spokojna powierzchowność rozumującego, wykształconego ateisty ukrywa tyle ognia? Nie była to chwila do rozmowy. Pozwoliłem biedakowi wypłakać się do woli.

Po pewnym czasie otarł oczy i rzekł:

— Doprawdy, wstyd mi, ojcze, takiego mazgajstwa. Nie powinienem był czytać tego. Ustęp ten wyprowadza mnie zawsze z równowagi.

— Nie myśl o tem, biedaku—odparłem.—Dobrze to czasem dla ludzi wypłakać się serdecznie.

A w głębi duszy pomyślałem: Moja mała będzie w dobrych rękach.

— A teraz—rzekłem dalej—proszę położyć książkę. Porozmawiamy.

— Jeszcze jeden ustęp, ojcze, niech przejdzie wzruszenie.

„Ach, Carlsonie—czytał—co za piękny świat przywalasz olbrzymim kamieniem grobowym, którego żadne czasy nie uniosą. Gdyby trudności twoje, oparte na koniecznej dla ludzi niepewności, zostały rozstrzygnięte, to skutkiem—byłoby zniszczenie wiary, która jest rozwiązaniem innych, tysiącznych kwestyj; bez której istnienie nasze staje się bezcelowem, nasze bóle bez końca.

„Od bezkształtnego robaka do istoty ludzkiej w rozkwicie, od chaosu dnia pierwszego do obecnego stanu świata, od pierwszego, słabego poruszenia serca do pełnych, śmiałych jego uderzeń dojrzałości—niewidoma ręka Boga prowadzi, ochrania i odżywia istotę wewnętrzną, będącą żywicielką świata zewnętrznego, kształci ją, ogładza, upiększa—na co? Ażeby, gdy staje podobna do półboga śród zwalisk świątyni ciała, uderzenie śmierci mogło powalić ją na zawsze, aby nic nie pozostało z tego osłoniętego zwłokami, tęskniącego, ukrytego wszechświata niezmierzonego, jeno wiecznie siejący, ale nigdy nie zbierający, samotny duch jego? Jedna wieczność spoglądająca z rozpaczą w drugą, a w całym duchowym wszechświecie nigdzie końca, nigdzie celu! Czyż musimy przyjmować wszystkie te sprzeczności i zagadki, przez które nietylko harmonia, ale nawet sama osnowa stworzenia są poplątane—jedynie z powodu trudności, których, istotnie, nasza nicość rozwiązać nie może? Kochany Carlsonie,

czyż zechcesz w tę harmonię sfer, która istnieje nie nad nami lecz zawsze wokoło nas, wnieść krzyczącą niezgodę? Patrz, jak łagodnie i wzruszająco dzień odchodzi; patrz z jakiem nabożeństwemokrywa nas noc cieniami. O, czy nie uwierzysz, że duchy nasze mogą wyłonić się z prochu choćby tak, jak kiedyś widziałeś księżyc w pełni, wyłaniający się z poza krateru Wezuwiusza?

„Giona ujęła jego rękę i rzekła:

„Czy wśród nas wszystkich ty jeden tylko masz być męczony tą wiarą rozpaczy?

„Dwie łzy gorące spadły z oczu jego zamglonych. Spojrzał na góry i odparł!

„S e r c e moje przyznaje wam słuszność, ale r o z u m nie może jeszcze zgodzić się na wasze zapatrywania".

— I oto, ojcze—rzekł Ormsby, zamykając książkę i chowając ją do kieszeni—stan mojej duszy. Serce moje jest z wami, gdybyż i rozum chciał pójść za jego przykładem! Postawcie Bittrę na miejscu Giony, a zrozumiecie moje wzruszenie.

— Nawet i to nie wystarczy—odparłem.—Choćby bowiem rozum pański poszedł za sercem, to i wówczas jeszcze mógłby być tak obcym dla nas, jak przedtem.

— Nie rozumiem!—zawołał zdumiony—przecież chodzi tu tylko o to, abym był przeświadczony o prawdzie nauki waszej?

— A więc mylisz się pan bardzo. Przeświadczenie nie jest wiarą. Tysiące pańskich rodaków przeświadczonych jest o prawdach katolicyzmu, a jednak są tak obcymi dla Kościoła naszego, jak Buddyści lub wyznawcy Konfucyusza. Wiara nie jest rzeczą, którą nabywa się przez czytanie lub wiedzę. Jest to dar taki, jak talent wielkiego rzeźbiarza lub muzyka, szósty zmysł, dar czysty Wszechmądrego i Wszechdobrego.

Słowa te były dla Ormsbyego rewelacyą, której nie mógł ogarnąć, tak nieuniknionem następstwem logicznem przeświadczenia zdawało mu się być wyznanie.

— Wszystko—rzekł—pociąga mnie w waszym Kościele. Całość wydaje mi się planem tak znakomicie ułożonym, tak niepodobnym do religii, w której urodziłem się i wychowałem, a w której wiecznie szukać trzeba ogniw pogubionych. A przytem Kościół wasz wydaje mi

się opartym na miłości, na miłości, ma się rozumieć, nadnaturalnej, prawie nie do pojęcia. Zauważyłeś zapewne, ojcze, jak szybko nieraz myśl robi porównania. A więc często, siedząc w naszej stacyi nadbrzeżnej, myślałem, zajęty przeglądem morza, że my, protestanci, spoglądamy na Boga przez szerszy koniec lunety, czyniąc Go przez to dalekim, małym, nieznacznym, gdy tymczasem wy, katolicy, patrzycie na Niego przez koniec węższy, zwiększając Go i zbliżając ku sobie. Nasz Bóg—to jest ten Bóg, w którego nauczono mnie wierzyć, jest Bogiem z góry Synai, a nasz Chrystus—Chrystusem historycznym, ale to nie wystarcza ludzkości, która zawsze wzdycha do Boga, i wy zrozumieliście tę tajemnicę.

Byłem zdziwiony powagą i zastanowieniem z jakiemi młodzieniec ten przemawiał. Słowa jego były przytem tak pełne uczucia i zrozumienia luki, jaką w swej duszy posiadał!

Zamilkł i trwał długo w milczeniu, paląc cygaro, ja zaś rozmyślałem o wielu rzeczach i wstyd mi było, że tak mało cenimy ów wielki, Boski dar wiary. W końcu Ormsby odezwał się do mnie:

— Niezupełnie zrozumiałem, ojcze, uwagę waszą o szóstym zmyśle. Wszak tu nie o zmysły chodzi, lecz o duszę.

Wkraczaliśmy w dziedzinę zagadnień bardzo głębokich, co, przyznam się, onieśmielało mnie, mnie który od lat niemal 30 książki treści filozoficznej w ręku nie miałem. Od czego jednak przenośnie? To też rzekłem:

— Pozwól pan, że wytłomaczę. Czy zwiedzałeś pan kiedy szpital oftalmiczny lub przytułek dla niewidomych?

— Tak, zwłaszcza zagranicą.

— A więc zauważył pan zapewne, że istnieją rozmaite rodzaje ślepoty. Niektórzy nie widzą skutkiem katarakty, inni wskutek utraty gałek ocznych, jeszcze inni widzą cokolwiek z poza brzydkiej błony, narosłej na oczach. Najstraszniejszym wszakże dla mnie jest widok chłopca lub dziewczynki, którzy podchodzą do nas, spoglądając uporczywie oczami błyszczącemi, o tęczówce zupełnie czystej, źrenicy normalnie rozszerzonej i o białku ocznem zabarwionem tym lekkim cieniem błękitu, który

oznacza zupełne zdrowie oka. A jednak dzieci te są najzupełniej niewidome! Zkąd pochodzi kalectwo?

— Nerw optyczny zamarł—odpowiedział szybko.

— Tak jest. Gdybyś więc pan przez czarny otwór źrenicy tych oczu rzucał w nie najsilniejsze światło słoneczne lub promienie waszej elektrycznej latarni morskiej, to czy byłby z tego skutek jaki?

— Dla oczu żaden. Mógłby chyba nastąpić tylko paraliż mózgu.

— Tak jest. Otóż, kochany przyjacielu, gdybyś do ostateczności nawet lał światło ludzkie dysput, filozofii, dogmatów na siatkówkę duszy ludzkiej, pozbawionej nerwu optycznego wiary, to dusza ta pozostanie ociemniałą i ociemniałą zejdzie do grobu.

— Niezupełnie temu winien jestem—odparł—w każdym razie cudu potrzeba, by mnie uzdrowić.

— Masz pan racyę. Najczystszego światła Boskiego. I dlatego wikary mój dopuszcza atak do fortecy niebieskiej za pomocą dział silnych: modlitw dziatwy. A jeżeli ze swej strony pragniesz uzyskać jednym zamachem łaskę Boską, to wyszukaj owieczkę najbardziej strapioną i najbardziej dotkniętą losem z owczarni mojej (Bittra ma ich całą listę) i proś, by się modliła za ciebie, a bardzo prędko zbudzi się w tobie zmysł wiary i zdziwiony będziesz, żeś tak długo nie widział.

— Tysiączne dzięki—rzekł, powstając—nie spodziewałem się, że spędzę wieczór tak przyjemnie i pouczająco.

— Boś spodziewał się spotkać starego, śmiesznego człowieka, pełnego żartobliwości, coś na kształt Falstaffa!

— Przepraszam—odparł podkręcając wąsa nerwowo—tego nie powiedziałem.

— Ma się rozumieć. W tem leży błąd, że sądzimy z powierzchowności. Demokryt był tak samo filozofem, jak Heraklit, a jednak żył 50 lat dłużej. Wierz mi, że śmiech ukrywa często wielką filozofię.

— Rzeczywiście. I muszę powiedzieć, na zasadzie długiego a zarazem miłego doświadczenia, że wy, księża, jesteście najweselszymi z ludzi, jakich spotykałem — z wyjątkiem chyba naszych marynarzy, choć porównanie to brzmi tak dziwnie. Jeżeli zaś już o marynarzach mowa,

to niech mi wolno będzie, ojcze, dla okazania Wam wdzięczności mojej, powiedzieć, jako proboszczowi, to o czem nadmieniłem już zlekka waszemu zacnemu wikaremu, a mianowicie, że narazi się na bardzo wiele kłopotów, a także zapewne i wydatków, jeżeli nie zaniecha projektu owego statku rybackiego. Pracowałem dla niego w tej sprawie, bo mu na niej tak zależy, ale mam złe przeczucia. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem, mówiąc księdzu proboszczowi o tem, ale, doprawdy, jestem niespokojny i mówię na podstawie długiego doświadczenia.

Pożegnawszy się ze mną, zapalił u drzwi cygaro, a ja wróciłem do pokoju, rozmyślając, czym nie uczynił wstydu filozofii katolickiej; myśl moja jednak powracała uporczywie do ostatnich słów Ormsbyego. Co to będzie, jeżeli ks. Letheby zaplącze się w złą sprawę właśnie teraz, gdy wszystko zapowiada się tak dobrze? Jakże mało zastanawiają się ci młodzi nad tem, że przysparzają kłopotów starym swym proboszczom!

ROZDZIAŁ XX.

Próby literackie.

Powtórzyłem słowa Ormsbyego księdzu wikaremu, jak można najostrożniej, a pochlebiam sobie, że umiem obchodzić rzeczy dokoła nie gorzej od dyplomaty zawodowego. Pomimo to wszakże ks. Letheby źle je przyjął. Niema co! Ten człowiek zapracowuje się i przez to pohopny jest do gniewu za lada podrażnieniem.

— Przeszkody na wszystkie strony!—zawołał porywczo, chodząc po małym swym pokoiku, a po chwili dodał:

— Tak jest, ksiądz proboszcz ma słuszność, a ja jestem głupiec! Na nic się nie zdadzą próby czynienia ludziom w Irlandyi dobrze.

Co prawda, nie spodziewałem się po nim takiego zakończenia, ale jest to już naszą wadą narodową, że lubimy uogólniać na podstawie pierwszego lepszego wypadku.

— Niezupełnie — rzekłem — zgadzam się z wami, księże. Sądzę, że macie tutaj dosyć do roboty i że zdziałaliście już bardzo dużo!

Głupstwo! Cała ta praca do połowy nawet nie zadowolniała napoleońskich jego ambicyj i chyba tylko wikaryat całego lądu afrykańskiego zaspokoiłby aspiracye tego młodzieńca.

— Moja praca pasterska—odrzekł—kończy się o godzinie czwartej po południu. Nauczyłeś mnie nawet

księże proboszczu odmawiać modlitwy przed obiadem. Cóż więc ma robić młody człowiek, jak ja, od godziny czwartej popołudniu do godziny dziesiątej, t. j. do chwili, gdy udaję się na spoczynek? Raz na miesiąc obiaduję u Campionów, po za tem zaś, jeżeli nie wpadnę do księdza proboszcza...

— Co czynisz ksiądz bardzo rzadko—przerwałem.— Dziwnie dumni są młodzieńcy dzisiejsi.

— To prawda, księże proboszczu—odpowiedział już spokojniej—ale choćbym nawet korzystał jaknajwięcej z dobroci jego, cóż mam robić z czasem pozostałym?

— Czytać, czytać i jeszcze raz czytać. Czy nie masz ksiądz całego morza wiedzy ludzkiej do zgłębienia?

— Ach, *cui bono*?—westchnął.

— Co! *Cui bono* w ustach waszych? Sądziłem, że nigdy już nie usłyszę słów tych fatalnych! I wy to, księże, powiadacie: *Cui bono*, wy?

Nigdy jeszcze w życiu mojem nie byłem tak przerażony. Objęło mnie uczucie odkrycia nader przykrego, odkrycia upadku sił i nudy, które Bóg wie dokąd zaprodzićby go mogły.

— *Cui bono*?—powtórzyłem.—Czy istnieje na świecie przyjemność większa nad nabywanie wiedzy? Czy jest rozkosz, którąby się równała bezustannemu śledzeniu idei, w nienasyconem pragnieniu badań? Widzę jednak obecnie, że upodobania moje nie zgadzają się z waszemi i że zrobiłem głupstwo namawiając was do studyów nad klasykami. Weźcie się więc do filozofii, wyznaczcie sobie godziny: tyle na czytanie, tyle na rozmyślanie, tyle na pisanie...

— Oto jest bolączka!—zawołał. — Gdybym mógł pisać, miałbym ciągle silnego bodźca do czytania i do zastanawiania się nad tem, co czytam!

— Więc dlaczego nie piszecie? Wszak papier jest tani, a pióra i atrament również niewiele kosztują.

— Pisać?—na co i dla kogo?

— Pisać do miesięczników. Pisać artykuły żywe, barwne i zajmujące do naszych czasopism. Niech wam płacą. A przytem, co to za przyjemność widzieć słowa własne w druku.

— A cóż robić, jeżeli będą odrzucone lekceważąco?

— To niemożebne—odparłem — zawsze znajdzie się miejsce dla dobrych pisarzy. Wszak ciągle uskarżamy się, że literatura nasza jest ubogą.

Nie odpowiedział, jeno otworzył tekę, wyjął kilka poznaczonych literami rękopisów i podał mi je w milczeniu. Rzut oka wystarczał, by poznać, że na każdym z nich, pomimo słów grzecznych, widniała odmowa.

Wiedziałem dobrze, co taka odmowa znaczy dla umysłu dumnego, wrażliwego; i aczkolwiek zdarza się to wszystkim nowicyuszom w piśmiennictwie, to jednak mogła ona mieć wpływ zgoła nie dodatni na człowieka, który jest skorym do zniechęcenia. To też przeglądałem milcząc dwa szkice, trzy nowelki, oraz pół tuzina urywków poetyckich, zwróconych autorowi, — nie wiedząc co powiedzieć.

Szczęśliwi, zaprawdę, są głupcy, którzy całe godziny spędzać mogą, patrząc w ogień na kominku płonący, nie myśląc o niczem.

Szczęśliwi jesteśmy my, których dni skłaniają się ku zachodowi, a których powstrzymuje hamulec wieku tak, że prawie nieznacznie staczamy się po pochyłości.

Ale po trzykroć nieszczęśliwi ci, w których duszy myśli się kręcą bez końca, jak kamienie młyńskie, i ścierają się nawzajem, jeśli pomiędzy niemi ziarna nie staje.

Jakże często myśli tych krążenie stało się nieznośnem marzycielskiemu poecie lub idealiście i wówczas...

— Bezwątpienia—przerwał nagle ksiądz wikary moją zadumę—są w tych rękopisach rzeczy bez wartości, nowelki wodniste, rymy pensyonarskie, pocóż jednak dawać takie odpowiedzi, jak: „Nowelka pańska jest dla nas zbyt długą“... „Żałujemy bardzo, że styl artykułu pańskiego nie nadaje się do naszego pisma“... „Talent pański wiele zapowiada na przyszłość, utwór jednak nadesłany niezupełnie czyni zadość wymaganiom naszym“... „Próbuj pan wiersza białego“... „Mamy nadzieję, że pan o nas nie zapomni“... Czy słyszał ksiądz proboszcz coś bardziej szyderskiego?

Ma się rozumieć, że wikary mój nie pomyślał wcale o biednym redaktorze, siedzącym za stołem w zakopconej redakcyi i gryzącym obsadkę pióra w zamyśleniu, co odpowiedzieć naprzykład „Stałemu czytelnikowi“, który

protestuje przeciwko lekkiej treści artykułów; „Kapłanowi“, nie znoszącemu poezyi; „Starcowi“, pytającemu ironicznie, czy pismo dąży istotnie do tego, by się stać tak nudnem, jak „Miesięcznik edynburski“ lub „Kwartalnik“; albo wreszcie, dlaczego pismo podaje artykuł o „Konstytucyi ateńskiej“ Arystotelesa, zamiast dostarczać czytelnikom swoim strawy, któraby ułatwiała trawienie poo biednie?

Ksiądz Letheby bynajmniej o tem nie myślał. Przeciwnie, w duszy jego tkwiła żądza urządzenia ogólnego *auto-da-fe*, ogólnego całopalenia wszystkich redaktorów pod słońcem.

— Słuchaj, młodzieńcze—rzekłem w końcu—dla ciebie nie pozostaje nic innego, jak tylko napisać książkę.

— Księże proboszczu—odparł na to—nie jestem dziś w usposobieniu do żartów. Ksiądz, który w naszych czasach chciałby zabrać się do napisania książki, powinien posiadać duszę pierwszych męczenników chrześciańskich, wstępujących na arenę Coliseum i widzących na stopniach amfiteatru tłumy rzymian brutalnych, poniżej zaś klatki ze zwierzem dzikim.

— A jednak, kochany chłopcze, napiszesz książkę; napisz ją jednak w takiem usposobieniu, w jakiem znajdujesz się obecnie. Nie czekaj by ognie wygasły.

Roześmiał się.

— Napisać książkę? O czem, na miłość Boską? Świat zalany już jest książkami. Przypuśćmy wszakże, iż książkę napiszę, to któż ją wydrukuje? Niech ksiądz proboszcz wyobrazi sobie tylko wędrówkę moją od wydawcy do wydawcy z coraz bardziej pożółkłym i poczerniałym rękopisem. Wszak wiadomo, że wydawcy londyńscy drukują zaledwie dwa na sto dostarczonych im rękopisów, a nie mogę przecież wydać jej na własne ryzyko.

— Kto księdzu mówił o wydaniu! — zawołałem, by podtrzymać ogień. Napiszcie tylko, a wydawnictwo pozostawcie woli Bożej.

— I o czem to mam pisać? Każdy przedmiot pod słońcem, zacząwszy od pochodzenia myśli, a skończywszy na bakteryach tyfusowych, był już nicowany na wszystkie strony. Nie, doprawdy, świat stał się już zbyt mądrym, by czytać nowe książki. Lepiej wymyślmy coś innego.

— A przecież przed kilku dniami zaledwie narzekaliście na dotkliwe braki w literaturze naszej katolickiej. Wszak dla objaśnienia Ormsbyego o istnieniu duszy nieśmiertelnej zmuszeni byliście uciekać się do książki barbarzyńskiej...

— Barbarzyńskiej? Doprawdy, życzyłbym sobie, abym był w stanie napisać coś choćby w połowie tylko tak dobrego! Nie o to jednak chodzi; istnienie bowiem książki tej dowodzi, że na polach, których myśmy nie zajęli, heretycy zbierają plony obfite. Któżby się na to odważył? Wie dobrze ksiądz proboszcz, że nawet najzdolniejsi profesorowie seminaryum w Maynooth nie ośmielali się wydawać książek w obawie przed tymi bandytami, których zwiemy krytykami.

— Jakże pospiesznie wydajesz ksiądz sądy? Pomyślałby kto, że masz już gotowy rękopis w kieszeni. Najpierw napiszcie dzieło, a potem dopiero opowiadajcie o tem, co się zdarzy.

— Dobrze. A więc proszę o temat.

— Nie tak nagle, młodzieńcze! Daj mi dzień do namysłu, a przedstawię ci taki spis tematów, że osłupiejesz. Przyrzeknij mi jednak, że wybierzesz z nich jeden.

— Zgoda. Przyrzekam. Przepraszam, gdzie to ksiądz proboszcz zabiera moje papiery?

— Zabieram je do siebie. Uważaj je za skonfiskowane.

Spoglądał na nie tak, jakgdyby szły na całopalenie. Tak zapewne, na poły z dumą, na poły z boleścią, a całkowicie z rezygnacyą spoglądała matka Mahabeuszów na synów swoich, idących na męczarnie.

— Nie obawiajcie się — rzekłem. — Nie pójdą do kominka, a przynajmniej nie pójdzie tam proza. Co do poezyi, to niezupełnie ręczę za nią. A teraz do widzenia, pamiętajcież o tem, coście mi przyrzekli.

Dotrzymałem słowa, aczkolwiek kosztowało to mnie wiele; musiałem bowiem zaglądać do cmentarza przeszłości, odkopywać szkielety zamiarów, niegdyś radośnie powziętych, a następnie spokojnie złożonych do grobów. W końcu znalazłem śród dokumentów, listów i t. p. pożółkły, zmięty papier, związany wstążką niegdyś czerwoną, obecnie zbielałą i kruchą. Pękła pod palcami memi i uka-

zała mi sny moje z przed lat bez mała czterdziestu. Czyż potrzebuję dodawać, że sny te albo nie ziściły się dotychczas wcale, albo też ziściły się bardzo niedokładnie? Zajmowały one trzy wielkie karty, wypełnione jak następuje:

A. M. D. G.

Tematy artykułów, jakie mam napisać w przyszłości.

I. Filozofia.

1) Wpływ Platona, na pierwociny Kościoła chrześciańskiego.
2) Wpływ Arystotelesa na Kościół w wiekach średnich.
3) Neo-platonizm.
4) Argumenty Ś-go Augustyna o nieśmiertelności duszy.
5) Teorya atomów Demokryta i nowoczesne odkrycia w dziedzinie astronomii.
6) Wpływ filozofii indukcyjnej na niewiarę nowoczesną.
7) Czy Spinoza był ateistą?
8) Czy Kartezyusz jest ojcem nowoczesnego racyonalizmu?
9) Dowody Ś-go Anzelma o istnieniu Boga.
10) Argument kosmologiczny S-go Jana z Damaszku.
11) Argument z intuicyi.
12) Jak wygląda nowoczesny panteizm?
13) Idealizm chrześciański.
14) Malebranche i Fenelon.
15) Boecyusz.
16) Filozofowie katoliccy w wieku XIX.
17) Związek ciała z duszą (Tertulian).
18) Doktryna chaldejska o duszy.
19) Idea osobistości.
20) Identyfikacya życia i ruchu.
21) Maine dy Biran.
22) Popularyzowanie filozofii katolickiej.

II. Dzieje Kościoła.

1) Szkoła Aleksandryjska.
2) Pisma Klemensa.
3) Origenes i jego prace.
4) Efraim syryjczyk i jego prace.
5) Apologeci.
6) Trzej kapadocyjczykowie.
7) Julian i jego współcześni.
8) Koncylium nicejskie.
9) S-ty Augustyn i Donatyści.
10) Święci w katakumbach.
11) Dyscyplina tajemnicy.
12) Libijscy i nitrejscy anachoreci.
13) Stylici.
14) Komunia w pierwotnym Kościele.
15) Pojęcie wieków średnich.
16) Sprawa Honoryusza.
17) Hildebrand.
18) Aleksander VI i Savanarola.
19) Powstanie i wzrost zakonów.
20) Wpływ zakonników irlandzkich na kontynent europejski.
21) Szkoły filozoficzne.
22) Port-Royal. Pascal, Nicole, Arnauld.
23) Powstanie i wzrost jansenizmu.
24) Galikanizm i kościoły narodowe.

— Długa lista!—myślałem, spoglądając z litością na widmo młodego, kędzierzawego księdza z przed laty czterdziestu i marząc o dniach snów młodzieńczych. Co za gorączkowa żądza pracy biła z tych bujnych lat idealizmu i niedoświadczenia! Pozostawała jeszcze jedna karta z tematami o zawartości i znaczeniu Pisma świętego, odłożyłem ją jednak. Czułem, że wiedza moja czerpana była z tak zużytych i przestarzałych źródeł, jak *Maldonatus, Estius* i *Triplex*, i wstyd mi było ową kopalną literaturę przedstawiać myślicielom postępowym czasów dzisiejszych. Nie chciałbym doczekać się takiego nap. zarzutu:

— Nie słyszeliście, księże, o nowych szkołach interpretacyi? Czyż nie wiecie, że wielcy myśliciele niemieccy, jak Bahrdt, Semler i Eichhorn zwalili wszystkie nasze

powzięte naprzód idee o Biblii? Pogłębiono i rozszerzono poglądy wolfowskie, a postępowi katoliccy apologeci wzięli sobie za cel pogodzenie dawnych naszych tradycyj z najnowszemi odkryciami. Olbrzymi postęp rzeczoznawców i uczonych filologów lat ostatnich...

— Nie powiem, abym podejrzewał mojego wikarego, że tak do mnie przemówi, wiem bowiem, że woli stary sposób zapewniania dusz niebu, niż błyskotliwe sztuczki świata, nieznającego Boga. Sądzę wszakże, że uważałby za stratę czasu zajmowanie się takiemi pracami, zanim nowożytni lucyperowie nie powiedzą nam wyraźnie, co stawiają po za granicą domysłów, a co opierają na niewzruszonych i pewnych podstawach dowodzeń matematycznych. To też tematy moje biblijne pozostawiłem w spokoju.

Z pewnem zdumieniem spojrzał wikary na ten długi wykaz, gdym mu go pokazał. Uspokoił się dopiero, gdym oświadczył, że wymagam od niego pracy nad jednym tylko tematem z każdego działu.

— Wielkim błędem nas, katolików—rzekłem — jest to, że zakreślamy sobie w pracy zbyt szerokie granice, że chcemy tworzyć odrazu widoki na całą ludzką historyę lub filozofię, zamiast podejmować pracę częściową, jak np. astronomowie przy sporządzaniu mapy niebios. Każdy z nich, zacząwszy od astronomów obserwatoryum watykańskiego w Rzymie, a skończywszy na astronomach obserwatoryum Licka w Kalifornii, fotografuje jeden tylko działek niebios dlań widoczny.

Najwięcej potrzeba nam monografii rozmaitych działów. To też żądam od was nie olbrzymiej dioramy od Thalesa do Rozminiego, lub od Juliana do Kulturkampfu Bismarcka, lecz dokładnego obrazka danej osoby lub zdarzenia, wiernej fotografii danego punktu filozofii katolickiej. Jeżeli dodacie do tego kilka rysów zaczerpniętych z błędów myślicieli nie katolickich, tem lepiej. A teraz przejrzyjcie, księże, listę dokładnie.

Pociągała go bardzo sprawa filozofii indukcyjnej. Czytał o niej trochę u Macaulaya, nie mniej wszakże zajęła go kwestya platonizmu, granicząca z poezyą i mistycyzmem. Albo święty Augustyn! Studyum byłoby wspaniałe, a on tak uwielbiał tego Swiętego! Ale oto Fenelon,

„gołąb z Cambrai“ w zestawieniu z Malebranchem, „orłem z Meaux“. Co za myśl pyszna! Nie, doprawdy, najlepsza nawet gosposia, kupująca towary na wyprzedaży korzystnej, nie miałaby takiego kłopotu z wyborem! W końcu jednak rozstrzygnął, że w dziale filozofii podejmie się pracy o „Panteizmie nowoczesnym“; w dziale zaś dziejów Kościoła pracować będzie nad „Kapadocejczykami“.

— Jakże jednak pracować bez książek, nie mam ani jednej, któraby tyczyła się tematów powyższych!—zawołał.

— Kupić!—odparłem.—Każdy dobry rzemieślnik kupuje sobie narzędzia i materyały.

— Posądzam księdza proboszcza o żart; gdybym bowiem chciał słuchać jego rady, to musiałbym sprawić sobie całą bibliotekę, a gdybym nawet miał na to pieniądze, jak ich nie mam, to przyznam się, że nie znam nazwiska ani jednego autora katolickiego, któryby o rzeczach tych pisał.

— Co mówisz, kochany chłopcze! Znam setki. Pomyślmy tylko: o ojcu Bazylim i dwóch Grzegorzach któż to pisał? Zaraz. Aha, wszak posiadamy o nich pracę kardynała Newmana.

— Nie życzy sobie chyba ksiądz proboszcz, abym pracę kardynała Newmana przepisał?

— A więc pomyślmy. Doprawdy, posiadamy setki pisarzy angielskich o tych Ojcach, ale pamięć już mi nie dopisuje. Całe biblioteki istnieją. Czyż nie mamy naprzykład Alzoga i Darrasa?

— Mam Darrasa!—zawołał radośnie.

— A więc przejrzyjcie go i wyszukajcie wszystko co mówi o świętym Bazylim.

— Ale tu chodzi przecież o to, co zdziałał ten Święty i inni Kapadocejczycy. Czyż nie byłoby na miejscu podać cytaty z ich dzieł?

— Istotnie. A więc przejrzę stare katalogi i dam wam wykaz tego, co znajdę.

— Tymczasem nie traćcie czasu, napiszcie choćby przedmowę. Ale, ale, jakże stoi sprawa łodzi rybackiej? Ormsby powiada, że to sprawa kłopotliwa i nieprzyjemna.

— Posunęła się już zanadto, abym mógł się cofnąć— odparł wikary.—Władze ustąpiły nareszcie i to dzięki wstawiennictwu Ormsbyego.

— Czy dadzą na to pieniędzy?

— Dwie trzecie: czterysta funtów.

— Bardzo ładnie. Nie sądzę jednak, aby pożyczyły wam pieniędzy bez zabezpieczenia i bez procentu.

— Ma się rozumieć. Mają zabezpieczenie zupełne, a przytem 5% i zapewnioną spłatę pożyczki w przeciągu mniej niż pięciu lat.

— Na Jowisza! Sprytny z was chłopiec. Z kąd jednak weźmiecie pieniędzy na spłatę długu.

W odpowiedzi poprosił, bym podszedł do okna. Gdym uczynił zadość tej prośbie, pokazał mi rozpostarte szeroko obszary morskie, iskrzące się majestatycznie w zimnych promieniach słońca zimowego, ale puste, niezaludnione jednym choćby żagielkiem rybackim.

— Oto jest kopalnia złota Irlandyi, niewyzyskana i zaniedbana!—zawołał. — W głębinach tych znajduje się dosyć towaru, by uczynić z Kilronanu środowisko handlowe połowy świata.

— Rozumiem. A resztę pieniędzy, potrzebnych na budowę statku, zkąd weźmiecie?

— Utworzyłem spółkę z 20 kupców, którzy dali po 10 funtów.

— I nie pomyśleliście nawet, aby stary wasz probosz przyjął udział w patryotycznem tem przedsięwzięciu? Wstyd! Wstyd! Miałbym przecież prawo do cząstki dochodu z tego, tak samo jak inni.

Roześmiał się.

— Jeden tylko połów makreli—mówił dalej — wart jest sto funtów dla każdego statku flotyli rybackiej francuskiej, która przybywa na nasze brzegi rokrocznie i wywozi nasze bogactwo do swych kwitnących wiosek nadbrzeżnych. Oceniam na drugie sto zysk ze stokfiszów i ryb innych. To też spodziewam się, że pożyczkę rządową spłacimy w trzy lata, a prócz tego damy piękną dywidendę naszym wspólnikom. Statek buduje się obecnie w jednej z firm w Belfaście. Gotowy będzie na 1-go Marca. W dniu tym poświęcimy go i nazwiemy „Gwiazdą

morską", a następnie wyruszymy na pierwszą wyprawę rybacką.

— A cóż słychać o projektowanej fabryce koszul?

— Jest także na dobrej drodze—odpowiedział, przytem jednak twarz jego zachmurzyła się lekko. — W połowie Kwietnia 20 maszyn do szycia będzie w pełnym ruchu. Zarządzający przybył tutaj i obiadował u mnie zeszłego Czwartku. Miły człowiek. Zapewniał mnie, że po opłaceniu wydatków potrzebnych na rozpoczęcie pracy, każda z dziewczyn zarobić będzie mogła od 8 do 10 szylingów tygodniowo.

— Na Jowisza! To świetnie. Co za wielka pomoc dla biedaków!

— Tak. Zarządzający przysyłać nam będzie tutaj koszule już całkiem skrajane, według najnowszych sposobów naukowych krajania bielizny; dziewczęta więc nasze zajęte będą tylko zszywaniem części przysłanych na maszynach.

— Niech wam Bóg dopomoże!—zawołałem gorąco.— Doprawy dziwy robicie!

I żałowałem, żem powtórzył mu ostrzeżenie Ormsbyego.

ROZDZIAŁ XXI.

Madonna mia.

Zima skończyła się już prawie i niebo coraz szerzej otwierało źrenice swoje, zsyłając coraz więcej światła na człowieka i cały legion służebników jego. Było to jeszcze, coprawda, światło zimne, stalowe, zwłaszcza w te marcowe wieczory, i zachody słońca były posępne, smutne, gdy krwawe, miedziane ich światło odbijało się na wzgórzach, skałach albo w wód płaszczyznie. Bądź co bądź jednak było to już światło, a choćby było nawet jaknajbledsze, toć zawsze jest tem, do czego człowiek wzdycha najbardziej. Czyż nie stanowi jednej z rozkoszy życia przyszłego to, że ujrzymy „światło niedostępne“, za którem Bóg—nasz Bóg—jest ukryty i że spoglądać na się będziemy wzajemnie w promieniach spływających z Baranka? Aczkolwiek więc pociąga mnie ogień kominka—a jestem czcicielem ognia, jak Druid irlandzki lub Inka Peruwiański—to jednak opuszczam go w miarę, jak dni się przedłużają, a słońce zatacza coraz to szersze koło na niebie.

Tego wieczora miałem też interesik do mego księdza wikarego. Wszedłem do jego mieszkania, trzymając w palcach niewielki kawałek zadrukowanego papieru.

— Ciekawy jestem, czy zgadniecie? — zawołałem, pokazując wikaremu papier zdala od światła.

— Przekaz na sto funtów, albo moja dymisya.

— Ani jedno, ani drugie. Czytajcie.

Jestem zupełnie przekonany, że papier ten sprawił wikaremu większą przyjemność, aniżeli 100 funt. szterl., a tembardziej dymisya, oraz że wydawca, który przysłał mi tę korektę pierwszej poezyi wikarego, byłby stokrotnie zapłacony za swą dobroczynność, gdyby mógł widzieć te błyski i cienie radości i zaniepokojenia, jakie przesuwały się w tej chwili po obliczu młodego księdza, do obłoków podobne. Niezupełnie jednak dobroczynność wywołała przyjęcie do druku utworu wikarego. Wydawca miał słuszność, twierdząc, iż wiersz był bardzo oryginalny, wykraczający po za powszedniość i że zapewne zwróci na siebie uwagę. Sądzę, że po za dniem wyświęcenia, dzień ten był największym w życiu ks. Letheby'ego.

— Wydawca jest bardzo łaskawy, doprawdy, bardzo łaskawy, ale jakże mam podziękować księdzu proboszczowi?

— Stale pracując w kierunku, jaki wam wytknąłem. A teraz zobaczmy, coście zdziałali.

— Czy chce ksiądz proboszcz mówić o książkach?

— Tak—odparłem stanowczo—również o programie dziennym, jaki wam przepisałem. Ciekawy jestem, czyście czytali po dwie godziny co wieczór i czyście pisali od godz. 11-ej do południa codziennie?

— Powiem otwarcie, że nie. Popierwsze brak mi było książek. Oprócz Butlera „Żywotów świętych“ nie znalazłem żadnego dzieła, któreby mi wykazało, co uczynili lub napisali święty Bazyli i dwaj Grzegorze, a przytem moje wydanie Butlera jest pozbawione wszystkich tych notatek drogocennych, jakie podobno załączone były do pierwszych jego wydań. Zresztą, zaledwie że zasiadam do pisania, przychodzi pani Luby z zapytaniem, czy nie zechciałbym napisać do pułkownika strzelców księcia Connaught o uwolnienie jej syna z szeregów, zaciągnął się bowiem do wojska po pijanemu. Po niej nadchodzi pani Moriarty z prośbą o napisanie do proboszcza w Santa Barbara z zapytaniem o córkę, która wyemigrowała do Ameryki przed laty szesnastu. Po niej zjawia się...

— Mniejsza z tem—przerwałem — ja przechodziłem to samo, ale to was nie usprawiedliwia wcale, musicie

więc pracować czy chcecie, czy nie chcecie. Abyście zaś dłużej wymawiać się nie mogli, przeszukałem mnóstwo starych katalogów i odkryłem w nich dzieła następujące, mogące posłużyć do opracowania tematu o panteizmie nowoczesnym:

1. Lewes'a „Historyę filozofii", 4 tomy.
2. Bruckera „Historia Critica Philosophiae", 6 tom.
3. Tennemana „Historya filozofii" (Cousin).
4. Emila Saissela „Panteizm nowoczesny", 2 tomy.
5. „Historya panteizmu" (Plumtre).
6. „Studyum o panteizmie" przez d-ra teologii J. Hunta.
7. „Spinoza" przez d-ra praw Principal Cairda.
8. „Spinoza" przez D. J. Martineau.
9. „Spinoza, jego etyka i korespondencya" przez d-ra med. R. Willisa.
10. „Spinoza" przez Nourrissona.

Tyle, co do panteizmu nowoczesnego; co się zaś tyczy dziejów Kościoła, to dopomogą nam dzieła następujące:

1. „Historia Literaria Ecclesiae" przez Cavego.
2. Farrara „Żywoty ojców" 2 tomy.
3. Cavego „Żywoty ojców" 3 tomy.
4. „Żywoty ojców" przez S. P. C. K.
5. Biskup Lincolnu (Kaye) „Ojcowie Kościoła i pierwsze konsylia".
6. „Żywoty ojców" przez autora „Artysty dominikańskiego", 3 tomy.
7. Neandera „Historya Kościoła", 8 tomów.
8. Nealesa „Kościół wschodni".

W tem miejscu przerwał mi ks. Letheby, wybuchnąwszy śmiechem, którego już dłużej powstrzymać nie mógł.

— Nie, księże proboszczu, to chyba żarty. Czyż, doprawdy, nie wie ksiądz proboszcz, że czyta listę heretyków i niedowiarków najgorszego rodzaju, których dzieła bez wyjątku zapewne znajdują się na indeksie? Czyż to możebne, ojcze, żebyście nie znaleźli ani jednej powagi w angielskim Kościele katolickim, któraby o tych przedmiotach pisała?

— Nie znalazłem!—odparłem smutno, a po chwili dodałem:—Czy przypuszczacie, księże, że protestantów tych, a śród nich wielu, jak mówicie, niedowiarków, nie zajmują przedmioty takie, jak panteizm?

— Nie sądzę, aby zadawali sobie trud zbierania materyałów i pisania grubych dzieł, gdyby ich ten przedmiot nie zajmował.

— A my co czynimy? I jeżeli przedmiot taki zajmie młodzież naszą, kształcącą się wyżej i stanie się dla niej przedmiotem ważnym, to jakież dzieła jej polecimy?

Zadumaliśmy się obaj, bo takie kwestye wywołują zadumę. Wreszcie wikary mój zapytał:

— Ciekawy jestem, jak sobie radzą w takich razach uniwersytety francuskie lub niemieckie?

— Bądźcie o to spokojni—odparłem—nie brak tam autorów katolickich w każdej gałęzi nauk. Słyszałem, że duchowieństwo włoskie zajmuje się bardzo studyami wyższemi oraz, że każdy z księży francuzkich ma sobie za obowiązek napisać jedną przynajmniej książkę.

— Nie pojmowałem ważności tej sprawy, dopóki nie spotkałem Ormsbyego—rzekł ks. Letheby. Ale, ale, muszę powinszować księdzu proboszczowi wrażenia, jakie na nim sprawił. Niektóre ustępy rozmowy z księdzem proboszczem utkwiły mu głęboko w pamięci. Powtarza ciągle: „Szósty zmysł, szósty zmysł, może w tem jest i racya“. A to poleganie na modlitwach dzieci i dotkniętych losem, wzruszyło go głęboko. Wie ksiądz proboszcz!—sądzę, że on się nawróci.

— Daj Boże!—rzekłem powstając—ale, jak widzę, projekty nasze skończą się na niczem.

— Czy ksiądz proboszcz mówi jeszcze o książkach?

— Tak.

— A więc i ja tak sądzę, przekonałem się bowiem, że nie mam czasu. Po za dwiema godzinami spędzanemi co Wtorek i Piątek na chórze, po za wieczorami sobotniemi i niedzielnemi w kościele, po za koniecznemi wizytami i wreszcie korespondencyą moją, nie wiem, do czego wziąć się najpierw. A teraz, gdy ksiądz proboszcz ułatwił mi stosunki z wydawcą, mam nadzieję, że i dla niego w przerwach będę musiał coś zrobić.

— Wielu rzeczy żałowałem w życiu, młodzieńcze, niczego jednak nie żałuję tak, jak tego, żem wiersz twój posłał do wydawcy, zamiast do komina.

— Co ksiądz proboszcz mówi?—zawołał — czyż mu nie wiadomo, że nawet Ojciec święty (mowa o Leonie XIII pisze poezye i do tego dobre poezye!

— Niech Bóg Mu przebaczy—odparłem, wnet jednak spostrzegłem lekkomyślność moją, a przytem dobra myśl zrodziła się w mej głowie.

— A jakież to poezye pisze Ojciec święty?

— Jakto? czy nie wie ksiądz proboszcz? Najpiękniejsze łacińskie utwory elegijne i heksametry!

— Otóż to właśnie—zawołałem tryumfująco.—Wiedziałem, że Ojciec święty pisze tylko w języku boskiego mantuańczyka. Jeżeli więc i ty chłopcze w tym kierunku pracować będziesz, to ci przebaczę wszystko. Nie zapominaj o klassykach, a wszystko będzie dobrze!

Rozkosznem było uczucie, że my, ostatni księża-klasycy Irlandyi, poparci jesteśmy przez najpierwszy autorytet świata.

Wyszedłem już o zmroku i jak zwykle okrążyłem naszą osadę. Po za jej obrębem, a tuż za budynkiem szkolnym, w małym domku, którego okrągłe, rznięte szybki niemal schowane były pod pnącym się na ścianach bluszczem, mieszkała Alicya Moylan, starsza uczennica naszej szkółki. Lubiłem ją, gdy była bowiem małem, siedmioletniem dzieckiem, dała mi wyobrażenie tego, czego długo, długo szukałem.

Stało się to kilka lat temu, gdym jeszcze pióra ostatecznie nie odłożył i gdy tkwiło we mnie, jak w pewnym autorze, przekonanie, że „niema większego i słodszego wzruszenia umysłowego nad to, gdy młodzieniec przebiegający tam i z powrotem swój pokój, chwyta w końcu za arkusz papieru i zamienia go na rękopis“. W dniach owych późnych życia mego wciąż jeszcze szukałem wizyi Najświętszej Panienki, aby Ją mieć przed oczami przy pisaniu ku czci Jej i chwale. Żywiłem bowiem—zdaje się że już wspomniałem o tem—cześć szczególną dla Dziecka Dziewicy z Domku w Nazarecie, do którego w godzinę południową wszedł Archanioł i rzekł słowa solenne. Nigdy też nie odmawiałem *Magnificat* inaczej jak klęcząc, z ser-

cem przepełnionem czcią, myślałem bowiem o Dziecku— Prorokini z Hebronu. Napróżno atoli szukałem Jej oblicza wszędzie; na obrazach i na twarzyczkach dzieci—żadna nie zadowoliła ideału mego—Dzieweczki ze świątyni i Nazaretu.

Pewnego dnia wreszcie przyszła Alicya i oto w słodkim owalu jej twarzyczki, w oczach jej spokojnych i proszących, w kruczych jej włosach, okrytych sfałdowaną narzutką—ujrzałem jakby twarz Najświętszej Panny i byłem podziwu oraz szczęścia pełen. Od tego czasu, zanim nadszedł dla tego dziecka straszny brzask samowiedzy, twarzyczka jego prześladowała mnie we wszystkich myślach świętych i poetyckich o Królowej naszej. Dziecko jednak rosło, nabierało sił i traciło na piękności, na tej duchowej piękności, która z pięknej, dziecinnej twarzyczki wyłania duszę nieskalaną. Pomimo to Alicya zasłynęła jako piękność osady. Każdy mówił jej o tem; główną wszakże jej wielbicielką była modniarka, posiadająca sklepik obok biura pocztowego, której życie stanowiła dziwna mięszanina zwykłej, prozaicznej biedy i bujnego romantyzmu. Od tej to panny Lewis, zdecydowanej miłośniczki romansów, dowiedziała się Alicya, że „posiada twarz i kształty anioła“; że „jej oczy mają miękkość jedwabiu i pociągają jak jezioro zaczarowane“; że oczy te były również „gwiazdami wspaniałej piękności“; że „posiada cerę kreolki a raczej bladość wysoko urodzonej arystokratki angielskiej“; że kibić jej jest „jak wierzba i posiada giętkość trzciny przez wiatr kołysanej“.—Jednem słowem poznała Alicya cały arsenał owego żargonu romansów, wroga śmiertelnego niewinności i prostoty. Stała się też dumną i próżną Próżność zaś ta dosięgła szczytu na owym koncercie listopadowym, gdy po raz pierwszy włosy jej krucze utworzyły, zamiast warkoczy, węzeł, o którym mówiono, że jest modą *à la Grecque*. Po za tem wszakże nie przestała być dziewczęciem bardzo niewinnem, bardzo czystem i nadzwyczaj zręcznem przy spełnianiu obowiązków w szkole.

Zajęty innemi sprawami, nie myślałem o niej w czasach ostatnich; dopiero gdy nadszedł czas obliczania płacy nauczycielek zauważyłem w raporcie przedstawionym przez nauczycielkę główną, że Alicya od czasu dłuższego

nie uczęszcza do szkoły. Teraz więc, przechodząc koło jej domku, postanowiłem tam zajrzeć.

Pani Moylan była jedną z tych pięknych matek irlandzkich, co przeszedłszy przez burze i dolegliwości życia, zbliżają się spokojnie do wielkiego oceanu śmierci i wieczności. Kilka zmarszczek pokrywało blade jej policzki, a jedna czy dwie linie przerzynały czoło, otoczone czystym, białym czepeczkiem, używanym przez matki irlandzkie.

Spojrzała na mnie, gdym wszedł do domku, z odcieniem pewnym wyrzutu; nie rzekła nic atoli, powitała mnie jeno z tym ugrzecznionym szacunkiem, który nas, księży, tak często upokarza i zawstydza.

Po kilku słowach wstępu zapytałem o Alicyę.

— Córka moja nie jest zdrową i bardzo też odczuwaliśmy, że ksiądz proboszcz nie dowiadywał się o nią.

Zaręczyłem, że nic nie wiedziałem o jej chorobie i zapytałem na co cierpi.

— Niech ksiądz proboszcz sam zobaczy—rzekła biedna matka, ocierając łzę z oka—niech jednakże ksiądz proboszcz udaje, że nic nie spostrzega, bo ona odczuwa to bardzo.

Wszedłem do sypialni i zacząłem przepraszać dziewczę, gdy nagle, pomimo ostrzeżenia, cofnąłem się przerażony.

— Boże drogi! co się z tobą stało, biedne dziecko!— zawołałem mimowoli.

Uśmiechnęła się smutnie i ujrzałem łzę na okrytej strupami twarzy.

Boże! jakże się ona zmieniła, ta moja mała, biedna, to dziecko, którego piękność była tak pociągającą! Nie zmieniły się, coprawda, wielkie, błyszczące oczy, za to twarz cała była straszną, trędowadą raną. Z czarnych, wspaniałych włosów pozostało zaledwie kilka kosmyków. Dziecko tak piękne, że każdy kto je ujrzał mimochodem, odwracał się, by je ujrzeć raz jeszcze, zamieniło się na okropną mumię, pokiereszowaną, trawioną przez jakąś straszliwą chorobę.

Miałem jednak tyle jeszcze przytomności umysłu, żem ujął jej cienką, białą rączkę. Nie rzekła nic, podciągnęła jeno kołderkę.

— Biedne, biedne dziecko—szepnąłem.

Zwróciłem się następnie do matki.

— To jest, doprawdy, okropne! Cóż się stało?

— Że okropne, to prawda, księże proboszczu, ale niech się dzieje wola Boża!

— Jakim wszakże sposobem to się stało! — zawołałem.

Po chwili atoli zastanowiłem się, że może będzie ulgą dla biednej chorej, gdy mi opowie sama o swej chorobie, to też rzekłem:

— Mniejsza o to! Alicya sama opowie mi wszystko. Mów, moje dziecko.

Spełniła życzenie moje z taką pokorą i z takiem poddaniem się wyrokowi Boskiemu, że płakałem serdecznie. Według jej opowiadania, całe popołudnie, poprzedzające ów koncert listopadowy, zajęta była nadzwyczajnie przygotowaniami do koncertu. Przejrzała kilka pism poświęconych modom i myślała tylko o tem, jak wyglądać będzie wieczorem. Właśnie stała przed lustrem, gdy usłyszała pukanie do drzwi kuchennych, nie życząc więc sobie, aby jej przeszkadzano, wyskoczyła do kuchni i tam, w ramie drzwi, ujrzała straszne zjawisko. W drzwiach stała żebraczka, której twarz stoczyła zupełnie choroba, wilkiem zwana. Nie było nosa, nie było górnej wargi. Oczy spoglądały, jakby z głowy trupiej. Biedne stworzenie prosiło o jałmużnę, Alicya jednak przejęta własną pięknością i gniewna, że oderwano ją od zwierciadła, zawołała, klasnąwszy w dłonie:

— Ale też piękną jesteście, kobieto!

— Nie tak piękną, jak wy, panno! —odparła żebraczka —Ale był czas, że mi piękności nie brakło. Na was może przyjść także kolej, panno! Kto drwi, może sam być wyszydzanym.

I odeszła z temi słowami.

— Obraz jej — mówiła dalej Alicya — nie opuszczał mnie przez dzień cały a w końcu bałam się nawet spojrzeć w zwierciadło. Gdy atoli wieczór nadszedł i znalazłam się na koncercie, próżność wróciła. Głowę napełniły mi szepty zachwytu, jakie słyszałam dokoła. A następnie, gdy koncert się skończył i publiczność podzieliła się na grupy, starałam się zwrócić na siebie jeszcze większą

uwagę. Rzucałam na młodzież spojrzenia wyzywające i byłam pewną, że chłopcy są mną zachwyceni, gdy nagle uderzył mnie, jak piorun, wzrok ks. Letheby'ego i przygnębił mnie tak, że musiałam poprosić jedną z dziewcząt, aby mnie odprowadziła do domu. Całą noc nie spałam i wciąż zdawało mi się, że widzę przez firanki w ciemnościach straszne oblicze żebraczki i wzrok księdza wikarego. Wreszcie rano zasnęłam, ale i we śnie widziałam to samo.

Płacz żalu przerwał mowę Alicyi.

— Wstałam chora i przygnębiona—mówiła znów po chwili—i poszłam przed ołtarz Najświętszej Panienki odmówić Różaniec. Modliłam się i prosiłam o zaniechanie kary za to, co uczyniłam, ale bez skutku. Dojrzałam w twarzy Matki Boskiej cień, który mnie przestraszył i uczułam, że jam temu winna, ale nie sądziłam, by kara była tak straszną.

Ach, ojcze, dlaczego Bóg karze nas tak ciężko za tak małe przewinienia! Jakież męki muszą istnieć w czyszcu i piekle, jeżeli tak strasznie karani jesteśmy już tu, na ziemi. Uspokoiłam się jednak z czasem i przypuszczałam nawet, że wszystko już minęło, gdy pewnej Niedzieli, przeglądając się w lustrze, zauważyłam czerwoną krostkę, tu, na policzku. Nie była większą niż łepek od szpilki, pomimo to przeraziła mnie bardzo. Nie dlatego wszakże, bym coś podejrzewała, jeno dlatego, że płeć mi szpeciła. Nacisnęłam ją palcem i krew się ukazała; a wieczorem krostka zamieniła się w plamę czerwoną. Przykładałam masło, słoninę, maść, ale napróżno. Z dnia na dzień zamieniała się krosta na coraz to większą i brzydszą ranę. W końcu, za poradą panny Lewis, napisałam do pewnego lekarza londyńskiego, który ogłaszał się w dziennikach. Przysłał mi receptę.

— Za darmo?

— Bynajmniej. Zanim się z nim załatwiłam, wyciągnął odemnie funt szterling. Przykładałam maść przepisaną, ale i to nie pomagało. Rana zwiększała się ciągle. W szkole widziałam, jak dziewczęta spoglądają na mnie, szepcąc. Raz dosłyszałam ich słowa. Były nie dobre. Przestałam więc uczęszczać do szkoły. Pewnego wieczora, o zachodzie słońca, gdym siedziała przed domem,

robiąc szydełkiem, cień jakiś zasłonił mi słońce. Spojrzałam. Przedemną stała żebraczka o strasznej twarzy.

— Proszę o zmiłowanie w imię Boskie, panienko — rzekła.

Wstałam pokornie i dałam jej chleba oraz dwa pensy. Spojrzała na mnie czule i westchnęła:

— Niech cię Bóg zbawi, panienko, i strzeże od nieszczęścia. Wiem, żeś wtedy powiedziała tylko słowa nieopatrzne. Niech cię Bóg zbawi i strzeże, panienko.

I wówczas dopiero błysnęła mi myśl, ze to ręka Boska mnie dosięga. Upuściłam szydełko, wpadłam do pokoju, rzuciłam się na łóżko i drąc na strzępy kapę, wołałam, płacząc:

— Och, Panie, zmiłuj się nademną, nie rób tego, nie rób!

A następnie zwróciłam się do Najświętszej Panienki z modlitwą, której nauczyłeś mnie, ojcze.

— Nie pozwolisz na to, Matko, nie pozwolisz:

Ale twarz Jej spoglądała na mnie bez tkliwości. Nie było nadziei.

Biedne dziewczę znów zamilkło, aby więc zaoszczędzić jej dalszych wysiłkow, rzekłem:

— I przez cały ten czas nie poradziliście się lekarza? Wszak wiecie, że nasz lekarz jest bardzo zręczny.

— Był u nas, ojcze, był, i gniewał się bardzo, gdym opowiedziała mu o owym doktorze londyńskim, a następnie, pewnego dnia wybadał matkę szczegółowo o zdrowie ojca mego i dziadka, w końcu zaś oświadczył, że są to skrofuły, choroba dziedziczna, nic jednak mi nie pomógł.

— A odwiedzał was ks. Letheby?

— Tak, ojcze. Wizyty jego, to jedyna moja pociecha. Przychodzi dwa, a czasem i trzy razy tygodniowo. Przyprowadził też pannę Campion. Zacna panienka odwiedza mnie codziennie, czyta ze mną całemi godzinami i przynosi kwiaty. Patrz, ojcze, te fiołki i konwalie są od niej. Czasami towarzyszy jej jakiś pan, który siada tutaj i rozmawiając ze mną zadaje mi dziwne pytania, a wszystkie o Bogu, co myślę, co robię. Nie rozumiem tego, ale od czasu gdy ks. Letheby powiedział mi, że w tem wszystkiem tkwi pewna tajemnica, i to na chwałę a nie na szkodę Boga, je-

stem zupełnie zrezygnowaną, ojcze, i powtarzam: niech się stanie wola Twoja, niech się stanie wola Twoja, Panie. Czasem wszakże, przypomniawszy sobie com przeszła, upadam na duchu.

— A więc — rzekłem, bo światło jakieś spływało na mnie z tego wszystkiego — czy poddałaś się już zupełnie woli Bożej, czy jeszcze nie, dziecko moje?

— Och, tak, ojcze! Jestem zupełnie szczęśliwą; zato matka moja tak się martwi o mnie, że dla niej tylko pragnęłabym odzyskać zdrowie. Sądzę — jak słusznie mówi ksiądz wikary — że czekało mnie coś straszniejszego i że Pan, w miłosierdziu Swojem, zesłał na mnie ocalenie.

— Zupełnie słusznie, zupełnie słusznie, moje dziecko. A powiedz mi, czy ten pan obcy nie prosił cię, abyś się za niego modliła?

— Tak, ojcze, i z początku nie chciałam tego uczynić, ale ks. Letheby powiedział mi, że to jest moim obowiązkiem. To też odmawiam codziennie za tego pana Różaniec. A gdy po raz ostatni był tutaj, rzekł do mnie:

— Powiedz mi, Alicyo, szczerą prawdę. Czy istotnie uważasz się za szczęśliwą, że cię to spotkało?

Zawahałam się chwilkę, ale, spojrzawszy na rany Chrystusowe, odparłam stanowczo:

— Tak — jest!

A on znów zapytał:

— Czy wierzysz, że Pan powróci ci piękność i uczyni cię stokroć piękniejszą w niebie za to wszystko co przecierpiałaś tu na ziemi?

— Tak.

— Alicyo, dziecię, czy będziesz modliła się gorąco, bardzo gorąco za mnie?

— Będę, panie!

Potem odszedł bardzo uradowany. Chwile to moje szczęśliwe, ojcze, gdy czuję się tak zrezygnowaną, i myślę że Bóg używa mnie dla mądrych zamiarów Swoich. Niech spełni się wola Jego święta! Ale czasem jestem złą, nieszczęśliwą, nędzną, i pytam się wówczas: Dlaczego Bóg to uczynił? dlaczego? Raz nawet rzekłam do Najświętszej Panienki, gdy patrzyła na mnie tak chłodno i poważnie... rzekłam...

— Cóż rzekłaś, dziecko?

— Rzekłam: Gdyby dziadek Dan był tutaj, to nie dopuściłby, abyś mi to uczyniła!

I roześmiała się z tej naiwności swej i dzieciństwa.

— Ale to nie wszystko jeszcze, ojcze. Nikomu prócz was i matki nie mówiłam tego, że całe już ciało moje rany okrywają. Przed kilkoma dniami lekarz powiedział, że potrzebną jest operacya, ale wy chyba, ojcze, nie dopuścicie do tego.

Kręciła w cienkich swych paluszkach guzik u mego rękawa i patrzała na mnie błagalnie.

— Nie, moje dziecko, do operacyi nie dopuszczę, bo byłaby ona nad twoje siły, ale bądź dobrej myśli; zobaczysz, że wszystko skończy się pomyślnie; przekonasz się, jak cię kocha Pan nasz i Matka Jego Przenajświętsza. Powiem ci więcej, gąsko. Choroba ta była przez łaskę Bożą przeznaczoną tobie. Czy nie pamiętasz, jak to Święci Pańscy błagali, aby Pan ich dotknął?

— Pamiętam, dziadku Danie.

— A czy nie przypominasz sobie tych świętych niewiast, które nosiły znaki ran naszego Pana?

— Przypominam sobie, dziadku Danie!

— A więc dobrze. Jesteś jedną z nich. Nasz Pan wziął ciebie w posiadanie. Bądź zdrowa. Odtąd ujrzysz mnie tu codziennie, ale módl się, módl się, dziecko. Dobrze?

— Dobrze, dziadku Danie; a przyjdziecie jutro?

. . . . . .

Pomimo to wszystko byłem zły na siebie.

— Doprawdy, pani Moylan — rzekłem wychodząc — nie podoba mi się to, żeście nie pofatygowali się nawet do mnie, aby zawiadomić o chorobie córki.

— Nie chciałam niepokoić waszej wielebności. Zresztą sądziłam, że ksiądz Letheby powie o tem księdzu proboszczowi.

— Nic nie powiedział. Razem z wami zrobił z tego tajemnicę, wielką tajemnicę. Powiedzcie mi jednak, czy córka wasza istotnie jest zrezygnowaną?

— Istotnie; czasem tylko przypominają się jej chwile przeszłości. Prawdę powiedziawszy, mniej teraz z nią kłopotu, niż gdy była zdrową. Wtedy nic się jej nie podobało.

Wciąż narzekała, to na ubranie, to na jedzenie; była niezadowoloną i cierpką. Obecnie zadowoloną jest ze wszystkiego. Jak się wam podoba, mamo!“ — „Dziękuję bardzo, mamo!“—„To za dobre dla mnie, mamo!“—mówi przy lada sposobności, tak, że czasem wolałabym raczej widzieć ją grymaszącą jak dawniej. Zresztą, co o tem mówić! Taką widocznie jest wola święta naszego Pana. Niech będzie chwała Imieniowi Jego świętemu.

Wracając przez wioskę, wstąpiłem jeszcze raz do księdza wikarego. Siedział właśnie przy obiedzie.

— Nie chcę odbierać wam apetytu—rzekłem, odmawiając zajęcia miejsca na krześle podanem — ale muszę powiedzieć, że po raz pierwszy od czasu jak się znamy, gniewam się na was prawdziwie. Bez względu na powody, jakie wami kierowały, muszę powiedzieć, że według praw naturalnych, jakoteż ustaw kanonicznych, proboszcz ma prawo wiedzieć o parafianach chorych lub nieszczęśliwych, i że wikary nie ma prawa ukrywać tego przed nim. Powściągliwość i zachowywanie tajemnicy są to cnoty bardzo chwalebne, ale tylko w pewnych granicach. Wracam właśnie od pani Moylan i oto dowiaduję się, że jej dziecko już od dwóch miesięcy choruje. Wiedzieliście o tem, a jednak zamilczeliście przedemną. Wobec tego, żądam, aby zaprowadzoną była książka chorych, do której wciąganem będzie imię i nazwisko każdego parafianina chorego, — i aby książka ta stale znajdowała się w zakrystyi. Dobranoc.

Poczerwieniał, ale nic nie odrzekł.

Poszedłem wprost do kaplicy, przed ołtarz Matki Boskiej.

— Nie, Matko—rzekłem—tego już za wiele! Czy to jest nagroda za wszystko, com dla Ciebie zdziałał przez pół wieku? Czy to jest nagroda, Matko, za te wszystkie Różańce, Msze, nabożeństwa, szkaplerze, ku czci Twojej? O, Matko! Wszak ona jest Twoją córką i tak była podobną, jak sądziłem, do Ciebie!

Słodkie, ciemne oczy spoglądały na mnie spokojnie, ale nagle to, co nazywamy sumieniem i co zwykle zjawia się tak niespodzianie, jak straszydło z pudełka, stanęło przedemną i rzekło:

— Cóż to za obłęd, ojcze Danie? Czy sądzisz istotnie

że wiesz więcej niż Bóg i Jego Matka Przenajświętsza? Próżność piekielna tak przewróciła ci w głowie, iż zdaje ci się, że powinieneś w rękach swych dzierżyć cugle świata całego! Zajmujesz się klasykami, Spinozą, Kapadocejczykami, pisaniem książek i innemi zamkami na lodzie, a dziatki twe spoczywają na łożach boleści i ty nie wiesz nic o tem! Ostrożnie, starcze! Czas twój się zbliża, pomyśl więc, co Pan może uczynić z Tobą, jeżeli ręka Jego tak ciężko dotyka maluczkich!

Zasiadłem do obiadu, niczego jednak tknąć nie mogłem. A obiad był dobry: ładna, pieczona kurka ze słoninką i puszystemi kartoflami. Nic z tego! Myśl, że ta biedna dziecina może stanąć przedemną i zawołać błagalnie: „Nie karz mnie, Panie!— Nie pozwól na to. Matko!“— wywoływała w gardle mem takie ściskanie, że odsunąłem talerze i zasiadłem pod ciemniejącem oknem.

Po pewnym czasie nadeszła Hanna, spojrzała na potrawy a następnie na mnie.

— Czy kura niedobra? — spytała, sądząc że czynię despekt jej kuchni.

— Nie, Hanno. Kura bardzo dobra, ale jeść nie mogę.

Spojrzała na mnie zdumiona. Co prawda, i ja byłem zdumiony; pierwszy to bowiem raz od lat wielu odmawiałem sobie obiadu. Dzięki Bogu, dobry apetyt i łaska Pańska nie opuszczały mnie nigdy.

— Jak widzę, coś się księdzu proboszczowi stało. Bo też nie widziałam człowieka, któryby narażał się Opatrzności tak, jak ksiądz proboszcz! Czy mogę podać wody?

— Nie. Dasz mi później herbaty.

Usiadłem przed kominkiem i patrząc w jaskrawe płomienie myślałem długo o różnych rzeczach.

Wieczorem przyszedł ks. Letheby. Był pokorny i pełen szacunku, ale widocznie bardzo dotknięty niezwykłą moją brutalnością.

Stanął tyłem do ognia i, patrząc na mnie z góry, rzekł bardzo grzecznie, ale ironicznie:

— Przyznam się, księże proboszczu, że dotychczas jeszcze nie pojmuję jego — jakby to powiedzieć? — dobitnych uwag dzisiejszych. Uznaję wiele słuszności w jego gniewie; nie myślę również przeczyć zasadzie, że ma

ksiądz proboszcz zupełne prawo wiedzieć o wszystkich smutkach i biedach swoich parafian; ale — proszę mi nie brać za złe, jeżeli to mówię — ja postępowałem tylko, i to może zbyt ściśle, według często powtarzanych nauk księdza proboszcza.

— Słuchajcie, księże, —przerwałem — czyście zjedli obiad?

— Tak jest — odparł.

— A więc siadajcie tutaj, zadzwońcie i każcie sobie podać kawy.

Słowa te podziałały na niego łagodząco.

— Mówiliście coś—rzekłem dalej—o naukach moich. Kiedyż to, jeżeli wolno wiedzieć, uczyłem was zachowywać przedemną w tajemnicy najżywotniejsze sprawy parafian moich?

— A ileżto razy — odpowiedział mięszając cukier w filiżance—uszy moje słyszały lekcyę, że gdy młody wikary zjawi się w parafii, której nie zna, to powinien mieć uszy i oczy, ale nie język? Zdaje mi się nawet, że ksiądz proboszcz powołał się przytem na jakiś wielce poważny autorytet, jako na autora tego aforyzmu.

— Istotnie — odparłem — jest to rada bardzo mądra, bo nie było jeszcze młodzieńca, któryby nie sądził, że potrafi rządzić parafią lepiej, niż wszyscy jego poprzednicy, przebywający w niej przez lat dziesiątki; ale nie przypuszczałem, że posłuży wam to, księże, za pretekst do unikania ze mną rozmowy o sprawach parafialnych.

— Ja też, wyznaję, nie unikałem jej wcale, myśl jednak księdza proboszcza toczyła się zupełnie innem korytem. Was, ojcze, zajmowali klasycy i sprawy literackie.

— Sumienie moje, drogi chłopcze—odparłem—zwróciło już na to uwagę moją w słowach bardziej dobitnych i mniej grzecznych niż twoje. To też, wyznaję, byłem brutalem dziś po południu i żałuję tego. Ale, proszę cię, nie ukrywaj nadal przedemną nic, co dotyczy moich parafian; stokrotnie bowiem lepiej będzie, gdy zaniechamy starć nawet przypadkowych, oraz mniej przypadkowych krytyk ze strony przełożonych naszych, a natomiast weźmiemy się do pracy w tem skromnem kółku, jakie Bóg dokoła nas zakreślił.

— Zupełnie zgadzam się z księdzem proboszczem,

ale wyznać muszę, że w przeciągu tych kilku miesięcy, jakie spędziłem tutaj, nie słyszałem jeszcze, abyście, ojcze, mieli starcia z którymkolwiek z konfratrów swoich.

I jakże tu gniewać się na takiego chłopca? Nie dziw też, że bardzo szybko barwa czarna chmur zmieniła się na szarą, i że w końcu szare te obłoki rozwiały się, odsłaniając błękity...

ROZDZIAŁ XXII.

Fabryka.

Wbrew smutnym przypuszczeniom moim, widzę, że ks. Letheby uchwycił się gorączkowo myśli pracowania nad tematami filozoficznymi i historycznymi, jakie mu podsunąłem. Zkąd wydostał podręczniki—nie wiem, dość, że w cichości dokonywał rzeczy, które dla umysłu tak powolnego jak mój, niemal na cudowność zakrawały. To też gdy wstąpiłem, pewnego pięknego dnia na początku Kwietnia, do jego mieszkania (bo mała nasza sprzeczka z powodu chorej dzieweczki, zacieśniła jeszcze bardziej węzły naszej przyjaźni), zastałem na jego biurku porządny stos papieru do pisania, obok zaś kilka ciężkich, w skórę oprawnych tomów.

— Aha!—zawołałem — zabraliście się więc do tego?

— Tak jest, zabrałem się do tego — odparł skromnie.—Uznałem bowiem, że jest w tem słuszność, co ksiądz proboszcz o tej sprawie mówił. Postanowiłem przeto choć trochę przyczynić się do zmniejszenia zarzutów, jakie na nas ciążą.

— Przyznam że jesteście bardzo bystrym i wytrawnym myślicielem, uznając głęboką moją, prometeuszową niemal mądrość; jeżeli jednak mam powiedzieć prawdę, to nie przypominam sobie, abym wam co radził, prócz pracy nad rozprzestrzenianiem literatury katolickiej.

— Mniejsza o to, księże proboszczu! Dość że ziarno jest już posiane, odlew zrobiony. Postanowiłem pisać i rękopis mój posłać do jednego z pism duchownych. Jeżeli redaktor przyjmie moją pracę, to dobrze; jeżeli ją odrzuci—gniewać się nie będę. Tymczasem zaś poproszę księdza proboszcza o przejrzenie tłomaczenia mowy pogrzebowej świętego Grzegorza Nazianzena na cześć świętego Bazylego; więcej bowiem ufam waszej, ojcze, znajomości języka greckiego, niż wprawie tłómaczów szkockich lub oxfordzkich.

Czyż to nie dość miły młodzieniec? Cóż mi pozostawało, jeżeli nie przejrzeć ów wspaniały panegiryk, który uczynił autora niemniej wielkim od tego, na którego cześć był pisany? Na końcu pracy o „Trzech Kapadocejczykach“ ks. Letheby zamierza podać wyjątki mów ich i poematów z oryginalnym tekstem greckim, oraz tłomaczeniem angielskiem. Szczęśliwa myśl!

-- Dotychczas wszystko dobrze— rzekł ks. Letheby, gdyśmy skończyli rozprawiać o tym przedmiocie — ale z metafizyką będzie trudniej. Człowiek może się tam bardzo łatwo poplątać. Odłóżmy to jednak na kiedyindziej. W chwili obecnej trzy rzeczy są na czasie: Popierwsze, zdaje mi się, że chwila nawrócenia się Ormsbyego nie jest daleką. Modlitwy dziatek i biednej Alicyi rozwarły już nieomal wrota Niebios. Powtóre, Alicya zaczyna mnie zatrważać. Pod wpływem strasznego swego krzyża, staje się tak, że się tak wyrażę, świętą, iż obawiam się dłużej nią kierować. Doszła już do takiej wysokości, do jakiej wzrok mój duchowy nie sięga. Potrzecie, dnia 20-go bieżącego miesiąca otwieramy fabrykę. Zawczasu mówię o tem, ponieważ ksiądz proboszcz ma być prezesem i przemówić podczas otwarcia.

— Wręcz coś przeciwnego owym niedosiężonym wysokościom — rzekłem, wiedząc że skłania się chętniej do danych praktycznych, niż do ewolucyj nadprzyrodzonych— ale pomówmy o wszystkiem po porządku. Najpierw tedy, czy jesteście, księże, pewni Ormsbyego?

— Prawie. Pozostawiłem go najzupełniej samemu sobie, ponieważ—jak mu oświadczyłem—sprawa ta dotyczy tylko jego osobiście. Zaniechał już czytania i argumentowania. Codziennie odmawia *Veni Creator*, ale sądzę,

że najbardziej wpływa na niego cierpliwość i nadludzki spokój tej biednej Alicyi.

— Więc nie ma do niej wstrętu?

— Co do tegó, to nie może on patrzeć na nią. Powiada że przypomina to trąd rozpowszechniony na Wschodzie bardziej niż jakakolwiek inna choroba, ale pokora i cierpliwość Alicyi wprawiają go w zdumienie.

— Ja również zdumiałem się — zauważyłem.

— To też ja — odrzekł Letheby— ze strachem myślę o kierowaniu duszą tak wzniosłą. Dobrze jednak że i ksiądz proboszcz to zauważył, gdyż uzyskam może jakieś wskazówki.

— Hm... stajesz się sarkastycznym, młodzieńcze, ale, jak widzę, wstępujemy w dziedzinę świętości. Rozejrzyjmy się. Jak często Alicya przyjmuje Komunię świętą?

— Co Niedzielę i w każde święto.

— Czy żądała częstszej Komunii?

— Tak, ale waham się pod tym względem.

— Nie wahaj się dłużej. *Digitus Dei est hic.* Zresztą sam się już o tem przekonałem, bo nieświadomie i spokojnie biedne to dziecko pozwoliło nawet mojemu słabemu wzrokowi dojrzeć łaski, jakie na nie od Boga spływają. Stopniowo żal jej za minioną pięknością zamienił się w doskonałą rezygnacyę, rezygnacya w spokój, a spokój w zachwyt.

— Nieraz myślałam, dziadku Danie — mówiła do mnie—o tem, coście mi powiedzieli, że ciało nasze to jeno zlepek wapna, fosforu, żelaza i wody, i że wszyscy musimy przejść przez okropną przemianę śmierci. Myślałam też nieraz o owym wielkim świętym hiszpańskim i o zmarłej królowej. Dopiero wszakże gdy ksiądz Letheby przeczytał mi o tym „trędowatym, przez Boga dotkniętym", o tym, „którego ciało od szczytu głowy do podeszew stóp jedną raną było" — pojęłam, że tak Bóg chciał; niechże więc błogosławioną będzie wola Jego święta i Imię Jego niech będzie błogosławione!

Wystarałem się potem dla niej o piękny, wielki krucyfiks bronzowy od Ojców Pasyonistów z góry Argus i zostawiłem ją opiece czyniącego cuda i miłosiernego Pana.

— A teraz — rzekłem do księdza wikarego, ocknąw-

szy się z długiej zadumy—zejdźmy z wysokości i pomówmy o fabryce. Czy to istotnie rzecz postanowiona?

— Ma się rozumieć. Wszystko jest gotowe i dnia 20 bieżącego miesiąca tuzin maszyn do szycia będzie wesoło klekotał w starym młynie.

— Jesteście chyba w posiadaniu lampy Aladyna — rzekłem zachwycony.—Któż będzie uczestniczył w otwarciu fabryki?

— Cała śmietanka towarzystwa z okolicy.

— To niewiele na tak wielkie święto! — wyrwało mi się mimowoli.

— Być może—zawołał, powstając z krzesła — w każdym razie jest to rzecz dobra. Czy zechce ksiądz proboszcz przewodniczyć w uroczystości, czy też nie?

— Dobrze—odparłem, aczkolwiek wahałem się jeszcze, bo Bóg raczy wiedzieć kogo on na tę uroczystość sprowadzi.

— Pod tym jednak warunkiem — dodałem tedy — że mowa moja będzie ostatnią. Obiecuję przytem, że goście wasi nie będą potrzebowali zaglądać do zegarków.

— Zgoda! A więc teraz wszystko jest w porządku.

Poszedłem odwiedzić małą męczennicę; mówi ona bowiem, że dobrze jej czynią odwiedziny moje.

Leżała sopkojnie, trzymając w ręku krucyfiks i szepcąc pacierze. Powiedziała mi, że dzieci często przychodzą do niej i czytają przy jej łóżku; teraz bowiem niema mowy o zazdrości i ubieganiu się o tryumfy. Dziatwa osady przychodzi do przekonania, że Bóg zesłał jej jakby świętą. Modniarka przychodziła z początku i przynosiła powieści oraz czasopisma modom poświęcone, teraz jednak przychodzić już przestała.

— Pan Ormsby był znów tutaj—rzekła chora.

— Doprawdy? I zawsze jest taki ciekawy?

— Prawie zawsze. Ale czy wiecie, dziadku Danie? — mnie się zdaje, że on zostanie katolikiem. Czy to nie okropne, dziadku Danie, nie być katolikiem!?

— Tak, moje dziecko, to gorsze, niż być ociemniałym od urodzenia.

— Czemże byłabym, gdybym nie miała naszego ukochanego Pana i Jego Matki Przenajświętszej?

Przy tych słowach pocałowała krucyfiks i dodała:

— Doprawdy, wolałabym być tem czem jestem, niż królową Anglii.

— Ma się rozumieć. Któż to przyniósł te kwiaty?

— Panna Campion. Są to konwalie. Czy nie grzech to, dziadku Danie, wąchać te kwiatki?

— Nie, dziecię, to nie grzech. Raczej modlitwą jest, gdy podziwiasz dzieła Boskie w tych drobnych listeczkach.

— Ale one zwiędną i umrą za dzień lub dwa, dziadku Danie!

— Bo też zwiędną tak i umrą, dziecko, wszystkie piękne rzeczy, by odrodzić się tam, gdzie niema rdzy lub zanikania.

— Dziękuję, dziadku Danie. Właśnie to samo powiedziałam panu Ormsbyemu. — Czy istotnie sądzisz — spytał— że to Bóg przez miłość dotknął cię tak okropnie? — Tak—odparłam—jestem tego pewną.—I wierzysz, że Pan Bóg każe ci powstać z grobu i uczyni cię jeszcze piękniejszą niż byłaś? — Wierzę w to najzupełniej—odparłam.. — To jest szczytne, ale i niemożebne—zawołał. A potem dodał... Może nie powinnam powtarzać wam tego, dziadku Danie?... — Powiedział, że jeżeli zostanie katolikiem, to przezemnie; a tak pragnie odpłacić się pannie Campion za całą jej dobroć.

Gdym odchodził, pani Moylan wzięła mnie na stronę.

— Czy jest jakakolwiek nadzieja, wasza wielebność, że ona wyzdrowieje? Dzień i noc bowiem proszę Boga, aby zabrał ją do Swej chwały, lub mnie ją zwrócił.

Nic nie odpowiedziałem.

— A jednak, gdyby ksiądz proboszcz chciał, to mógłby ją wyleczyć i mnie zwrócić!

— Nie, moja pani, to nie jest w mocy mojej, a co więcej, nie odbierałbym jej Bogu, gdybym mógł nawet. Ja sam buntowałem się z początku przeciwko takiemu wyrokowi Opatrzności; teraz jednak widzę, że Bóg ma własne zamiary względem tego dziecka, a kimże jestem, żebym miał się sprzeciwiać woli Jego?

— Może wasza wielebność ma słuszność, ale serce matczyne nie może czasem zamilknąć, acz wie, że milczeć jest lepiej.

Przed powrotem do domu wstąpiłem do kościoła, by-

odmówić modlitwę, i zdawało mi się, gdym klęczał przed ołtarzem, że Najświętsza Marya Panna spogląda na mnie wzrokiem dziwnym, jakgdyby mówiła:

— A więc jesteś teraz zadowolony? Któż miał słuszność—ty, czy też Syn mój?

I poszedłem do domu bardzo upokorzony.

Wielki dzień nastał nareszcie, i jeżeli byłem zdumiony przemianą, jakiej uległ stary młyn owego wieczora koncertowego, to niemniej zdziwiłem się obecnie, gdy, wszedłszy w obręb kilronańskiej fabryki koszul, spotkałem się oko w oko z towarzystwem wyborowem.

Przed wejściem stały szeregiem powozy, a służba w liberyi ledwie że mogła utrzymać rwące się konie. Panowie ich byli zebrani w pokojach na górze i, podzieleni na grupy, oglądali szeregi nowych, błyszczących, wypolerowanych maszyn, które czekały tylko na dotknięcie rąk ludzkich, aby działać dziwy. I stał tam, zajmując cały środek sali, wielki stół pokryty wyborem płócien i flaneli, pokrajanych w rozmaite kształty, i stała jeszcze estrada koncertowa, przybrana temi samemi co i wówczas kwiatami, a na niej te same dziewczynki w satynowych sukienkach; to samo wreszcie stało pianino, a przy niem panna Campion, oczekująca na sygnał rozpoczęcia uroczystości.

Szedłem przez długą salę, kłaniając się na prawo i na lewo. Ks. Letheby rozmawiał wesoło z jakiemiś wybitnemi osobistościami, pokazując im szczegóły swych zarządzeń. Był w najlepszym humorze i zupełnie swobodny wśród grup które go otaczały. Dziwna rzecz, jak się różnimy! Ja czuję się obcym w tem towarzystwie i wolałbym stokrotnie rozmawiać z jaką kumoszką w progu chaty o jej kurczętach, o cenie mięsa, o odrze lub krupie, niż z najwybitniejszemi osobistościami tego kraju. Ale cóż robić! Każdy ma swoje upodobania; to też dumny jestem, że mój wikary...

— Stawiam wniosek, by ksiądz proboszcz był prezesem dzisiejszej uroczystości—odezwał się głos jakiś.

— Popieram! — zawołał rzeźki młodzieniec, i zanim zdołałem się obejrzeć, już zaprowadzono mnie na estradę i posadzono w wygodnym fotelu.

Zaledwie zająłem miejsce, odezwały się dźwięki muzyki; miałem więc czas rozejrzeć się dokoła. Widok był

czarujący. W pierwszym rzędzie krzeseł zajęły miejsca panie wytworne, i tak patrzały na mnie, jak gdybym był osobliwością muzealną. Byłem „oglądany od stóp do głów kamiennym anglosasów wzrokiem“, wzrokiem zimnym i śmiałym, pod wrażeniem którego zdawało mi się że kamienieję. Nie wiedziałem co zrobić z sobą.

Próbowałem założyć nogę na nogę; ponieważ jednak fotel był za nizki, przechyliłem się nieestetycznie. Postanowiłem następnie położyć dłonie na kolanach, przypomniałem sobie atoli, że byłaby to pozycya w tym razie niewłaściwa. Przybrałem tedy postawę człowieka obojętnego i zacząłem bawić się łańcuszkiem od zegarka. Ale jedna z dziewczynek spojrzała na mnie wzrokiem takim, jak gdyby mówiła: A to wiercipięta! Przechyliłem się zatem wdzięcznie w fotelu, w tej samej jednak chwili ktoś szepnął: Bardzo to stosowne, ojcze Danie, w domu, ale nie w towarzystwie! — i natychmiast przyjąłem postawę jaknajsztywniejszą. Oczy moje padły w tej chwili na nowiutki parasol o fotel mój oparty. Wziąłem go do ręki i oparłem się na nim z godnością. Znów jednak dziewczynka o której wspominałem spojrzała na mnie, a potem na matkę, i przysiągłbym iż rzekła: Ten stary pan sądzi że deszcz będzie padał, to też chce otworzyć parasol. Powiedz mu, mamo, że tu o deszcz niema obawy. Wobec tego, postawiłem parasol przy fotelu. W tejże chwili podeszła do mnie panna Campion — niech Bóg ją błogosławi za to przyjście mi w pomoc—nachyliła się ku mnie i szepnęła wesoło:

— Hurra, księże proboszczu! Teraz na niego kolej. Spodziewam się, że zadziwi ksiądz proboszcz tych heretyków!

Sądzę iż zadziwiłem ich rzeczywiście. Po kilku bowiem słowach wstępu, zacząłem zimno, spokojnie, mowę rozważną, ale i wesołą. I oto wejrzenia kamienne zamieniły się na uśmiechy lekkie, a uśmiechy przeszły stopniowo w śmiech szczery. I odezwały się głośne oklaski, a nawet okrzyki powstrzymywane. Czułem że mam ich wszystkich w rękach swoich. Ale ta mała dziewczynka w pierwszym rzędzie wstrzymywała się długo. Zatopiła we mnie oczy, jak gdybym był widziadłem dla niej; przyczem zdawała się być okropnie przerażoną. Potem spojrzała na matkę,

jak gdyby pytając o radę, i wreszcie, gdy brat jej spadł z krzesła ze śmiechu i uderzył ją laską, raczyła uśmiechnąć się — aż zdziwiona tym uśmiechem swoim, roześmiała się już na dobre. Wiedziałem wówczas, żem zwyciężył, i zanuciłem w duszy:

Jo Triumphe!

Gdy skończyłem, całe towarzystwo zebrało się dokoła mnie, winszując, wyrażając zachwyt i t. d.

— Jak się nazywasz? — zapytałem małej dziewczynki, która siedziała w pierwszym rzędzie.

— Nonna! — odparła.

— Na Jowisza! Wszak to imię matki świętego Grzegorza!

— Nie—przerwała—to imię mojej babki!

Dziewczęta zasiadły do maszyn. W kącie sali stały dwie osoby rozmawiające żywo. Wyglądały prozaicznie i zimno wśród całego tego ożywienia. Gdym podszedł do nich, poznałem w mężczyznie człowieka, który podczas całej mojej mowy spoglądał na mnie przymknąwszy jedno oko. Był to ultra-pesymista, wyrachowany sceptyk, nie wierzący żadnej z moich różowych przepowiedni—zarządca z fabryki Loughboro. Towarzyszka zaś jego — była zarządzającą, przysłaną dla dania objaśnień poczynającym w Kilronanie. Nie podobali mi się oboje. Oziębiali atmosferę wzrokiem swym i postępowaniem, mającem jedynie interes na widoku. Ks. Letheby kręcił się wesoły i rozentuzyazmowany, pewien powodzenia. Nie tak pewni tego byli zarządzający fabryką i jego towarzyszka — i to właśnie stanowiło szczelinę w tej pięknej całości.

Opuściwszy towarzystwo, szedłem do domu w zadumie, nie chciałem bowiem uczestniczyć w herbacie z ciastkami, bez których tego rodzaju uroczystości obyć się nie mogą. Wtem usłyszałem za sobą lekkie kroki i Bittra stanęła u mego boku.

— Ach— zawołała, szybko oddychając— ksiądz proboszcz jest tak młody i żwawy, że nadążyć mu nie można.

Łaskawy ten sarkazm dał mi poznać, że Bittra ma mi coś dobrego do powiedzenia.

— Jak mam cię nazywać, Bittra, czy też Beata? — spytałem, patrząc na jej zarumienioną twarzyczkę.

— Beata, Beata, Beatissima! — zawołała w uniesieniu.—Tak jestem szczęśliwa—i Bóg jest tak dobry!

— Zawsze jestem przeciwny entuzyastycznym wybuchom mego wikarego — rzekłem — bo też światło łagodne, spokojne, najbardziej odpowiada memu powolnemu umysłowi.

— Powolnemu?—przerwała.—A czy wie ksiądz proboszcz, że wygłosił przed chwilą mowę tak lekką, dowcipną i wesołą, iż nie słyszałam nigdy nic podobnego. Pani S. powiedziała mi, że nigdy nie uwierzyłaby temu, iż ksiądz proboszcz...

— Beato — przerwałem poważnie — sądzę, że i bez tego męki me czyścowe będą dość długie. Doprawdy, będę uważał się za szczęśliwego, jeżeli w dzień sądu ostatecznego uda mi się wybrnąć jakotako. Dlaczego więc dodawać jeszcze zarozumiałości starcowi i tak zarozumiałemu? Opowiedz mi lepiej, co masz dzisiaj na sercu.

Tak otrzeźwiona, opowiedziała mi jakotako, co następuje. Powiadam: jakotako, ponieważ było przytem mnóstwo wykrzykników, zapytań i zboczeń, które opuszczam.

Ormsby odwiedził znów tego ranka cierpiącą Alicyę i raz jeszcze przedstawił jej swoje wątpliwości. Nie wierzący w cuda, był świadkiem cudu. Fakt, że tak straszne cierpienie, jak to którem Bóg dotknął Alicyę, przyjętem jest nietylko z rezygnacyą, ale nawet z radością; że chora uważałaby sobie za nieszczęście, gdyby odzyskała dawną piękność; że dziękuje wciąż Bogu za zesłanie na nią tego cierpienia; — fakt ten, powtarzam, to albo obłęd, albo natchnienie,—jedno z dwojga. Przytem wiara chorej w nadprzyrodzoność, codzienne i głębokie odczuwanie przez nią istnienia i wpływu na nią Pana Jezusa oraz Matki Jego Przenajświętszej, w końcu przeświadczenie chorej, iż pewnego dnia cierpienie jej i brzydota fizyczna przyczynią się do wzmożenia piękności jej w Niebiosach —takim były dla Ormsbyego argumentem, że wobec niego wszelkie kuglarstwa spirytystów, przewidywania braminów i agnostycyzm „naukowy“, stały się rzeczą bez znaczenia, pogardy raczej godną.

Bittra, jak zwykle, rozmawiała w kuchni z panią Moylan, pocieszając ją już po raz tysiączny.

Z pokoju chorej dolatywał odgłos rozmowy.

Po dłuższej wreszcie konferencyi Ormsby wyszedł z pokoju poważny i zadumany, jak zwyle. Bittra pożegnała matkę i pocałowała cierpiącą, poczem w towarzystwie narzeczonego skierowała się ku domowi.

Na moście rzuconym przez fiord, niedaleko pałacu, Ormsby zatrzymał się, i popatrzywszy długo w spienione fale, rzekł nagle:

— Bittro, ja muszę zostać katolikiem!

Wówczas Bittra położyła swą rączkę na jego dłoni I oto wszystko.

— Więc to już wszystko?— spytałem z niedowierzaniem, gdy Bittra skończyła opowiadanie.

— To wszystko. Czyż nie dosyć?—odparła.

— Nie jestto sposób powieściopisarski kończenia tak pięknego romansu. Według wszelkich reguł, powinno być jeszcze ze trzydzieści stronnic opisów wstrząsających duszę czytelnika.

— Ależ to nie jest romans! To trzeźwa rzeczywistość!—zawołała Bittra, usiłując zmarszczyć czoło.

— Pozostaje więc tylko—dodała po chwili—przygotowanie Rexa, ale to nie zajmie wiele czasu. Potem zostanie przyjęty na łono Kościoła, przystąpi do pierwszej Komunii, a potem...

Zamilkła, ja zaś obserbowałem uporczywie mewę, która bez ruchu spoczywała na kołyszących się falach morskich.

— Jakiż ksiądz proboszcz jest niedobry!

— Dlaczego? Oczekuję wymienienia daty tego „a potem“...

— A więc nie może to nastąpić w Maju. Wiecie, że nasi ludzie przesądni są co do tego miesiąca. Tak pragnęłabym wziąć ślub pod opieką Najświętszej Panienki naszej, ale cóż robić! Więc 1-go Czerwca. Dobrze? I to przed ołtarzem Serca Jezusowego. Ubiorę go masą róż. I przystąpimy oboje do Komunii świętej, a ksiądz proboszcz Mszę świętą odprawi.

— Ja?

— Tak. A któżby inny?—radabym wiedzieć.

— Sądziłem że sprowadzicie arcybiskupa, albo nawet kardynała...

— Jak zwykle, ksiądz proboszcz żartuje sobie. Ja nie chcę by kto inny lecz ksiądz proboszcz ślub mi dawał. Czy nie będzie to za dużo, jeżeli poproszę, by chór śpiewał?

— Ma się rozumieć, że śpiewać musi. Nie obiecuję jednak by zagrano marsza weselnego tego niemca czy żyda... Jak on się nazywa?

— Mendelsohna?

— Tak. Ani też marsza tego drugiego kompozytora, o którym tyle piszą obecnie dzienniki.

— Wiem. Ma ksiądz proboszcz na myśli marsz z „Lohengrina“. Któżby to pomyślał, że ksiądz proboszcz zna się tak na muzyce!

— Nie rozumiesz mnie, dziecko. W każdym razie obiecuję ci, moja maleńka, taką owacyę ze strony biedaków w Kilronanie, że chyba aniołowie popłaczą się z zazdrości.

Bittra milczała.

— Jeszcze jedno tylko słówko — rzekła wreszcie, ocierając łzę szczęścia—bo muszę wracać. Rex czeka. Otóż jego zdaniem, całe to przedsiębierstwo fabryczne nie ma przyszłości. Można mu wierzyć, bo posiada wielką znajomość świata.

— Ma się rozumieć!—potakiwałem.

— Jest przytem bardzo rozumny i zręczny, widział już tyle, zna ludzi, zna się też doskonale na przedsiębierstwach.

— I co dalej?—rzekłem zachwycony.

— Oto — odparła ze śmiechem — nie podoba mu się ani ta fabryka, ani też ów projekt statku rybackiego, i obawia się że ksiądz Letheby, dla którego posiada tyle szacunku, narazi się przez nie tylko na straty pieniężne i kłopoty.

— Niepotrzebnie zasłaniasz sobie słońce szczęścia temi imaginacyjnemi chmurami, kochana Bittro — odparłem. Bądź pewna, że wszystko skończy się dobrze. Ufaj księdzu Lethebyemu; on jest bardzo przewidujący.

— A więc dobrze. Do widzenia, księże proboszczu. Proszę o modlitwę za mnie. A może odwiedzi ksiądz proboszcz naszą małą chorą i opowie jej o wszystkiem. Ja nie mam dzisiaj czasu.

— Dobrze. Do widzenia. Niech cię Bóg błogosławi— zawołałem za odchodzącą.

Te to właśnie dusze niewinne rozweselają smutny krajobraz życia naszego i czynią śmierć pożądaną, boć ich to siostry i towarzyszki napotkamy w Niebiosach.

ROZDZIAŁ XXIII.

Konferencya majowa.

Dzięki Bogu że korespondencya moja nie jest wielką, bo ilekroć widzę listy na mym stoliku, jestem niemal pewny, że znajdę śród nich wiadomość nieprzyjemną Dlatego też nie otwieram listów przed śniadaniem. Jestem zdania, że powinniśmy przyjmować pokarm z umysłem spokojnym, jak Bóg przykazał. Nie należę do tych ascetów, co to wyobrażają sobie, że dusi ich każdy kąsek, który do ust kładą. Ja przyjmuję dary Boże z sercem wdzięcznem i dziękuję za nie Panu Wszechmocnemu.

I dobrze się stało, że wyznaję zasady powyższe, bo zaraz następnego dnia równowaga moja umysłowa zachwianą została tak, jak nigdy, gdy otworzywszy jeden z nadesłanych mi cyrkularzy, ujrzałem w nim przeraźliwie długi spis tematów konferencyj naszych na rok bieżący.

Dotychczas konferencye te nasze były raczej zebraniami dla formy, podczas których gadaliśmy o naszych kłopotach, rozprawialiśmy na sposób akademicki o jakiejkolwiek sprawie obrzędowej lub teologicznej i wreszcie przez godzinę lub więcej słuchaliśmy cierpliwie ku zbudowaniu naszemu odczytu jednego z księży młodych, odczytu opracowanego starannie na dany temat, ale wygłaszanego zwykle nerwowo.

Bądź co bądź konferencye te były miłemi okazyami dla spotkania konfratrów i wymiany zdań. Jakże się więc wzburzyłem przeczytawszy owego ranka całą seryę nowych reguł, tak dogmatycznych, jak akta parlamentu, — reguł, które raz na zawsze kładły kres dawnemu stanowi rzeczy i zamieniały te nasze zebrania miesięczne na wzajemny egzamin z rubryceli, hermeneutyki, teologii i dziejów Kościoła.

Według tych nowych przepisów, karteczki z naszemi nazwiskami miały być rzucane do urny, poczem przewodniczący miał wyciągnąć z nich jedną i egzaminować jej właściciela w przeciągu 10-iu minut, niby alumna seminaryum podczas egzaminu półrocznego. Dopiero po takiem wyegzaminowaniu na wszystkie strony trzech lub czterech biedaków, miała następować konferencya, a mianowicie odczyt trwający co najmniej trzy kwadranse. Po skończeniu odczytu, prelegent miał odpowiadać na wszystkie pytania oponentów, a gdy i temu stało się zadość, przewodniczący miał powrócić do urny i w dalszym ciągu egzaminować konfratrów.

— W końcu — rzekłem sam do siebie, pełen żalu i oburzenia—kości nasze będą zebrane z podłogi i odesłane do domów na pogrzebanie.

A oto maleńki przykład zadanych nam tematów. Nie wątpię, że opracowanie ich zajęłoby całe półrocze w pierwszem lepszem seminaryum teologicznem:

Pro Mense Augusto.
(Die 1-ma Mensis).

1. *Excerpta ex Statutis Dioecesanis et Nationalibus.*
2. *De Inspiratione Canonicorum Librorum.*
3. *Tractatus de Contractibus (Crolly)*

— Co u Pana Boga myślą sobie nasi biskupi? — zawołałem do ks. Lethebyego, gdy przeczytał ów okropny cyrkularz. — Bardzo to łatwo takie rzeczy obmyślać, gdy się siedzi bezczynnie, obraca pierścień na palcu i wpatruje w kamienie na infule. Całe to ich zajęcie, urozmaicone czasami przerzucaniem wikarych z miejsca na miejsce jak kul bilardowych! Co innego my, ciężko pracujący księża misyjni! Czy biskupi mają pojęcie o przesiadywaniu godzinami całemi w konfesyonale, o odwiedzinach chorych

o wykładzie katechizmu, o przygotowywaniu się do kazań, o korespondencyi, jaką załatwiamy za naszych parafian z Afryką, Ameryką, Azyą, Australią i Europą! Nie, to nie do uwierzenia. Pomyślcie tylko księże: *Excerpta ex Statutis*! To znaczy wertowanie wszystkich statutów dyecezyalnych i narodowych, innemi słowy, pochłonięcie dwóch olbrzymich tomów! Albo to „*De Inspiratione*“! Toć to ni mniej ni więcej, jeno cała sprawa wyższej krytyki tom za tomem, przegląd wszystkich miesięczników, cały kurs niemieckich exegetów. Ale to jeszcze nie dosyć! Na deser, po całej masie niestrawnych, podlegających sporom dań hermeneutyki, podają nam nadziewaną lekkiemi truflami *pâté de fois gras* pod postacią Crolly'ego „Kontraktów“! Do licha! Brakuje jeszcze tylko tego, abyśmy wydawali przed nimi kazania nasze!

Podczas całej tej filipiki ks. Letheby uśmiechał się spokojnie. A gdy skończyłem, rzekł, wygładzając ręką cyrkularz:

— Jest tu jeszcze mały dopisek, który, sądzę, dotyczy księdza proboszcza.

— Mnie dotyczy? Nie dostrzegłem tego. Niechaj zobaczę.

Wziąłem papier do ręki i w istocie ujrzałem paragraf następujący:

„6. Przywilej, mocą którego proboszczowie, piastujący urzędy swe od lat wielu, uwolnieni są od obowiązku przybywania na konferencye, pozostaje bez zmiany“.

Przeczytałem to ze trzy razy dla upewnienia, że mnie wzrok nie myli, a mój ksiądz wikary spoglądał na mnie uśmiechnięty.

— Kogóż to dotyczy, jeżeli nie księdza proboszcza?

— Macie słuszność — rzekłem — toć nazywają mnie już patryarchą konferencyj.

I zadowolony ujrzałem siebie rozpostartym wygodnie na fotelu i zabezbieczonym od pocisków teologicznych, ta też pewność bezpieczeństwa uczyniła mnie odrazu podobnym do widza, patrzącego z góry na pole bitwy, lub do damy hiszpańskiej, przyglądającej się walce byków.

— Istotnie — rzekłem po dłuższej pauzie — przychodzę do przekonania, że jednak ksiądz Biskup ma racyę.

Nie ulega wątpliwości, iż traciliśmy wiele czasu napróżno podczas tych naszych konferencyi. Młodzi księża rozleniwiali się i zaniedbywali teologię, a to przecież jest rzecz ważna; czasem zaś jest to, doprawdy, grzech śmiertelny! Teraz będziemy musieli uczyć się wszyscy. Uważajcie przytem księże, jak praktycznym jest nasz Biskup. Oto naprzykład porusza sprawę rubryk, a wiadomo przecież, jak wielu śród nas nie szanuje obrzędów mszalnych. Pojedźcie jeno do Lisdoonvarna, a przekonacie się, że każdy z księży odprawia tam Mszę według swego widzimisię.

— Przepraszam — przerwał ks. Letheby. — Na to zgodzić się nie mogę, wiem bowiem z doświadczenia, że w Anglii księża w połowie nawet nie zachowują *rubryk* tak skrupulatnie, jak tutaj. I doprawdy, zarzut księdza proboszcza wydaje mi się jednym z wielu przykładów samokrytyki częściowo tylko słusznej, a wypływającej z opacznego przedstawienia rzeczy.

— Niechaj tak będzie, nie możecie jednak zaprzeczyć, że postawiona dalej przez Biskupa sprawa tłomaczenia Pisma św. jest jedną ze spraw dziś panujących i musi zwrócić uwagę każdego, kto tylko zajmuje się badaniami kościelnemi.

— Bezwątpienia. W każdym jednak razie wolałbym, aby te nowe teorye były przeniesione z dziedziny domysłów na stały grunt udowodnień.

— Bądź co bądź także nie możecie zaprzeczyć — odparłem, zanim przerwałem dysputę — że Crolly'ego „Traktat“ zawiera argumenty silne i dobrze obmyślane, jak również, że jest dziełem bardzo ważnem w każdej sprawie życia społecznego lub prywatnego.

— Jest doskonałym heliografem podczas dnia słonecznego — odparł wikary — na co jednak zda się heliograf w dni chmurne i mgliste?

— W każdym razie niech Bóg błogosławi księdza Biskupa. Nie jego to już wina, jeżeli okaże się, iż nie posiadamy najlepszych w Irlandyi teologów, mistrzów ceremonii i oryentalistów. Co za człowiek praktyczny i dalekowidzący!

— A jakże będzie, księże proboszczu — rzekł mój wikary — z tem kręceniem pierścienia na palcu i przyglą-

daniem się kamieniom na infule, o których ksiądz proboszcz przed chwilą wspominał?

— Nie mówmy o tem—odrzekłem. — Konik mój czekać będzie na was w dzień konferencyi. Musicie powozić sami, abyśmy nie spóźnili się na zebranie.

Co za przyjemna jazda!

Maj w Irlandyi. Cóż to znaczy? Znaczy to przejście z ciemnego tunelu na jaskrawe promiene słoneczne. Znaczy to zrzucenie skorupy zimowej i przechadzanie się z głową podniesioną pod cienistemi drzewami albo u brzegów błyszczącego morza, śród kwiatów jabłoni napełniających powietrze zapachem, albo wreszcie śród pierwiosnków i fijołków, pokrywających ziemię u nóg twoich. Znaczy to jagnięta, pasące się obok matek na łąkach i dzieci powracające wieczorami do domów z rękoma pełnemi ziół i kwiatów pachnących. Znaczy to napełnienie żył wyschłych krwią nową, obudzenie zmysłów uśpionych, żywe i silne pulsacye serca, lotność i ożywienie ducha przygnębionego, jasne obłoki pełne muzyki ptasiej, śpiew skowronków, powitania rolników orzących bogatą, czarną ziemię w towarzystwie wron, idących za pługiem i przeglądających każdą odwaloną skibę.

— Wspaniały dzień, Michale!

— Wspaniały, wasza wielebność, dzięki Bogu!

— Pogoda doskonała do robót polnych!

— Nie może być lepszej, wasza wielebność!

Mijamy jak błyskawica pola i ludzi, bo i konik nasz czuje nową krew w żyłach i pędzi równym krokiem po drodze.

Przybyliśmy na czas i rozsiadłem się też wygodnie w starym mym kącie obok fotelu biskupiego, zanim napływać zaczęli moi konfratrzy. Radbym jednak mieć odpowiedź na następujące pytanie: Jeżeli jegomość starszy wiekiem, nie odznaczający się dotychczas elegancyą, uzna za stosowne zaczesać długie swe siwe włosy na tył głowy, włoży nowy, bez najmniejszej plamki garnitur czarny, zawiesi u kamizelki na widocznem miejscu złoty łańcuszek z brelokami, nosi z fantazyą *pince-nez* na tasiemce jedwabnej; jeżeli, jednem słowem, stanie się czystym i wytwornym, jak przystoi księdzu z pewnem stanowiskiem w dyecezyi, — to dlaczego inni patrzą się zaraz na

niego, jak na dziwowisko; a włożywszy ręce w kieszenie, pogwizdują ze zdziwienia, albo pytają jeden drugiego, jakgdyby mnie nie znali: — Co to za obcy człowiek? I dlaczego nawet Biskup uśmiechnął się znacząco, gdym ucałował pierścień na jego ręku i powinszował, że tak dobrze wygląda?

— Mogę powinszować wam nawzajem, Ojcze Danie— rzekł Jego Ekscelencya — nigdy bowiem nie wyglądaliście tak dobrze, jak dzisiaj. Wszystkie te ulepszenia i reformy, jakie wprowadzacie w Kilronanie, odmłodziły was zupełnie.

Ks. Letheby, siedzący u końca stołu, spoglądał skromnie, jak zakonnica.

—I ja muszę powinszować Waszej Ekscellencyi—rzekłem — tych zmian, jakie zaprowadził w konferencyach naszych. Jasnem jest, że Wasza Ekscellencya zamierza rozwinąć jak należy talenty, kiełkujące w dyecezyi naszej.

Pomruk opozycyi rozległ się dokoła stołu.

— Obawiam się bardzo — odparł Biskup — że będziecie zmuszeni, ojcze Danie, przerwać studya wasze nad greczyzną i łaciną, bo starczy wam zaledwie czasu na opracowanie tematów konferencyj.

— To prawda, Wasza Ekscellencyo! Potrzeba 22 godzin na dobę i siedm dni w tygodniu, by opracować to wszystko, choćby tylko w stopniu dostatecznym (Oh! oh!— dokoła stołu), ale i to dobre, że Wasza Ekscellenya, ze zwykłą sobie wyrozumiałością, miał na uwadze tylko giętkie umysły tych oto rozumnych młodzieńców, uwolnił zaś od pracy umysły powolne i niepojętne biednych starych proboszczów, jak ja naprzykład. (Nie, nie! — dokoła stołu).

— Przepraszam — zawołał przewodniczący konferencyi, ksiądz chudy, wysoki, o wystających kościach policzkowych, głębokich orlich oczach, teolog zawołany — przepraszam, jak widzę znów powracamy do starych pogawędek. Proponuję przeto, abyśmy bez straty czasu przystąpili do dzieła. Niech Wasza Ekscellencya raczy łaskawie wyciągnąć kartkę.

— Prosimy włożyć także do urny kartkę z nazwiskiem ojca Dana! — odezwały się głosy od stołu.

Biskup uśmiechnął się i wyciągnął kartkę.

— Ksiądz Michał Delany! — zawołał przewodniczący.

Ksiądz Delany skurczył się i wykręcił na krześle. Był to człowiek jakby święty, ale niebardzo bystry.

— Proszę mi powiedzieć, ojcze Michale — zapytał przewodniczący, — co robicie z rękoma podczas odprawiania Ofiary świętej?

— Co robię z rękoma memi? — powtórzył ojciec Michał cierpko?

— Tak co robicie z rękoma waszemi?

— Dziwne pytanie? Trzymam je przy sobie.

— Ma się rozumieć. Ale tu chodzi o ruchy, o giesty, jakie rękoma robicie.

— Giesty?

— Tak. A więc postawmy to pytanie w inny sposób. Istnieje znakomite dzieło pewnego kapłana amerykańskiego, ks. Wapelhorsta, o ceremoniach. Na końcu zaś dzieła tego autor uczy nas rozumnie, czego unikać należy. Czy nie moglibyście mi przeto powiedzieć, czego należy unikać?

— Czy nie wiecie tego, ojcze Michale? — szepnął jeden z przyjaciół współczujących pytanemu — *Elevans et extendens...*

— Dziękuję za informacyę, młodzieńcze — odparł ojciec Michał, — ale dam sobie sam radę. O co ksiądz się pytał? — zawołał, zwracając się do przewodniczącego.

— Co za ruchy nieodpowiednie może kapłan uczynić rękoma podczas odprawiania Mszy świętej?

— Co za ruchy nieodpowiednie? Może naprzykład, włożyć ręce do kieszeni, albo założyć je na plecy, albo też...

— Dosyć, dosyć! Jeszcze jedno pytanie. Gdybyście, ojcze, nosili *pileolus*, inaczej *zucchetto*, to podczas której części Mszy świętej zdjąć je byłoby waszym obowiązkiem?

— Nie nosiłbym nic podobnego. To co posiadam wystarcza mi zupełnie. Wcale nie pragnę odznaczeń z Valladolidu lub Salamanki.

A trzeba wiedzieć, że przewodniczący otrzymał stopień naukowy w Salamance.

— Wasza Ekscellencyo — przerwałem ze współczuciem — nie chciałbym przerywać egzaminu tak zajmującego, ale moje poczucie doskonałości klasycznej i przyzwoitości zniewala mnie do zwrócenia uwagi na jeden wyraz w programie konferencyi dzisiejszej. W języku łacińskim niema wyrazu *„Primigeniis*, a właśnie wyraz ten znajduję w zdaniu: *„De primigeniis textibus Sacrae Scripturae“*....

— Ojcze Danie, proszę nie przerywać — zawołał przewodniczący. — Wiem do czego zdążacie. Bardzo dobrze, ojcze Michale, doprawdy, bardzo dobrze! A teraz następny. Jeżeli przerywać będziecie, to i wy, ojcze Danie, dostaniecie sie do urny. Ojciec Irvin!

Zanim jednak rozpoczął się egzamin ojca Irvina, nastąpiła przerwa nader miła.

Ktoś spytał, czy jest prawnem noszenie *zucchetto* przez biskupa w czasie Mszy świętej. Jak zwykle, powstały różnice zdań. Jedni twierdzili, że wyłącznie biskupi mają ten przywilej, inni, że każdy kapłan może nosić *zucchetto*, inni jeszcze, że prawo to przysługuje tylko zakonnikom, noszącym zawsze tonsurę. Przewodniczący atoli zatrzymał nagle dyskusyę, zwracając się tym razem do księdza bardzo podeszłego wiekiem, z zapytaniem, jakie zadał już ks. Delanyemu. Starzec odpowiedział szybko:

— *Zucchetto* albo *pileolus* zdejmuje się na końcu ostatniej cichej modlitwy i nakłada ponownie po ablucyi.

— Tak jest! — potwierdził przewodniczący.

— Przy sposobności — rzekł starzec do przewodniczącego — zwrócę uwagę, że źle wymawiacie ten wyraz.

— Sprawa ta was się tyczy, ojcze Danie — przerwał biskup — bo w całej dyecezyi niema nikogo, ktoby się lepiej od was znał na tem.

— *„Vixere fortes ante Agamemnona Multi“*... Wasza Ekscellencyo, — odparłem, wyzywając biskupa do szermierki.

— *„Mutato nomine, de te*
Fabula narratur“ —

zawołał biskup z uśmiechem.

— Oczywiście mamy tu bogaty zapas podań klasycznych *„At suave est ex magno tollere acervo“*. Wasza Ekscellencyo — rzekłem wskazując na siedzących dokoła stołu — *„Omnes hi metuunt versus, odere poetas“* (Oho! oho! — głosy

od stołu) „*Nec recito cuiquam nisi amicis, idque coactus non ubivis coramve quibus libet*“.

W tem miejscu przewodniczący, widząc, że biskup może być pokonany, aczkolwiek Jego Ekscellencya jest wielkim i prawdziwym uczonym, przerwał:

„*Ohe!*

„*Jam satis est! Dum aes exigitur, dum mula ligatur*
Tota abit hora“

Wymawiając słowa „*dum mula ligatur*“ spojrzał na mnie znacząco, ale niewiele robiłem sobie z tego, czując, że zwyciężyłem.

— Ojcze Danie — rzekł następnie — jesteście poprostu nieznośni. Konferencya nie może odbywać się przez was. Potrzeba nam teologii, a wy wciąż wtrącacie klasyków waszych.

— Wzywam na świadków Jego Ekscellencyę i uczestników konferencyi, że nie ja wywołałem to starcie. Jeśli mam prawdę powiedzieć, to zniosłem cierpliwie bardzo błędną wymowę zwykłego łacińskiego wyrazu, aczkolwiek sprawiło mi to tortury Nessusa...

— Nigdy nie skończymy, Wasza Ekscellencyo — zwrócił się do biskupa przewodniczący.

— Dosyć, Ojcze Danie. Teraz kolej na ojca Irvina.

Umilkłem, ale czułem zadowolenie wewnętrzne.

ROZDZIAŁ XXIV.

Walka tytanów.

— Teraz na was kolej, ojcze Irwinie — rzekł przewodniczący do przystojnego, o żywym wzroku księdza, siedzącego przy końcu stołu. — Powróciliście dopiero co z Australii. Mam nadzieję, że wszystko jest tam doskonałością, powiedzcie mi zatem, czy cząsteczki Hostyi zostawione przez nieuwagę na ołtarzu poza korporałem podczas konsekracyi, są konsekrowane czy nie? A zastanówcie się dobrze, gdyż jest to sprawa bardzo ważna.

— Bezwarunkowo, że są — odparł młody ksiądz z zupełną pewnością.

— Otóż, n i e ! — zawołał przewodniczący.— Wszyscy teologowie zgadzają się na to.

— Naprzykład? — spytał ks. Irwin zimno.

— Co—o?—zawołał przewodniczący, nieprzygotowany na takie pytanie.

— Chcę powiedzieć, że wątpię, aby wszyscy teologowie zgadzali się na to. To też prosiłbym o wymienienie nazwisk.

— Z największą przyjemnością — odpowiedział przewodniczący z uśmiechem politowania. — Co ksiądz powie o takim Benedykcie XIV, Suarezie lub o świętym Alfonsie?

Młodzieńca nie wzruszyły te nazwiska.

— Więc teologowie ci twierdzili, iż musi odbyć się konsekracya powtórna? — zapytał.

— Ma się rozumieć.

— Rozpatrzmy tę sprawę, abym wiedział, czy rozumiem dobrze. Od początku Mszy świętej kapłan celebrujący zamierza konsekrować te cząsteczki.

— Tak.

— W zamiarze tym trwa do chwili konsekracyi.

— Tak.

— Będąc zupełnie w porządku pod tym względem, ma również intencyę konsekracyi tych cząsteczek, które przez nieuwagę wystają poza granice korporału?

— Tak jest.

— Pomimo to ksiądz twierdzi, że Benedykt XIV, Suarez i święty Alfons utrzymują, iż konsekracya ponowna jest konieczną?

— Tak.

— A więc bardzo mi żal Benedykta XIV, Suareza i świętego Alfonsa!

Słowa te wywołały zamięszanie. Biskup spojrzał poważnie. Starsi księża nie mogli wyjść z podziwu i oburzenia. Młodzi pospuszczali głowy, a uśmiech igrał na ich ustach.

— Uważam to za bardzo niestosowną uwagę względem świeczników Teologii!—rzekł przewodniczący, zmarszczywszy brwi, a zmarszczenie brwi u niego było zapowiedzią niebardzo przyjemną. Twarz biskupa przybrała również wyraz surowy i zimny.

— Może należałoby zmienić to, co powiedziałem — odezwał się wreszcie ks. Irvin swobodnie — może należałoby inaczej powiedzieć, że nowocześni teologowie i zdrowy rozum są przeciwni takim dowodzeniom.

— Proszę zacytować teologów nowoczesnych, którzy są przeciwni powszechnemu zdaniu teologów w tej sprawie.

— A więc Ballerini naprzykład lub Salmaticenses...

— Ba, Ballerini! Ballerini przewraca wszystko do góry nogami!

— Ballerini ma zdrowy rozum i ducha Mszy świętej po swojej stronie.

— Mszy świętej?

— Tak. Proszę to przeczytać, albo zresztą sam przeczytam:

„*Quidquid horum deficit, scilicet materia debita, forma cum intentione, et ordo sacerdotalis non conficitur Sacramentum; et his existentibus, quibuscumque aliis deficientibus, veritas adest Sacramenti*".

— Bardzo dobrze. Punkt sporny w danym razie stanowi wyraźnie *cum intentione*. Kościół zabrania, pod groźbą grzechu śmiertelnego, konsekrowania poza korporałem. A więc nie można przypuszczać, by kapłan miał intencyę popełnienia *grave* podczas konsekracyi, z czego wynika, że nie mógł mieć też intencyi konsekrowania tego, co Kościół konsekrować zabrania.

— Przepraszam — odparł ks. Irwin — jest to argument najsłabszy i najłatwiejszy do obalenia ze wszystkich, jakie kiedykolwiek w tej sprawie słyszałem. Rozumowanie to bowiem uzasadnia niemożebną do przyjęcia zasadę, że konsekracya staje się nieważną, gdyby kapłan zapomniał o którejkolwiek z rubrycel, obowiązujących pod groźbą grzechu śmiertelnego. Gdyby, naprzykład, chleb był fermentowany, gdyby korporał nie był poświęcony, gdyby sam kielich nie był poświęcony, to w takim razie, według waszego rozumowania, nie byłoby ani Ofiary ani konsekracyi.

— To tylko grzech powszedni — zauważył przewodniczący.

— Kapłan, odprawiający Mszę świętą—odparł słodko ks. Irwin — nie ma prawa popełniać grzechu powszedniego tak dobrze, jak śmiertelnego, a przytem....

— Za dużo czasu tracimy — przerwał biskup — argumenty wasze, które uważam za bardzo zręczne, pozostaną mi w pamięci, księże Irwinie, ale, jak powiedział przewodniczący, głos powszechny teologów jest przeciwko wam. A teraz przystąpmy do właściwej konferencyi: *de textibus Sacrae Scripturae*.

— Ksiądz Duff przeczyta swe wypracowanie, Ekscellencyo, a potem będziemy rozprawiali o niem.

— Bardzo dobrze. Ksiądz Duff ma głos.

Ks. Duff był innym przykładem nowego autoramentu. Z gładką wygoloną twarzą, o wielkich, ciemno-niebieskich, ale widocznie słabych oczach, założył na nos *pince nez*

w złoto oprawne, i obejrzawszy się spokojnie dokoła, zaczął czytać równym cichym głosem. Głos to był niezwykły, intonacya bowiem miękka, mrukliwa, zaczęła wywierać wpływ dziwny na obecnych konfratrów. Jeden za drugim ulegali hypnotycznemu jego działaniu i opuściwszy głowy na piersi zasypiali błogo, ku wielkiemu memu oburzeniu i wstydowi. Nawet przewodniczący konferencyi i biskup dali za wygranę po wytrwałej walce.

— Jak widzę — rzekłem do siebie — mnie jednemu przypadło w udziale wysłuchać tego odczytu i jeżeli niewiele skorzystam z historycznych jego poglądów, to przynajmniej zaopatrzę się w porządny zapas słów niezwykłych lub wyszłych z użycia — przeciwko memu wikaremu

Tak też się stało. Nazwy takie, jak *Codex Alexandrinus*, *Codex Sinaiticus*, *Codex Bezae*, *Codex Vaticanus* — brzmiały w umyśle mym oszołomionym. Potem zdawało mi się, że słyszę śmiech czytającego przy wspomnieniu dosłownego pojmowania sześciu dni stworzenia i że skutkiem tego jeden z sąsiadów mych szepnął mi przez sen do ucha: Niedowiarek! — potem, że wydrwiwa uznaną teoryę autorstwa Pięcioksięgu, potem, że mówi o wpływach chaldejskich i babilońskich, że zbija dowodzenie, przypisujące Dawidowi autorstwo Psalmów; że księgę Daniela uważa w połowie za apokryficzną; że księgę Hioba uważa za urywek poezyi arabskiej, jak pieśni niejakiego Hafiza; że—jednem słowem—każe nam wierzyć, iż cała Biblia, według interpretacyi jakiegoś Ritschliego, przedstawia się zupełnie inaczej, niż nas wierzyć nauczono.

Właśnie, skończywszy burzenie wszystkich tych wierzeń, zaczął odbudowywać je nanowo i wspomniał o „Diatessaronie“ Tacyana, gdy nagle chrapnięcie potężne, podobne do trąbienia słonia, rozległo się po sali.

Obudzili się wszyscy i zwrócili z uśmiechami ku mnie; ponieważ jednak żaden z nich nie uważał za stosowne przeprosić Duffa, rzekłem więc poważnie i z gniewem:

— Wasza Ekscellencyo! Sądzę, że uczestnicy konferencyi powinniby posiadać więcej uświadomienia co do niegrzeczności, jaką wyrządzają jednemu z najbardziej uczonych traktatów, jakie tu słyszałem.

Odpowiedzią był głośny wybuch śmiechu, w którym,

przykro powiedzieć, nawet biskup wziął udział. W końcu zaś Jego Excellencya wyjął chustkę jedwabną z kieszeni i otarł oczy.

— Prócz tego—mówiłem dalej — wnoszę, aby w nagrodę trudów tego najbardziej wykształconego i celującego z młodych księży, cenny odczyt jego był posłany, z aprobatą Waszej Ekscellencyi, do którego z pism duchownych Irlandyi lub Ameryki. Widok jego w druku da, być może, księżom młodszym pojęcie o jego zawartości, którą przeoczyli, dając, sądzę, zbyt łatwo folgę spiączce w czasie nieodpowiednim.

— Tu przerwał mi drugi wybuch śmiechu, zdaniem mojem niestosowny i niegrzeczny, a przewodniczący rzekł:

— Teraz, księże Duffie, jeżeli nie jesteście zbyt dumni z pochwał księdza Dana, który był najuważniejszym i najbardziej zachwyconym słuchaczem waszym—pozwolę sobie zadać kilka pytań w przedmiocie odczytu waszego.

— Jakto—zawołałem -więc ksiądz chciałbyś atakować taką fortecę? Zresztą, czasu już niema.

— Mamy jeszcze całą godzinę — odparł biskup, spoglądając na zegarek—co zapewne dla was, księże Danie, zbyt uciążliwem nie będzie, posiadacie bowiem sposób bardzo przyjemnego spędzania czasu.

Nie odrazu pojąłem znaczenie słów biskupich, ponieważ wogóle nie lubię sobie łamać głowy nad zagadkami.

Jeżeli wymiana zdań przed odczytem była tylko utarczką lekką, to teraz zaczęła się prawdziwa walka artyleryi.

— Co się tyczy Septuaginty — rzekł przewodniczący— to sądzę, że zdanie wasze o dziejach kompilacyi tego przekładu Biblii nie wytrzymuje krytyki. Wszak wiecie, że Justyn, męczennik i apologeta, oświadcza, iż widział na własne oczy cele, w których zamknięto siedmdziesięciu tłumaczy, na rozkaz, czy też na żądanie Ptolomeusza Filadelfa. Jakimże sposobem list Aristeasa może być apokryficznym?

— Z tego, że pewien ustęp listu został sprawdzony, nie wypływa, by cały list był autentycznym. Powtóre, oświadczenie przypisywane Justynowi może być również apokryficzne.

— Czy przypuszczacie, że nazwiska siedmdziesięciu starszych nie są także autentyczne?

— Najzupełniej.

— Jednem słowem, uważacie, że Septuaginta jest wogóle wersyą wątpliwą Starego Testamentu.

— Przyjąłbym ją tylko o tyle, o ile zgadza się z Wulgatą i Kodeksami.

— Wszak wiecie jednak, że była w powszechnem użyciu wśród żydów oświeconych na długo przed przyjściem Jezusa Chrystusa; wistocie może być uważaną jako środek opatrznościowy dla przygotowania drogi do Pana żydom Grecyi i Aleksandryi.

— To niczego nie dowodzi.

— Dowodzi tego. Jest rzeczą wiadomą, że hebrajczycy byli bardzo skrupulatni co do tytułów, liter, a nawet znaków samogłoskowych...

— Przepraszam, hebrajczycy nie używali znaków samogłoskowych przed przyjściem Jezusa Chrystusa.

— Twierdzenie to zbyt pewne! — odparł, czerwieniąc się, przewodniczący.

— A jednak prawdziwe. Apeluję do Jego Ekscellencyi! — zawołał ojciec Duff.

— Hm — rzekł biskup dyplomatycznie — tak się zdaje, w każdym jednak razie cała ta sprawa jest jeszcze okrytą mrokiem, mgłą dalekiej przeszłości..

Bardzo podobała mi się ta odpowiedź.

— Zaniechajmy tej sprawy — wtrącił przewodniczący, widocznie zaniepokojony. — O ile mi się zdaje, ksiądz wygłosił zdanie, a raczej zasadę, z którą wątpię, by mogli pogodzić się katolicy.

Ks. Duff czekał.

— A mianowicie—ciągnął dalej przewodniczący—że przy studyowaniu dziejów Biblii, a także przy jej interpretacyi, musimy wziąć pod uwagę odkrycia i dedukcye nauki nowoczesnej?

— Istotnie, tak powiedziałem.

— Innemi przeto słowy, musimy przyjąć konkluzye szkół racyonalistycznych niemieckich — i odrzucić zupełnie pierwiastki nadprzyrodzone w Biblii.

— Przepraszam. Nie uznaję słuszności takiej dedukcyi. W Kościele istnieją dwie szkoły zapatrywań na tę

sprawę. Jedna z nich, z d-rem Kaulenem z Bonn na czele, sądzi, iż konkluzye krytyki nowoczesnej są tak błędne, że młodzi studenci nie powinni wcale zwracać na nie uwagi. Druga natomiast szkoła twierdzi, że musimy studyować Biblię w świetle interpretacyi nowoczesnej. Urzędowa Encyklika obecnego Papieża (Leona XIII) *Providentissimus Deus* powinnaby była zamknąć ten spór, ale ludzie są uparci w swych twierdzeniach. To też obie szkoły wyzyskują tę Encyklikę dla siebie. Prof. Aurelian Schöpfer z Brixen natychmiast ogłosił drukiem pracę p. t. „Biblia i nauka“, w której twierdzi, że wykłady nauk przyrodniczych mogą być zastosowane przez katolików nietylko dla potwierdzenia oświadczeń Biblii, ale także dla ich interpretacyi. Jak wyżej zaznaczyłem, Kaulen z Bonn jest temu przeciwny. O to jednak rozpoczął się inny pojedynek, mianowicie Schantz z Tübingen z Scholtzem z Würzburga. Pierwszy z nich upierał się przy tem, że Encyklika nie wprowadza żadnej nowej zasady w interpretacyi Biblii, gdy tymczasem drugi twierdził, że owszem, zasada badań naukowych została uznaną i powinna być zastosowaną. Spór ten w łonie katolicyzmu zajął bardzo protestanta, Koeniga z Rostocku. Uczony ten zadał więc sobie trud zebrania siedmdziesięciu krytyk dzieła Schöpfera, dokonanych przez najwybitniejszych uczonych Niemiec, Austryi, Francyi, Irlandyi i Ameryki, i dowiódł, że $^{5}/_{6}$ z tych głosów popiera stanowisko autora...

— Moglibyście dodać, ojcze Duffie odezwał się nagle mój wikary, milczący dotychczas i słuchający uważnie wywodów — że krytycy ci potępili także Schöpfera za to, że ignoruje *consensus patrum* i że ma tendencye stanowczo naturalistyczne.

Wszystkich uczestników konferencyi poruszył ten zwrot nowy. Przewodniczący spojrzał na mego wikarego z wdzięcznością.

— A jednak *Civitta cattolica*— odciął się zaraz ksiądz Duff — którą możemy uważać za pismo urzędowe, tak się wyraża, oceniając dzieła Schöpfera: „Dzieje biblijne nie mogą być nadal opowiadane inaczej, jak tylko w zgodzie z prawdziwą i poprawną nauką Biblii, a także z rozumnemi wynikami nauk przyrodniczych“.

— Tak jest istotnie — rzekł ks. Letheby — i słowa te

odnoszą się do pewnych odkryć astronomicznych. tudzież geologicznych. Nie przypuszczam jednak, abyście filologię — bo o nią tylko nam chodzi — uważali za naukę ścisłą.

— Uważam ją za równie ścisłą, jak nauki przez was wymienione.

— To jest uważacie ją za tak ścisłą. jak dowodzenia matematyczne?

— Najzupełniej.

— Nie, tego już zanadto! — zawołał wikary tonem człowieka, który jest pewnym tego co mówi.

— Bynajmniej—przerwał ks. Duff—ja utrzymuję, że świadectwo dziejów z jednej strony, świadectwo zewnętrzne pomników z drugiej — połączone ze świadectwem wewnętrznem właściwości językowych, odpowiednich miejscu i czasowi w Piśmie świętem — równają się dowodzeniu matematycznemu.

— Zgodzicie się chyba na to, że języki zmieniają bardzo często swoją budowę i znaczenie?

— Ma się rozumieć.

— Że język angielski Szekspira nie jest już naszym.

— Tak jest.

— Że zdarzało się iż wyrazy przybierały znaczenie wręcz przeciwne w przeciągu zaledwie lat trzystu?

— Dobrze.

—Że wreszcie istnieje twierdzenie, iż dzięki ciągłemu przyrostowi język nasz dzisiejszy nie będzie już zrozumiałym za lat sto?

— Przypuśćmy.

— Czy więc wobec tego nie zgodziłby się ksiądz na to, iż współczesny Szekspirowi może być lepszym sędzią napomknień, a nawet pełnych myśli zawartych w jego poezyi, niż najbardziej uczony lingwista po pewnym przeciągu czasu?

— Dobrze. Dokąd jednak ksiądz zmierza?

— Dlaczego tedy nigdy nie słyszeliśmy o owych „świadectwach wewnętrznych“, o owych „historycznych zbiegach okoliczności“, o owych „narzeczach wyłącznych“, od Orygenesa. Dyonizyusza. Hieronima lub Augustyna. od któregokolwiek wreszcie z Ojców Kościoła. którzy twierdzili to, co my twierdzimy, i to czego Kościół nauczał za-

wsze o pochodzeniu Ksiąg Świętych, a dla których języki grecki i hebrajski były językami ojczystemi?

— Ależ, drogi księże, istnieją przecież jawne fałszerstwa nawet w Ewangeliach. Może ksiądz wmówi mi także, iż taki naprzykład *Magnificat* nie jest rozmyślnym pomysłem poetyckim autora Ewangelii świętego Łukasza, lecz został wyśpiewany przez młodą dziewczynę hebrajską na górze Hebron?

Skoczyłem na równe nogi, ale niepotrzebnie. Bladość twarzy wikarego, wargi jego zaciśnięte i oczy gorejące, jak węgle, powinny były być dla mnie wystarczającą rękojmią, że cześć Królowej naszej spoczywa w pewnych rękach.

Ks. Duff nie mógł natrafić na nieszczęśliwsze porównanie.

Ks. Letheby oparł łokcie na stole i przechyliwszy się naprzód, rzekł cichym, drżącym głosem:

— Być może, iż jesteście, księże, bardzo uczeni, sądzę nawet, że tak jest istotnie; ale wzamian za całą naukę nagromadzoną w uniwersytetach niemieckich, którą tak podziwiacie, nie chciałbym myśleć o tym świętym przedmiocie tak, jak wy myślicie. Jeżeli co uwidocznia tendencye owej nowoczesnej interpretacyi Pisma Świętego, to właśnie owa bolesna, niemal bluźniercza opinia przez was wyrażona. Jest ona zupełnem wykluczeniem pierwiastku nadprzyrodzonego, jest absolutnem zaprzeczeniem natchnienia Bożego. Jeżeli *Magnificat* nie jest dziełem takiego natchnienia, to radbym wiedzieć, co jest właściwie dziełem takiem?

Po słowach tych zapanowała, w ciągu kilku sekund, cisza taka, że słyszałem cykanie mego zegarka. Wreszcie przewodniczący powstał z krzesła, ukląkł i odmówił *Actiones nostras.*

Zbieraliśmy się do odejścia, gdy odezwał się biskup:

— Doroczna procesya na cześć Matki Boskiej odbędzie się na terytoryum katedry i kolegium dnia 31 b. m. Będę rad bardzo ujrzeć tam tych wszystkich zpośród was, którym obowiązki na to pozwolą. Obiad o godzinie 4-tej po południu. Różaniec i kazanie o godzinie 7-mej wieczorem. Księże Letheby, uczynicie mi przysługę, jeżeli po-

dejmiecie się wygłoszenia kazania podczas tej uroczystości.

Ks. Letheby zarumienił się, godząc się na tę propozycyę zaszczytną; biskup zaś zwrócił się do zawstydzonego i zmiażdżonego niemal ks. Duffa, i rzekł do niego z taktem nieporównanym:

— Księże Duffie, proszę zostawić mi swój odczyt. Zdaje mi się, że usłucham rady przyjaciela naszego, ojca Dana.

Kilku z młodszych księży, żartownisiów, rozpuściło potem po dyecezyi pogłoskę, że usłyszawszy słowa powyższe biskupa, chciałem go pocałować. Ale to nieprawda.

Przy wyjściu zatrzymał mnie przewodniczący.

— Zaczynam — przemówił do mnie — lubić tego waszego młodzieńca, aczkolwiek zdaje mi się, że jest on bardziej pobożny niż uczony.

— Przepraszam, jest i pobożny i uczony! — zawołałem.

— To prawda, to prawda! Mój Boże, na co to my zejdziemy, ojcze Danie!

Zbliżaliśmy się, jadąc z księdzem Letheby szybko ku domowi, zbyt zajęci jeszcze wspomnieniami konferencyi i myślami o niej, abyśmy prowadzić mogli rozmowę. W końcu jednak rzekłem, otrząsając się z zamyślenia:

— Przyznam się, że i mnie mrużyły się oczy podczas długiego tego odczytu.

— Ejże, księże proboszczu!—odrzekł wikary—odczyt trwał 45 minut, a w przeciągu 40-tu mieliście oczy zamknięte.

— To jest oszczerstwo!—zaprotestowałem. — Przecież pamiętam, że mówił o Hiobie, o Danielu, o Ewangeliach synoptycznych.

— To był tylko wstęp.

— Więc któż był owym niegrzecznym, źle wychowanym człowiekiem, który nas wszystkich zbudził owem chrapnięciem? Chyba ksiądz Delancy?

— Nie, nie on. Zanadto był wzruszony zajściem z przewodniczącym, aby mógł spać.

— Doprawdy? A może lepiej będzie, jeżeli zanie-

cham śledztwa w tym kierunku? Wyobrażam sobie, co za kazanie wygłosicie!

— Bardzo mnie to niepokoi—odparł, potrząsając lejcami — a właściwie nietyle mi chodzi o kazanie, ile o zawiść, niechęć i zazdrość, jakie wzbudzi.

— Możecie tego uniknąć.

— Jakimże sposobem?

— Cofnijcie się, upokórzcie, a wszyscy kochać was będą. Chcecie, księże, być popularnym, — zróbcie głupca z siebie.

— Próbowałem tego dzisiaj. Postanowiłem sobie uroczyście nie odzywać się wcale, chyba że będę zapytany, ale nie mogłem w końcu już zcierpieć tej pychy i pewności siebie księdza Duffa, zwłaszcza gdy przeszły w lekceważenie.

— Gdybyście wy, księże, głosu nie zabrali, to ja byłbym wystąpił, i mogę was zapewnić, że byłbym niegrzeczniejszym od was. Rzecz była nie do przebaczenia.

Zjadłem obiad u księdza Lethebyego. Właśnie wstawaliśmy od stołu, gdy ktoś zapukał do drzwi nieśmiało. Wikary wyszedł, po chwili jednak wrócił zły i z wyrazem zniechęcenia na twarzy.

Zanim wrócił, słyszałem z przedpokoju skargę:

— Ona musi zaniechać tej pracy. Piersi jej zapadają się, a twarz staje się bladą, jak u trupa.

— Jedna z dziewcząt, które zaczęły pracować przy maszynach, porzuca pracę. Piersi ją bolą od nachylania,— objaśnił mnie wikary.

— Któż to taki? — spytałem.

— Minnie Carmody, ta wysoka dziewczyna, która siedziała tuż przy dzwiach.

— Hm — odparłem — o ile mi się zdaje, nie to jest przyczyną jej bladości, ale raczej ocet i inne środki, których używa na schudnięcie; wyczytała bowiem w jakiemś romansidle, że zdrowa cera nie jest dziś w modzie.

— A jednak porzucenie to pracy wywrze zły przykład— rzekł wikary smutno — boć niema jeszcze miesiąca, jak fabryka jest czynną!

ROZDZIAŁ XXV.

Kazanie.

Jestem przekonany, że kazanie owo kosztowało mnie więcej niepokoju i kłopotów niż księdza Lethebyego. Ma się rozumieć, że powodzenie jego obchodziło mnie mocno, ale nie o to w danej chwili idzie. Należę do najsłabszych i najgorszych mówców w dyecezyi, a to daje mi niezaprzeczone prawo do wypowiadania opinii o tem, jak być powinny kazania wygłaszane. Jak niepowodzenia na polu literackiem są patentem na wielkiego krytyka, tak samo i krytycy kazań mogą uzasadnić swój autorytet i misyę dyktowania praw światu na tej zasadzie, iż nie są w stanie wykładać nawet katechizmu. Ale cóż robić! Każdy opiera się na powszechnem i nie podlegającem zaprzeczeniu przekonaniu — wierzy w swą nieomylność!

Zacząwszy od owego manekina krytycznego, co nadyma swą pierś i wymyśla od idiotów autorowi, który poważył się napisać dzieło o akcencie greckim lub gwiazdach podwójnych, a skończywszy na wielkim wszechświatowym dzienniku, owym *Jupiter Tonans*, który dyktuje prawa ludzkości — wszędzie powtarza się to samo. Każdy ze swego piedestału, czy nim będzie szczudło o trzech stopach wysokości, czy też kolumna Vendôme, wykrzykuje swoją opinię i wymaga od świata zgody lub milczenia.

I oto ja także, zwykły sobie ksiądz wieski, tu, na

tych wybrzeżach zachodnich, o które rozbijają się fale Atlantyku, odważam się prawić i filozofować na temat tego wielkiego daru ludzkiego: mowy.

Proszę więc wyobrazić sobie mnie, o zmroku dnia majowego, po powrocie z nabożeństwa w kościołku wiejskim, z uszami przepełnionemi jeszcze śpiewami dzieci, zażywającego tabakę, trzymającego szczyptę jej w palcach i filozofującego w sposób następujący:

Sądzę, a raczej pewny tego jestem, że nigdy w życiu nie słyszałem rad gorszych jak te:

Co się tyczy kazań: Staraj się być prostym i nigdy nie wysilaj się na wymowę.

Co się tyczy rozmyślań: Trzymaj palce na brewiarzu, a myśl o tem, co znaczy „Drugi Nokturn“.

Rady to złe nietyle *per se*, ile *per accidens:* nie biorą bowiem pod uwagę natury ludzkiej, która zawsze stara się, by jej było dobrze i wygodnie.

Jeżeli osiwiały doradca mówi: „Bądź prosty“, to tak, jakgdyby powiedział: „Bądź zły i ordynarny“. Słysząc to bowiem młodzi ludzie myślą sobie całkiem naturalnie: im prościej tem lepiej. Stosują tedy w kazaniach styl rozmówkowy. Na co nam praca nad przygotowywaniem kazań? Wystarczy, gdy sprawimy wrażenie, — gdy złajemy słuchaczów. Nauki, dobre przykłady niepotrzebne. Wymagają przygotowania. Przygotowanie zaś do czego prowadzi? Oto do gadania mimo uszów ludzkich, do stania się „jako miedź głośna, jako cymbały brzęczące“.

Ale przecież ksiądz nie zechce — słyszę okrzyk — radzić młodzieży, aby studyowała wymowę Massillona, Bourdalouego lub Lacordaire'a? Byłoby to jeszcze bardziej niezrozumiałe dla ludu!

— Tak przypuszczacie? — odpowiadam. — A więc słuchaj, młodzieńcze: Kto jest starszy? Ja, czy ty? Ja, nieprawdaż? Otóż, doświadczenie mnie uczy, że nie wymowa, choćby najbardziej wzniosła, jest dla ludu niezrozumiałą, lecz sposób wyrażenia myśli, a jeżeli lud nie rozumie myśli, to dlatego, że jest niedostatecznie pod względem religijnym przygotowany. Zarzut ten jest również naganą dla mnie, w każdym razie o prawdzie jego przekonałem się już dawno. W miasteczku, gdzie byłem wikarym, mieliśmy zwyczaj czytać ludowi nauki z książki podczas nabożeństw

wielkopostnych. A lud niczego tak nie lubi, jak odczytywania mu nauk. Żywe słowo nawet szepleniącego mówcy zajmie go bardziej, niż najwznioślejsza nauka ascetyczna z książki. Pomimo to probowaliśmy, wybierając książki, najłatwiejsze, najzrozumialsze, ale bez rezultatu. Lud nie był w stanie skupić myśli na czas dłuższy. Pewnego wieczora w tygodniu passyjnym odczytałem mu ostatnie przemówienie Jezusa Chrystusa do uczniów — słowa, których nigdy nie mogę czytać bez wzruszenia, — a jednak, zaręczam wam, lud znaczenia ich nie zrozumiał, nie mówiąc już o zrozumieniu Boskiej ich piękności i podniosłości.

— Jednem słowem, ksiądz proboszcz pragnie, aby księża młodzi wprawiali się w wymowę górnolotną, kwiecistą, w zdania sążniste? Doprawdy, nie przypuszczałem, aby ksiądz proboszcz mógł takie teorye głosić!

— Nie tak prędko młodzieńcze. Wymowa jaką zalecam, to wymowa dobrego smaku, wykluczająca stanowczo wszelkie upiększenia, o których wspominasz.

— Bóg raczy wiedzieć, gdzie się teraz zwrócić — rzekł mój wikary. — Podczas siedmioletnego pobytu mego w Anglii nie wygłosiłem ani jednego kazania, nie napisawszy go poprzednio i nie nauczywszy się na pamięć. Nie śmiałem czynić inaczej, bo założyłbym się o 50 przeciwko jednemu, że gdybym był uczynił jakąkolwiek omyłkę w zapędzie wymowy, to nazajutrz zgłosiłby się do mnie jaki metodysta lub socynianin i wyzwał na dysputę śmiertelną.

— Dlaczego więc ksiądz nie miałbyś zastosować i tutaj doskonałego tego zwyczaju?

— Byłbym bowiem zbyt wygórowany dla pojęć ludu tutejszego.

— Lepiej być zbyt wygórowanym, młodzieńcze, niż pozwolić deptać po sobie. A wierz mi, że, używając przenośni, lud depcze istotnie księdza, który nie potrafi utrzymać godności świętego swego stanowiska. Niech Bóg wybaczy tym nierozważnym którzy twierdzą, że należy zniżyć się do poziomu ludu. Zamiast wzywać lud, aby podniósł się do poziomu księży, stał się oświeconym i okrzesanym, nierozważni ci wołają: zniżajcie się do poziomu ludu! — nie rozumiejąc, że zniżyć się do takiego poziomu

w słowie i czynie może tylko ksiądz, któryby zeszedł jeszcze niżej od tegoż poziomu.

— Słowo daję, księżę proboszczu — zawołał wikary — gdybym go nie znał tak dobrze, przypuszczałbym, że ksiądz proboszcz mówi niedorzeczności.

— A więc posłuchaj jeszcze trochę tych niedorzeczności — odparłem. — Twierdzę, że ludowi podoba się mowa od ołtarza piękna, harmonijna, twierdzę również, iż taką mowę lud zrozumie. Spróbuj na przyszłą Niedzielę ustępu z Lacordairea, spróbuj naprzykład tego pięknego ustępu, który zaczyna się od słów: „*Il ya un homme, dont l'amour garde la tombe*“ (Jest człowiek, którego grobu strzeże miłość), a przekonasz się, czy lud nie zrozumie.

— Czy chce ksiądz proboszcz powiedzieć przez to — spytał cicho — że powinienem w dalszym ciągu pisać kazania i uczyć się ich na pamięć?

— Ależ nie, jeżeli nie chodzi wam o utrzymanie się na wysokim poziomie, na jakim wszystkie nasze przemówienia powinny się znajdować. Zresztą, jeżeli w ciągu lat siedmiu nie nauczyliście się być panem swego języka, to już się nigdy tego nie nauczycie. Rada moja za którą od was, jako od przyjaciela, nic nie wezmę, jest następująca.

1. Ucz się.
2. Nauczaj nie dla siebie, lecz dla Boga.
3. Żyj tak, jak nauczasz.

Oto wszystko.

Milczał i zdawał się być niezadowolonym; to też musiałem wyjaśnić znaczenie słów moich.

— Umysłowi dobrze wyćwiczonemu nigdy słów nie brakuje. Czytaj, czytaj i jeszcze raz czytaj, młodzieńcze: ale przedewszystkiem czytaj Pismo Swięte. Nie wypuszczaj nigdy z rąk brewiarza. Chyba, że sięgasz po Biblię. Przesiąknij słowami jej i duchem. Wszystko, co jest najlepszem w literaturze nowoczesnej, jest tylko parafrazą Pisma Swiętego. Wszystkie przytem uwagi swoje przeplataj cytatami świętemi. Wierzaj mi, że cała potęga świecka Anglii jest wynikiem używania Biblii, a cała jej duchowa nagość i nędza wypływa z n a d u ż y w a n i a tej księgi świętej. Anglicy zrobili z niej fetysza, a komentatorowie ich dowodzą, a raczej starają się dowieść, że cała Biblia,

to tylko trochę wosku i tektury, to tylko literatura malego, ujarzmionego narodu.

Ale nawet jako literatura, Biblia miała wpływ olbrzymi na męskość charakteru Anglików. Dziś odsuwają od siebie Biblię i święcenie niedzieli, to też zaczyna się rozstrój. Często myślę, o ile silniejszą byłaby nasza wiara, o ile głębszą, tkliwszą byłaby pobożność nasza, gdybyśmy się częściej odwoływali do Pisma świętego. A lud nasz kocha Pismo święte. Tekst święty utkwi mu w pamięci jak woń miła, choćby reszta kazania dawno już wywietrzała z głowy.

Dalej, lud nasz jest poetyczny z natury: Co prawda, nowoczesne wychowanie wykoleiło go już bardzo, ale pomimo to jeszcze znajduje upodobanie w wierszu pięknym lub w wyrażeniu.

Dalej jeszcze, język nasz jest pełen aforyzmów, gorzkich i bolesnych często, ale też niejednokrotnie przepysznych, jak przystoi narodowi, którego przodkowie żyli w namiotach skórzanych. Zacytuj ludziom tym kilka z tysiąca przysłów Salomona, a przeżuwać je będą, niby krowa paszę. Mógłbym mówić na ten temat bez końca.

— A co powie ksiądz proboszcz, o sarkazmie? Uwaga jego o aforyzmach, przywiodła mi to na pamięć. Słyszałem często, że wierni nasi niczego nie obawiają się tak, jak sarkazmu.

— Dobrze się stało, żeś mi o tem przypomniał. Mogę mówić o tym przedmiocie, jak profesor, bo byłem niegdyś mistrzem w tym kierunku. Miałem język ostry i Bóg wie tylko, jak tego żałuję! Nieraz spisałem się strasznie niemądrze na konferencyach, występach publicznych i t. d. i nieraz miewałem wybryki niestosowne, niemal dziecinne. — O tem wszystkiem jednak wspominam bez wstydu. Ale zato wspomnienie słów ostrych, gryzących, zwróconych do maluczkich przejmuje mnie wstydem głębokim. Oto korzyść, płynąca z pamiętnika. Egzamin sumienia. Któż jest autorem tego wiersza:

„Ten, kto rządzi tylko przy pomocy strachu,
Czyni zło okropne.
Przepastne jak piekło będą błędy jego —
Oto śpiew mój krótki.“

— Zdaje mi się, że Tennyson — odparł wikary.

— Dzięki Bogu, nie jest tak źle z nami. Lud nas kocha i gdyby nie to, rozpaczałbym o wierze Irlandczyków w niedalekiej przyszłości.

— Powiedział jeszcze ksiądz proboszcz: Nauczaj nie dla siebie, lecz dla Boga.

— Więc nie zmęczyłeś się jeszcze, młodzieńcze.

— Nie — odpowiedział — słowa księdza proboszcza są rozumu pełne.

Dawał mi przez to do zrozumienia, że zwykle mówię inaczej, ale mniejsza o to.

— Mam pomysł — rzekłem. Weź tę oto Biblię. Otwórz ją na proroctwie Ezechiela, na tem przemówieniu posępnem, piorunującem, magnetyzmu pełnem. Poszukaj rozdziału 33-go, wiersza 30-go i czytaj.

Czytał:

„A ty synu człowieczy: Synowie ludu twojego, którzy mówią o tobie podle murów, i we drzwiach domowych, i mówią jeden do drugiego, mąż do blizkiego swego rzekąc: Pójdźcie, a posłuchajmy co za mowa jest wychodząca od Pana.

„I przychodzą do ciebie, jako gdyby przychodził lud, a siedzą przed tobą; i słuchają mów twoich, a nie czynią ich: w pieśń ust swoich obracają je, a za łakomstwem swym serce ich chodzi.

„A jesteś im, jako pieśń muzycka, którą wdzięcznym a pięknym głosem śpiewają: i słuchają słów twoich, a nie czynią ich“.

Otóż to najwyższe dążenie wielu księży, aby „mówiono o nich podle murów i we drzwiach domowych“. A gdy przyjdzie sąd ostateczty ludzie nie będą wiedzieli, że był prorok między nimi.

— Jakże trudno jednak zapomnieć o sobie na kazalnicy! — zawołał wikary.

— Nie, chłopcze! Nie jest to trudnem, choć nigdzie może nasze *ja* nie uczepia się nas tak silnie. Bo najczulszymi jesteśmy przy spełnianiu obrzędów, najpróżniejszymi na kazalnicy. Stąd pochodzi jałowość w niektórych razach naszego posłannictwa.

— Powiedział w końcu ksiądz proboszcz; „Żyj tak, jak nauczasz“. To także nie jest łatwem.

— Powiem nawet, że to jest najtrudniejsza do wypełnienia ze wszystkich rad moich. A jednak słowa twoje będą jałowemi, jeżeli nie poprzesz ich przykładem życia swego. Najprostsza nauka człowieka świątobliwego, choćby nawet wypowiedziana niezdarnie i niegramatycznie, mieć będzie więcej znaczenia, niż najwymowniejsze kazanie księdza światowego. Nie znam nic bardziej godnego zaznaczenia w historyi ludzkości, nad to, co zaznaczonem jest w „Życiu ojca Lacordairea“. Gdy był u szczytu sławy, odbiegli wszyscy kazalnicę jego, a za to pociągi z całej Francyi zwróciły tysiące ludzi wykształconych, adwokatów, nauczycieli, oficerów, mężów stanu, do biednego kościołka wioskowego o kilka zaledwie mil od Tuluzy. Dlaczego? Oto biedny ksiądz wiejski, szorstki, niewykształcony, niezgrabny — ale święty, ściągał ich wszystkich.

I czyż może być coś w dziejach ludkości piękniejszego i bardziej wruszającego, nad widok wielkiego i natchnionego dominikanina, przybywającego do tej wioski, klękającego przed biednym księdzem dla otrzymania błogosławieństwa, słuchającego, jak dziecko, wieczornej lekcyi katechizmu, wygłaszanej głosem słabym i z niejedną prawdopodobnie przerwą dla znalezienia słowa odpowiedniego?

Nie mogłem mówić dalej. Te wspomnienia wypadków z życia naszych świętych zanadto przepełniają mi wzruszeniem serce Ale bo stary mazgaj ze mnie. Nigdy nie mogę, naprzykład, czytać o świętej Agacie lub świętej Agnieszce bez beczenia, a dzieje świętej Perpetui i jej dziecka działają na mnie wprost wstrząsająco.

Zaraz wszelako następnego wieczora mieliśmy wielką rozprawę o temacie kazania, jakie mój wikary miał wygłosić. Pragnął mówić na temat M a g n i f i c a t, ale przeszkodziłem temu.

— Biedny Duff będzie na kazaniu, wyglądałbyś więc chłopcze, jak kogut zwycięski, piejący nad powalonym przeciwnikiem.

— Ależ ja jestem najlepszym przyjacielem Duffa.

— Wszystko jedno. Posiada nerwy i krew tak, jak my wszyscy. Wybierz co innego.

— Cóż powie ksiądz proboszcz, gdybym obrał za te-

mat *Ave Maria* albo *Tu gloria Jerusalem, tu lactitia Israel* i t. d.?

— Bardzo dobrze!

— Albo o Najświętszej Panience w Piśmie świętem?

— Doskonały temat!

— A więc dobrze — odparł, wyjmując z kieszeni notatnik — jak długo mam mówić?

— Równych 45 minut.

— I mam kazanie napisać?

— Co do słowa.

— Jak wiele stronic zajmie praca taka?

— Dwadzieścia — zwykłego kajetu. W tej liczbie 15 stronic wykładu, a 5 zakończenia, w które musisz wlać całą miłość, cały patos, ogień, entuzyazm, do jakich jesteś zdolny.

— Dziękuję, bardzo dziękuję, księże proboszczu, ale zdaje mi się, że będę miał stracha!

— Nie myśl o tem. To przejdzie — rzekłem, pomyślałem jednak: Większe jeszcze trudy czekają cię, chłopcze, po co więc uprzedzać. Najgorsze są kłopoty, nie dochodzące do skutku. Zresztą, na co przyda się mówić o niebezpieczeństwie gorączki tyfoidalnej człowiekowi, którego zęby bolą?

Poszedłem odwiedzić moją małą chorą.

— Szczęśliwa jestem, ach, jak szczęśliwa — zawołała — zdaje mi się jednak, dziadku Danie, że to niedługo potrwa!

— Czy tak prędko zamierzasz pójść do Nieba i zostawić nas w smutku?

— Nie, dziadku Danie. Ale pan Ormsby, który wyobraża sobie, że ja go nawróciłam na katolicyzm, powiada, że sprowadzi do mnie wielkiego lekarza z Dublina, a ja sobie tego nie życzę.

— Jeżeli taka jest wola Boga, powinniśmy zgodzić się na nią. Zdaje mi się wszakże, iż Bóg może tylko wyleczyć to, co Sam zesłał.

— Dziękuję wam, dziadku Danie, za te słowa. Zawsze umiecie powiedzieć coś dobrego. Wiecie więcej, niż wszyscy doktorzy razem wzięci. I ja tak myślę, że gdyby Pan Bóg chciał mnie uleczyć, to wyleczyłby już dawno.

— Nie jestem tego pewny, moje dziecko. Ale cóż to za lekarz, którego obiecuje ci pan Ormsby?

— Jest to lekarz, który służył tak, jak biedny mój ojciec, w marynarce, który widział wiele chorób dziwnych w Indyach i zna sposoby ich leczenia.

— To dobrze moje dziecko. Należy sprobować wszystkich środków, jakie tylko są w mocy człowieka. Ale jeżeli i one nie pomogą, to musimy pozostawić cię opiece największego z lekarzy — Boga.

— Tego pragnę najgoręcej, dziadku Danie.

— Tymczasem jednak musisz modlić się za księdza Lethebyego. ma bowiem wygłosić wielkie kazanie.

— O czem?

— O Najświętszej Panience.

— Jakżebym chciała to usłyszeć. Dzieci powiadają, że każe tak pięknie! Zdaje im się, że gdy mówi o Matce Boskiej, to Ją widzą. Nie dziwiłabym się temu wcale.

— Bądź co bądź, będzie miał do dźwigania krzyż nie lżejszy od twego, nie chorobę, coprawda, ale również ciężki.

— Żałuję go! — zawołała i oczy jej napełniły się łzami.

— Chciałabyś więc Nieba tylko dla siebie? Jesteś samolubną świętą.

— Nie jestem świętą, dziadku Danie, ale ksiądz Letheby jest świętym, za cóż więc miałaby go spotkać kara?

— Za co? Chyba dlatego, aby potwierdziły się słowa Dantego o duszy w Raju:

„*E dal martirio veni a questa pace*“.

ROZDZIAŁ XXVI

Nabożeństwo Majowe.

Często zadaję sobie pytanie, czy nabożeństwa majowe w innych krajach są równie słodkie, pamiętne i tchnące pokojem, jak w naszej świętej Irlandyi. Być może, iż są, boć wszędzie znaleźć można dobrych, i świątobliwych katolików. Ale u nas, w Irlandyi, zapach i piękność tych wieczorów majowych unosi się w powietrzu jak dym kadzidła w zmroku kościelnym i czepia się nawet dusz, w których wiara i świątobliwość wygasły.

Nie mógłbym pochwalić się malowniczością i harmonią nabożeństw naszych wieczornych w Kilronanie przed przybyciem księdza Lethebyego. Co prawda, zbieraliśmy się dookoła pięknego posągu Matki Boskiej, ale dopiero ksiądz Letheby nadał tym nabożeństwom blask, ożywił je muzyką. Wszystkich, zaprawdę, sił użył, aby nabożeństwa majowe uczynić pociągającemi i budującemi. Twierdził nawet, że nie będą zupełne, dopóki nie uzyskamy pozwolenia biskupiego na zakończanie ich błogosławieństwem Przenajświętszym Sakramentem. To też niejednokrotnie nalegał na mnie, abym wystarał się o to pozwolenie, ja jednak obawiałem się tego kroku. Stara moja maksyma, która już nieraz w życiu była mi pomocną, ulubiona pigułka moja filozoficzna: *lente, lente!* — powtarzała się znowu.

Kościół nasz wyglądał podczas nabożeństw tych prześlicznie. Pretensyonalną strukturę ołtarza Matki Boskiej ukrywała masa kwiatów: wielkie gorejące peonie, białe lilie, pęki żółtych pierwiosnków i tulipany, o plamach ognistych, barwy płomieni, jakie widzimy na owych obrazkach czyśca, sprzedawanych po wsiach. Tu i owdzie skryte konwalie, jako symbol Lilii Izraela, napełniały kościół wonią delikatną.

Nie wiem, co ludzie czują we wspaniałych kościołach miejskich, gdy organy huczą, napełniając świątynię falami tonów, głosem swym potężnym, ale to wiem, że gdyby Bóg pozwolił, to pragnąłbym, aby moje Niebo było nieprzerwanem nabożeństwem majowem, abym słyszał ciągle śpiew dzieci, czuł kadzidło kwiatów, widział Matkę naszą, spoglądającą na mnie. A jeżelibym przytem pożądał jeszcze czego, to chyba tego, by życie było w tych oczach cudownych Matki-Panny i Dzieciątka i aby Dzieciątko raczyło niekiedy oderwać wzrok Swój od oblicza Rodzicielki a spojrzało na nas miłosiernie.

Dzień 31-go Maja przypadał w Niedzielę. Dnia tego wieczorem ks. Letheby miał wygłosić kazanie w katedrze. Powiedziałem o tem parafianom, to też modlili się na jego intencyę.

Zdawało mi się nawet, że słyszę prośbę w głosach dzieci owego wieczora, podczas odmawiania Pozdrowienia Anielskiego. Przy organkach zasiadła panna Campion, zastępując nieobecnego księdza wikarego. Kto wie wszakże, czy modlitwy nasze za niego były potrzebne; opuszczając bowiem kościół, słyszałem zdania takie:

— Nie potrzebujesz kłopotać się o niego. Bądź pewien, że nigdy jeszcze nie słyszeli czegoś podobnego.

— Słyszałem, że w Anglii mówiono o nim, iż nawet ojciec Bourke nie mógł mu dorównać.

— Gdyby tylko chciał mówić trochę wolniej i głośniej — rzekł krytyk wioskowy, wysoko dzierżący głowę od chwili, gdy wezwano go na pewnem posiedzeniu ligi gruntowej do zredagowania uchwały — to pobiłby ich wszystkich.

— Czyście słyszeli kiedy ojca Maca?— zapytał nagle wiekowy robotnik, ubrany w strój irlandzki staromodny, na którym znać już było ząb czasu — to był mówca! Ró-

wnego mu nie mieliśmy w Irlandyi. Pamiętam kazanie, które wygłosił raz w Wielki Piątek w Loughboro. Nie moglibyście szpilki nawet wetknąć w tłum, jaki się wówczas zebrał. Gdy podszedł do ołtarza, cisza panowała taka, że moglibyście usłyszeć lot muchy. Miał krucyfiks w ręku i wyglądał bardzo smutno. „W imię Ojca“ — zaczął, zatrzymał się i spojrzał dokoła — „i Ducha świętego“ — rzekł i znów zamilkł, po chwili jednak wielkim głosem zawołał: „A gdzież Syn?“ Powiadam wam, strach wszystkich ogarnął, jak w dzień Sądu Ostatecznego. Ojciec Mac tymczasem zerwał czarną zasłonę pokrywającą krucyfiks, rzucił ją na ołtarz, krucyfiks podniósł do góry i tak krzyknął, że głos jego usłyszeć można było w Moydare, a potem...

— I to było całe jego kazanie? — spytała kobieta, słuchająca opowiadania uważnie.

— Całe kazanie? — odparł z oburzeniem opowiadający.—Kazanie ciągnęło się okrągłe dwie godziny, i przez cały ten czas — przy tych słowach spojrzał dokoła dla skupienia uwagi słuchaczów i wywołania zachwytu — ani razu nie tknął ustami wody, choć miał ją pod ręką!

— Niech będzię imię Panskie pochwalone! Istotnie, to zadziwiające! — zawołali słuchacze.

— A czy on już umarł, Jerze?

— Czy umarł? — zawołał Jer pogardliwie, czując, że skupia uwagę powszechną — toście nigdy o tem nie słyszeli?

— Skądże mogliśmy słyszeć? jeżeli to już tak dawno,

— A więc opowiem wam to innym razem.

— Moglibyście opowiedzieć i teraz — zauważyła jedna z kobiet. — Słyszałam, co prawda, ludzi, jak opowiadali o nim, ale przecież człowiek zapomina czasem i o Bogu nawet!

— Czy wiecie — rzekł tedy Jer, siadając na nizkim, płaskim kamieniu grobowca — jak dyabeł czyha na księży, dążących do chorego? Oto, od chwili, gdy ksiądz wyjdzie z domu, dyabli krążą koło niego, by go niedopuścić do chorego i porwać duszę grzeszną w pazury swe brudne. Czasem przewracają konia, zaprzężonego do wózka, w którym ksiądz jedzie; czasem łamią wielkie gałęzie i zrzucają księdzu na głowę; czasem wywieszają świateł-

ka, by sprowadzić księdza na moczary. Tak przeszkadzają księdzu i Temu, Którego on niesie, by pochwycić biedną duszę, jak lis kurę i unieść do swej nory.

Pewnego tedy razu zawołano ojca Maca w nocy do chorego, a było tak ciemno, jak w grobie. Pojechał ksiądz, odmawiając po cichu pacierze, bo wiedział, że dyabli czyhają na niego. Nagle wysadziło go coś z siodła i rzuciło głową naprzód w zarośla. Po pewnym czasie odzyskał przytomność, spojrzał dokoła i ujrzał w pewnej odległości...

— Mówiliście przed chwilą, Jerze, iż było zupełnie ciemno! —przerwał pewien mularz, znający zdolność Jera do fantazyowania.

— Ma się rozumieć! Ale jak uważasz, młodzieńcze, czy światła nie widać, choćby w noc najciemniejszą?—zawołał Jer drwiąco.

— Więc ksiądz ujrzał światło? — spytał mularz.

— Powinieneś zastanowić się dobrze, zanim powiesz głupstwo i zechcesz uczyć starszych od siebie — odpowiedział Jer.—Otóż tedy, jak powiedziałem, gdy ksiądz przyszedł do siebie, obejrzał się dokoła i zawołał głośno: „Czy jest tu człowiek jaki, któryby mógł odprawić Mszę za księdza?“ Nie było odpowiedzi. Wówczas ksiądz zawołał powtórnie: „Na miłość Boga, czy jest tu człowiek jaki, który mógłby odprawić Mszę za księdza?“...

— Patrzcie państwo, a ja słyszałem zawsze, iż tak wołał ksiądz, który zapomniał odprawić Mszy za zmarłych i z tego powodu musiał pokutować po śmierci, wychodząc z grobu co rok w noc Bożego Narodzenia! — zawołała pewna stara kobieta.

— To prawda, to prawda! Słyszeliśmy to opowiadanie już nieraz — dodała inna.

— Do licha, Jerze, pomięszało się wam w głowie!— zaśmiał się jeden z młodzieży.

— Opowiadanie udałoby się lepiej, gdyby Jer miał parę szklanek w głowie! — przyciął mularz, odchodząc.

— Tak, gdyby miał fajkę w gębie i kwartę przed sobą, mówiłby lepiej — dodał inny.

Tak to wygwizdano wielkiego narratora; pogrążono go bez litości i rozmowa skierowała się znów ku osobie księdza wikarego.

— Niech Bóg wspiera go i pomaga mu w jego przedsięwzięciu — westchnęła jedna z kobiet.

— Amen i niech Matka Najświętsza natchnie go słowami, jakie ma wygłosić — zawołała inna.

Dzieci przysłuchiwały się temu poważnie. Zdaje się jednak, że pojęły tylko tyle, iż ksiądz Letheby przedsięwziął rzecz bardo ważną i niebezpieczną.

Ani na chwilę nie wątpiłem, iż modlitwy te i przewidywania spełnią się w zupełności, aczkolwiek dnia następnego ksiądz Letheby wszedł do mnie z wyrazem smutku i przygnębienia na twarzy.

— No, cóż? Powodzenie było wielkie?—rzekłem.

— Gdzie tam! Przeciwnie — odparł zasępiony.

— Musieliście przerwać w środku kazanie.

— Tak źle znów nie było. Ale cały ten mój występ nie udał się wogóle.

— A więc dobrze. Rozpatrzmy sprawę szczegółowo; posiadam bowiem sposób nieomylny poznania, czy kazanie miało powodzenie, czy też przeciwnie. Otóż przedewszystkiem, powiedzcie mi, czy byli i księża obecni?

— Było ich ze dwudziestu, i to właśnie martwi mnie najbardziej.

— Żaden więc nie winszował wam, gdyście powrócili do zakrystyi?

— Żaden, a nawet tak spoglądali na mnie, że zastanawiałem się, czy nie powiedziałem jakiego głupstwa.

— Hm! I żaden nie podszedł i nie poklepał was z całej siły po ramieniu?

— Żaden.

— I żaden nie uchwycił waszej ręki i nie zawołał: *Prosit, prosit, prosit!*

— Żaden.

— To źle. I żaden nie powiedział wam nawet: *Macte virtute esto, Titus Mantius?*

— Żaden.

— I żaden nie stał się nagle wymownym, nie ujął waszej dłoni i nie potrząsał ręką waszą tak, jak gdyby chciał ją urwać, wołając przytem: Doskonale, nigdy nie wątpiłem o waszem powodzeniu.

— Żaden. Panowało poprostu milczenie grobowe.

— A może szeptali jeden do drugiego, składając komże, i patrzyli na was jak na potwora?

— Co do tego, to być może.

— A biskup?

— Biskup podszedł do mnie i powiedział, że jest mi bardzo wdzięczny za piękne kazanie; ale to przecież zwykły komplement zdawkowy.

— A publiczność? Jakże przyjęła kazanie?

— Słuchała ze skupieniem i uwagą. Znać było, że to publiczność inteligentna.

— I nie mówiliście niezrozumiale?

— Nie sądzę. Biedne kobiety, dokoła kazalnicy skupione, oka ze mnie nie spuszczały i widziałem nawet wzruszenie na twarzach bliższych słuchaczów.

Umilkłem, wyciągając w myśli wnioski z tego, co mi mój wikary powiedział, a wnioskowałem, zdaje się logicznie.

— Kochany chłopcze — rzekłem w końcu — długoletnie doświadczenie i znajomość tego, co nazywamy naturą ludzką, pozwalają mi wnioskować z tego, coś mi powiedział, że kazanie twe było nietylko budujące i pożyteczne, ale wprost nadzwyczajne.

— To zwykła dobroć księdza proboszcza przemawia w tej chwili—przerwał wikary—co do mnie, to jestem pewny, że kazanie moje nie udało się wcale, czego dowodem postawa, jaką względem mnie księża zajęli.

— A właśnie ta postawa księży względem ciebie utwierdza mnie najbardziej w tem, co powiedziałem. Powątpiewałbym tylko w takim razie, gdyby entuzyazm ich uwidocznił się inaczej.

— Mniejsza zresztą o to. Kontent jestem w każdym razie, że już po wszystkiem. Zrobiłem, co było w mocy mojej, by godnie uczcić Matkę Boską; jeżeli zatem nie powiodło mi się kazanie, to Ona mi za złe tego nie weźmie.

— Oto zdrowa filozofia chrześciańska — zawołałem — poprzestańmy na tem! W każdym razie nie rumień się zanadto jeżeli sprawdzi się to, co powiedziałem.

— Spodziewam się, że urządzimy procesyę na Boże Ciało? — rzekł nagle.

— Masz tobie! Znów nowość. Kiedyż będzie temu koniec, młodzieńcze?

— Dlaczego nie mamy urządzić procesyi, wszak to buduje wiernych.

— Chyba dokoła świątyni i z powrotem do wielkiego ołtarza.

— O nie! Ja myślę o procesyi przez główną ulicę osady, następnie ścieżką, przecinającą płaszczyznę ponad skałami nadbrzeżnemi, do młyna, gdzie zamierzam urządzić ołtarz, i wreszcie z powrotem główną ulicą do kościoła.

— Cóż dalej, cóż dalej? Może zaprosisz jeszcze starego naszego przyjaciela Campiona, by przyjął udział w procesyi?

— Campion będzie niósł baldachim.

Spojrzałem z osłupieniem na tego sztukmistrza. Nie zauważył jednak mego spojrzenia.

— Postanowiłem już — mówił dalej — że Campion, Ormsby, doktor i stary tercyarz, Clohessy, staną do baldachimu, czas bowiem aby ludzie ci pojęli, że są katolikami nie z imienia tylko, lecz istotnie.

Przygnębiła mnie niejako ta śmiałość jego.

— Otrzymałem — rzekł po chwili — pozwolenie od Biskupa na przyjęcie Ormsbyego do wiary naszej z pominięciem dłuższych formalności. Zapewniam księdza proboszcza, że będzie z niego katolik dzielny, gdyż jest człowiekiem inteligentnym i poważnym.

— A kogóż to Ormsby sprowadza z Dublina?

— Starego swego przyjaciela, doktora. Spędzili razem niejedną chwilę doli i niedoli. Ma to być człowiek zakochany w swoim fachu. Studyuje po 18 godzin na dobę.

— Powinien być przewodniczącym naszych konferencyj—zauważyłem—pytanie jednak, czy nasz doktor nie obrazi się na Ormsbyego.

— Bynajmniej. Powiada, że uczynił już dla Alicyi wszystko, co było w jego mocy; będzie więc szczęśliwy, jeżeli kto inny więcej uczynić potrafi. W każdym razie powątpiewa, by się co zrobić dało. Ja także.

— I mnie się zdaje, że to choroba zbyt zakorzeniona.

Umilkliśmy obaj.

— Jakże będzie z procesyą?—zapytał wreszcie, obudziwszy się z zadumy.

— Niechaj będzie tak, jak zamierzacie, wszystko bo-

wiem, czego dotknęliście się, zyskało tylko na tem. Jestem pewny, że i z procesyą tak będzie.

— Dziękuję. Będzie to uroczystość wspaniała dla dziatwy.

— Ale, ale! — zawołałem, gdy zabierał się do wyjścia—czy ksiądz Duff był na kazaniu?

— A jakże, był biedak, i zdaje mi się nawet, że musiał otrzymać admonicyę od Biskupa; widziałem bowiem, jak przechadzali się przed obiadem pod zakrystyą tam i z powrotem, z jakie pół godziny. W każdym razie, ten Duff to tęga głowa. Czy wie ksiądz proboszcz, że napisał on kilka artykułów w bardzo poważnych miesięcznikach angielskich i że w artykułach tych przyznał niemal racyę słynnemu asyryologowi, prof. Saycemu, który usiłował zwalić teorye Grafa i Wellhausena o Pięcioksięgu?

— Kochany chłopcze, nie jesteśmy na konferencyi, daj więc pokój tym głupstwom. Biblia jest Słowem Bożem - i to wystarcza mi najzupełniej. Mówmy o Duffie.

— A więc podczas obiadu Biskup był dla niego szczególnie uprzejmy i wyciągał go na rozmowę o tych rzeczach, a wiecie, jak Duff pięknie mówić potrafi.

— Nie wątpię iż Biskup wiedział co robi, wiem bowiem, że zawsze uczyni to, co jest słusznem i sprawiedliwem.

— Ale, byłbym zapomniał powiedzieć, że spotkałem dziś Duffa na stacyi i że powiedział mi, jak sądzę, zupełnie szczerze: „Słuchaj, Letheby, muszę ci powinszować. Dałeś mi porządną nauczkę podczas konferencyi, a jeszcze zbawienniejszą wczoraj. Módl się za mnie, abym w przyszłości trzymał się dalej od tych ludzkich gadanin, a bliżej Światła Wiekuistego, niż dotychczas“. Uścisnąłem mu rękę w odpowiedzi. *Sedes Sapientiae, ora pro nobis!*

— Amen!—dodałem z pokorą.

— Prosiłem go także, by przybył do mnie na obiad w dzień spuszczenia na wodę łodzi naszej rybackiej. Przybędzie również kilku innych konfratrów, i wy, ojcze, nie odmówicie mi przybycia. Duff pragnie bardzo księdza proboszcza poznać.

— Nie mogę odmówić tak uprzejmym zaprosinom. Ale dlaczegóż to Duff tak bardzo pragnie mnie poznać?

— Doprawdy, nie wiem. Chyba dlatego że, jak wia-

domo, jest ksiądz proboszcz osobistością wybitną i że go bardzo szanuje.

— Może więcej wybitną, niż ja sam wiem o tem... Czy powiedział wam co o mnie?

— Ma się rozumieć. „Muszę poznać—mówił—twego proboszcza, bo to jest geniusz nieśmiertelny!

— Geniusz nieśmiertelny! Otóż, wiedz, młodzieńcze, iż wyrażenie to jest dwuznaczne. Można bowiem być nieśmiertelnym jak Szekspir, albo jak Falstaff, jak Cervantes, albo jak Don Kiszot, jednem słowem jak głupiec, zaćmiewający sławą swoją Tego, kto go stworzył. Ponieważ atoli jestem usposobiony miłosiernie, przeto pozwalam przypuszczać, iż poznam w Duffie raczej jednego z licznych moich wielbicieli, niż jednego z nielicznych krytyków. Być może, iż zmieni opinię swą o mnie na lepsze lub na gorsze przy poznaniu bliższem.

— Jestem przekonany, iż ocenicie się wzajemnie. A więc rzecz umówiona: Procesya na Boże Ciało i obiad w dzień spuszczenia łodzi na wodę.

ROZDZIAŁ XXVI.

U zenitu.

Dla przyczyn rozmaitych, wielkie zdarzenia, do których zdąża nasze opowiadanie, były odkładane z dnia na dzień, zanim zdecydowano się ostatecznie, że ślub Bittry Campion i spuszczenie na wodę łodzi rybackiej, mającej wzbogacić niezmiernie Kilronan, odbędą się w poniedziałek oktawy Bożego Ciała.

Tymczasem zaś mieliśmy na Boże Ciało procesyę wspaniałą, doprowadzoną do skutku i urządzoną jedynie dzięki gorliwości i duchowi przedsiębierczemu młodego wikarego.

Moja nieśmiałość oraz obawa urażenia uczuć protestantów — pozostałość bezwątpienia dni prześladowań — ograniczyłyby tę procesyę do ciasnych murów podwórza kościelnego; ks. Letheby natomiast, obdarzony wiarą szerzej pojętą i pewniejszą siebie, lekceważył takie skrupuły. To też procesya przewijała się wstęgą barwną przez osadę, wdół, do skał stromych, co zwieszają się nad Oceanem, wzdłuż ścieżki wązkiej, co przecina grunta na skał tych szczycie, dokoła starego młyna,obecnie fabryki i z powrotem wielką drogą, obok moczarów i łąk, do kościoła naszego.

Byłoby bezcelowem pytać się ks. Lethebyego, skąd wydostał tak wspaniałe chorągwie jedwabne, jasno poły-

skujący krzyż procesyjny, lub ów przepyszny baldachim. Czując, jak większość moich rodaków, narodową pogardę dla szczegółów i dociekań, mogę z góry oświadczyć, że wprost niemożebnem byłoby znaleźć przedmioty tak piękne w kącie tak zapadłym i pierwotnym, jak Kilronan. Ale ks. Letheby nie wie, co to jest niepodobieństwo, to też bez krzyku i hałasu — oznaka mocnego charakteru — wydostał z niewiadomego źródła owe przedmioty. Nie pozostaje mi zatem nic więcej, jak tylko patrzeć i podziwiać. Procesya miała powodzenie bezprzykładne. I kiedy serce me rosło pod wpływem słodkich śpiewów dziecięcych, złotych promieni słońca czerwcowego, połysków oceanu i uczucia, że dźwigam w swych rękach Pana i Króla wszystkiego na świecie — wyobraźnia moja biegła tam, do tego jeziora cudownego, po którem Pan chadzał i z którego wybrzeży zebrał przyszłych nauczycieli świata.

Spokojne jezioro w blaskach słonecznych, ryby połyskujące w sieciach, na poły nagie postacie Apostołów, przechylonych poza krawędzie łodzi, dostojna, poważna postać Zbawiciela, kobiety wpatrzone w Niego zdaleka z wyrazem strachu i miłości na twarzach—wszystko to tak żywo stało mi przed oczyma, że ocknąłem się dopiero wówczas, gdy dotknąłem ramion Reginalda Ormsbyego, i doktora, którzy w towarzystwie dwóch krępych rybaków, należących do Trzeciego zakonu świętego Franciszka, nieśli złocone podpory baldachimu. A czynili to z wielką pobożnością, miłością i szacunkiem. Ormsby sprowadził całą załogę straży nabrzeżnej, oprócz dwóch ludzi, którzy pozostali na służbie, i utworzył z niej gwardyę honorową dokoła baldachimu.

I doprawdy niewiadomo co było piękniejszem i bardziej malowniczem: czy wymowna miłość kobiet włościańskich, które wznosiły ręce w ekstazie pobożności i szeptały z uwielbieniem: Dzięki Ci, tysiąc razy dzięki, Zbawicielu!—czy też spokojne, głębokie, ciche rozczulenie tych nieokrzesanych mężczyzn — o twarzach czerwonych i spalonych przez słońce i morze.

Małe dzieci, nie należące do procesyi, wyglądały z poza spódnic matczynych i rozwarłszy szeroko oczęta, wpatrywały się w Wizerunek Tego, co niegdyś powiedział: „Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie“.

Niechaj mi nikt nie mówi, że lud irlandzki nie rozumie głównej Tajemnicy wiary naszej. Co prawda, zmysły jego wrażliwsze są na inne, bardziej dotykalne rzeczy; ale ktokolwiek rozumie duszę tego ludu, ten się zgodzi ze mną, że żaden wielki teolog, żaden filozof, żadna świątobliwa zakonnica nie zdają sobie lepiej sprawy z tego przejmującego strachem, a ciągłego cudu miłości i miłosierdzia, jaki ukryty jest na ołtarzach naszych i nosi miano Emanuela.

Wszystko wszakże kończy się prędzej czy później na tym Bożym świecie. I oto doczekaliśmy się poniedziałku.

Dzień nastał słoneczny i piękny, jak przystało dobie wypadków wielkich. Lekki opar unosił się nad ziemią i morzem. Od skał niegościnnych wiało chłodem przyjemnym. Ks. Letheby odprawił Mszę świętą o godzinie 8-ej, a o godzinie wpół do 9-tej, gdy miał rozpocząć się obrzęd zaślubin, kościołek nasz mały był szczelnie zapełniony.

Pierwsze ławki zajęła, ma się rozumieć, arystokracya okoliczna, ciekawa tego ślubu katolickiego, aczkolwiek w zasadzie przeciwną była nawróceniu się Ormsbyego. Poza nią w pewnem oddaleniu (bo wieśniak nasz nie pachnie Jockey-Clubem lub perfumami różanemi, lecz torfem i drzewem bagiennem) zebrał się tłum wieśniaczy, którego serca i wargi szeptały modlitwę za tą, co miała niebawem stanąć przed ołtarzem i pożegnać dotychczasowy żywot cichy a słodki.

Z początku ja byłem przedmiotem ogólnej uwagi, gdym wyszedł z zakrystyi ubrany w stułę i albę; następnie jednak uwaga zwróciła się na Ormsbyego, który w towarzystwie d-ra Armstronga, stał poważny i wyprostowany u balustrady ołtarza, wreszcie na pannę młodą wspartą na ramieniu ojca i otoczoną gronem dziatwy wioskowej.

Czy na tem koniec? Bynajmniej.

Państwo młodzi, proboszcz, jego wikary — wszystko straciło znaczenie wobec zjawienia się zakrystyanki, pani Darcy, przybranej we wspaniały, śnieżnej białości czepiec o wstęgach nadzwyczajnej czystości. Chwila to pamiętna — szczyt cywilizacyi kilronańskiej.

Setki oczu zwróciło się na ten czepiec. Bo też co za

mnóstwo zakładów po osadzie krążyło, ile to bójek stoczono w szynku pani Haley, ile wreszcie ballad ułożono na temat, czy pani Darcy potrafi ubrać się stosownie do wymagań wielkiego zdarzenia?

— Czy nie mówiłem wam, że tak będzie!

— Prawda! Będę musiał zapłacić poczęstunek.

— Dla ojca Lethebyego wszystko jest możliwe, jeżeli takiego dziwu dokazał.

— Do licha! Teraz chyba sama wyda się za mąż!

— Patrzcie na nią! Wyobraża sobie, że należy do arystokracyi. Patrzcie, rumieni się! A niedawno temu twarzy jej z pod brudu widać nie było!

— Musiało to dużo kosztować, ale zapewne ksiądz dał pieniędzy.

— Mój Boże, nie jednemu biedakowi byłyby te pieniądze potrzebniejsze!

Cała ta gadanina była nietylko sarkastyczną, ale i oszczerczą, pani Darcy bowiem ku piła czepiec i wstęgi za własny, ciężko zapracowany grosz, a włożyła je dzisiaj na uczczenie ukochanej dobrodziejki swojej. Wiedziała bardzo dobrze, co za obmowa czeka ją za ten wybryk, ale śmiało nadstawiła czoła wrogom i dziękowała Bogu, że „nikomu z nich nie zawdzięcza tego, co kładzie do ust lub na siebie".

I oto stoi tam u balustrady wyprostowana i odważna, dzierżąc pewną ręką naczynie z wodą święconą i kropidło.

Przyznam się, że widok jej sprawił na mnie wrażenie dziwne. Nie jestem nerwowy, stale bowiem unikam herbaty i pracy zbyt usilnej, przebywam na świeżem powietrzu i zażywam codziennie 8 godzin snu wzmacniającego. — Pomimo to wszakże czułem się nie swój. Winien był temu czepiec pani Darcy. Nie mogłem oderwać oczu od niego. Widziałem go wszędzie, tańczył on wprost przed oszołomionemi oczyma mojemi. Odwróciłem się wreszcie, ale i to nie pomogło, ujrzałem bowiem odbicie jego we wklęsłych szkłach okularów moich. A gdy skierowałem wzrok na kościół, wówczas widziałem znowu szyderczo uśmiechnięte twarze parafian, i słyszałem szept uwag złośliwych. W końcu jednak trzeba było zacząć.

— Reginaldzie Darcy, czy chcesz pojąć obecną tu Bittrę Ormsby...

Znaczące chrząknięcie wikarego oprzytomniło mnie ale znów straciłem równowagę umysłu, gdy usłyszałem, że Campion mruknął coś nie bardzo grzecznego pod wąsem.

— Hm, Reginaldzie Ormsby, czy chcesz pojąć obecną tu panią Darcy...

Wikary znów chrząknął i spojrzał na mnie podejrzliwie. Zakasłałem mocno, zapewne skutkiem zadawnionego zapalenia oskrzeli, któremu podlegam często, a jednocześnie zdołałem szepnąć do wikarego:

— Na miłość Boską, niech ta kobieta wyniesie się do zakrystyi!

Stało się zadość życzeniu memu. Pani Darcy cofnęła się z godnością, położyła kropidło, oddała nam ukłon, przyklękła spokojnie i udając, że posłano ją po coś do zakrystyi, wyszła nareszcie, tam zato — jestem pewny — rozpłakała się na dobre. Tymczasem Bittra spiekła raka, Ormsby stał sztywno, jak oficer na służbie, dr. Armstrong targał wąsy tak, jakgdyby probował wyrwać je sobie po włosku, a panna Leslie zagryzła wargi i zdawała się być blizką apopleksyi. Reszta ceremonii przeszła już szczęśliwie, w chwili zaś, gdym wyrzekł: *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti* — cisza głęboka zapanowała śród zebranych. Nastąpiło błogosławieństwo, chór gruchnął całą siłą głosów finał wspaniały, podpisano akt ślubny, Campion ucałował córkę ukochaną, ścisnął mocno dłoń Ormsbyego i rozpoczął się marsz tryumfalny.

Zapomniałem powiedzieć, że z powodu wspaniałej procesyi czwartkowej osada przystroiła się odświętnie. Girlandy liści wawrzynowych przeciągnięte były od komina do komina chat w poprzek drogi, drzwi umajono gałęźmi i kwiatami, a we wszystkich oknach widniały wystawione obrazy święte zdobiące wnętrza chat od pokoleń. Widzieć tam można było małe obrazki serca Jezusowego, okazałe posążki Matki Boskiej z Lourdes, barwne portrety Leona XIII, wreszcie krucyfiksy niezliczone. By okazać przywiązanie swe dla panny Campion, pozostawili wieśniacy wszystkie te ozdoby chat do dnia jej ślubu.

Ukazanie się Bittry opartej na ramieniu małżonka,

powitał grom okrzyków tłumu; zewsząd popłynęły modlitwy i błogosławieństwa, gdy zaś Ormsby posadził ją w powozie, odezwały się głosy:

— Zejdź z kozła uśmiechnięta małpo! — i wspaniały stangret został haniebnie ściągnięty na ziemię. Ze dwadzieścia silnych ramion zastąpiło u dyszla wyprzęgnięte konie i ruszył pochód śród dziwnej mięszaniny okrzyków i błogosławieństw. Tłum towarzyszył powozowi, ściskając od czasu do czasu silną dłoń uśmiechniętego pana młodego lub drobne paluszki panny młodej.

Stąpajcież w spokoju po dolinie życia, wy młodzi, związani ślubami, pożegnawszy świat i rozpocząwszy nowy żywot poświęcenia. Nie dziw, że Kościół nalega, by utrzymany został charakter Sakramentu w tym związku przedziwnym dwóch dusz; nie dziw, że świat, dążący do zniweczenia nierozerwalności tego związku, odmawia mu świętości; nie dziw wreszcie, że dziewczę katolickie skłania ze strachem i radością główkę pod stułę kapłana, *) a nowożeniec katolicki przejęty jest niepokojem na myśl o odpowiedzialności, jaką na swe barki przyjmuje.

Mówiłem właśnie o tem z wikarym moim w przeddzień ślubu Bittry. Natknęliśmy się na ten przedmiot całkiem naturalnie, rozważając widoki na przyszłość. Ze zwykłą sobie porywczością wikary mój powstał wówczas przeciwko świętokradzkim zdaniom, głoszonym przez nowoczesnych apostołów wolnej myśli w książkach i prasie. Zgodziliśmy się na to, że według nas, nigdzie nie urzeczywistnia się tak szczęśliwie chrześciański ideał małżeństwa, jak tu w Irlandyi, gdyż do niedawna przynajmniej nie znaliśmy zmysłowych, namiętnych wybuchów przed ślubem, a popiołów rozczarowania po nim. Zwykle dobra matka mawiała spokojnie do swego dziecka: „Maryo pójdziesz jutro do spowiedzi i przygotujesz ubranie świąteczne, bo ślub twój odbędzie się we czwartek“. A Marya odpowiadała: „Dobrze, matko!“ — nie roszcząc sobie nawet prawa dowiedzenia się o nazwisku przyszłego swego małżonka. I nagle na podstawie wielkiego związku sakramentalnego

*) W niektórych okolicach Irlandyi kapłan kładzie szersze końce stuły na głowy nowożeńców.

przestawała być dzieckiem, stawała się królową, panią swego ogniska domowego. Cały autorytet panowania w domu przechodził w jej ręce z chwilą, gdy przypasywała kluczyki do pasa; stawała się kasyerką i gospodynią i nie zdarzyło się, aby mąż lub dziecko prawa jej tego do rządów zaprzeczali. Życie małżeńskie w Irlandyi było dotychczas najwspanialszem zaprzeczeniem tego, co świat i jego nauka nowoczesna: p o w i e ś c i — uczą o małżeństwie, a zarazem najwspanialszem i najzupełniejszem potwierdzeniem nadprzyrodzoności zasad i praktyk Kościoła.

— Mam nadzieję—rzekł wreszcie — że nie będziemy nigdy potrzebowali porównywać Bittry, jak tyle innych nowozaślubionych, do owego dzieciątka śpiącego na obrazie Carafoli, nad którem stoi anioł, trzymający koronę cierniową. Z chwilą obudzenia się dzieciątka, korona porani mu skronie. Oby małżeństwo nie stało się dla Bittry taką koroną!

— Boże zachowaj! — zawołałem żywo i ani mi przez myśl nie przeszło, że ciężkie chmury zbierają się już nad jej głową i że tak prędko jasność promienna jej małżeństwa zamieni się na smutek okropny.

Gdy orszak ślubny mijał drzwi domku Alicyi, Bittra rozkazała nieśmiało, lecz stanowczo wielbicielom swym, by stanęli i weszła z Ormsbym do domku. Kwiat pomarańczowy dotknął korony cierniowej chorej dzieweczki; obie uczuły braterstwo cierpienia i połączyły się ich dusze. Ormsby pozostał w kuchni, rozmawiając z panią Moylan. Skutek tej rozmowy był taki, że od tej chwili biedna matka nie potrzebowała obawiać się biedy.

Podczas śniadania ślubnego ja, ma się rozumieć, wzniosłem toast na cześć państwa młodych i — niech mi wolno będzie powiedzieć — z takiem powodzeniem, że wywołałem nawet uśmiech na twarzy Campiona, który nie mógł przebaczyć mi nieuwagi podczas obrzędu zaślubin. Po śniadaniu goście rozeszli się po pokojach, by obejrzeć podarunki ślubne — zwykłą zbieraninę cacek niepotrzebnych — mnie zaś Bittra zaprowadziła do buduaru, by pokazać podarki sercu jej najmilsze.

— Ojciec — rzekła — będąc wielkim znawcą sztuki, radzi, abym oddała, jak się wyraził, wszystkie te śmiecie, ja wszakże wolałabym raczej zwrócić wszystkie klejnoty

wystawione w innych pokojach. Przy tych słowach pokazywała mi dary kobiet rybackich i wieśniaków z Kilronanu, a oczy jej błyszczały radością. Był tam między innemi model okrętu wykończonego w najdrobniejszych szczegółach, od szczytu do podstawy, z każdą liną na miejscu, z mosiężnemi armatkami, wyglądającemi po bokach. Był tam portret Bittry, wykonany przez jakiegoś artystę japońskiego z fotografii i przesłany 15,000 mil z za oceanu. Były muszle najrozmaitszego kształtu, zbierane w ciągu pokoleń z olbrzymiego muzeum głębin morskich. Był pierścień złoty ze wspaniałym rubinem, Bóg wie jakim sposobem nabyty przez młodego marynarza na wyspach Indyj wschodnich. Była papuga wrzeszcząca jak opętaniec, błyszcząca wszystkiemi barwami tęczy, a niegrzeczna jak małpa. Był wreszcie szal tak cienki, że zwinięty dał się ukryć w maleńkich rączkach Bittry.

— Ma się rozumieć — rzekła wreszcie —że nie mogę zatrzymać wszystkich tych skarbów na zawsze. Zwrócę je właścicielom przy pierwszej sposobności, cenię bowiem nie ich wartość materyalną, lecz intencyę, z jaką mi je ofiarowano.

— A jednak, moje dziecię — odparłem — gdybyś nawet mogła tak je rozmnożyć, by zapełniły całe skrzydła Muzeum brytyjskiego, to i wówczas jeszcze nie wypowiedziałyby tych wszystkich uczuć, jakie względem ciebie lud nasz żywi.

— Jakże byłabym szczęśliwa! — zawołała.

Przeszliśmy następnie na podwórze i do obór. — I tam wdzięczność serc ludzkich przedstawiła się pod postacią ptactwa najdziwaczniejszego pochodzenia, małego byczka oraz sarenki ze wstążką niebieską na szyi. Zwierzątko spoglądało dokoła oczyma szeroko otwartemi i pełnemi strachu, a ciepły wiatr muskał jego piękne, brunatne futerko.

Bittra pogładziła jego łepek, a zwierzątko położyło wilgotne nozdrza na jej dłoni.

— Ta suknia ślubna jest zbyt lekką — rzekłem, zauważywszy, że Bittrę dreszcz przeszedł — idź do domu i weź inną.

— To nie z zimna — odparła, patrząc na mnie bacznie—lecz ze strachu, który prześladuje mnie od rana. Czu-

ję, jakgdyby—według wyrażenia ludowego—ktoś chodził po mym grobie.

— Głupstwo!—zawołałem—zdenerwowałaś się i tyle. Zanadto zmęczyły cię wypadki dzisiejszego poranku.

W tej chwili usłyszeliśmy głos starego Campiona:

— Bittro, Bittro, gdzie jesteś?

— Tutaj, ojcze!—zawołała, gdy ojciec jej z Ormsbym wchodził na podwórze — pokazuję księdzu proboszczowi wszystkie skarby moje.

Małżonek podał jej ramię, a Campion przyglądał się obojgu z zachwytem. I nie dziw! Prześliczny obrazek stanowili, obrazek w tem świetle słonecznem, otaczającem ich dokoła.

— Idźcie!—rzekł Campion—goście na was czekają.

Poszli, a my obchodziliśmy zabudowania gospodarcze, oglądając, gwarząc i chwaląc. Campion zwracał mi uwagę to na to, to na owo, opowiadał o zamierzonych ulepszeniach, które miały stworzyć dla jego dziecka wzorowe gospodarstwo wiejskie; zauważyłem atoli, że myśl jego jest czem innem zajęta. .

Wreszcie zwrócił się do mnie i spostrzegłem lekką mgłę w jego czarnych, błyszczących oczach, jednocześnie jednak starał się głosowi swemu nadać cechę pewności.

—Byłem człowiekiem twardym—mówił—ale zmieniły mnie wypadki dzisiejszego poranku. Nie wiedziałem, iż lud tak wielbi dziecko moje, i to wzruszyło mnie głęboko. Wychowany w innej szkole, nie mogłem nigdy otrząsnąć się z uczucia pogardy dla tych poddanych, biednych i niewykształconych, a brak w nich męskości i chytrość ich w obcowaniu były dla mnie wstrętnemi. Widzę, że byłem niesprawiedliwy, a co więcej złym byłem katolikiem. Ormsby, do niedawna niedowiarek, dowiódł mi tego nie słowami, bo zawsze jest dżentlemanem, lecz przykładem swym spokojnym. Zupełnie było obojętnem dla mnie, czy jest turkiem, żydem, czy ateistą, żeniąc się z córką moją. Teraz jednak widzę, że Kościół ma racyę i że małżeństwo jej nie byłoby zupełnem, gdyby nie była wyszła za katolika i to za katolika dobrego.

Zaniepokoiłem się pod wpływem tych rozważań, to też zamierzam rozpocząć życie inne. Starość się zbliża i aczkolwiek mam jeszcze przed sobą z jakie trzy dziesiąt-

ki lat życia, to jednak muszę zrobić porządek tak, jakgdyby śmierć była blizką. Bardzo mi żal, że dziś rano nie byłem na Mszy razem z Ormsbym i Bittrą, ale naprawię to w najbliższą Niedzielę po powrocie dzieci z podróży poślubnej. Przystąpimy wówczas wszyscy razem do Stołu Pańskiego. Na Jowisza! Wszak to dzwonią już na Anioł Pański, a w południe ma się odbyć spuszczenie „Gwiazdy“ na morze.

Zdjął kapelusz i razem odmówiliśmy Anioł Pański w milczeniu. Na skroniach Campiona widać było ślady siwizny, a czarne jeszcze na ciemieniu włosy zrzedziały widocznie. Spoglądałem na niego badawczo przez kilka sekund. Czyż mogłem wówczas przypuszczać, że ten dzwon na Anioł Pański będzie dla niego dzwonem pogrzebowym, że będzie dzwonem tego wielkiego reżysera: śmierci,—znakiem do skoku w objęcia wieczności!

ROZDZIAŁ XXVIII.

„Gwiazda".

Liczny tłum zebrał się u wybrzeża, przy ujściu strumyka do morza, gdzie, umocowany do tymczasowej przystani, kołysał się wdzięcznie na falach nadchodzącego przypływu statek rybacki, zaopatrzony we wszystko, co potrzeba. Wysoki maszt jego zataczał łuk w ciepłem powietrzu lipcowem w miarę uderzeń miękkich, okrągłych fal morskich i stanowił przedmiot rozmów tych, którzy nie widzieli innych, jak tylko małe, niepozorne maszty łodzi.

— Ma nachylenie ku prawej stronie—rzekł stary marynarz krytycznie.

— Gdzież twoje oczy, Jurze! Czy nie widzisz, że przeciwnie skłania się ku lewej! — zawołał inny.

— Założę się o poczęstunek dla wszystkich, że równy jest, jak stół!—odparł trzeci.

— Potrzeba będzie przynajmniej sześciu ludzi załogi! — zauważył stary wilk morski, który objechał świat dokoła.

— Nie trudno ich dostać za takie wynagrodzenie, jakie ksiądz płaci!

— Ileż płaci?—spytał marynarz z Moydaru.

— Piętnaście szylingów tygodniowo i udział w zyskach.

— Oto kapitan i ksiądz. Chłopcy, okrzyk na ich cześć!

I rozległ się okrzyk taki, że ocean zadrżał, zakołysały się flagi bud jarmarcznych, a przekupnie zamilkli.

— Czy to on?—pytali obcy, gdy ks. Letheby, promieniejąc wzruszeniem i dumą, przechodził ku przystani.

— Tak, to on. Niech go Bóg błogosławi! — odpowiadali ludzie z Kilronanu. — Szczęśliwy dzień, w którym do nas przybył! Cóż wasi księża robią?

— Nic nie robią! — odparł obcy ze wstydem.

Wikarego otaczało kółko kupców z Kilkeel i Loughboro, którzy dostarczyli reszty sumy, wymaganej przez władze, dla otrzymania subsydyum od rządu. Oglądali statek wszechstronnie i obliczali w wyobraźni zyski, jakie przyniesie.

Lekki wiatr wiał od lądu, co było dobrą zapowiedzią; śród zebranych głoszono, że straż nadbrzeżna dojrzała w kierunku południowym francuzką flotyllę rybacką z Maux.

Pomiędzy Campionem a księdzem wikarym powstała lekka sprzeczka o to, jak ma nazywać sie statek. Pierwszy pragnął nazwać go „Bittrą Campion z Kilronanu“ drugi zaś upierał się przy „Gwieździe“. Spór rozstrzygnęła wreszcie Bittra, stojąca u dziobu statku. Według bowiem przyjętego przy nadawaniu nazwy statkom zwyczaju, rzuciła na jego pokład butelkę wina szampańskiego i rzekła drżącym głosem:

— Daję ci nazwę „Gwiazdy“.

W tejże chwili jednak zbladła i omal nie zemdlała, ciężka bowiem butelka, zamiast rozbić się na pokładzie, przewróciła się tylko śród złożonych tam lin i żagli i wypadła otworem w baryerze statku do morza.

Była to dla marynarzy bardzo zła wróżba i wszyscy ją odczuli. Wkrótce jednak celtycki dowcip i współczucie przyszły w pomoc Bittrze.

— Po co się martwić! Nie pani, lecz stare to pudło jest nieszczęśliwe.

— Butelki takie są mocne jak żelazo i tak grube, że nie mieści się w nich więcej nad jedną szklankę!

— Okrzyk, chłopcy, na cześć „Gwiazdy“.

Okrzyk zabrzmiał, ale czuć w nim było nutę nieszcze-

rości, gdy zaś Bittra zeszła z pokładu, statek przygotowano do drogi i ks. Letheby wezwał załogę, by zajęła miejsca, ludzie cofnęli się ze strachem.

— Tchórze! — zawołał ksiądz wikary. — Przestrasza was głupi przypadek. A więc nie pozwolę żadnemu z was wejść na pokład. Zwerbuję załogę z Moydare.

Słowa te ubodły mieszkańców Kilronanu, a gdy w dodatku kilku ludzi z Moydare okazało gotowość wejścia na statek, odtrąciło ich czterech tęgich rybaków kilronańskich i omal że nie przyszło do bójki.

W tej chwili zbliżył się Campion i ofiarował usługi swe, jako kapitan i sternik. Propozycya ta wywołała głośne oznaki zadowolenia, wszyscy bowiem wiedzieli, co za dzielny z niego marynarz a przytem radowało każdego to, że silny, pewny siebie i odważny człowiek przyjmuje z własnej woli przewodnictwo tam, gdzie ludzie słabego charakteru okazaliby obawę i niepewność. Rozjaśniło się też oblicze ks. Lethebyego. Zato twarz Bittry sposępniała jeszcze bardziej. Ujrzał to Campion i podszedł do córki, opartej na ramieniu męża.

— Nudziłbym się w starym dworze, pieszczotko moja, podczas waszej nieobecności. Spędzę więc przynajmniej kilka godzin na morzu i dodam odwagi tym biedakom.

— Ojcze, ojcze!—zawołała Bittra i oczy jej zapełniły się łzami.

— Powiedz jej, że mam słuszność — rzekł Campion, zwracając się do Ormsbyego.—Wszak znasz morze i wiesz, że niema niebezpieczeństwa. A przytem, co za piękny statek! Do widzenia, mała kobietko! Nie macie czasu do stracenia, jeżeli chcecie zdążyć na parowiec. Do widzenia, Ormsby. Czuwaj nad żoną!

Opanował wzruszenie, pocałował córkę i wskoczył na pokład.

— Wszystko w porządku, chłopcy! Dziób najpierw odwiązać. Dobrze! Puścić liny!

Prąd pochwycił piękny statek i spłynął on z biegiem strumienia, kierowany tylko silną ręką u steru, aż do miejsca obszerniejszego, gdzie można już było rozwinąć żagle Podniósł się najpierw biały żagiel do połowy masztu. Pod ciśnieniem wiatru, statek zarył bokiem fale. Rozwinęły

się następnie żagle, wielki i szczytowy, i „Gwiazda“ pomknęła, prując fale jak pług rolę i znacząc drogę spienioną bruzdą. Nagle, na dany sygnał, pojawiła się u szczytu masztu chorągiewka, ukazując widzom napis literami niebieskiemi na tle białem: „Gwiazda“.

Zabrzmiał okrzyk potężny i poszybował statek ku swemu losowi.

Długo jeszcze po rozejściu się tłumu dwie osoby stały na moście, rzuconym wysoko nad fiordem i blizko pałacu. Bittra wymachiwała chusteczką tak długo, dopóki tylko dojrzeć mogła na tle morza ciemny punkcik. Powoli jednak punkcik ten malał coraz bardziej i znikł wreszcie we mgłach, a młode małżeństwo ruszyło w podróż poślubną.

Po powrocie do domu, ks Letheby pokazał mi list otrzymany rano od wielkiej firmy w Loughboro, uskarżający się na tak niedbałe wykonanie obstalunku, danego fabryce kilronańskiej, że towaru niepodobna sprzedać oraz domagający się pierwszej raty za maszyny do fabryki dostarczone.

— Kilka już tygodni temu, gdy pierwsza skarga przybyła—mówił wikary—zwróciłem uwagę dziewcząt na niedbałość w wykonaniu obstalunków, ale kilka z nich oburknęło się, inne zaś oświadczyły, że i tak dość pracują w stosunku do płacy otrzymywanej, aczkolwiek dałem im dla zachęty niemal dwa razy tyle, ile mi z obliczenia wypadło, a skutkiem czego pozostałem w końcu bez funduszów na zapłacenie raty.

— Chodźmy — odpowiedziałem — zbadajmy rzecz na miejscu. Tak dłużej być nie może.

Weszliśmy do wielkiej sali na pierwszem piętrze. Była pusta. Zarządzająca siedziała w kącie, robiąc szydełkiem. Na nasz widok powstała.

— Gdzie są dziewczęta?—spytał ksiądz wikary.

— Nie wiem, wasza wielebność. Mówiły że dzisiaj święto.

— Wszak wiedzą, że mają dużo do roboty i że fabrykant narzeka.

— Istotnie. Mówiłam im o tem, lecz jedna z nich odrzekła: Niech czeka! Narzekają w dodatku na małą płacę, aczkolwiek nigdy poprzednio tyle nie zabierały.

— Czy wszystkie?

— Bynajmniej. Dziewięć z nich chciałoby pracować i wdzięczne są za pracę, ale trzy elegantki, mające już kawalerów, wyobrażają sobie, że daleko więcej są warte.

— Rozumiem. I zdaje się, że je znam. Nie przyjdą one już tutaj. Czy znajdę inne na ich miejsce?

— Dosyć łatwo, wasza wielebność, ale...

— Już ja się sam tem zajmę.

Tak też zrobił. Uwolnił oporne; gdy jednak przyszło do zgodzenia innych pracownic, zadanie okazało się nie łatwem.

Następnego dnia pozostałe dziewczęta przyszły do fabryki, gdy jednak wieczorem powracały do domu przez ulice osady, powitano je zewsząd okrzykami niemiłosiernemi: Zdrajczynie, denuncyantki, lizusy! — skutkiem czego nie zjawiły się już więcej w fabryce.

Nie mogę powiedzieć, aby cała osada przyjmowała udział w tem zajściu bezwstydnem, lecz siła złego jest bardziej zaczepną od siły dobrego i dzieci ciemności są mędrsze w danym razie od dzieci światła.

Zdaje mi się, że w całym świecie tak samo się dzieje; w każdym razie pewien jestem, iż co do Irlandyi, to jeden zbuntowany jest w możności zbuntować tysiąc, a nikt nie chce być męczennikiem lub świadkiem prawdy.

Ma się rozumieć, że ks. Letheby posiadał zwolenników, przychylność ich wszakże ograniczała się na krytyce życzliwej:

— Miał dobre zamiary, robiąc panie z tych, które powinny były kartofle kopać.

— Cóż chcecie, Maryo! Jest jeszcze młody. Gdy postarzeje się, będzie rozważniejszy.

— Jestem pewna, że kłamią brzydko ci, co mówią, że zrobił na tem pieniądze.

— Hm, moja sąsiadka mówiła, że biedny ksiądz nie jednego na tym interesie pensa zarobi i że nauczył się fachu od ojca.

— Brzydka plotkarka! Czy to nie ma teraz tylko przez niego i kotletów baranich i befsztyków? Czy to nie przez niego patelnia jej syczy, jak nigdy przedtem?

— A rękawiczki skórkowe, a kapelusze! Doprawdy, lady G. nie ubiera się lepiej!

— Teraz będzie inaczej. Ksiądz je usunął, ale zkąd weźmie nowych pracownic? Chyba zamknie fabrykę.

Dziewczęta nie powróciły do pracy. Jakaś nieokreślona, bezimienna obawa zawisła nad niemi.

* * *

Uprzedzam wypadki.

Wieczorem owego dnia pamiętnego obiadowaliśmy u ks. Lethebyego. Zebrało się sporo księży, nie jeden bowiem przybył, by ujrzeć spuszczenie na wodę statku rybackiego. Śród nich znalazł wikary kilku szczerych wielbicieli, niezazdrosnych i przejętych gorącą żądzą naśladowania jego przykładu.

Takie uwielbienie, to najrzadszą, ale i najwspanialsza nagroda, jaką daje życie młodym i dzielnym. Sława, to tylko tchnienie: honor, tylko malowidłem, okrasą sceneryi: bogactwo nieznośnym ciężarem: zato ogień szlachetnej rywalizacyi, wykrzesany z dusz szlachetnych w blasku uniesienia—oto prawdziwa nagroda szlachetnych usiłowań, obietnica królewska prawdziwego powodzenia.

Pomimo niepowodzeń porannych, dzielny mój wikary dostroił się do otoczenia, podniecany szczeremi pochwałami, jakie słyszał dokoła za usiłowania szlachetne, wprowadzone w czyn i zaczynające przynosić owoce. Nawet ja, starzec, stojący nad grobem, uczułem się młodym, gdy dotknęła mnie ta zaraza młodości i ujrzałem w oczach tej młodzieży żądzę czynów wielkich na przyszłość. Niechże jej Bóg pomaga, bo każda odrobina energii i entuzyazmu jest jej potrzebna dla zrównoważenia tych niepowodzeń i porażek obojętności i nadmiaru krytyki, jakie ją w życiu oczekują. Boże mój! gdybyż przynajmniej młodzież ta miała do czynienia z przeciwnikiem uczciwym, gdyby przynajmniej znalazła wzmocnienie w słówku zacnem, życzliwem! Ale nie; słowo życzliwe sprzedaje się na świecie na wagę złota. To też przychodzi tak łatwo przygnębienie śmiertelne, gaśnie dzielność i odwaga, ustają dążenia szlachetne! I gdy w końcu przyjdzie wiek średni życia ludzkiego, pozostaje nam dusza wyschła, spalona, zmądrzała, nauczona, przez rzeczywistość okropną — powściągliwości i ostrożności, do tego stopnia, że woli pominąć raczej najpiękniejsze okazye, nie zużytkowawszy

ich, niż narazić się na możliwość choćby jednej tylko przegranej. Nagrobkiem dusz tych zmarłych jest: *Foris pugnae, intus timores.*

Byliśmy wszyscy nader ożywieni, ale bo też wszyscy byliśmy dumni z młodego mego konfratra, a gdy ks. Duff powstał, by wznieść toast za jego powodzenie, cały stół zagrzmiał i trząsł się od oklasków.

Zachodzące słońce rzucało blaski łagodne na kwiaty i rośliny stół ozdabiające, odbijając się rubinowemi plamami w szkle kieliszków. Zapach kwiatów, roślin i gron winnych, zamienionych w płyn przez prasy Languedocu i Dauphiny, napełniał pokój, a zdaleka przez okno otwarte dolatywało wonne świeże powietrze czerwcowe i odwieczny szmer niespokojnego morza.

Ks. Duff mówił dobrze, z uczuciem i podniośle, a mowę tę swoją zakończył słowami następującemi:

„Z całego serca życzymy mu, by pracował tak użytecznie jeszcze przez lat wiele i to w szerszym zakresie i ażeby praca jego nagrodzoną była odpowiednio. Bodajby jednak przykład jego szlachetny natchnął nas chęcią naśladownictwa i przeświadczeniem, że już sama walka z przeciwnościami i pokonanie ich jest najwyższą nagrodą trudu i wysiłków, oraz że praca i walka już same przez się mają własność uszlachetniania i kształcenia".

Zaledwie ks. Duff skończył, powstaliśmy z miejsc naszych i wzniosłszy kieliszki do góry zaśpiewaliśmy chórem: „Bo też on jest zacnym chłopcem."(1)

Wołano jeszcze „*Ad multos annos*" i t. d., gdy zdaleka, przez pola, od strony przystani, doleciał nas odgłos wyrzekań przeciągłych, ale tak daleki i słaby, żeśmy uszom naszym nie wierzyli. Znów atoli powtórzył się, tym razem silniej i znów skonał, uniesiony wiatrem w stronę morza. Ja i wikary spojrzeliśmy na siebie zaniepokojeni, wreszcie wikary spytał:

— Wszak nikt nie umarł w naszej parafii?

— Nic nie wiem o tem. Czy nie macie dzisiaj pogrzebu?—odparłem.

— Bynajmniej!

Rzekłszy to powstał, by odpowiedzieć na toast ks.

(1) „*For he's a right good fellow*"—znana pieśń toastowa angielska.

Duffa. Mówił gładko i z niekłamanem uczuciem wdzięczności, zwracając się zwłaszcza ku młodszym księżom, których dokoła siebie skupił. Mowę jego wszakże przerywał coraz częściej ów jęk przeciągły i żałosny, zbliżający się ku nam wyraźnie. Wreszcie odezwał się tak blizko, że mówca zawołał zaniepokojony:

— Przerywam, panowie, moje uwagi, bo zdaje mi się, że stało się coś złego w osadzie. Muszę tam pójść.

Poszedł istotnie, ale niedaleko, bo właśnie wpadł do osady tłum liczny i głośny, śród którego kobiety zawodziły przeraźliwie tak znaną w Irlandyi pieśń za umarłych. Tłum otoczył dom wikarego, wyszliśmy więc ku niemu.

— Zatonął, wasza wielebność, i wszyscy utopili się z nim razem.

— Zatopiony przez parowiec.

— Uderzony z przodu.

— Nie, z tyłu.

— Kapitan utonął!

— Czy nie pozwolicie przyjść im do słowa? Niech wyjdą naprzód i sami opowiedzą księdzu, jak to się stało! — zawołał Jem Deady, objąwszy przewodnictwo nad tłumem.

Z tłumu wysunęło się czterech rybaków, stanowiących załogę „Gwiazdy“, przemoczonych do nitki.

Trudno było wydobyć z nich zeznania, napojono ich bowiem tak wódką, że zdawali się blizcy utraty zmysłów, w końcu jednak, łatając ich zdania i wykrzykniki, dowiedzieliśmy się, co następuje:

„Gwiazda“ dopłynęła szczęśliwie do flotyli rybackiej. Rybacy z Maux, a jeszcze bardziej z Cherbourga, powitali ją entuzyastycznie. Zrobiono z nimi umowę o sprzedaż ryb, a następnie zabrano się do powrotu. Mgła, która wisiała nad morzem całe rano, zgęstniała i opadła na wody. Jeden ze starych rybaków ośmielił się zwrócić uwagę Campionowi, że droga jest daleką i że z powodu mgły należy być bardzo ostrożnym. Campion zaśmiał się na to, tak nieprawdopodobną zdawała mu się myśl zetknięcia się na tych wodach pustynnych z jakimkolwiek statkiem. Zaledwie jednak puścił ster na chwilę, by zapalić cygaro, gdy rozległ się krzyk i ze mgły wynurzył się wielki parowiec, płynący pod kątem prostym do „Gwiazdy“.

Z pokładu dały się słyszeć krzyki ostrzegawcze i zagrzmiał głos syreny parowca, ale Campion nic sobie z tego nie robił i ujął spokojnie za ster.

Niestety, ciężki statek nie był posłuszny sterowi. Nie udała się Campionowi próba ominięcia parowca. Już, już parowiec zdawał się ominięty, gdy nagle dziób jego uderzył „Gwiazdę“ o jakie 8 do 10 stóp od końca, odciął, jak nożem, część jej końcową wraz ze sterem i uderzył padającego Campiona. W jednej chwili statek przechylił się, napełnił wodą, a załoga wpadła do morza. Dwóch rybaków pochwyciło za wiszące u parowca kotwice, a dwóch za liny rzucone im z pokładu, Campion atoli utonął.

— Raz tylko czarna jego głowa ukazała się na powierzchni morza.

Temi słowy zakończyli rybacy opowiadanie. Spojrzeliśmy na ks. Lethebyego, czekając co powie. Ale wikary przyjął straszną nowinę po męzku i zwróciwszy się do tłumu rzekł:

— Zaprowadźcie ludzi tych do domu jaknajprędzej, bo są przemoczeni i łatwo narazić się mogą na chorobę śmiertelną.

Istotnie, w przedpokoju, gdzie stali wyratowani rybacy, widniały na podłodze kałuże wody.

Zabieraliśmy się do odwrotu i tłum rozchodził się już także, gdy Jem Deady szepnął mi na ucho:

— To wszystko, wasza wielebność, przez pijaństwo.

Jem znów zaprzysiągł się picia przed sześciu tygodniami, to też uważał, że jest upoważniony do działalności reformatorskiej.

Tak zakończył się ów dzień pamiętny, który okrył głębokim smutkiem duszę wikarego.

Długo jeszcze rozmawialiśmy o fatalnych zdarzeniach, a myśl moja leciała w ślad za szczęśliwą oblubienicą w podróży poślubnej. Wyobraźnią przeniosłem się z mglistej Anglii do słonecznej Francyi. Widziałem Bittrę opartą na ramieniu męża i wędrującą z kościoła do kościoła, z muzeum do muzeum, zwiedzającą miasta średniowieczne kontynentu. Widziałem ją na Riwierze, a potem we Włoszech i odczuwałem entuzyazm jej niemy wobec arcydzieł sztuki i objawów wiary w szczęśliwem ognisku katolicyzmu. Wyobrażałem ją sobie dalej klęczącą u stóp

Papieża i proszącą o błogosławieństwo dla ojca, gdy tymczasem martwe ciało jego leży już gdzieś w mule głębin morskich, śród potworów, przyglądających mu się ze strachem i ciekawością.

Ktoś zapytał, czy statek był ubezpieczony.

— Nie — odpowiedział wikary.—Czekałem na wynik podróży próbnej, aby tem się zająć.

— A więc komitet odpowiedzialny jest za stratę.

— Tak sądzę!—odparł smutno.

— Przeciwnie — wtrącił ks. Duff, oglądający jakiś album — władze, które dały subsydyum, nie wypuściłyby statku z warsztatów, nie ubezpieczywszy go poprzednio, przynajmniej do wysokości danego subsydyum.

— Tak przypuszczacie? — spytał wikary.

— Jestem tego pewny! — odparł ks. Duff.

Wkrótce potem rozjechali się goście, wyrażając nam współczucie serdeczne.

Zaledwie upłynęło kilka minut po ich odjeździe, gdy zapukano do drzwi.

Była to Lissie, służąca księdza wikarego.

— Ktoś księdza prosi — rzekła.

Ksiądz Letheby wyszedł, nie zamykając drzwi za sobą. Usłyszałem głos ks. Duffa.

— Wysłano mnie — mówił — z oświadczeniem, że wszyscy pragniemy dopomódz ci w tej sprawie, bez względu na koszta. Co się tyczy mnie osobiście, to — jeżeli będziesz łaskaw mi zaufać — mam drogę do wyprowadzenia cię z tego kryzysu.

— Tysiączne dzięki — odparł ks. Letheby — i w dowód mojej przyjaźni zwrócę się bezwarunkowo do ciebie, gdy potrzebować będę twej pomocy.

Powróciwszy, chciał mi powtórzyć rozmowę.

— Nie potrzeba — zawołałem — słyszałem wszystko. Niech mu to Bóg wynagrodzi.

Po raz pierwszy w życiu żałowałem, że nie kocham pieniędzy. Z jakąż rozkoszą byłbym w tej chwili pomógł dzielnym młodzieńcom.

Do północy jeszcze zastanawialiśmy się nad zdarzeniami, robiąc przypuszczenia i plany. W końcu postanowi-

liśmy, że najlepiej nie przerywać Bittrze podróży i zawiadomić ją o wszystkiem dopiero po powrocie.

— A czy nie znajdą wiadomości o wypadku w dziennikach londyńskich?

— Niema obawy. Wiadomość nie dosięgnie Londynu przed jutrem, a jutro będą już w Paryżu.

ROZDZIAŁ XXIX.

Sub nube,

Na świecie wspaniała pogoda letnia złotem dzierga ziemię i morza, a w naszych sercach śmierć i boleść oraz ponure przewidywania tego, co przyszłość przyniesie.

Nie uwierzyłbym, że jedna noc cierpień może uczynić w człowieku taką zmianę; dopiero, gdym dnia następnego ujrzał twarz księdza wikarego, przekonałem się, że opowiadania o włosach siwiejących w ciągu jednej nocy zawierają prawdę. Twarz jego przeciągnęła się i zestarzała, pod zapadłemi oczyma widniały kręgi sine, a usta ścisnęła rozpacz.

Bezcelowem byłoby tłomaczyć mu: Nie uczyniłeś nic złego lub nieuczciwego — boć istniała rzeczywiście porażka i ruina finansowa, której skutków okropnych nie usunęłyby najwymowniejsze argumenty rozumu.

— Chodźmy! — zawołałem! po dłuższej bezcelowej rozmowie — przejdziemy się, a powietrze morskie zmiecie nam pajęczynę z mózgów!

Poszliśmy tedy brzegiem morza. Spokojne dziś było i majestatyczne, pełne wydrążeń ruchomych, w których odbijały się blaski słoneczne. Fale jego barwne kołysały się leniwie, by w końcu rozbić się na piaskach wybrzeża w rąbek piany mlecznej. Nic nie przywodziło na myśl

zemsty krwawej jaką ów żywioł potrafi od czasu do czasu wywierać na tych co go ujarzmić pragną.

Minąwszy strumień, ujrzeliśmy pałac. Okna jego zasłonięte roletami spoglądały bez życia na morze.

— Biedne to dziecię ma cięższy krzyż do dźwigania, niż wy, księże — rzekłem.

— Tak. Ale czas wyleczy boleść jego. Któż zaś potrafi zetrzeć ze mnie plamę nieuczciwości?

— Nie widzę tu nieuczciwości — odparłem. — Nie obrabowaliście przecież, ani nie oszukiwaliście nikogo.

— Zato jestem bankrutem. Kupcy z Kilkeel dali mi pieniądze na odpowiedzialność moją osobistą. Zapewniłem im bezpieczeństwo lokacyi. Honor więc wymaga, abym pieniądze zwrócił.

— Dobrze, ale przecież niewypłacalność nie jest jeszcze nieuczciwością.

— Jest szczytem nieuczciwości dla księdza.

Wobec takiego argumentu zamilkłem.

Obiad spożyliśmy razem i właśnie dzwoniono na Anioł Pański, gdy usłyszeliśmy na ulicy osady krzyki i wymyślania, wystosowane do powracających od pracy w fabryce dziewcząt, wynajętych dla zastąpienia tych, które pracę rzuciły. Niebawem nadeszły też dziewczęta, oznajmiając, że w obec oburzenia w osadzie do pracy nie powrócą. A więc pękała ostatnia nitka nadziei utrzymania fabryki. Ksiądz wikary wybuchnął w pierwszej chwili gniewem wielkim przeciwko niegodziwcom, których pragnął wybawić z nędzy; wkrótce jednak uspokoił się nieco, poddając się, jak sądził, wyrokom woli wyższej.

— Trudna rada! Idźcie, dziewczęta, i powiedzcie Katarzynie Giniran, by zamknęła salę fabryczną i przyniosła mi klucze.

To było wszystko, ale w sercu pewnego słuchacza tyle nagromadziło się oburzenia wobec takiej niewdzięczności, że w najbliższą zaraz niedzielę, podczas obu Mszy, ściany kościołka kilronańskiego drżały od nawałnicy ostrych napomnień i gorzkich wymówek, jaka spadała z kazalnicy na głowy parafian, czerwonych ze wstydu lub bladych ze strachu i tak podziałała na owe elegantki, co pracę porzuciły, że radeby były uciec za lasy i góry.

* * *

Nic na świecie nie mogłoby przekonać mieszkańców osady, iż zatonięcie „Gwiazdy“ było przypadkowem.

— Widzieli przecież, że nasz statek płynie, a jednak jechali wprost na nas. Można było spodziewać się tego. Już flotyla ich rybacka chciała nas spoić, ale kapitan nie pozwolił.

— Przecież nie powiecie, że bali się jednego, marnego statku!

— Bali się? Nie, ale nie chcą do niczego dopuścić Irlandczyków! Czy nie pamiętacie rok temu próby zaprowadzenia komunikacyi pomiędzy Galwayem a Newfoundlandem? Byłaby to najkrótsza droga z Europy do Ameryki. Ale cóż! Przekupiono kapitana i zaraz podczas próby pomiędzy Arranem i Saltbillem, na przestrzeni zaledwie 90 węzłów spokojniutkiego morza, umiał wynaleźć sobie skałę podwodną i osiąść na niej! Tak, tak! To sprawka ludzi z Liverpoolu, którym Galway byłby solą w oku!

— A czy kapitan nasz nie krzyczał: Na prawo, do licha, na prawo!—a pomimo to skręcili wprost na nas.

— A jednak dobrze się z wami obchodzili, wydobywszy was z morza.

— Jeżeli chodzi o pochlebstwa i o wlewanie w nas wódki, to tak, ale po wysadzeniu nas na ląd jeden z tych zjadaczy żab krzyknął:

— Żegnajcie, nie zobaczymy się więcej! O to im tylko chodziło!

W tydzień po wyżej opisanych zdarzeniach, a w Środę najbliższą po owem kazaniu piorunującem, które stało się w Kilronanie zdarzeniem epokowem, otrzymałem pierwszy list od Bittry.

„Oto jesteśmy w stolicy świata — pisała z Paryża.— Atmosfera tu tak lekka, że trzebaby przecedzić ze sto razy ciężkie powietrze kilronańskie, aby stało się równie miękkie i rozweselające.

Londyn widzieliśmy tylko tyle ile potrzeba, by uciec ztamtąd. Od tego czasu wędrujemy po bulwarach, teatrach, muzeach, kościołach i t. d. Kościoły są wspaniałe — ale ludzie! Wyobraź sobie, ojcze, dwóch ludzi, opartych o filary podczas Mszy świętej w kościele Ś-tej Klotyldy i sto-

jących nawet podczas Podniesienia! Rozgniewało mnie to okropnie i nie mogłam odpędzić tej od siebie myśli: Gdyby tu był ojciec Dan, rychło bardzo musielibyście uklęknąć! I wyobrażałam sobie was, ojcze, jak jednem wejrzeniem zmuszacie ich do przyklęknięcia. Kobiety zato są nabożne. Wszystko tu takie piękne, a jednak pragnęłabym być w domu. Rex jest dla mnie dobry niewymownie. Rażą go także zwyczaje francuzkie. Czy to są katolicy? — pyta i milczy. Jakże się ma ojciec? Obawiam się, że będzie mu nudno bez jego pieszczotki. Proszę pamiętać, księże proboszczu, że mam jego obietnicę odwiedzania wraz z księdzem Lethebym mego ojca. Wyrazy miłości dla naszej Dolores. Proszę też powiedzieć pani Darcy, że pamiętam o niej. Co za robotę miałaby tutaj z obmiataniem pajęczyny!

P. S Proszę jeszcze aby ksiądz proboszcz pamiętać raczył o obiadach u ojca. Bez ceremonii. Lubi, gdy traktuje się go *en bon camarade!* Cóż, czy nie wyrażam się dobrze po francuzku?"

— Słuchaj, młodzieńcze — rzekłem, gdy ks. Letheby zjawił się u mnie po raz pierwszy od dwóch tygodni,—wyglądasz lepiej.

— Istotnie — odparł, uśmiechając się nieco. Trzy rzeczy są tej zmiany przyczyną: Praca, nasza Dolores i modlitwa. Zmiażdżyłem mą gorycz pod kopytami twardej pracy. Pierwszy rozdział „Kapadocejczyków" gotowy jest już do druku. Niema nic bardziej pokrzepiającego nad pracę. Studyum Carlyla o pracy, to najlepszy jego utwór. Zawstydza mnie następnie Alicya. Jakże majestatycznie znosiło dziecię to cierpienia! W końcu—modlitwa. Godzina, jaką spędzam przed Najświętszym Sakramentem — a godzina, to, księże proboszczu, kawał czasu w ciągu którego dużo przemyśleć można — godzina, w której cała filozofia chrześcijańska o wstydzie, porażce, cierpieniu i braku czci powraca do mej duszy, sprawia to, że wstydzę się poprostu, iż tchórzyłem i szemrałem wobec tak małej próby.

— Bardzo dobrze! Oto zdrowy rozum. Czy masz jaką wiadomość od władz?

— Tak. Wszystko jest w porządku. Władze prowadzą śledztwo, aby pociągnąć do odpowiedzialności ów pa-

rowiec francuzki. Co do mnie, to sądzę, że parowiec ów jest winien z dwóch przyczyn: Po pierwsze, jechał w czasie mgły całą szybkością pary, powtóre, według praw mamarynarskich parowiec powinien zawsze ustępować przed żaglowcem. Prócz tego jestem zupełnie przeświadczony, sądząc z tego wszystkiego co słyszałem, że nie był to przypadek. Niech mi bowiem kto powie, dlaczego ów parowiec odłączył się od floty rybackiej i płynął o 5 mil (ang.) od zwykłej drogi? Jestem pewny, że władze ukarzą go ciężko.

— Czy jednak władze posiadają juryzdykcyę nad okrętem, oddalonym o 10 lub 12 mil (ang.) od brzegu?

— Tego właśnie nie wiem i szkoda, że Ormsbyego niema tutaj.

— To prawda, aczkolwiek nie mogę myśleć spokojnie o tragedyi, jaka czeka biedną Bittrę.

— Czy były wiadomości?

— Nie, od czasu listu z Paryża.

— Alicya otrzymała wczoraj list z Florencyi. Cały był o ojcu. Wiele w nim było wyrażeń dla Alicyi niezrozumiałych, o Dantem, Savonaroli, Certozie — prosiła mnie o wyjaśnienia. Jak widać z listu, Bittra nie wie jeszcze o niczem.

Niedługo wszakże przyszło przeczucie nieszczęścia. Otrzymałem list, długi list z Rzymu. Bittra była zachwycona, widziała bowiem wszystkie święte miejsca i przedmioty, które czynią Rzym tak drogim. Widziała też Ojca św. i otrzymała od Niego błogosławieństwo dla wszystkich, dla dziadka Dana, dla Dolores, dla ks. Lethebyego.

„Nie mogę wysłowić —pisała—tego, com czuła, gdy włożyłam na siebie obowiązkową dla kobiet przy audyencyi u Papieża czarną suknię i welon. Zdawało mi się, że to jest właśnie strój najodpowiedniejszy dla mnie i byłabym już się z nim nie rozstała, gdyby nie Rex, który życzy sobie, abym inne nosiła suknie".

Niestety, przeczucie to, co do sukni żałobnej, ziściło się zbyt szybko.

Puściwszy się w drogę powrotną przez Lombardyę, zawadzili tylko o Turyn tudzież o Medyolan. W Medyolanie wsiedli na szwajcarski pociąg pocztowy, przebyli góry, wyłaniające się z tunelu św. Gotarda właśnie, gdy

tłum pasażerów opuszczał poczekalnię stacyi Goschenen i napełniał pociąg pocztowy, dążący ku Brindisi. Tu odpoczęli. Bittra ciekawa wiadomości z Anglii i Irlandyi, ujrzawszy porzucony na bocznym stoliku egzemplarz *Timesa* z przed miesiąca, wzięła go do ręki i po kilku chwilach przeglądania szpalt jego, spostrzegła wiadomość następującą:

„Smutny wypadek zdarzył się na wybrzeżach Galwayu w poniedziałek, dnia... Czerwca. „Gwiazda“, nowy statek rybacki, zbudowany specyalnie dla połowu ryb na pełnem morzu, uderzony podczas jazdy próbnej przez parowiec francuzki, zatonął nagle. Załogę ocalono oprócz kapitana Campiona, znanego jachtsmana, który podjął się dowództwa statku podczas tej podróży próbnej. Kapitan uderzony został widocznie przez przód parowca, nie usiłował bowiem ratować się nawet i utonął zaraz. Ponieważ wypadek zdarzył się o 10 mil od wybrzeża, niema przeto nadziei, aby zwłoki mogły być odnalezione“.

Jak przyjęła tę wiadomość, jak okropnem spojrzeniem powitała męża, gdy wszedł do pokoju jadalnego stacyi; jak następnie, po wytrzymaniu tego pierwszego ciosu, szukała pociechy w religii; jak wreszcie myśl o zbawieniu duszy ojca niepokoiła ją najbardziej i wyrażała się westchnieniami bólu i łez pełnemi: Co się stanie z duszą jego, z duszą biednego mego ojca! — wszystko to opowiedział nam później Ormsby szczegółowo. Tymczasem, nie wiedzieliśmy nic jeszcze o tem wszystkiem, a dni, długie dni lipcowe, mijały jeden za drugim bez chmurki, na niebie, ale za to chmury, ciężkie chmury oczekiwania i niepewności wisiały nad nami. Nie wiedzieliśmy, co jutro przyniesie. Od czasu do czasu tylko przybywali do nas goście ciekawi obejrzenia miejsca wypadku, wzruszali ramionami, dziwili się śmiałości próby nieudanej i odjeżdżali zadowoleni z zaspokojenia ciekawości. Nadeszło też kilka listów z fabryki w Loughboro, najpierw ze skargami, następnie z groźbami, a wreszcie z rachunkiem na 96 funt. szterl. za maszyny i 30 funt. szterl. za materyał, dostarczony. Napisałem wówczas do fabrykanta, by zabrał z powrotem maszyny i odliczył wartość ich od rachunku. Odpisał mi na to grzecznie, że żądanie moje sprzeciwia się zasadom i zwyczajom przyjętym w interesach. Na tem

stanęło, a po pewnym czasie znów nadszedł list już ostatni, domagający się natychmiast zapłacenia rachunku, jeżeli nie pragniemy, aby sprawa poszła na drogę sądową.

Przyszła też do mnie zawstydzona, pełna strachu deputacya od dziewcząt, które pracowały w fabryce, prosząc o przebaczenie tego, co uczyniły, obiecując poprawę i zaręczając, że pracować będą stale za połowę ceny, a nawet obowiązują się pracować za darmo, dopóki długi nie zostaną spłacone. Odesłałem je do księdza wikarego, ale bały się stanąć przed nim.

— Gdyby wybuchnął gniewem i zganił nas, wytrzymałybyśmy to i byłybyśmy szczęśliwe. Ale patrzeć na jego twarz bladą i oczy spokojne nie możemy—mówiły, prosząc abym sam poszedł i prosił o oddanie kluczy Katarzynie Ginivan.

Poszedłem i wróciłem rychło z odpowiedzią lakoniczną: Nie! Wówczas dopiero zrozumiały, jak wielki błąd popełniły.

— Nic innego nie pozostaje nam — rzekły—jak tylko wywędrować do Ameryki.

— Dobrze byłoby dla kraju, gdyby niektóre z was zamiar ten wykonały — odparłem.

* * *

Następnej Niedzieli przybyła do Kilronanu deputacya dobrych kupców z Kelkeelu, którzy dali 200 funt. szterl. na budowę „Gwiazdy“.

Deputacya zjawiła się u księdza wikarego, właśnie gdy spożywał śniadanie po Mszy świętej ostatniej. Przyjął ją grzecznie i czekał, co powie.

— Nieszczęśliwe to było przedsiębierstwo ta „Gwiazda“ wasza wielebność! —rzekł mówca deputacyi.

— Bardzo nieszczęśliwe, istotnie — potwierdził ks. Letheby.

— Katastrofa! — dodał inny przyglądając się podłodze.

— Przybyliśmy, by dowiedzieć się, co dalej będzie— prawił mówca.

— Sprawa przedstawia się tak, moi panowie — objaśnił ksiądz wikary: Władze prowadzą śledztwo szczegółowe dla wytoczenia sprawy sądowej i, jak słyszę, spodzie-

wają się wyników dobrych. Jest nadzieja, że właściciel parowca będzie musiał zapłacić całkowicie wartość statku zatopionego.

— Prawo jest powolne i niepewne... — zauważył mówca.

— Słyszeliśmy także, iż załoga nie zna nawet nazwy parowca — dodał inny.

— Możecie być pewni, panowie — odparł ksiądz wikary—że władze wszystko uczynią dla obrony praw swoich oraz praw właścicieli statku. Władze żądają nawet odemnie, abym wystąpił, jako oskarżyciel, gdyby inspektor izby handlowej uznał, że istniała chęć szkodzenia lub grzeszna lekkomyślność ze strony kapitana parowca. Zgodziłem się na to żądanie, a zatem wytoczymy proces, z którego, nie wątpię, wyjdziemy zwycięsko i wówczas bez żadnej zwłoki zaspokoję pretensye każdego z panów z osobna.

— Żyj koniu, a dostaniesz trawy — zawołał na to jeden z deputacyi niegrzecznie, ośmielony spokojnym tonem księdza wikarego.

— Taka nadzieja równa się szukaniu igły w wiązce siana — przywtórzył drugi.

Ks. Letheby zarumienił się, ale nic nie odpowiedział. Jeneralny mówca deputacyi przyjął postawę pełną godności.

— Wasza wielebność przypomni sobie zapewne — przemówił — że myśl podpisów na ten statek nie wyszła z naszego grona. Tylko na kilkakrotne naleganie waszej wielebności zgodziliśmy się dać potrzebną sumę z ciężko zapracowanego grosza...

— Tak, z grosza ciężko zapracowanego — westchnął jeden z deputatów — i to nie czytaniem książek, lecz pracą rzetelną grosz ten zdobyliśmy!

— Przepraszam — przerwał mówca — już ja lepiej, jeżeli pozwolicie, przedstawię księdzu naszą sprawę.

— Niema tu nic do przedstawiania! —zawołał ksiądz wikary. Statek spoczywa na dnie morza, a ja winien wam jestem 200 funt. szterlingow — oto wszystko.

— Przepraszam waszą wielebność — znów przemówił mówca deputacyi, którego korciło to, że wymowa jego nie znajduje uznania, aczkolwiek raz postawił na ze-

braniu publicznem kandydaturę pewnego posła do parlamentu — przepraszam, to jeszcze nie wszystko. Przywykliśmy pokładać w naszem duchowieństwie najwyższe oraz, że tak powiem, najgłębsze zaufanie. Gdy ta dobra pani... zapomniałem jej imienia... tak dawno już nie czytałem moich klasyków... może ksiądz dobrodziej sobie przypomni?

— Nie wiem o jakiej to dobrej pani mowa?— odparł ks. Letheby.

— Bardzo mi przykro, że słowa takie słyszę z ust kapłana — zawyrokował mówca surowo — bo tu mowa o pani, która jest uosobieniem prawa.

—Może Astrea?

—Tak jest—potwierdził kupiec z namaszczeniem.— Gdy więc Astrea opuściła ziemię, to znalazła schronisko w kościele.

— Doprawdy? — zawołał ks. Letheby — nie wiedziałem o tem zdarzeniu zajmującem.

— Tak przynajmniej — odparł kupiec nieco zmięszany — my, świeccy, zapatrujemy się na tę sprawę. Przywykliśmy do pokładania zaufania nieograniczonego w naszem duchowieństwie.

— Pod jakim względem zawiodłem to zaufanie? — spytał ks. wikary, zaczynający odczuwać rozmyślną chęć zniewagi pod pokrywką głupkowatości.

Oto, polegaliśmy na słowie honoru księdza i nie domagaliśmy się zwykłego w takich razach poręczenia. Obecnie więc znajdujemy się w położeniu ciekawem: pieniądze nasze przepadły i nie wiemy, kto nam je zwróci.

— A więc nie wierzycie memu słowu? — zapytał ksiądz wikary.

— Oszukano nas! — wygłosił kupiec majestatycznie.

— Co? Chyba pan nie rozumiesz znaczenia tego wyrazu, ani też zwyczajów świata cywilizowanego. W każdym razie jednak powinieneś wiedzieć, że sposób, w jaki przemawiasz, zbliża się do zniewagi.

— Tak, oszukano nas!—powtórzył kupiec.

— Czy mogę wiedzieć w jaki sposób?

— Słyszeliśmy kilkakrotnie powtarzane zapewnienie, że ów statek będzie kopalnią złota dla nas, a tymczasem stał się przyczyną ruiny i nieszczęścia.

— Jednem słowem, — zawołał inny — był szwindlem od początku do końca i wiem, że...

— Przepraszam — rzekł na to ks. Letheby, powstając z krzesła — ale muszę przerwać rozmowę i prosić panów o wyjście...

— Ksiądz prosi nas o wyjście, a pieniądze nasze trzyma w swej kieszeni...

— Wyrzuca nas!

— Bezcelowem jest przedłużanie tej wymiany zdań nieprzyjemnej. Proszę opuścić mój dom.

Zadzwonił. Zjawiła się służąca.

— Pokaż tym panom drogę.

— Odchodzimy, księże, ale powrócimy. Jak Maryusz, cofamy się, ale wrócimy.

Byli na ulicy, gdzie zebrała się już garstka gapiów, a jeneralny mówca deputacyi wciąż powtarzał jeszcze:

— Jak Maryusz, jak Maryusz!

— Ciekawy jestem, czy jaka Marya chciałaby taką małpę jak ty!—zawołał za nim Jem Deady, przeczuwający instynktownie, że jest to wyprawa wroga.

— Niech wasza wielebność powie słówko — dodał następnie, zwracając się do księdza wikarego — a wytrzęsiemy z nich duszę w mgnieniu oka. Dawno już sprawilibyśmy im lanie, gdybyśmy sądzić ich chcieli po ich gębach brudnych.

Słowa te stały się hasłem do dzikiej demonstracyi. W jednej chwili cała osada była pod bronią. Mężczyzni chwytali za kamienie, kobiety opuszczały kuchnie, zbierając śmiecie, jakie były pod ręką, a zewsząd dawały się słyszeć krzyki i wymyślania. Coprędzej przeto kupcy wsiedli na wózki i uciekli, uwożąc z sobą sporo okazów flory i fauny kilronańskiej, pod postacią zgniłych jajek, zdechłych kotów, oraz kartofli i innych jarzyn, pozostałych z niedzielnego obiadu. Aczkolwiek bowiem ludność kilronańska uznawała, że ma zupełne prawo dokuczać swoim księżôm, to jednak myśl, że mogli uczynić to samo dobrze odziani malkontenci aż z Kilkeelu — była dla niej nie do zniesienia.

Bądź co bądź, poobiednia przechadzka pod skałami nadbrzeżnemi stała się Niedzieli owej dla ks. Lethebyego jedną z najprzykrzejszych chwil życia. Nie wiedział, gdzie

się obrócić. Każde podejrzenie, każda zniewaga tych ludzi nieokrzesanych odbijała się na nim, kłując go boleśnie. Cóż to będzie, gdy sprawa stanie się głośną, a on celem insynuacyj bezczelnego adwokata lub wyniosłego oburzenia ławy sędziowskiej? A przytem czuł, że honor mu nakazuje zapłacić owe 200 funtów szterlingów za statek i 126 za maszyny. (1) Skąd jednak wziąć taką sumę? Gdyby mu kazano zapłacić cały dług państwowy, nie czułby się w gorszem położeniu. Od czasu do czasu, to zatrzymywał się i, oparty na parasolu, wpatrywał w ziemię, to podnosił oczy i spoglądał tam, daleko, na mglistą linię horyzontu, gdzie w głębinach spoczywał snem wiecznym kapitan Campion i statek fatalny, a usta jego szeptały: „Gwiazdo morza! Gwiazdo morza!“. Czasem wszakże, na poły nieprzytomny powtarzał: *Stella maris! Stella maris! Porta manes et stella maris succurre cadenti surgere qui curat populo!*

---

(1) 326 funtów szterlingów = 3260 rublom.

ROZDZIAŁ XXX.

Stygmaty.

Sądzę, że nietyle może upokorzenie osobiste, uczucie wstydu, lub strach dalszych skutków, działały przygnębiająco na ks. Lethebyego, ile myśl, że jego niesława może rzucić cień na tę wielką korporacyę do której należał. Wiedział, jak nizkim i pozbawionym skrupułów jest duch krytyki naszych czasów; jak łatwo nieszczęścia lub słabostki jednego z księży rozciągnięte być mogą przez ogół na wszystkich członków świątobliwego zgromadzenia. To też nieznośną była dlań myśl, że kiedyś, za lat wiele, przykład jego będzie może przytaczany, jako dowód lekkomyślności, jeżeli nie czego gorszego jeszcze, ze strony duchowieństwa irlandzkiego wogóle. „Gdy Letheby roztrwonił setki funtów powierzone mu przez kupców z Kilkeelu"; albo: „Czy pamiętacie Lethebyego i statek zatopiony?". „Cóż uczynił biskup?".—„Ot, kazał mu opuścić dyecezyę"! Takie to zdania, ukute przez bezwzględną przyszłość, zapełniały rozgorączkowaną jego i niespokojną wyobraźnię. Jeżeli zaś pociecha i moc religii goiły rany te szybko, to ślad ich pozostał w każdym razie w postaci przebijających się tu i owdzie na skroniach włosów srebrnych, a także cieniutkiej siatki zmarszczek na czole i dokoła ust. Prócz tego, ks. wikary stał się roztargnionym

i nieraz podczas rozmowy pytał: „Przepraszam, nie słyszałem!“. Dowiedziałem się również, iż spędzał on noce bezsenne a i we dnie nie miał spokoju.

Rad byłbym szczerze, gdybym mógł był mu pomódz. Niestety, środków mi brakło. Martwiło mnie i to jeszcze, że Duff i jego przyjaciele milczeli uporczywie i że dokoła słyszałem tylko krytykę niemiłosierną z ust niegdyś przyjaźnie dla wikarego usposobionych.

— Wiedzieliśmy że tak będzie—mówiono.—Utopijne zamiary zwykle tak się kończą.

— Gdyby był szedł drogą utartą, miałby w świecie powodzenie, lecz zdolności odmówić mu niepodobna.

— Ciekawa rzecz co biskup uczyni.

— Zdaje się, że usunie go z urzędu i wyśle na misyę zamorską.

— Będzie to dobrym przykładem dla innych.

Spodziewałem się że powrót Bittry sprawi mu ulgę i oderwie go od trosk i kłopotów.

Nareszcie państwo Ormsby przyjechali.

Poszedłem odwiedzić ich na drugi dzień po przyjeździe.

Ormsby przyjął mnie w salonie, opowiedział szczegóły podróży i przygotował do zmian, jakie zaszły w jego małżonce. Pomimo wszakże tego przygotowania, przygnębiające wrażenie sprawił na mnie widok biednej Bittry, gdy wyszła nareszcie do nas. Miała zwyczaj dziecinny zadzierania główki przy mówieniu. Ten ruch niewinny a zachwycający, dziwnie uderzał przy wyrazie twarzy pełnym niemej rozpaczy. Gdyby płakała lub rozpaczała głośno, nie byłoby to tak tragicznem. Lecz nie! Oniemiała raczej i zamieniła się w kamień przez ogrom boleści. A wszystko co przypominało ojca: jego meble, pokój, ogród, ubrania, książki przyrządy rybackie i strzeleckie—stało się pamiątkami po tym, którego nic w sercu zastąpić nie zdoła, a którego śmierć niespodziana, bez pociechy religijnej, napawała duszę jej, duszę córki kochającej, uczuciem obawy tego, o czem nikt myśleć nie może bez wzdrygnięcia.

Jakże różni się dusza katolika od duszy niekatolika! Co za silne odczucie nieśmiertelności i przyszłości nieśmiertelnego ducha istnieje w pierwszej, jakże zaś nieczułą i obojętną na tę nieśmiertelność jest druga! Co za ol-

brzymie pojęcie o sprawiedliwości Boga ma pierwsza, a jakąż zimną pogardą dla rozporządzeń Boskich odznacza się druga! Co za zrozumienie zerwania więzów z otoczeniem i wypadkami życia oraz wyzwolenia ducha nieśmiertelnego w pierwszej, gdy druga widzi tylko bryłę martwą i posiada mgliste zaledwie pojęcie o tajnej, zagadkowej wieczności.

— Dusza jego, dusza!—oto co ciężyło Bittrze.

Ormsby nie pojmował doniosłości tych obaw małżonki. Zbyt przerażony był i oszołomiony. Ja więc sprobowałem tego, co jest dziedzictwem naszem, kapłanów, mianowicie słów pocieszenia i nadziei, niestety, tylko po to, by się przekonać, że

„Żadna z perswazyi od czasów Adama
Nie mogła wmówić, iż śmierć nie jest śmiercią".

Poprowadziłem ją zatem na podwórze, postawiłem w miejscu, gdzie ojciec jej stał ze mną owego dnia weselnego i powtórzyłem wszystko, co mówił, każde słowo jego skruchy, wiary, postanowień na przyszłość, żalu, iż nie był z nią razem u Komunii świętej w dzień jej ślubu, obietnicy przystąpienia do Stołu Pańskiego w najbliższą Niedzielę po powrocie córki z podróży.

— I tu—kończyłem—stał, gdy zadzwoniono na Anioł Pański, i odkrył głowę, i nabożnie odmawiał modlitwę, a ja spoglądałem na włosy jego siwiejące. Czyż sądzisz, że Pan nie policzył także tych włosów siwych i głębokiej tęsknoty serca?

Spojrzała na mnie z wyrazem ulgi.

— A teraz chodź, nałóż kapelusz, pójdziemy odwiedzić naszą Dolores. Wie ona o wieczności więcej od ciebie i odemnie.

— Czy Rex może nam towarzyszyć?

— Ma się rozumieć! — rzekłem, a jednocześnie przez myśl mi przeszło, co to za zrządzenie dobroczynne, że w sercu tem, tak gwałtownie pozbawionem przedmiotu miłości, nowa miłość wyrosła.

— I doktor Armstrong także? Przyjechał z nami razem z Dublina.

— Ma się rozumieć. Wszak ma podobno, jako rzeczoznawca, zbadać stan Alicyi.

— Tak, ma się umówić co do konsylium, z naszym lekarzem.

— A więc bardzo dobrze. Pójdziemy wszyscy razem...

Tak też uczyniliśmy i ujrzałem, ku uldze serca mego, łzy tych dwojga nieszczęśliwych łączące się w kielichu goryczy, jaki im do wypicia podano.

— Ojcze Danie, jedno słóweczko — rzekła Alicya, gdym wychodził — nie chciałam mówić o tem przy pani Ormsby: Obiecaliście mi ojcze, że nie pozwolicie na operacyę.

— Nie, dziecko moje. Nie myśl o tem. Leczyć cię będą z największą czułością i ostrożnością.

Ciekawym był wynik oględzin chorej, dokonanych dnia następnego. Ciało jej, a nawet dłonie i stopy pokrywały rany, jednak dr. Armstrong miał nadzieję zaradzenia złemu.

— Nie obiecuję, aby stała się znów tak ładną — rzekł — jak ładną była przedtem, według słów waszych. Mogę wszakże powrócić jej zdrowie przy pomocy silnie działających środków wzmacniających oraz dyety odpowiedniej. Nie będzie z tem kłopotu. Widziałem gorsze wypadki uleczone częściowo. Ale biedna dziewczyna sparaliżowana jest pozatem od bioder, a na to już nie poradzi wiedza moja.

Wszystko to było dla nas odkryciem niespodziewanem. Powtórzyłem słowa lekarza Alicyi.

— Dzięki Bogu!—odparła poprostu.

Spełniły się przepowiednie d-ra Armstronga. Wolno, bardzo wolno, w ciągu kilku tygodni, znikały zewnętrzne oznaki okropnej choroby, tak że w końcu znikły zupełnie z czoła i twarzy. Pozostało tylko zaczerwienienie, ale i ono z czasem zniknąć miało. Jednocześnie też, w miarę jak krew świeża zastępowała niezdrową, powracały siły, a nawet włosy odrosły najpierw kępkami, a potem zupełnie w splotach obfitych, wyraz zaś twarzy nabrał takiej jakiejś dziwnej, duchowej piękności, że dla mnie chora stała się znów owem dzieckiem uwielbianem niegdyś.

W tajemniczy też sposób dusze Alicyi i Bittry rozumiały się wzajemnie, a gdy stare kolce bólu odpadały od nich stopniowo, na miejsce ich wyrastały różyczki miłości

Boskiej i przyjaźni ludzkiej, rozwijając płatki swe dopóty, dopóki na miejscu kolców nie pozostały kwiaty wspaniałe.

Dnia pewnego, późną jesienią, gdy już liście poczerwieniały od przymrozków i szarości dni ponurych, wytoczono krzesło Alicyi za próg chaty. Otoczyły je wnet dzieci, przynosząc w podarunku chorej kwiaty, oraz złote i purpurowe owoce. Ręce jej wyciągały się ku Niebiosom, piersi napawały powietrzem czystem, świeżem, serce drżało radością zmartwychwstania i zdawała się wątpić, czy nie należy jej się bardziej — dalsze cierpienie w ciasnym pokoju, na łożu boleści, z krucyfiksem przed oczyma? W końcu jednak zrozumiała, że to jej uzdrowienie było wolą Boską, skłoniła więc głowę z wdzięcznością i zalała się łzami radości.

Tak więc zdjęto krzyż boleści z ramion dwojga dziatek moich po to tylko, by tem silniej przycisnął ramiona trzeciego.

W miarę mijania dni długich bez widoków na możność wybrnęcia z kłopotów—wzrastał niepokój ks. Lethebyego. Dziwiliśmy się bardzo, że dobrzy nasi przyjaciele z Kilkeel milczeli i że nawet wymowny ich przewodniczący odmówił sobie przyjemności napisania do księdza wikarego listu z pogróżkami. Bądź co bądź jednak milczeli i nawet wówczas, gdy ksiądz wikary napisał do nich — otrzymawszy od władzy list, zapewniający, że z sumy, na jaką „Gwiazda“ była ubezpieczona, pokryją się także wkłady akcyonaryuszów. — Na list ten nie odpowiedzieli wcale.

Nadszedł zato list od adwokata fabryki z Loughboro, w którym pan ten donosił, że sprawa przeciwko księdzu wikaremu przeszła do wyższego sądu w Dublinie. Ks. Letheby odpowiedział oświadczeniem, że nie może uczynić nic więcej, jak tylko wystawić na sprzedaż ruchomości swoje i książki, a sumę ztąd otrzymaną odesłać adwokatowi.

Tak stały sprawy, gdy dnia pewnego zjawił się u mnie ks. wikary blady, jak płótno, ręką drżącą podał mi karteczkę zadrukowaną i wskazał na niej pewien ustęp.

Na pozór nie wiele mówiła ta karteczka, a jednak był to wyrok zapadły i ostateczny niewypłacalności, ban-

kructwa; zawierała bowiem karteczka ta wykaz wyroków sądu wyższego przeciwko złym dłużnikom. Ustęp, wskazany mi przez wikarego, brzmiał jak następuje.

Hrabstwo: Galway.

Pozwany: ks. Edward Letheby.

Pozywający: Tow. fabryki w Loughboro.

Data wyroku: 12 października 187....

Suma dłużna: 126 funt. szterl.

Koszta sądowe: 8 funt. 12 szylingów, 6 pensów.

— Oto jest koniec — rzekł ponuro — to też napisałem do biskupa, prosząc o *exeat*.

— Źle, bardzo źle!—zauważyłem.

— Sądzę, że teraz kolej na panów z Kilkeel, a potem na komornika.

— Smutne to — odparłem — należy jednak przywołać na pomoc całą siłę ducha i prosić o łaskę Boską.

— Ofiarowałem się przy dzisiejszej Mszy Panu — szepnął, powstrzymując wzruszenie — ale nie spodziewałem się takiego ciosu. Niechże jednak tak będzie! Ani nie cofam przekonań, ani nie żałuję czynów. Wszak nieraz mówiliście, ojcze, o cierpieniu:

....*aspera, sed nutrix hominum bona.*

Zabiorę się teraz do sprzedaży wszystkiego, co posiadam, a potem ruszam tam, gdzie:

„Konstelacye większe, i księżyc jaśniejszy, niebiosa szczęśliwsze,
Słońce zwrotnikowe, gaje palm rozkosznych, przypomnienie raju".

Pozostanie jednak po mnie tutaj — imię: Letheby! — Letheby! — oto hasło ostrzegawcze przed wstydem i porażką dla pokoleń następnych. Mój Boże! Jakże innym wydawał mi się świat rok temu! Ktożby o tem pomyślał? A ja tak cieszyłem się pracą moją, domkiem, książkami, chórem, dziećmi!

— Alicya i Bittra wyszły z ognia nietknięte, dlaczegóż więc i twoje kłopoty nie miałyby skończyć się pomyślnie—rzekłem cicho.

— Ach, księżę proboszczu! Ich cierpienia były fizyczne i domowe. Jakże jednak wyjść z poniżenia?

— I to można przezwyciężyć. Czyż nie powiedziano w Piśmie: „*opprobrium hominum, et abjectio plebis*" Oboiwązku

swego dopełniłeś, starając się swe zdolności spożytkować dla dobra ogółu, dla dobra biednego ludu; te niepowodzenia niech cię nie zrażają i niech nie zniechęcają cię do dalszej pracy. *Finis coronat opus.* Szczęśliwy, kto wytrwa do końca.

— Prawda! To też zawsze trzymam się tej maksymy, pracując przytem, ile mogę.

— Daj mi znać co biskup odpowie, bo zawsze jeszcze mam nadzieję, —że wszystko dobrze się skończy.

— Nie, nie, księżę proboszczu! Dobroć swoją zwykłą bierze ksiądz proboszcz za dobre przeczucia. Trzeba poszukać nowego wikarego!

* * *

Wypadki tego popołudnia nie zapowiadały, istotnie, aby sprawdziły się przypuszczenia moje. Około godziny trzeciej, podczas nieobecności wikarego, zjawił się w osadzie wózek z dwoma jegomościami obcymi. Wysiadłszy z wózka, przybysze dowiedzieli się, gdzie mieszka ks. Letheby, udali się do jego domu i tam oświadczyli przerażonej Lizzie, że przybyli zrobić zajęcie ruchomości księdza wikarego. Jako dobra dziewczyna irlandzka, Lizzie piorunowała, wymyślała, groziła policyą, przysięgała zemstę wyższemu sądowi, ale przybysze nic sobie z tego nie robiąc zakwaterowali się wygodnie w kuchni. Padł wówczas strach wielki na całą osadzę i gniew zawrzał w niejednej piersi, a wieść o zajściu rozeszła się do najdalszych zakątków górskich i samotnych chat rybackich tak, jakgdyby mieszkańcy osady zapalili ognie alarmowe lub rozesłali gońców konnych. Cóż z tego? Gniew był bezsilny wobec prawa, za którem stało wszechwładztwo Anglii.

Domyślać się tylko można, co ks. Letheby przeżył owego wieczora. Posłałem do Lizzie słówko aby koniecznie przybył do mnie i pozostał w mojem mieszkaniu aż do odjazdu niemiłych gości. Wyjechali istotnie wcześniej, niż przypuszczaliśmy, ale tymczasem stali się przyczyną kilku scen rzewnych i charakterystycznych.

Oto, gdy ludność dowiedziała się o co chodzi, oburzenie na dziewczęta, które wywołały pierwszą niechęć przeciwko pracowni, tak wzrosło, że musiały uciec z parafii, a następnie wyjechać, jak obiecały, do Ameryki. Jako główni ich

wrogowie, wystąpili w danej chwili ci właśnie, którzy wykrzykiwali przeciwko dziewczętom pragnącym pracować i przyczynili się do zamknięcia ostatecznego pracowni. A w dwa dni po zjawieniu się komorników stara pewna kobieta, nie opuszczająca od lat kilku łóżka z powodu reumatyzmu, wybrała się do osady, powieziona przez sąsiada i dowlokła się wózkiem do mojego domu.

Ks. Letheby był nieobecny, uciekał bowiem teraz nad brzeg morza lub w góry, po odprawieniu Mszy świętej i spożyciu naprędce śniadania, a wracał dopiero wieczorami.

Z trudnością przekroczyła Helena Cassidy — tak nazywała się staruszka — próg mego pokoju bawialnego. Ochłonąwszy z przestrachu, jaki wywołało to zjawienie się jej niespodziane, spytałem wahająco:

— Czy to wy, Nel, czy nie wy?

— Ma się rozumieć, wasza wielebność, że to stare moje kości. Przywlokłam się z chaty mojej w Maelrone.

— No, no! Nie spodziewałem się, abyście mogli, Nel, opuścić chatę inaczej, jak w trumnie.

— I ja tak przypuszczałam, wasza wielebność, ale Bóg zesłał mi siłę, abym mogła przybyć tu w dniach smutku.

— A cóż się stało, Nel? Wszak powinniście dziękować Bogu, że pozwolił wam znów poruszać nogami.

— Eh, wasza wielebność, wolałabym aby ciało moje spoczywało już w zimnej ziemi, a nie doczekało się dni takiego smutku. Dobry mój pan, dobry mój pan w takim kłopocie, a nikt z pomocą mu nie spieszy!

— Czybyście mieli na myśli kłopoty księdza Lethebyego?

— A cóż innego, jeżeli wolno spytać? I ja miałabym doczekać, aby ten mój dobry pan był zamknięty w ciemnicy, legiwał na kamiennej podłodze i nie miał nic, prócz czarnego chleba i zgniłej wody?

Mrucząc tak do siebie, Nel wyciągnęła z głębi kaftana na piersi coś, co wydawało mi się zwojem gałganów czerwonych. Gałgany te położyła na stole i zaczęła rozwijać je, jak mumię. Patrzałem z zaciekawieniem, jak rozwijała zwój za zwojem i jak nareszcie ukazała się paczka z papieru brunatnego. Przez cały ten czas Nel nie przerywała ani na chwilę narzekań na los biednego księdza.

Wszystko jednak kończy się w tem życiu, skończyło się więc też rozwijanie oryginalnej sakiewki. Po rozwinięciu ostatecznem papieru, ujrzałem pęk zwiniętych banknotów, złote suwereny i garść srebra.

— Niewiele tego jest, wasza wielebność, ale to wszystko co posiadam. Dajcie to dobremu panu albo też ludziom, którzy zajęli mu mieszkanie, niechaj odczepią się od niego.

— W każdym razie, Nel, za dużo tu pieniędzy, aby tak biedna kobieta, jak wy, mogła rozstać się z niemi.

— Gdyby było dziesięć milionów razy więcej, to i wówczas nie zawahałabym się oddać ich kochanemu, zacnemu kapłanowi. A któż, jeśli nie on, przyszedł do chaty mojej samotnej, zimy ostatniej, podczas wichury i deszczu, i rzekł do mnie: „A gdzieżto kociołek wasz, kobieto?“. Ale kociołka nie było. Wziął tedy poczerniały imbryk blaszany, napełnił go wodą, zagotował, nasypał herbaty i podał mi, potem zaś podłożył rękę silną pod poduszkę, podniósł mnie i mówił: „Nie możesz głodzić się, biedna kobieto, napij się tego“. Następnie kręcił się po izbie, porządkując wszystko, ja zaś przypatrywałam się, błogosławiąc mu z głębi serca mego. I człowiek ten ma być teraz bez kawałka chleba, lub ciepłej strawy? Niech wasza wielebność raczy powiedzieć mi, ile tam tego było? — dodała, zmieniając nagle tok rozmowy. — Bo ja zawsze sądziłam, że księża nasi mają w Kilronanie życie dostatnie, tymczasem, jak widzę, i czasy dziś liche i ludzie jacyś dziwni!

Całej mojej wymowy i uroczystych zapewnień potrzeba było, dla przekonania kobieciny, iż ks. Letheby nie jest jeszcze w więzieniu i że zapewne tam się nie dostanie. Gdy zaś zebrałem rozsypane na stole pieniądze i oddałem jej, spojrzała na mnie nie ze smutkiem, lecz z wyrazem dumy obrażonej. W końcu, przygnębiona, ruszyła do chaty samotnej.

Po powrocie późną godziną ks. Lethebyego na obiad, opowiedziałem mu zdarzenie powyższe. Wzruszyło go głęboko.

— W ludziach tych istnieje olbrzymia kopalnia złota doskonałości ludzkiej—zauważył— ale drogi do tej kopalni są tak kręte i niedostępne, że nie warto, na pozór, do niej docierać. Ludzie ci zdolni są do ofiary największej.

pod warunkiem wszakże, iż ofiara ta będzie niezwykłą. Pogardzają natomiast regularnością i monotonnością zwykłych praw ludzkich. Ale, ale, Czy niema listu dla mnie?

— Niema. Ale ja za to otrzymałem wyrok potępienia z rąk Duffa!

— Więc niema listu od biskupa? — rzekł i otworzył list Duffa, który mu podałem.

List ów brzmiał jak następuje:

Atheloy, 13/10 187...

Drogi ojcze Danie!

Jakimże sposobem nieszczęśliwa ta sprawa mogła zajść aż tak daleko? Naszem zdaniem, tylko ksiądz proboszcz winien temu wszystkiemu. Letheby musi mieć nas wszystkich za łotrów i tchórzów, żeśmy dopuścili do przesilenia tak bolesnego! Wszak jest on tak wrażliwy! Niech ksiądz proboszcz raczy nam jednak wierzyć, że do chwili wywieszenia wyroku w sali sądowej, nic zgoła nie wiedzieliśmy o onych zajściach z właścicielami fabryki. Znaną nam była tylko sprawa o nieszczęśliwą „Gwiazdę“ — nic poza tem. Któż temu winien? Dlaczego nie zawiadomiliście nas, ojcze? Może nie wie ksiądz proboszcz że owego wieczora, po zatonięciu statku, obiecałem Lethebyemu, iż będę mu przyjacielem do końca i oto dzisiaj słowa te moje zakrawają na czczą przechwałkę! A przecież cała sprawa ta, to drobnostka. Niech przeto ksiądz proboszcz powie przynajmniej ks. Lethebyemu, aby się nie martwił, za parę dni wszystko będzie w porządku i nie poniesie żadnej szkody, prócz chwilowego upokorzenia.

Jednocześnie donoszę, iż żaden z nas nie będzie już siadał przy jednym stole z wami, ojcze, a gdyby Letheby awansował, to raczej zgodzimy się na gniew Biskupa, niż na przyjęcie u was wikaryatu.

Wasz i t. d.

Karol Z. Duff.

— Bardzo to ładnie z jego strony — rzekł ksiądz wikary zadumany — ale, doprawdy, nie wiem, jakim sposobem potrafi sprawę moją w ciągu paru dni załatwić.

— Co do mnie — odparłem — to nie zdziwiłbym się wcale, gdybym dowiedział się, że młodzieniec ów dzielny zatkał także już gębę wołom z Kilkeelu!

— To niemożebne!

— Zobaczysz!

Poszedłem porozmawiać z Alicyą. Stała się poprostu jakby jasnowidzącą. Widzi wszystko, jak w zwierciadle magicznem.

— Sądzę, że pomogą mu dusze święte — rzekła spokojnie, i stanowczo. Ks. Letheby ma wielkie do tych dusz nabożeństwo. Powiedział mi kiedyś, gdyśmy o rzeczach świętych rozmawiali, że przy każdej Mszy świętej odmawia *memento* za duszę najbardziej opuszczonego i zaniedbanego kapłana w czyścu. Ale przecież, ojcze Danie, dusze księży nie idą do czyśca?

— Hm, moja kochana, nie mogę ci odpowiedzieć w imieniu wszystkich księży, to jednak wiem na pewno, że jedna dusza pójdzie do czyśca, i to niedługo. Chyba, że ty, ks. Letheby i Bittra wyciągną ją stamtąd. Mów jednak, coś mówić chciała.

— A więc przy każdej Mszy świętej odmawia *memento* za duszę najbardziej opuszczonego kapłana oraz za tę, która ma już najkrótszy termin pokuty. A gdy nie odmawia Mszy świętej na specyalną intencyę, to zawsze ofiaruje ją Matce Najświętszej za duszę ową w czyścu. Czy to nie pięknie? Wyobraźcie sobie, ojcze, tę biedną duszę, oczekującą chwili wyzwolenia za wielkiemi wrotami zakratowanemi, a z drugiej strony tych wrót Anioła, który był może w ciągu lat wielu jej opiekunem. I stoją tak oboje milczący, i czekają zmiłowania Bożego.

Tam zaś, daleko od nich, miryady dusz świętych modlą się, boleją, kochają i mają nadzieję.

Słychać tam szum, jakby szelest skrzydeł miliona ptaków, unoszących się nad morzem, tu zaś, u wrót, cisza i milczenie. Dusza nie śmie spytać: Kiedy? — bo Anioł nie wie, od czasu do czasu tylko uśmiecha się i spogląda na nią, a ona modli się cicho, pokornie. Nagle wielkie światło rozdziera ciemności na górze i staje się świt wśród nocy czyścowej — bo wielki duch zbliża się szybko, coraz szybciej, na skrzydłach świetlanych i wreszcie dosięga więzienia. Tu wręcza list Aniołowi dozorcy od Królowej Niebios i w jednej chwili otwierają się wrota, zanurza się Anioł-opiekun w czeluście, bierze na skrzydła swe mocne duszę oczekującą i leci w górę, wyżej i wyżej dniami

i nocami, by w końcu dosięgnąć niebios rozśpiewanych, przelecieć śród szpalerów anielskich i przypaść łagodnie do stóp Maryi.

A któż dokonał tego, jeżeli nie pokorny kapłan w dalekiej, wybielonej kapliczce, u wybrzeży Atlantyku, w towarzystwie tylko chłopca do Mszy świętej służącego?

Słuchałem rapsodyi tej z niemałem zajęciem, gdy weszła Bittra.

Przemogła już biedna cierpienia swe o tyle, że odczuwała je boleśniej wówczas tylko, gdy wzrok jej padał na morze, a myśl zastanawiała się nad tem, co leży tam w głębinach.

—Alicya przepowiada—rzekłem—iż ks. Letheby wydostanie się ze swego czyśca w Poniedziałek.

— Ah, nie, dziadku Danie. Ja tylko przypuszczam, iż zniesie krzyż swój.

— A jakże twoje zdrowie, Alicyo? Czy goją się rany?—spytała Bittra.

— Dzięki Bogu, goją się, prócz miejsc niektórych.

Bittra spojrzała na mnie dziwnie. Bo też rzeczywiście, pomimo że całe ciało dziewczęcia goiło się prawidłowo, na dłoniach i podeszwach zostały rany okrągłe, czerwone.

--I tu także, na boku—dodała chora—pozostała jeszcze rana, krwawiąca od czasu do czasu obficie. Doktor nie widział jej jeszcze, ale co do ran na rękach i nogach, to gniewa się bardzo.

— Istotnie, to dziwne — zauważyłem —ale przypuszczam, iż kończyny goją się najtrudniej.

— Jeżeli pozwoli ksiądz proboszcz, to wyjdziemy razem—odezwała się Bittra.

— Chodźmy—odparłem.—Do widzenia, Alicyo.Oczekiwać będziemy niecierpliwie dnia Zadusznego.

— Dobrze, dziadku Danie, spodziewam się, że wszystko będzie w porządku — odparła Alicya z uśmiechem.

Idąc obok mnie przez ulice osady, Bittra zawołała z podziwem:

— Czyż to nie zastanawia księdza proboszcza, iż rany Alicyi goić się nie chcą?

— W samej rzeczy! — odparłem niechętnie.

— A ja dużo myślałam o nich!

— I jakiż jest wynik tych rozmyślań mądrych?

— Wyśmieje mnie ksiądz proboszcz.

— Nie śmieję się nigdy. Nie mam zwyczaju przekraczać granic uśmiechu.

— A więc myślę.... ale...

— Mówże, dziecko. O czem myślałaś?

— Ja sądzę, że to są stygmaty!—wykrztusiła wreszcie rumieniąc się silnie.

Osłupiałem tak, że słowa przemówić nie mogłem. Czyż to możebne? Czyż istotnie mogłaby święta pośród nas zamieszkać!

— Nie gniewa się na mnie ksiądz proboszcz?

— Niech Bóg broni, moje dziecko. Powiedz mi tylko, czyś mówiła o tem Alicyi?

— Oh, nie! Nie śmiałabym za nic na świecie! Byłoby to dla niej wstrząśnienie okropne!

— A więc niech domysły te pozostaną tajemnicą nas dwojga. Czekajmy co dalej będzie. „*Abscondisti haec a prudentibus, et revelasti ea parvulis*“.

Wieczorem, rzuciwszy okiem, przy świetle lampy, na siedzącego za stołem księdza wikarego, spostrzegłem, że policzki jego ściągnęły się i straciły rumieńce, oczy zapadły, a koło uszu widniały kępki włosów siwych.

— I ty, biedny chłopcze, masz stygmaty swoje! — szepnąłem do siebie mimowoli.

ROZDZIAŁ XXXI.

Wszystko dobrze.

Dusza Jema Deadyego zachwiała się groźnie. Spokojny i dobroduszny ten filozof stracił równowagę. Uwidoczniało się to w sposób rozmaity: To zamyślał się głęboko podczas obiadu; to połykał z chciwością filiżanki herbaty jedna za drugą; to zmiatał całe półmiski ziemniaków; to wygłaszał dziwne monologi, w których wymyślał ordynarnie sam sobie; to wreszcie wygrażał pięściami, zwracając się w stronę domu wikarego tak, że w końcu zacna Bess, małżonka jego, zaniepokoiła się nie żartem.

Pewnego razu, usłyszawszy dobywające się z zamkniętej sypialni hałas walki i wyrażenia takie jak: „No cóż, dobrze ci teraz! Chodź tu, łotrze! Potrzebny ci będzie byfsztyk na oko, nie do żołądka, ty drabie"!—wpadła tam i ujrzała Jema, obrabiającego pięściami zawieszony na ścianie siennik,, jakgdyby to był potwór z krwi i mięsa.

— Co robisz?—zawołała Bess zaniepokojona.

— Zostaw mnie, kobieto. Jestem niespełna rozumu!—odpowiedział.

Nie ulegało wątpliwości, że stan taki musiał dojść do wybuchu. Istotnie też doszedł, ale nie skutkiem rozchodzącego się dokoła zapachu byfsztyków z cebulą, smażonych w kuchni wikarego; ani skutkiem łez Lizzie, która, jak Niobe płacząca, zjawiała się od czasu do czasu

i mogła wzruszyć nawet serce mniej czułe od serca Jema Deadyego; ani też skutkiem wygadywań kobiet kilronańskich, które kłóły Jema zdaniami pełnemi sarkazmu, a zwróconemi do rodu męzkiego wogóle. „Ładni mi fenjanie!—mówiły—mustrują się niby, wyprawiają sztuki, mają kapralów, sierżantów, a niepotrafiliby stada gęsi przepędzić! Oto idzie ich kapitan, Jem Deady! Patrzcie, jak się napuszył, a tymczasem dwóch wilków dublińskich siedzi u wikarego i objada go ze szczętem! I niema w Kilronanie człowieka, któryby śmiał ich dotknąć!

Nie! Wybuch nastąpił, jak zwykle w takich razach, skutkiem bardzo błahej przyczyny. Oto Jem Deady, nachylony w ogródku swym nad grzędami kapusty, uczuł nagle w powietrzu dym cygara, niewinnego cygara, trzymanego pomiędzy wargami jednego z przedstawicieli jej królewskiej mości.

Jem zaklął, rzucił szpadel i wpadł do domu.

— Psy jedne!— Człowiek wytrzymać tego już dłużej nie może. Nie mów, kobieto, nic, zamknij gębę, powiadam, a podaj wody gorącej, mydła i ręcznik!

Bess spełniła rozkaz i usunęła się do kuchni, oczekując ze strachem, jak objawi się nowy napad obłąkania Jema.

Z sypialni tymczasem dolatywał od czasu do czasu pomruk groźny i cały kwadrans upłynął, zanim Jem pojawił się na progu. A pojawił się tak zmieniony, że Bess zwątpiła o zmysłach własnych.

— Na miłość Boską, Jem, czy to ty, czy twój duch!— krzyknęła.

Nie był to jednak duch, lecz człowiek przystojny, o przeszło sześciu stopach wysokości, z włosami zaczesanemi i bokobrodami błyszczącemi od pomady. Miał na sobie długi surdut z kołnierzem aksamitnym — podarunek otrzymany jeszcze od ks. Lavertego — a którego starość pokrywał zmierzch nadchodzący.

Bess przyglądała mu się z zachwytem kobiecym, i wreszcie rzekła, śmiejąc się i płacząc jednocześnie:

— Cóż to za nowe głupstwo przygotowywasz?

Jem wszakże nie odpowiedział na pytanie, ale oświadczył sarkatycznie:

— Pani Deady, proszę nie oczekiwać mnie dzisiaj. Idę na herbatę do wyższego towarzystwa.

W godzinę później siedziało w saloniku ks. Lethebyego trzech dżentlemanów tak zaprzyjaźnionych i poufałych, jakgdyby znali się od czasów niepamiętnych. Zwłaszcza dżentleman, siedzący w środku, a mianujący się komornikiem miejscowym, wynurzał się serdecznie obu kolegom, oderwanym od żon i dzieci i wysłanym ze stolicy aż tu, do tej zapadłej, przeklętej osady, zwanej Kilronanem.

— Nie jest tu jeszcze tak źle—odparł jeden z komorników— bywałem w dziurach gorszych!

Następnie rozmowa przeszła na niebezpieczeństwa, grożące przedstawicielom prawa i okazało się z niej, że w całem państwie jej królewskiej mości niema gorszej zbieraniny łotrów, jak tutaj w Kilronanie. Czyż zapomniano już o tem, jak w czasie Ligi agrarnej mieszkańcy tutejsi schwycili poprzednika owego dżentlemana, który zajmował miejsce pomiędzy gośćmi zamiejscowymi, człowieka całkiem godnego, zdarli z niego ubranie i przybili za uszy do drzwi domu, w którym mieszkał? Dopiero dnia następnego sąsiedzi uwolnili biedaka.

— A gdzież była policya!—spytali obcy goście.

— Policya? Policya tutejsza zawsze patrzy tam, gdzie nie potrzeba. Ale dajmy już pokój tym łotrom, przepłuczmy sobie po nich gardło kieliszkiem wódki. Wiecie? Niema pomiędzy Kilronanem a Dublinem trunków lepszych, jak u pani Haley! Chodźmy!

— Dobrze, cóż jednak stanie się z ruchomościami, których nam strzedz przykazano?

— Są tak bezpieczne, jak w kieszeni! — zapewniał rzekomy komornik kilronański.

I oto ruszyli obaj eleganccy przybysze ciemnemi ulicami Kilronanu, prowadzeni przez gościa, który ujął ich poufale pod ręce, paląc przytem cygaro z taką swobodą, jakgdyby urodził się na Kubie.

— Obrzydliwie ciemna dziura rzekł jeden — możnaby dostać w łeb kamieniem i nie wiedzieć od kogo.

— Albo widłami dogadywał środkowy.

— Czy nie macie tu gazu? — pytał trzeci.

— Nie, ale myśleliśmy o zaprowadzeniu światła

elektrycznego. Przynajmniej tak mówił nasz proboszcz, bez wątpienia przeto światło elektryczne będzie. Ale oto jesteśmy. Zanim wszakże wejdziemy, jedno słówko.

Znajduje się tu pewien łotr, którego nazwisko niech nie przejdzie przez usta wasze, bo nie odpowiadałbym za następstwa. Łotr to skończony i niebezpieczny. Nic go nie wzrusza. Ani sąd, ani sędzia, ani ksiądz, ani papież. Jego tylko obawiać się powinniście. Zapamiętajcie więc sobie nazwisko. Nazywa się Jem Deady. Strzeżcie się, póki tu jesteście, nazwisko to wymieniać.

W pokoju klubowym szynku pani Haley zebrało się kółko dobrane. Ciepło tam było i widno, muzyka grała, a woń pończu, cytryn i cygar mięszała się ze szmerem wesołej pogawędki. Czasem do pokoiku tego zaglądała twarz z izby szynkownianej, ale usuwano ją szybko, by dżentlemanom nie przeszkadzała. Powoli jednak dżentlemani stawali się, pod wpływem trunków, coraz bardziej towarzyscy i ukazali wreszcie błyszczące swe oblicza w izbie szynkowej, gdzie też zaszczyt ten uczczono okrzykiem na ich cześć wzniesionym.

— Takich to ludzi, nie nygusów, co nawet herbatę zapijają na kredyt, tutaj nam potrzeba! — krzyczeli, stojący przy bufecie, witając wchodzących.

Nie podobało się to jednak rzekomemu komornikowi miejscowemu, to też trzymał się zdala, a przytem pił tylko lemoniadę. Jak twierdzono następnie, nie dał już nigdy w życiu tak wspaniałego dowodu siły woli. Towarzysze kpili z niego niemiłosiernie.

— Dajże pokój człowieku z tą wstrzemięźliwością.

— Nigdy nie byliśmy w towarzystwie weselszem.

— W zamku królewskim nawet niema trunków lepszych. Za zdrowie gospodyni!

I tak noc schodziła.

Dwie kobiety czekały końca jej z niepokojem. Jedną była Lizzie, która wyobraziła sobie, że jest odpowiedzialną wobec prawa za zdrowie i całość obu komorników, oraz że w razie, gdyby im się co stało, to sprowadzonoby ją do Dublina i skazano na śmierć; drugą zaś — pani Deady. Z uderzeniem godziny 11-ej spodziewała się lada chwila usłyszeć dobrze znany chód małżonka. Minęło jednak pół godziny, minęła godzina, a Jem nie wracał. Na-

reszcie o godzinie w pół do pierwszej usłyszała dziwny odgłos drapania u drzwi tylnych domu, otworzyła je i wszedł Jem. Natychmiast spotkał go krzyżowy ogień zapytań.

— Nie pytaj o nic, jeżeli nie chcesz, bym skłamał. Masz co do jedzenia?

Bess podała mu kawał wędzonki. Jem zabrał się do niej chciwie.

— Czy nie masz nic przeciwko temu, by zasłonić okno frontowe? — spytał po chwili.

Bess prędko zasłoniła okno, przypatrując się mężowi z niepokojem i ciekawością.

— Jem — przemówiła wreszcie — niech mi Bóg przebaczy, jeżeli się mylę, ale zdaje mi się, że nie jesteś trzeźwy!

Jem kiwnął głową. W tej chwili zapukano do drzwi i weszła Lizzie.

— Czy nie wiecie, co stało się z komornikami, Jemie? — spytała.

— Owszem. Odprowadziłem ich do domu i teraz śpią już wybornie w wygodnych łóżkach.

— Przepraszam, wcale niema ich w domu! Bójcie się Boga Jemie, coście z nimi zrobili! — zawołała przestraszona.

— A więc powtarzam ci, dziewczyno. Odprowadziłem obu dżentlemanów do drzwi domu, uścisnąłem im ręce, życzyłem dobrej nocy i powróciłem tutaj. Czy nie prawda, Bess?

— Prawda, co do słowa! — potwierdziła małżonka.

— Idź teraz do łóżka, dziewczyno i miej sny przyjemne o przyszłości, bo goście twoi sami o sobie myśleć potrafią.

— To prawda — dodała Bess. — Idź do domu, Lizzie, i bądź spokojną.

Lizzie wyszła łkając cicho.

— Cóżeś znów zbroił, Jemie? — spytała Bess, zamknąwszy starannie drzwi na zasuwę. — Ejże doczekasz się jeszcze kiedy stryczka!

— Zostaw mnie w spokoju!—odburknął Jem i ukląkł by odmówić pacierze.

Nazajutrz przypadała Niedziela i do tego dzień

Wszystkich Świętych. Jem, wysłuchawszy nabożeństwa przykładnie, zapalił najspokojniej w świecie fajkę i poszedł na przechadzkę pochyłemi błoniami, biegnącemi ku morzu.

Nagle przystanął, wyjął fajkę z ust i ze zdziwieniem spoglądał na niezwykłe zjawisko.

O dwadzieścia mniej więcej jardów od miejsca, na którem stanął, wyłaniała się z morza wielka, czworograniasta skała, pokryta krótką, giętką trawą, wytrzymującą działanie bałwanów morskich. Obok niej wznosiła się inna, ostro zakończona i wązka. Dwie te wysepki samotne, siedlisko kóz i ptaków morskich, zwane były przez geografów miejscowych wyspami Krowy i Cielęcia. Jem Deady znał obie od dzieciństwa. Wiedział, że istnieją tam głębokie jaskinie. Wiedział, że silny wir prądu, rozbijającego się o wysępki, rwał szalonemi skrętami z obu ich stron i łączył się w spienioną masę bałwanów u ich końca pod skałami wybrzeża. To wszystko zatem nie zwracało jego uwagi. Na szczycie jednak skały uczepione były dwie istoty, jakich Jem zapewne nigdy jeszcze nie widział a które w bujnej wyobraźni swojej uznał za potwory morskie. Twarze ich były czarne, jak węgiel, włosy nastroszone, ale ruchy wskazywały, że są w rozpaczy, gdy tymczasem potwory morskie odznaczają się zwykle, jak mówią podania, wesołością. Jem osądził zatem widocznie, że nie dozna krzywdy, gdy odezwie się do nich. Zresztą był odważny.

— Hallo, kto jesteście? — zawołał. — Może uciekliście z trupy śpiewaków murzyńskich?

— Zawołaj człowiecze policyi? — odpowiedziano mu ze skały.

— A cóż mam policyi powiedzieć?

— Powiedz jej, że dwóch urzędników jej królewskiej mości z Dublina dostało się tutaj za sprawą najgorszej szajki łotrów w Irlandyi!

— A cóż policya ma zrobić z wami? — odparł Jem spokojnie.

— Co? Niech przypłynie w łodzi i stąd nas zabierze.

— Spojrzyjcie na wodę i osądźcie, jakiej potrzebaby łodzi ażeby prąd taki wytrzymała?

Istotnie, bałwany kłębiły się grzmiąc i sycząc, ude-

rzały w skały i parły z siłą szaloną przez kanał oddzielający wyspy od brzegu,

Powoli, drogą jakąś tajemną zawiadomiony, zebrał się tłum ludu na wybrzeżu, zaczęły się kpiny z rzekomych potworów.

— Gdzież są wasze gitary, panowie? Moglibyście przynajmniej spędzić Niedzielę przyjemnie, nie wydostaniecie się bowiems tamtąd przed wieczorem!

— Jem Deady, zaśpiewaj im pieśń murzyńską, a my poprzemy cię chórem.

— Aha, to wy jesteście Jemem Deady! Pamiętajcie, Deady, że wiemy, kto jesteście. Ostatniego wieczora opisał nam was pewien dżentleman, jako największego łotra w Kilronanie.

Jem palił tymczasem najspokojniej fajkę. Zapomniałem bowiem powiedzieć, że nienawidził ubrania odświętnego. Używał go tylko przy wielkich okazyach i czuł się w niem skrępowany. To też nawet w Niedzielę przywdziewał najchętniej poplamione wapnem, połatane i zużyte ubranie codzienne, a przytem pudrował sobie twarz, nie pudrem jednak, lecz poprostu wapnem na proszek startem. Bess gniewała się o to i prosiła, by choć raz pokazał się w Niedzielę odziany w suknie najlepsze, ale nadaremnie. Jem nie chciał zrobić tego ustępstwa.

Tak właśnie, w ubraniu poplamionem i z twarzą ubieloną wapnem, stał teraz u brzegu morza.

— Zaśpiewaj Jem pieśń murzyńską! — wołano.

Usłuchał wreszcie i udając, iż brzdąka na gitarze, zaśpiewał całym głosem:

Świat dla mnie tak smutny, ponury
Jest wszędzie gdzie tylko się zwrócę;
O, bracia czarni, serce tak mnie boli
Daleko od chaty rodzinnej!

I znów rozpoczęły się kpiny.

— Może teraz panowie ci w krzesłach zechcą zaśpiewać nam jaką piosenkę!

Nagle dobra myśl widocznie strzeliła tłumowi do głowy; zebrał się bowiem, szepcząc, kiwając się i wskazując na wysepkę. Wreszcie Jem wystąpił z tłumu i odezwał się udanym głosem przestrachu i współczucia:

— Towarzysze moi powiadają, że jesteście gośćmi, którzy przybyli trzy dni temu do naszego księdza i którzy płacili wczoraj za wszystkich w szynku pani Halej! Przysięgnijcie, że jesteście nimi rzeczywiście!

— Tak, to my i wystrychnięto nas na dudków!

— Nie tak prędko, nie tak prędko, nie znamy się jeszcze.

— Słuchajcie, chłopcy! — zawołał po chwili jeden z uwięzionych. — Jeżeli wydostaniecie nas stąd, to otrzymacie funt szterling nagrody i tyle wódki, ile zechcecie.

Odpowiedziano okrzykiem.

— O godzinie 4-ej — dodał Jem — nastąpi odpływ i w ciągu ośmiu minut woda tak opadnie, że można będzie przejść do brzegu po dnie skalistem kanału. Idziemy tedy do domu i o 4-ej będziemy z powrotem. Tymczasem zaś powiedzcie nam, proszę kto was tam na tę skałę wprowadził?

— Sprawa to nie wasza, lecz władz sądowych! Niechaj Bóg ma w opiece człowieka, który nam takiego spłatał figla!

— Amen! — odpowiedzieli wszyscy, unosząc kapeluszy, i rozeszli się w różne strony, po chwili wszakże jeden z tłumu powrócił na brzeg morza, wysłany przez innych.

— A może panowie uważają—zapytał — że nie wypada pracować w Niedzielę i zechcą pozostać na skale do poniedziałku?

Odpowiedziano mu ze skały przekleństwem.

O godzinie 4-ej cały Kilronan wyległ na brzeg morza. Zebrało się tam z tysiąc osób a każda z nich uważała sobie za obowiązek zrobić uwagę jakąś, poradzić coś, lub zażartować z nieszczęśliwych więźniów.

Byłoby rzeczą łatwą rzucić im sznur i wskazać drogę, którędy mają dotrzeć do brzegu, stało się jednak inaczej. Dwóch barczystych rybaków zeszło z wybrzeża, dźwigając ciężką linę, i poślizgując się na skałach nierównych, okrytych szlamem i porostami, udało się ku wysepce. Coprawda mogliby pójść wygodnym brodem, jaki istniał w innem miejscu, ten sam który nocy ubiegłej posłużył do wprowadzenia na wysepkę komorników, uważali jednak, że byłoby to pracą zbyt łatwą za nagrodę obiecaną. Dostawszy się na wysepkę, obwiązali liną siebie

i komorników i puścili się z powrotem w drogę niebezpieczną, przeskakując z niezmierną ostrożnością ze skały na skałę, krzycząc, klnąc i wymachując rękoma. Pomimo to wszakże to jeden, to drugi, to wszyscy razem ześlizgiwali się ze skał i wpadali w kałuże wody, a z brzegu odpowiadano im krzykami.

— Ciągnij, Bill, naprzód!

— Trzymajcie się kierunku skał!

— Nie tutaj, gamonie! Czy nie widzicie, gdzie idziecie?

— Wolno, wolno, Tim! A teraz skokiem!

Przy okrzykach takich, rozkazach i zaklęciach, dotarli wreszcie wybawcy z wybawionymi do brzegu.

Nastała chwilowa cisza, a potem rozległy się pytania i westchnienia i słowa współczucia dla „biednych ludzi".

— Skąd oni się tam wzięli?

— Bóg raczy wiedzieć? Może rozbił się okręt?

— Czy umieją mówić?

— Zdaje się, że nie. Tylko kląć potrafią.

— Biedni ludzie! Przemoczyło ich do nitki!

W końcu jeden z wybawców, ocierając pot z czoła, zwrócił się do wybawionych:

—Jestem proszony, panowie, abym wam oświadczył, że u nas nic nie robi się na kredyt. Radzi więc będziemy ujrzeć ów banknot na jednego funta.

Jeden z komorników sięgnął do kieszeni, wyjął banknot, zwinął go w kulkę i ruchem pogardliwym rzucił w stronę skał. Jem Deady schwycił pocisk, rozwinął spokojnie, obejrzał i schował do kieszeni. Poczem utworzył się pochód i przy śpiewie hymnu: „Boże, zbaw Irlandyę"; wkroczył do wioski, odprowadzając komorników do domu księdza wikarego.

Lizzie uradowana wybawieniem tych, za których, jak sobie wyobrażała, była wobec władz odpowiedzialną, przygotowała im szybko obiad, a cały Kilronan zapuścił się w dociekania, czy pozostaną, czy też wyjadą nareszcie? Czy pojmą, jaka nienawiść płonie przeciwko nim pod pokrywką kpin i żartów, czy też przyjmą wszystko za figiel dobrodusznie?

I oni także zastanawiali się nad tem, aż w końcu po-

stanowili wyjechać dla dwóch przyczyn: Po pierwsze, pod świeżem wrażeniem zdarzenia, mogli opowiedzieć je władzom lepiej i zażądać większego odszkodowania. Powtóre, Jem Deady, ścierając im z twarzy tłuszcz i sadze, jakiemi umazał ich sam poprzedniego wieczora, gdy byli pijani, radził, aby wynieśli się przed wieczorem, choćby o sto mil, jeżeli jeszcze nie zdążyli zamówić sobie trumien. To też o godzinie 6-tej wieczorem zajechał przed dom księdza wikarego wózek wynajęty i obaj komornicy ruszyli śród okrzyków sarkatycznych i wyzwisk nie bardzo przyjemnych w stronę stacyi kolejowej.

Zaraz po ich wyjeździe ks. Letheby powrócił do swego mieszkania. Zastał tam wszystko w porządku, tylko nieprzyjemna woń taniego tytoniu zapełniała pokoje.

* * *

Nazajutrz, w Zaduszki, przybył do mnie po Mszy S-tej wikary. Wargi jego były blade i ściągnięte cierpieniem. Chciał dowiedzieć się, czy biskup listu nie przysłał, jak dziecko bowiem, uczepił się słów przepowiedni Alicyi. Niestety, list nie nadszedł.

Poszedłem do Alicyi. Spojrzała na mnie pytająco.

— Ani listu, ani ulgi—rzekłem.—Zawiodły nas przepowiednie twoje.

Płakała cicho.

— Nic nie szkodzi. Nie opuszczą go dusze święte. Nie skończył się jeszcze dzień i jutro jeszcze nie przeszło.

— O, dziewczę, jakże wielką jest wiara twoja!

Dzień cały przeszedł w smutku, w oczekiwaniach, w niepokoju, w przypuszczeniach i zawodach. A wszystko to odbijało się na biedaku, przygnębionym bardziej niż kiedykolwiek.

Nareszcie dnia następnego rozeszły się chmury. Ks. wikary wpadł do mnie przed śniadaniem i wywijając jednym listem w powietrzu, podał mi drugi.

— Księże proboszczu—zawołał.—Ten list zamknięty jest pieczęcią biskupią. Boję się otworzyć go; otwórzcie więc za mnie.

Otworzyłem z ostrożnością i z szacunkiem przynależnym tej pieczęci czerwonej, a następnie czytałem.

„Pałac biskupi. Dzień Zaduszny“ 187...

Kiwnąłem głową. Alicya prawdę powiedziała.

„Kochany ojcze Letheby!“

— Co? Tak mnie nazywa! — zawołał wikary zeskoczywszy z krzesła i stanąwszy za mną, aby się przekonać naocznie.

„Mianowałem właśnie — pisał biskup — ks. Feelyego proboszczem w Athalace na miejsce opróżnione przez śmierć ks. kanonika Jonesa, ciebie zaś mianuję administratorem katedry i kapelanem moim. Czyniąc tak, odstępuję trochę od zwyczaju, albowiem rok dopiero jesteś w dyecezyi; pragnę wszakże przez tę nominacyę zaznaczyć uznanie moje dla gorliwości i energii, jakie okazałeś od czasu przybycia do Kilronanu. Ani na chwilę też nie wątpię, że tutaj, na stanowisku wybitniejszem, okażesz tem większą gorliwość w spełnianiu obowiązków swoich.

„Przybądź tu, jeżeli to jest możebnem, na Spowiedź sobotnią. Zamieszkasz tymczasem u mnie, póki nie wybierzesz sobie pokoju w gmachach kościelnych.

Piszę się, kochany ojcze Letheby

Twoim w Chrystusie.

— Nigdy nie wątpiłem o naszym biskupie—rzekłem, odczytawszy list po raz wtóry. Jego Ekscellencya wie, jak odróżniać przypadki w życiu księży od istoty ich charakteru. Zdaje się, że macie jeszcze list inny?

— Tak! — zawołał, jak obudzony ze snu — otrzymałem od fabryki w Lughboro pokwitowanie z całej sumy, jaką jej byłem dłużny.

— A więc Alicya miała racyę, niech Bóg błogosławi duszom świętym! — pomyślałem, aczkolwiek niezupełnie pewny jestem poprawności takiego życzenia.

Nigdy jeszcze nie był Kilronan świadkiem takiej wrzawy. Wiadomość o nominacyi wikarego rozniosła się jak pożar. Cała osada wyległa na ulice i tak napastowano księdza wikarego pytaniami, błogosławieństwami i powinszowaniami, iż postanowiliśmy przyśpieszyć wyjazd. Ks. Letheby miał wyjechać we czwartek ze mną, zaprosił nas bowiem na ten dzień ks. Duff, abyśmy z powodu tejwiel-

kiej okazyi wstąpili do niego po drodze i spożyli obiad w towarzystwie innych kapłanów.

Boże drogi! Gdy chwila odjazdu nadeszła, zdawało mi się, że konik nasz nigdy nie wyruszy w drogę, tłum bowiem otoczył wózek, całował ręce wikarego, całował jego szaty i bez końca prosił o błogosławieństwo, powstrzymując konia.

Nareszcie powoli, jak lodowiec pchający morenę przed sobą, zdołaliśmy wydostać się z tłumu.

— Bóg z wami, Bóg z wami!

— A niechże błogosławi wam Matka Boska!

— Tak, matko! Biskup nie może obejść się bez niego. Oto dlaczego nas opuszcza.

— Czy ujrzymy jeszcze waszą wielebność kiedykolwiek?

W tej chwili zbliżyła się deputacya klubu „Siejących postrach świątobliwy“, prosząc, aby wikary pozwolił mianować siebie prezesem honorowym klubu.

— Nie ujrzymy już nigdy człowieka, władającego piłką tak dzielnie jak wasza wielebność.

— Nie ujrzycie też nigdy człowieka, któryby tak śpiewał, jak on! — dodał Jem Deady.

Przed wyjazdem ks. Letheby poszedł odwiedzić Alicyę. Wiedziała już o wszystkiem, to też powitała go płaczem. Ujął ją za rękę.

— Przyszedłem — rzekł — podziękować ci, dziecko, za to wszystko, co uczyniłaś dla mnie. Modlitwy twoje, łzy, a przedewszystkiem przykład wytrwałości śród cierpień — były dla mnie źródłem niewyczerpanem siły. Chwiałem się wówczas, gdy ty stałaś silnie pod ciężarem krzyża...

— Nie mówcie tego, ojcze. Nie mówcie! — zawołała łkając.

— Muszę — odpowiedział — muszę ci powiedzieć, że siła twa i odwaga zawstydzały mnie i dodawały sił stokrotnie. Proszę cię, módl się za mnie, czekają mnie bowiem próby nowe i zdaje mi się, że jestem tym człowiekiem, który nie będzie miał spokoju bez krzyża. Potrzebuję więc siły, a siły tej ty mi udzielisz!

— Ojcze, ojcze! To ja zawdzięczam wam siłę! Gdzież byłabym teraz, gdybyście nie ukazali mi Ukrzyżowanego?

W odpowiedzi położył na dłoniach jej wyciągniętych

pięknie oprawną książkę do nabożeństwa i tak rozstały się te dusze, połączone niewidomem ogniwem w sercu Jezusa Chrystusa.

Pożegnanie z Bittrą było mniej bolesne. Obiecał jej odwiedzać ją często w pałacu, który świadkiem był tylu zdarzeń dziwnych. Nie zapomniał także o dobrodziejce swej, staruszce, Helenie Cassidy—jednem słowem znalazł czas na wszystko.

Co za wspaniały mieliśmy obiad u ks. Duffa! Co za wrzawa szczęścia, co za okrzyki i mowy szlachetne! Dzielni chłopcy wyprzedzali jeden drugiego w okazywaniu uznania ks. Lethebyemu, a następnie wszyscy zwrócili się do mnie, abym przyjął ich za wikarych, ponieważ posada w Kilronanie—jak mówili—obiecuje awans. Ja jednak nie spieszyłem się z obietnicami.

Na odjezdnem słyszałem, jak ks. Letheby mówił do ks. Duffa:

— Mam względem ciebie wieczny dług wdzięczności. Pieniądze za statek otrzymasz natychmiast po nadejściu ich z biura ubezpieczeń. Co się zaś tyczy maszyn do szycia, to spoczywają bezczynnie w Kilronanie. Może przydadzą ci się na co tutaj.

— Doskonale! Przyślij je tutaj, a otrzymasz pokwitowanie ze wszystkiego. A przytem słuchaj. Nie ty mnie, lecz ja tobie wdzięcznym być winienem. Zebrałem dość pieniędzy w Australii i wstyd mi doprawdy powiedzieć — posiadałem w tamtejszym banku narodowym zdeponowaną sumę z trzema zerami. Gdybym umarł w takim stanie, byłoby to okropnem. Teraz, dzięki tobie, mam sumienie lekkie!

Wróciwszy do domu, spojrzałem na zegarek. Wskazywał godzinę drugą. Przetarłem oczy. To niemożebne! Przyłożyłem zegarek do ucha. Chodził najspokojniej w świecie. Siadłem więc w fotelu i długo spierałem się sam z sobą, jakie właściwie modlitwy odmówić: wieczorne czy też poranne? Wreszcie zawarłem kompromis z sumieniem i odmówiłem jedne i drugie.

Ale, położywszy się do łóżka, długo zasnąć nie mogłem. Mózg mój pracował. Myślałem o wspaniałej mowie, jaką mógłbym był podczas obiadu wygłosić, a nie wygłosiłem.

— Jestem też przekonany, że nigdy już nie usłyszanoby takiego doboru dowcipów i okresów przepysznych! A potem zaczęły mnie niepokoić wyrzuty sumienia. Druga godzina rano! Druga godzina! U wszystkich filozofów moich szukałem usprawiedliwienia. Stanął mi przed oczyma Horacy:

„*Dulce est desipere in loco*“ — to jego słowa.

Jakże wdzięczny jestem ci Flaccusie!

„*Quandoque bonus dormitat Homerus*“ — zawołał, ginąc w cieniach.

Miejsce jego zajął Owidyusz i śpiewał:

„*Somne, quies rerum, placidissime somne Deorum!*“

Prędko jednak odwróciłem się od niego, bo nadchodził Seneca.

„*Commodis omnium lacteris, movearis incommodis*“ — mówił.

— Dobry człowieku! — zawołałem — ależ to ja właśnie takim jestem!

A następnie przyszedł drugi, łagodny święty Paweł, spoglądając tak, jak spoglądał, w chwili gdy przemawiał za niewolnikiem.

„Radujcie się z tymi, którzy się radują, a płaczcie z tymi którzy płaczą“.

W końcu zjawił się Tomasz a Kempis, pokiwał poważnie głową i rzekł: „Po wesoło spędzonym wieczorze następuje poranek smutny“.

Kocham Tomasza. A jednak doprawdy, o święty! uwagi Twoje są czasem zbyt osobiste!

ROZDZIAŁ XXXII.

Pożegnanie.

Tomasz à Kempis miał racyę, przepowiadając mi poranek smutny. Coprawda, nie z powodu wczorajszej wesołości, lecz skutkiem braku ks. Lethebyego smutno mi było tego poranku. Używając wyrażenia gminnego, ks. Letheby wrósł mi w serce. Zastanawiając się nad uczuciami memi dla niego, przekonałem się, że nie wytworne i miłe obejście, nie zdolności i nie towarzyskość jego czyniły wrażenie, lecz otwarty, męski charakter, naginający się zawsze ku słabym, a pogardzający wszystkiem, co nieuczciwe. Prawda, „nosił lilię życia bez plamy“, ale takim powinien być kapłan każdy.

Nie to więc, lecz jego męzkość i jego wiara uczyniły go dla mnie „rycerzem idealnym“.

Drogi, drogi chłopiec! Sądziłem, że pozostanie przy mnie do ostatniej godziny mojej, że wysłucha ostatniej spowiedzi, namaści stare członki moje Olejami świętymi i złoży mnie przystojnie do grobu. Niestety, sądzono było inaczej. *Vale, vale longum vale!*

Powróciwszy z kościoła do domu, zastałem list od biskupa i wielkie pudełko z szarego papieru.

Otworzyłem najpierw list. Brzmiał jak następuje:

„Kochany ojcze Danie!

„Prawdziwą przyjemność sprawia mi to, że mogę ofiarować wam stallę opróżnioną przez śmierć ks. kanoni-

ka Jonesa. Sądzę, że gdyby „*to prepon*“ miało zawsze moc na tym świecie — bylibyście już kanonikiem od lat dwudziestu lub trzydziestu, przynajmniej; więc teraz przypadło mi w udziale powetować to wam nareszcie i mieć nadzieję, że skorzystam wiele z mądrych rad waszych na zebraniach kapituły katedralnej. Wzgląd na to, że przy tej sposobności będziecie mogli od czasu do czasu odwiedzać młodego przyjaciela waszego, którego odebrałem wam tak nagle — przyczyni się, sądzę, nie mało do przyjęcia przez was odznaczenia spóźnionego, coprawda, ale które—nie wątpię—piastować będziecie jeszcze przez lat wiele.

Pozostaję, kochany ojcze Danie,

Wasz w Chrystusie“.

— Zawsze zacny i troskliwy! — szepnąłem i zabrałem się do przecinania sznurków pudełka.

Zawierało ono mucetę, rokietę i biret kanonika, a było podarunkiem dobrych Sióstr Franciszkanek, u których niegdyś piastowałem urząd kapelana. Miłosierne niewiasty nie zapomniały o mnie.

A więc nareszcie spełniły się marzenia połowy życia mojego!

Boże mój, Boże, jakież z nas dzieci! Starzy czy młodzi — wszystko jedno, dziecinni jesteśmy! Kto wie, może właśnie dlatego nas tak kocha?

Wziąłem do ręki mucetę. Miękka była, piękna, puszysta. Całą rokietę schować mogłem w garści, z tak delikatnych zrobiono ją koronek. Westchnąłem i włożyłem wszystko z powrotem do pudełka. Zdecydowałem się ostatecznie.

W tej chwili weszła Hanna i jednem spojrzeniem oceniła sytuacyę.

— Nareszcie otrzymał ksiądz proboszcz to, co mu się już dawno należało.

— Tak, otrzymałem. Jakże się to wam podoba?

— Bo też był czas już wielki. Mój Boże, co to za śliczne rzeczy.

— Hanno — rzekłem — macie trochę kamfory lub lawendy?

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Mam — odparła. — Ale na co? Czy ksiądz proboszcz nie będzie tego nosił?

— Nie jest to przecież ubranie codzienne proboszcza wiejskiego, należy więc rzeczy te schować tymczasem starannie.

Powiedziawszy to, zabrałem kapelusz i poszedłem odwiedzić Alicyę.

Odpowiedziałem jej wszystko o przyjęciu, jakie zgotowano ks. Lethebyemu, a w końcu rzekłem:

— Biskup pragnie, abym zmienił nazwisko.

— Przecież ksiądz proboszcz tego nie uczyni! — zawołała przestraszona.

— Nie, ale Jego Ekscellencya osądził, że dość już długo nazywano mnie ojcem Danem poprostu, pragnie więc, abym nadal nazywał się: Przewielebnym księdzem kanonikiem Hanrahanem.

— To tak, jakgdyby ksiądz proboszcz wyjeżdżał do obcych krajów.

— Czy sądzisz, że ludziom podoba się ten tytuł?

— Nie, nigdy! — zawołała, potrząsając głową. — Dla nas będziesz zawsze, księże proboszczu, ojcem, dziadkiem Danem!

— Tak też się stanie! — odparłem.

Powróciłem do domu i jeszcze przed obiadem napisałem dwa listy: Jeden do dobrych zakonnic, dziękując im za łaskawość ich i hojność, drugi do Biskupa, także z podziękowaniem serdecznem, ale i z odmową przyjęcia kanonii. Odmowę uzasadniłem tem, że byłem już za stary *et detur digniori*.

Następnie włożyłem kamforę i lawendę do pudełka z mucetą, rokietą i biretem, i napisałem na arkuszu papieru:

„Przewielebnemu ks. kanonikowi Edwardowi Lethebyemu dar pozagrobowy od starego przyjaciela jego i proboszcza, wielebnego Daniela Hanrahana, zwanego poufale i serdecznie dziadkiem Danem".

Gdym napisał słowa powyższe, odżyło we mnie stare przyzwyczajenie dawania nauk i przytaczania cytat. Chciałem koniecznie zdaniem jakiem zakończyć dedykacyę. Przeszukałem tedy wszystkich klasyków moich. Znalazłem w nich, coprawda, wiele zdań mądrych i dobi-

tnych, ale żadne nie przypadało mi do smaku. Już też chciałem był rzucić wszystko zniechęcony, gdy nagle, wziąwszy do ręki jedną z książek, spostrzegłem w niej strofkę zakreśloną ołówkiem czerwonym.

— Eureka! — zawołałem, przeczytawszy, i oto co napisałem pod dedykcyą:

„*Amico, Io vivendo cercava conforto*
Nel Monte Parnasso;
Tu, meglio consigliato, cercalo
Nel Calvario“.

Testament ów złożyłem w fałdach koronki, zawiązałem pudełko starannie, starannie też odłożyłem je na bok, a gdy nie tknięty obiad zebrano ze stołu, zniżyłem płomień lampy i siadłem — Bóg jeden wie jak samotny — w fotelu moim, nadsłuchując, tak jak przed dwunastu miesiącami, żali nie odezwie się tętent kopyt końskich, pukanie do drzwi i głos powitania, zwiastujący, że przybył

Mój nowy wikary.

KONIEC.

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C096413213